

THRILLER PSYCHOLOGICZNY



**Kimberly
McCreight**
Zrozumieć Amelię

Kimberly
McCreight
Zrozumieć Amelię

Przełożył Robert Kędziński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

*Dla Tony'ego,
światła mego domu*

Wyobraźmy sobie raz jeszcze, że życie to ciało stałe, w kształcie kuli, które obracamy w dłoniach. Wyobraźmy sobie, że dostrzegamy przejrzystą, logiczną historię [...] [1](#).

Virginia Woolf, *Fale*

5 WRZEŚNIA

Ponieważ jest 176 definicji słowa loser w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Cześć, suki!

Ach, rozpoczęcie nowego roku. A ja wracam do całego tego gówna, którego opis nie nadaje się do druku...

Tak więc kiedy wy wszystkie spędzałyście lato w Southampton, na Nantucket albo na południu Francji, udoskonalając grę w tenisa lub pas de deux, trenując do pierwszego maratonu bądź delektując się swoimi sukcesami w ostatnich mistrzostwach szachowych, ja w tym samym czasie śledziłam ruchy ukochanych pracowników naszego wydziału. Pan Zaritski wyjechał do Berkeley w Kalifornii, aby na obozie naukowym uczyć superbystrzaków z tamtejszego uniwersytetu. Podobno rodzice doprowadzili do tego, że zwolniono go w drugim tygodniu, bo cuchnął. Pani Pearl znalazła sobie latynoskiego kochanka i w Miami nauczyła się tańczyć na rurze. Żartuję. Oczywiście nie miała żadnego kochanka. Bo czy w ogóle ktoś chciałby się z nią przespać?

No i słodki, wspaniały pan Woodhouse. Któż nie chciałby zobaczyć go w obcisłych kąpielówkach? Niestety, miejsce jego pobytu w tych gorących miesiącach pozostaje nieznane, choć wiem z pewnego źródła, że spędził co najmniej jeden długi weekend wtulony w Liv, naszą kochaną profesora od angielskiego. Mogę na to powiedzieć tylko: brawo!

Jeśli chodzi o was, postaram się relacjonować wydarzenia końca lata na podstawie napływających informacji – przysyłajcie mi je na gracefullyblog@gmail.com. Bo zaczyna się kolejny rok: każdy frajer będzie miał szansę wreszcie być cool, a tłuściochy mogą się stać szczupłakami.

I te same stare pytania: Czy śliczna mała Dylan kiedykolwiek się przyzna, kogo bzyka? Czy Heather i Rachel kiedykolwiek przyznają, że bzykają się ze sobą? Czy Zadie będzie się trzymała z dala od więzienia wystarczająco długo, żeby skończyć szkołę? Z którą dziewczyną z ostatniego roku nasze ciacho z drugiego roku prześpi się najpierw? Kto to jest ten Ian Green i czy jest aż tak seksowny, jak sugerują zdjęcia na jego profilu? Coś mi mówi, że marne szanse. Ale to wy dowiedziecie się jako pierwsze.

Tymczasem czyściecie na błysk swoje nowe buciki i pamiętajcie o promiennym uśmiechu. Zapnijcie też pasy. Bo to będzie niezła jazda...

Amelia

14 WRZEŚNIA, 7.37

AMELIA

kiedy sie dowiedziales?

BEN

o czym?

AMELIA

że wolisz chłopaków

BEN

nie wiem, chyba zawsze wiedziałem

AMELIA

akurat

BEN

to prawda, serio

AMELIA

i po prostu wszystkim powiedziales

BEN

w sumie tak; kto się przejmuje co ludzie myślą

AMELIA

nie wyobrażam sobie, ze bym była czegoś tak pewna. Albo tak odważna

BEN

może sama siebie zaskoczysz

AMELIA

eee tam

BEN

jesteś silniejsza, niż myślisz

AMELIA

dzięki. co ja bym bez ciebie zrobiła

BEN

umarła? lubie myśleć ze czyjes życie ode mnie zależy

AMELIA

ha, ha. kiedy się spotkamy w realu?

BEN

a to nie jest w realu?

AMELIA

wiesz o co mi chodzi

BEN

może za pare tygodni będę w NYC; moj tata wyjezdza sluzbowo

AMELIA

i będę mogła cię spotkać?

BEN

pewnie

AMELIA

OMG! Naprawdę? Nie mogę się doczekać!!!

Kate

24 PAŹDZIERNIKA

Kate wiedziała, że Victor nie jest zadowolony, jeszcze zanim podniosła wzrok znad notatek i zobaczyła złość malującą się na jego twarzy. W pomieszczeniu panowała cisza; wszyscy – pięcioro prawników z kancelarii Slone, Thayer oraz dziesięcioro z Associated Mutual Bank – czekali, aż Victor Starke coś powie. Tymczasem on odchylił się na oparcie krzesła i splótł ręce na brzuchu. Ze swoimi szpakowatymi włosami i w idealnie leżącym szytym na miarę garniturze wydawał się przystojny i pełen godności, mimo oczywistego poirytowania.

W tej kłopotliwej ciszy Kate zaburczało w brzuchu. Odchrząknęła i poruszyła się lekko z nadzieją, że nikt tego nie usłyszał. Dziś rano była za bardzo zdenerwowana, by coś zjeść. Czekąco ją to spotkanie, ale szykowało się również na dyskusję z Amelią. Do dyskusji nie doszło. Amelia wybiegła do szkoły z uśmiechem na twarzy i radośnie machając jej na do widzenia. Zostawiła Kate z nadwyżką niewykorzystanej adrenaliny i już spóźnioną do pracy.

Kate spojrzała tęsknie na imponującą kompozycję z bajgli, owoców i słodczy ułożoną na bocznym stole w sali konferencyjnej. Gdy prowadziło się spotkanie z klientem, zastępując Jeremy'ego Firtha, ukochanego szefa działu procesowego w Slone, Thayer, nie wstawiało się w środku spotkania, żeby sięgnąć po przekąskę.

– Zdajesz sobie sprawę – zwrócił się Victor do Kate – że stawienie się na to wezwanie do sądu unieważni jakiegokolwiek późniejsze sprzeciwy?

– Rozumiem twoją frustrację, Victorze – odparła spokojnie Kate – ale Komisja Papierów Wartościowych i Giełd ma prawo...

– Ma prawo? – warknął Victor. – Powiedziałbym raczej, że działa na wyrost.

Kate wytrzymała spojrzenie Victora zdradzające, że jego złość osiągnęła niemal apogeum. Teraz niezdecydowanie, nawet najdrobniejsze, byłoby fatalne w skutkach: Victor z pewnością zażądałby spotkania z Jeremym. Choć Kate była partnerem, to mimo wszystko wciąż młodszym partnerem. Musiała poradzić sobie z tym sama.

– I co z tego będziemy mieli? Czy to nie... – Zanim Victor dokończył, w sali konferencyjnej ku zaskoczeniu wszystkich zadzwonił telefon.

Rebecca, młodsza asystentka, pospieszyła odebrać.

Victor znów zwrócił się do Kate:

– Chcę, żeby nasze zastrzeżenia trafiły do oficjalnego protokołu, i chcę mieć budżet na cały ten bajzel, zanim ktokolwiek otworzy choć jedno pudło z dokumentami. Zrób to, a dostaniesz swój zbiór

dokumentów, zgoda?

Zupełnie jakby myślał, że Kate liczy na jakieś dodatkowe korzyści. W rzeczywistości ona w ogóle na tym nie skorzysta. Jedyne plus jest taki, że Jeremy doceni jej pracę. A to oczywiście ma znaczenie. Bycie jednym z ulubionych uczniów Jeremy'ego ma znaczenie, duże znaczenie.

– Oczywiście, Victorze – odparła Kate. – Na pewno zrobimy wszystko, żeby...

– Przepraszam, Kate – usłyszała tuż przy swoim uchu przestraszony szept.

Podniosła wzrok i zobaczyła Rebecę najwyraźniej zażenowaną tym, że jej przeszkadza.

– Przepraszam, ale dzwoni twoja sekretarka. Mówi, że masz pilną rozmowę i musisz odebrać.

Kate poczuła, że się rumieni. Odebranie telefonu podczas spotkania z Victorem Starkiem było jeszcze gorsze niż sięgnięcie po bajgla. Beatrice, sekretarka Kate, nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego, ale z powodu choroby nie przyszła do pracy. Co prawda Kate poleciła wcześniej Rebecce, żeby informowała ją o najważniejszych rozmowach. Spodziewała się telefonu od asystenta sędziego w sprawie wniosku o okresowy zakaz zbliżania się, wydany dla jednego z klientów. I ten akurat musiała odebrać.

– Państwo wybaczą – powiedziała, starając się mówić takim tonem, jakby wszyscy spodziewali się tego zakłócenia. – To potrwa tylko chwilę.

Gdy szła, by podnieść słuchawkę, w pokoju zapanowało milczenie, a ona czuła na sobie spojrzenia zebranych. Wcisnęła migający guzik „hold” i wtedy na szczęście rozmowa za jej plecami znów ożyła. Wspólnicy Victora posłusznie wybuchnęli śmiechem, zapewne po jednym z jego dowcipów.

– Tu Kate Baron.

– Dzień dobry, pani Baron – powiedziała kobieta po drugiej stronie. – Mówi Pearl, prodziekan do spraw uczniów w Grace Hall.

Pilna rozmowa, którą powinna odebrać. Jak to możliwe, że nawet nie pomyślała o córce?

– Z Amelią wszystko w porządku? – Kate poczuła szybsze bicie serca.

– Tak, tak, nic jej nie jest – odparła pani Pearl z cieniem rozdrażnienia w głosie. – Ale doszło do pewnego incydentu. Amelia została zawieszona na trzy dni ze skutkiem natychmiastowym. Musi pani tu przyjechać, podpisać formularz i zabrać ją do domu.

– Zawieszona? O czym pani mówi?

Amelia nigdy dotąd nie wpakowała się w kłopoty. Nauczyciele uważali, że uczyć ją to prawdziwa przyjemność – była bystra, kreatywna, wnikliwa i skupiona. Miała świetne wyniki w sporcie, angażowała się w niemal każdą działalność dodatkową. Raz w miesiącu ochotniczo pracowała w CHIPS-ie, jadłodajni dla ubogich, i regularnie pomagała w przygotowaniu szkolnych imprez. Zawieszona? Nie, nie Amelia. Mimo potwornego obciążenia pracą Kate знаła swoją córkę. Naprawdę ją znała. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

– Tak, Amelia została zawieszona na trzy dni – powtórzyła pani Pearl. – Z oczywistych powodów możemy ją przekazać wyłącznie opiekunowi albo rodzicowi. Czy to dla pani problem, pani Baron, żeby

tu przyjechać i ją odebrać? Zdajemy sobie sprawę, że pracuje pani na Manhattanie, a z ojcem Amelii nie ma kontaktu. Niestety, takie zasady panują w naszej szkole.

Kate usiłowała nie przyjmować postawy defensywnej. Nie była nawet pewna, czy to, co słyszy w głosie pani Pearl, jest krytyką. Zbyt wiele lat musiała znosić cudzą krytykę, niewygodne pytania, dziwne spojrzenia i kiepsko zawołowaną dezaprobatę. Jeszcze jako studentka prawa zaszła w nieplanowaną ciążę i oznajmiła, że ją donosi. Jej rodzice uznali to za przejaw szaleństwa i chyba do dziś nie zmienili zdania. Z pewnością ta decyzja nie była w stylu Kate, która zwykle robiła właściwe rzeczy we właściwym czasie. Pomyłki zdarzały się jej tylko w sprawach związanych z mężczyznami. Postanowienie o urodzeniu dziecka nie przyszło jej łatwo, ale nie żałowała, że je podjęła.

– Zaraz przyjadę. Czy może mi pani chociaż powiedzieć, co ona... – Kate przerwała. Jako prawniczka zdała sobie sprawę, że powinna starannie dobierać słowa. Nie zamierzała przyznawać, że jej córka jest winna. – O co konkretnie oskarżono Amelię?

– Obawiam się, że nie mogę dyskutować o sprawach dyscyplinarnych przez telefon – odparła pani Pearl. – Obowiązują nas zasady poufności, procedury. Na pewno to pani rozumie. Dyrektor Woodhouse tu na miejscu poda pani szczegóły. Kiedy dokładnie pani przyjedzie?

Kate zerknęła na zegarek.

– Będę za dwadzieścia minut.

– Jeśli dwadzieścia minut to najlepsze, na co panią stać – stwierdziła pani Pearl i zabrzmiało to tak, jakby miała ochotę powiedzieć coś o wiele mniej przychylnego.

Dwadzieścia minut było o wiele zbyt optymistycznym założeniem. Victor kategorycznie się sprzeciwił, gdy Kate spróbowała wcześniej zakończyć spotkanie. W tej sytuacji musiała wezwać Jeremy'ego.

– Nienawidzę tego robić – powiedziała mu na korytarzu przed salą konferencyjną.

I naprawdę nienawidziła. To było coś, czego bezdietny i od dawna rozwiedziony Daniel, jej superambitny kolega z roku na studiach prawniczych, a teraz w firmie młodszy partner tak jak ona, nigdy by nie zrobił, nawet gdyby miał krwotok wewnętrzny.

– Tylko że dzwoniли ze szkoły Amelii. Muszę jechać ją odebrać.

– Żaden problem. Tak naprawdę uratowałam mnie przed spotkaniem z Verą i ekipą od prac wykończeniowych w nowym mieszkaniu. Wolałbym spotkanie z Attylą niż rozmowy o ścianach nośnych – odparł Jeremy z jednym ze swoich popisowych uśmiechów. Przesunął dłonią po przedwcześnie posiwiiałych włosach. Był wysoki, przystojny i jak zwykle elegancki w koszuli w różowe prążki. – Wszystko w porządku?

– Nie wiem – odparła Kate. – Najwyraźniej Amelia wpakowała się w jakieś kłopoty, choć to nieprawdopodobne. Ona się nie pakuje w kłopoty.

– Amelia? Dopiero co wychwalałam ją w rekomendacji na letni program w Princeton, więc może jestem tendencyjny, ale na pewno tego nie kupuję. – Jeremy współczująco położył dłoń na ramieniu Kate

i znów się uśmiechnął. – Wiesz, jakie są te prywatne szkoły. Najpierw obwiniają, dopiero potem zadają pytania. Cokolwiek się stało, jest jakieś rozsądne wyjaśnienie.

Niby nic, a Kate poczuła się trochę lepiej. To był cały Jeremy, zawsze z idealnym wyczuciem. Wydawało się to autentyczne nawet Kate, która miała prawo do sceptycyzmu.

– Victor nie jest zadowolony – powiedziała, wskazując na zamknięte drzwi sali konferencyjnej. – Czuję się trochę tak, jakbym rzucała cię na pożarcie wilkom.

– Nie przejmuj się. – Jeremy nonszalancko machnął ręką.

Potrafił pracować aż do świtu, rano pójść do sądu na przegraną sprawę i równocześnie stawić czoło wzburzonemu przeciwnikowi i niezadowolonemu klientowi, na dodatek nigdy nie tracił podejścia typu „przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

– Poradzę sobie z Victorem Starkiem. Zajmij się Amelią.

Kate wybrała metro, by uniknąć korków w Midtown, mimo to miała aż czterdzieści pięć minut spóźnienia, gdy pociąg numer 2 niespodziewanie zatrzymał się tuż przed Nevins Street. Czterdzieści pięć, pięćdziesiąt minut... Tyle mniej więcej spóźni się do Grace Hall. O ile dopisze jej szczęście. Dyrektor i pani Pearl na pewno uznają to za dowód, że jest kiepskim rodzicem. Spóźniona matka, wykolejone dziecko. Wniosek nasuwał się sam.

Im więcej Kate się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że Amelię oskarżono o coś poważnego. Szkoła Grace Hall szczyciła się tym, że jest liberalna, otwarta i nastawiona na rozwój uczniów. Została założona dwieście lat wcześniej przez grupę intelektualistów z Nowego Jorku: dramaturgów, artystów i polityków. Szanowano ją za świetną kadrę i niezrównany program przedmiotów związanych ze sztuką. Choć Grace Hall często wymieniano obok najstarszych manhattańskich szkół prywatnych – Dalton, Collegiate, Trinity – znajdowała się na Brooklynie, co oznaczało powiązania z bohemą. Jako taka stroniła od podręczników i standardowych testów, preferując naukę poprzez doświadczenie. Ograniczona liczba zasad formalnych utrudniała Kate odgadnięcie, co musiałby zrobić uczeń, żeby uzasadniało to jego zawieszenie.

Nagle pociąg syknął, szarpnął, przejechał kilka metrów do przodu, po czym znów się zatrzymał. Kate spojrzała na zegarek. Co najmniej godzina i pięć minut spóźnienia. Zostały jej jeszcze cztery przystanki. Niech to szlag. Zawsze się spóźniała, na wszystko. Wstała i podeszła do drzwi wagonu, czując ogarniające ją wątpliwości.

Ostatnio Amelia wydawała się rozkojarzona, nawet trochę humorzasta. Miała piętnaście lat i to częściowo usprawiedliwiało fochy, a jednak chodziło chyba o coś więcej. Na przykład te jej pytania o ojca. I to w kółko powtarzane wyjaśnienie Kate, że po jednym krótkim spotkaniu wyjechał uczyć dzieci w Ghanie i nigdy nie wrócił, najwyraźniej nie wystarczało. No i Amelia zaledwie poprzedniego ranka wyskoczyła z tym absurdalnym pytaniem, czy może semestr spędzić za granicą.

– Mamo, nie mogłabyś po prostu zostać i przez jedną minutę mnie posłuchać?

Amelia z rękami skrzyżowanymi na piersiach opierała się o kuchenny blat. Z długimi jasnymi włosami, które falami opadały jej na ramiona, i z tymi niesamowitymi oczami – jedno niebieskie, drugie piwne – lśniącymi w ciepłym porannym świetle wydawała się o wiele starsza i wyższa niż zaledwie dzień wcześniej. Miała piękną twarz w kształcie serca, z wysokimi kośćmi policzkowymi odziedziczonymi po Kate. Wyglądała seksownie w dżinsowych biodrówkach i obcisłej koszulce bez rękawów. Na szczęście wciąż było w niej coś z dziecka, małego urwisa.

– Tak, Amelio, mogę cię posłuchać. Przez minutę – odparła Kate, próbując zachować cierpliwość.

Zaproponowała właśnie wyjazd na Bermudy w Święto Dziękczynienia. Skwaszony wyraz twarzy dowodził, że Amelia potraktowała to równie entuzjastycznie jak zapowiedź spędzenia weekendu u dentysty.

– Zawsze mam czas, żeby cię wysłuchać.

– Chcę spędzić następny semestr w Paryżu – powiedziała Amelia.

– W Paryżu?

Kate wepchnęła do torby laptop i kilka teczek z aktami, po czym podjęła poszukiwania telefonu, który zostawiła chyba na blacie. Przesunęła ręką po włosach. Wciąż były wilgotne, choć byłaby gotowa przysiąc, że je wysuszyła. Amelia wpatrywała się w nią czujnie.

– Na cały semestr? I Paryż jest strasznie daleko stąd.

Mimo najlepszych zamiarów Kate czuła irytację. Oczywiście Amelia umyślnie nalega, by przeprowadzić tę rozmowę akurat teraz, gdy wie, że matka jest już spóźniona. Kate zastanawiała się czasem, czy Amelia nie jest lepszym strategiem, niż można by sądzić. Pozwalała córce na wiele rzeczy: późne powroty do domu, nocowanie u koleżanek, imprezy, bo Amelia pytała ją o zgodę, gdy Kate była zestresowana albo się spieszyła. Semestr w Europie to zupełnie inna historia. Kate nie zamierzała ulec tylko dlatego, że tak byłoby łatwiej. Ale byłoby. O wiele, wiele łatwiej.

– Jakie to ma w ogóle znaczenie? – Amelia wydała z siebie pełen rozdrażnienia gardłowy dźwięk. – I tak cię nigdy nie ma.

Długie godziny pracy Kate zazwyczaj nie wywoływały skarg Amelii. Kate zawsze zakładała – a może raczej miała nadzieję – że jest tak dlatego, ponieważ Amelia zna tylko życie z samotną matką, która ma wymagającą pracę. Mimo to przygotowywała się psychicznie na odkrycie, że jej córka i tak jest świadoma istnienia tych luk, bo ich gorączkowe zapychanie miłością macierzyńską nie na wiele się zdawało.

– Amelio, daj spokój. To nie fair. Poza tym semestr za granicą spędza się w college’u, nie w szkole średniej.

– To będzie kształcące.

Kate spojrzała na córkę z nadzieją, że dostrzeże w jej oczach isierki humoru. Nic z tego. Amelia mówiła całkowicie poważnie.

– Amelio, chciałabym odwołać to spotkanie i zostać, żeby z tobą porozmawiać – powiedziała szczerze

Kate. – Niestety, naprawdę nie mogę. Proszę, czy mogłybyśmy wrócić do tego tematu dziś wieczorem?

– Po prostu powiedz: tak, mam! – wrzasnęła Amelia.

Kate aż podskoczyła. Jej córka zazwyczaj nie wrzeszczała, zwłaszcza nie na nią.

– To naprawdę łatwe. Posłuchaj: tak! Po prostu.

I to jest to, pomyślała Kate. Jest oficjalnie nastolatką. Od tej pory będzie „ona przeciwko mnie”, nie „my dwie przeciwko całemu światu”.

Pech chciał, że wbrew swoim najszczerzym chęciom Kate wróciła do domu za późno (znów spóźniona, zawsze spóźniona), by rozmawiać o tym semestrze za granicą. Była jednak gotowa następnego ranka – tego ranka. Obudziła się nawet wcześniej, choć spotkanie z Victorem z pewnością miało być jednym z bardziej stresujących w jej karierze. Potrzebowała dużo czasu na rozmowę z Amelią o Paryżu. Zamierzała stanowczo obstawać przy odmowie, ale zaproponować, że wybiorą się tam razem na Gwiazdkę. Zamierzała też przeprosić, że tak często nie ma jej w domu, zwłaszcza ostatnio. Wciąż udawało jej się utrzymać piątkowe wyjścia z Amelią na kolację i wyjścia do kina w niedzielę. Jednak ich weekendowe wypadki zostały znacznie ograniczone.

Od wczesnego dzieciństwa Amelii Kate starała się zorganizować co najmniej jedną wycieczkę w każdy weekend. Show na Broadwayu, wystawa w Metropolitan Museum, Festiwal Kwitnącej Wiśni w brooklyńskim ogrodzie botanicznym, Parada Syren na Coney Island. Rozrastająca się sprawa Associated Mutual Bank pochłaniała jednak coraz więcej czasu. Poza tym Amelia miała sporo swoich zajęć: hokej na trawie, klub francuski, pracę ochotniczą, spotkania z przyjaciółmi. Ostatnio ona również zawsze się dokądś spieszyła.

Kate wciąż stała przy drzwiach metra, studiując odbicie swojej zmęczonej twarzy w długiej szybie. Z głośników dobiegł komputerowy głos:

– Chwilowo wstrzymuje nas ruch pociągów przed nami. Prosimy o cierpliwość.

Koniec końców tego ranka Kate nie porozmawiała z Amelią o jej pracy, o Paryżu ani o czymkolwiek innym. Niepotrzebnie się zamartwiała i nastawiała psychicznie. Amelia po prostu zeszła na dół, rozpromieniona i szczęśliwa, i oświadczyła, że jednak nie chce jechać do Paryża. Oczywiście ta nagła rezygnacja była podejrzana. Co z tego? Kate wciąż nie mogła uwierzyć, by Amelia zrobiła coś tak złego, by to uzasadniało zawieszenie. W ostatnich dniach zachowywała się jednak nieco dziwnie... Mimo wszystko mogła coś przeskrobać.

Kate znów zerknęła na zegarek. Godzina i dziesięć minut spóźnienia. Cholera. Była okropną, okropną matką. Praca i samodzielne wychowywanie dziecka to zbyt wiele. Nie pozostawał jej margines na błąd. Dostawała z innych firm prawniczych oferty pracy, które pozwalałyby jej na więcej elastyczności – i przynosiłyby mniej (choć nie za mało) pieniędzy. To nie pieniądze były rzeczywistym powodem, dla którego Kate nie zmieniała pracy. Lubiła ją i była w niej dobra, a to sprawiało, że czuła się kompetentna. Sukces – najpierw na studiach, potem w życiu zawodowym – dawał jej poczucie bezpieczeństwa. A to nie było co, zwłaszcza że na horyzoncie nie dostrzegała rycerza na białym koniu.

Nie należała do kobiet czekających na ratunek. Koniec, kropka. Poszła na kilka randek z banalnego powodu: czuła, że powinna to zrobić. Przyjaciele też często nalegali, że umówią ją z kimś. Ale ona nigdy nie miała szczęścia do związków – ani w szkole średniej, ani w college’u, ani na studiach. Tak naprawdę najzdrowszy związek stworzyła z Sethem, który, będąc z nią, odkrył, że jest gejem. Przed Sethem miała innych chłopaków, zazwyczaj w podobnym typie, czyli pełnych rezerwy emocjonalnej. Teraz, jako trzydziestoosmiolatka, zdawała sobie sprawę, że jej kiepski gust przy wyborze partnerów jest mocno związany z wychowaniem, jakie odebrała. Choć to wcale nie oznaczało, że cokolwiek mogła w tej sprawie zmienić.

Trudno powiedzieć, czy mężczyźni, z którymi chodziła ostatnio, byli niewłaściwi, czy po prostu ona nie miała dla nich czasu pomiędzy pracą a Amelią. Niemniej żaden z nich nie utrzymał się na dłużej. Dzięki temu życie wydawało się nieco łatwiejsze. Tylko że z tego powodu mogła nie urodzić drugiego dziecka. W takim razie młodzieńcza „wpadka” – tego czarującego określenia jej matka używała bez zająknięcia nawet wtedy, gdy Amelia stała się tak duża, by je zrozumieć – mogła pozostać jedynaczką. Taka myśl nie do końca pasowała Kate, była jednak niesamowicie wygodna.

Nim pociąg dotarł wreszcie na Grand Army Plaza, Kate miała godzinę i piętnaście minut spóźnienia. W końcu drzwi otworzyły się z sykiem. Natychmiast wyskoczyła na peron i pobiegła po schodach, czując przyspieszone bicie serca.

Na górze, stanąwszy na chodniku, zamrugała, oślepiona światłem. Osłaniając oczy dłonią, ruszyła szybkim krokiem i skręciła w Prospect Park West. O tej porze na dwupasmowej jednokierunkowej ulicy panowała cisza. Wysokie obcasy butów, które Kate włożyła na spotkanie z klientem, głośno stukwały o beton. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się park pełen klonów. Nie była w nim od lat. Teraz, pod koniec października, drzewa przybrały jaskrawe barwy. Liście zaczęły opadać i leżały grubą warstwą wzdłuż ogrodzenia.

Po piętnastu latach mieszkania w Park Slope Kate wciąż bardziej u siebie czuła się w biurze, nie na Brooklynie. Pragnęła wychowywać Amelię w jakimś spokojnym miejscu. Park Slope z pewnością spełniało te warunki. Ludzie wchodzący do sklepów miejscowej kooperatywy spożywczej, sterty towarów na ulicy wyłożone po to, żeby zabrał je ktoś potrzebujący, i hermetyczne grupki ubranych z niedbałą elegancją rodzin na placach zabaw obok ich domów z elewacją z piaskowca, wartych wiele milionów... Wszystko to tworzyło przyjazną atmosferę, ale wciąż wydawało jej się uroczymi szczegółami z życia kogoś innego.

Kate obserwowała dwie typowe matki z Park Slope. Atrakcyjne i nowoczesne, bez ostentacyjnego hipsterstwa, rozmawiały ze sobą, wychodząc z parku. Każda jedną ręką popychała elegancki sportowy wózek, drugą prowadziła dziecko. W uchwytach na napoje tkwiły ekologiczne butelki z wodą. Kobiety szły i śmiały się, nie zwracając uwagi na maluchy, które ledwo za nimi nadążały. Kate poczuła się tak, jakby nigdy nie miała własnego dziecka.

Zawsze planowała, że będzie miała rodzinę. Co najmniej dwójkę dzieci, może nawet trójkę.

Z początku nie brała pod uwagę posiadania jedynaka. Zbyt dobrze pamiętała swoje niezbyt szczęśliwe samotne dzieciństwo. Dotarło jednak do niej, że jedynak nie musi być traktowany jak miniaturowy dorosły. Zakładała też, że dzieci – bez względu na to, ile ich będzie – zjawią się później. O wiele, wiele później. Najpierw zamierzała skupić się na karierze, pójść naprzód, tak jak wpoila jej matka Gretchen, profesor emeritus neurologii na wydziale medycyny Uniwersytetu w Chicago. Najpierw kariera. Dzieci tylko pod warunkiem, że wystarczy czasu.

Jej życie potoczyło się jednak inaczej. Nie chciała skorzystać z żadnej z opcji „poradzenia sobie” ze swoją „niefortunną sytuacją”, które na siłę podsuwała jej Gretchen. Może i podziwiała zawodowe sukcesy matki, lecz nie chciała jej naśladować pod żadnym innym względem. Potraktowała swoją ciężę jak znak, którego zignorowanie doprowadziłoby ją do zguby. I jako szansę na coś więcej.

Macierzyństwo oczywiście było trudne, zwłaszcza że została samotną matką w wieku dwudziestu czterech lat, gdy wciąż studiowała prawo. Mimo to przetrwała. Przetrwały. Prawdziwym wybawieniem dla Kate i Amelii była Leelah, niania opiekująca się Amelią nieprzerwanie przez piętnaście lat. Ciepło, empatia i świetna kuchnia Leelah naprawdę pozwoliły im przetrwać te lata. Kate z wielkim żalem ograniczyła jej godziny, by zajmowała się tylko gotowaniem i sprzątaniem, kiedy Amelia była w szkole. Ubiegłej jesieni Amelia uparła się, że jest duża i nie potrzebuje niani. Kate zabrakło uporu, by walczyć z córką i postawić na swoim. Obie jednak tęskniły za Leelah: Amelia bardziej niż była gotowa przyznać; Kate bardziej niż czasem była w stanie znieść.

Kate przystanęła. Kobiety z wózkami przeszły przed nią przez ulicę. Ruszyła za nimi, gdy skręciły w Garfield. Patrzyła na ich wąskie biodra w spodniach do jogi, na wysoko upięte podobne kucyki kołyszące się w prawo i w lewo.

– Patrz, ile wozów strażackich – zdziwiła się jedna z kobiet, zatrzymując się na rogu ulicy tak nagle, że Kate niemal wpadła na jej idealnie wyrzeźbione pośladki. Stoją pod szkołą?

– O Boże, mam nadzieję, że nie – powiedziała druga, wspinając się na palce, żeby lepiej widzieć. – W każdym razie nie wyglądają, jakby się spieszyli. To na pewno jakiś fałszywy alarm.

Kate spojrzała w stronę wozów strażackich blokujących połowę Garfield Street. Stały przed bocznym wejściem do Grace Hall Upper School, bogato zdobionej starej rezydencji, która wyglądała jak wspaniała biblioteka. Pod sąsiednim budynkiem w podobnym stylu – Grace Hall Lower School – parkowało kilka wozów policyjnych. Oba budynki z elewacjami z piaskowca zostały przejęte przez szkołę dawno temu i wyremontowane. Strażacy kręcili się po chodniku, rozmawiali w grupkach, niektórzy w milczeniu opierali się o swoje wozy.

Stała tam też karetka z wyłączonymi światłami i zamkniętymi drzwiami. Jeśli faktycznie doszło do pożaru albo jakiegoś innego wypadku, teraz było po wszystkim. Albo to był fałszywy alarm.

Chyba Amelia nie uruchomiła alarmu przeciwpożarowego? Nie, takie rzeczy robili tylko młodociani przestępcy. Bez względu na to, w jakim była ostatnio nastroju, bez względu na te bzdury z semestrem za granicą czy jakiś głęboki i nagły kryzys egzystencjalny w związku z nieobecnością ojca Amelia nigdy nie

była i nie będzie młodocianym przestępcą.

Kate wzięła głęboki oddech i głośno westchnęła. Wyższa z matek stojących przed nią wzdrygnęła się i odwróciła na pięcie. Przyciągnęła do siebie córeczkę o twarzy cherubinka, ubraną w puchatą różową kamizelkę. Kate uśmiechnęła się niezręcznie i wysunęła się przed nie. Próbowwała dojrzeć, co jest za karetką. Po drugiej stronie ulicy umundurowany policjant rozmawiał z siwowłosą kobietą w brązowym swetrze. Kobieta prowadziła na smyczy trzęsącego się pieska. Ramionami mocno obejmowała się w talii.

Ludzi nie przesłuchiowano z powodu alarmów pożarowych. Kate spojrzała w górę na okna budynku. Gdzie są dzieci? Powinny przecież przyciskać twarze do szyb i sprawdzać, skąd to zamieszanie. Kate zdała sobie sprawę, że podeszła bliżej.

– Więc najpierw usłyszała pani krzyk? – zapytał policjant siwowłosą kobietę. – Czy ten dźwięk?

Krzyk. Dźwięk. Kate patrzyła, jak dwóch policjantów wychodzi frontowymi drzwiami szkoły, schodzi po schodach i skręca na boczny dziedziniec. Obserwując ich z niepokojem, wreszcie zdała sobie sprawę, gdzie naprawdę trwa akcja. Zebrał się tam przynajmniej tuzin policjantów. Wciąż jednak nie było widać pośpiechu. Nie wydawało jej się to dobrym znakiem. Tak naprawdę zaczynało się wydawać strasznym znakiem.

– Proszę pani – usłyszała donośny głos tuż przy uchu – proszę przejść z powrotem na drugą stronę ulicy. Musimy oczyścić ten teren z ludzi.

Poczuła dłoń na ramieniu, twardą i nieprzyjazną. Odwróciła się i ujrzała ogromnego policjanta. Miał ziemistą cerę i chłopięce rysy.

– Proszę pani – powtórzył, tym razem odrobinę mniej natarczywie – przepraszam, ta strona ulicy jest zamknięta dla pieszych.

– Moja córka jest w szkole. – Kate odwróciła się, by spojrzeć na budynek.

Alarm bombowy, zarazki węglika, strzelanina? Gdzie się podziały wszystkie dzieci? Serce Kate biło coraz szybciej.

– Muszę odebrać moją córkę. Dzwonili po mnie. Już jestem spóźniona.

Policjant przyglądał jej się długo, mrużąc oczy, jakby siłą woli chciał sprawić, żeby zniknęła.

– W porządku, chyba mogę pójść to sprawdzić – powiedział w końcu ze sceptyczną miną. – Ale i tak musi pani poczekać tam. – Wskazał na drugą stronę ulicy. – Jak się nazywa córka?

– Amelia. Amelia Baron. Dzwonili z gabinetu dyrektora, że została zawieszona. Powiedzieli, że mam przyjechać ją odebrać. – Kate natychmiast pożałowała, że o tym wspomniała. Policjant może być mniej skłonny do pomocy, jeśli pomyśli, że Amelia jest uczennicą sprawiającą kłopoty. Może nawet te kłopoty. – Proszę poczekać! – zawołała. – Może mi pan chociaż powiedzieć, co się stało?

– Wciąż próbujemy to ustalić. – Odwrócił się, by spojrzeć w stronę budynku, więc jego głos stał się mniej wyraźny. Potem znów popatrzył na Kate i jeszcze raz wskazał ręką. – Proszę tam przejść! Zaraz wrócę.

Kate nie poszła tam, gdzie jej wskazał. Wspięła się na palce, by widzieć, co teraz dzieje się na tylnym

podwórzu. Kilkunastu mężczyzn, w mundurach i ciemnych cywilnych ubraniach, utworzyło niewielki krąg blisko ściany budynku. Ich plecy tworzyły pochylony mur. Wyglądało to tak, jakby coś ukrywali. Coś straszego.

Ktoś jest ranny albo gorzej. Kate była tego pewna. Doszło do jakiejś walki? Zabłąkana kula? Co prawda był to Brooklyn. Zabudowany domami z brązowego piaskowca, ale wciąż Brooklyn. Zdarzały się tu różne rzeczy.

Policjant, który ją zatrzymał, zniknął we frontowych drzwiach szkoły. Wtedy ona podbiegła do ogrodzenia od strony bocznego podwórza. Stojący tam mężczyźni osłaniali oczy, patrząc w górę, w stronę dachu. Kate też tam spojrzała. Nie dostrzegła nic prócz nieskazitelnie utrzymanej fasady.

Gdy znów spuściła wzrok, dostrzegła lukę między dwoma policjantami, a dalej but. Czarny, na płaskim obcasie, leżał na boku jak martwe zwierzę. Leżało tam coś jeszcze, coś o wiele większego. Coś przykrytego płachtą.

Serce Kate biło mocno, gdy zaciskała palce na prętach z kutego żelaza. Jeszcze raz spojrzała na but. Taki fason nosiło wiele dziewczyn do obcisłych dżinsów albo legginsów. Amelia miała chyba brązowe? Kate powinna to wiedzieć. Powinna znać kolor butów własnej córki.

– Pani Baron? – usłyszała męski głos.

Odwróciła się gwałtownie, szykując się na to, że ten sam policjant o dziecięcych rysach zaraz jej powie, że nie powinna tu być. Zobaczyła jednak atrakcyjnego mężczyznę o wyglądzie prawdziwego twardziela, ubranego w dżinsy i sportową bluzę z kapturem. Był mniej więcej w wieku Kate. Wyrazista kanciasta twarz i ogolona głowa harmonizowały z jego strojem. Miał tę sprężoną energię boksera albo może przestępcy, który w następnej chwili rzuci się do ucieczki. Na jego szyi wisiała odznaka.

– To pani jest Kate Baron? – spytał, podchodząc o krok bliżej.

Mówił z ostrym brooklyńskim akcentem pasującym do całej reszty, lecz próbował zachowywać się łagodnie. Kate się to nie spodobało, zaniepokoiło ją. Za plecami twardziela zobaczyła policjanta, z którym przedtem rozmawiała. Stał na schodach z jakąś szpakowatą kobietą w czerwonych okularach. Gapili się na nią.

– Gdzie jest Amelia?! – Kate usłyszała własny krzyk. A może krzyczał ktoś inny? Brzmiało to jak jej głos, ale nie czuła słów wydobywających się ze swoich ust. – Co się stało?!

– Jestem detektyw Molina. – Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Pod rękawem bluzy Kate dostrzegła wytatuowany krzyż. – Mogłaby pani pójść ze mną?

Coś było nie tak. Nie chciała nigdzie iść z tym detektywem. Chciała, żeby ją odesłał tam, dokąd wysyłano wszystkich gapiów. Żeby powiedział jej, że przeszkadza.

– Nie. – Kate szarpnęła się odruchowo. Jej serce biło jak szalone. – Dlaczego?

– Już dobrze, proszę pani. – Ujął ją silną dłonią za łokieć i pociągnął lekko ku sobie. Teraz jego głos był cichszy, ostrożniejszy, jakby Kate miała jakąś potworną ranę głowy, z której istnienia nie zdawała sobie sprawy. – Proszę po prostu pójść ze mną i usiąść.

Zamknęła oczy i spróbowała sobie przypomnieć stopy Amelii tego ranka, gdy szczęśliwa pobiegła do drzwi. Matki powinny wiedzieć, jakie buty noszą ich dzieci. Powinny sprawdzać takie rzeczy. Poczwała, że kręci jej się w głowie.

– Nie chcę siadać – powiedziała, ogarnięta paniką. – Niech mi pan po prostu powie, co się stało. Od razu!

– Już dobrze, pani Baron, już dobrze – powiedział cicho detektyw Molina. – Zdarzył się wypadek.

– Amelii nic nie jest, prawda? – zapytała Kate, opierając się o ogrodzenie. Dlaczego donikąd nie pędzili? Dlaczego ta karetka tam po prostu stoi? Gdzie są te wszystkie migające światła? – Nie mogło jej się nic stać. Muszę ją zobaczyć. Potrzebuję jej. Gdzie ona jest?

Powinna uciekać. Była tego pewna. Powinna pójść gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie jej mógł nic powiedzieć. Zamiast tego powoli osunęła się na zimny chodnik. Siedziała tak z kolanami przyciągniętymi pod brodę, przyciskając do nich mocno usta, jakby szykowała się do lądowania awaryjnego.

Uciekaj, pomyślała, uciekaj. Ale było za późno.

Przez ostatnią długą chwilę słyszała tylko bicie swojego serca. Czuła ucisk dopasowanych biodrówek.

– Pani córka, Amelia... – detektyw kucnął tuż przy niej – ona spadła z dachu, pani Baron. Niestety...
niestety, nie przeżyła upadku. Przykro mi, pani Baron. Pani córka, Amelia, nie żyje.

12 WRZEŚNIA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Cześć suki,

no to jedźmy z tym gównem, które nie nadaje się do druku...

Ach, kluby. Miejsce, w którym wy, zdesperowane karierowiczki, możecie wreszcie sięgnąć ręką do tego śliskiego wyższego szczebla. Niech każda z was pamięta tylko, że nie ma nic zaszczytnego w tym, że przyglądają się jej cyckom albo cipce, zamiast gapić się na kandydatkę siedzącą obok. Nic nowego pod słońcem...

Z drugiej strony... Może myślę tak dlatego, że wciąż czekam, aż ktoś mnie wyrwie?

Plotka głosi, że Tudorzy i Devonkill próbują zwiększyć swoją popularność dzięki hardcorowym otrzęsinom, Sroki myślą nieszablonowo – ha, ha – o tegorocznych zaproszeniach, a w Wolf's Gate szykuje się wielka brytyjska inwazja.

Skoro mowa o wielkich brytyjskich inwazjach: ile dziewczyn zaciągnie do łóżka Ian Greene? Mamy dopiero drugi tydzień szkoły, a słyszę, że zbliża się do liczb dwucyfrowych. I wiele pięknych pań ustawia się w kolejce, żeby je przeleciał – nasze stałe puszczałskie Sylvia Golde, Susan Dolan i Kendall Valen, by wymienić tylko trzy.

A Dylan Crosby? Nasza droga, piękna, tajemnicza Dylan? Nie, ona nie jest jedną z nich. Nie jestem pewna, z kim się zadaje, ale to nie ten typ, który by się ustawiał po cokolwiek w kolejce.

Wieść głosi, że George McDonnell i Hannah Albert wreszcie skonsumowali wieloletnią obsesję na swoim punkcie. Z kolei Carter Rose ma na oku pewną ściskającą nogi laskę z drugiej klasy. Och, biedny Carterze, oszczędź sobie trudu. Ten pas cnoty nie dopuści żadnego mężczyzny.

Czekajcie na ciąg dalszy. Mam sensacyjny materiał o ludziach, którzy dostali warunkową zgodę na pozostanie w szkole... Myślę, że chyba zamieszczę go w całości w następnym wpisie. To znaczy – MSZ – jeśli nie potrafisz sobie poradzić w takiej cichej, spokojnej szkółce jak nasza, zasługujesz na to, żeby wszyscy się z ciebie nabijali.

Facebook

14 WRZEŚNIA

Amelia Baron

Nie mogę uwierzyć, że pozwoliła się namówić najlepszej przyjaciółce na włożenie obcisłych dżinsów podczas fali upałów.

George McDonnell i 2 inne osoby to lubią.

Sylvia Golde Nie mogę uwierzyć, że jej najlepsza przyjaciółka tak kompletnie nie ma pojęcia o modzie; wiesz, powinnaś mi podziękować...

Amelia

14 WRZEŚNIA

Już w połowie schodów naszego domu zobaczyłam Sylvię czekającą na mnie tam gdzie zwykle – na rogu Garfield i Ósmej Alei. Sylvia mieszkała w Berkeley, między Siódmą a Ósmą, tuż obok pana Wontona i jedną przecnicę od Ozzie's, tej kawiarenki, gdzie czasem za darmo dolewają ci gorącej czekolady i mają prawie codziennie wielki wybór ciastek. Od czterech lat Sylvia i ja codziennie spotykałyśmy się na tym samym rogu, żeby razem przejść ostatnich parę przecnic do szkoły. Cztery lata temu – kiedy miałyśmy po jedenaście lat – mama Sylvii po raz pierwszy pozwoliła jej pójść samej. Najpierw poddała ją jednak masie różnych testów – co zrobić w nagłym wypadku, do kogo zwrócić się o pomoc, jak reagować, gdyby ktoś próbował ją skrzywdzić.

Też miałam jedenaście lat, kiedy moja mama wreszcie się zgodziła, żebym mogła sama chodzić do szkoły. Podobno miała swoje własne testy. Ale myślę, że ściągnęła je od mamy Sylvii. Kocham swoją mamę, mimo to widzę, że większość pomysłów dotyczących tego, jak być mamą, ściąga od innych mam. Było mi wolno robić mniej więcej to samo co Sylvii.

Sylvia nigdy nie miała niani, więc sama musiałam sobie poradzić z pozbyciem się Leelah. Lubiłam Leelah i w ogóle, ale kto w drugiej klasie szkoły średniej ma nianię? Takie mniej więcej przedstawiłam argumenty. I co? Dostałam doła, kiedy mama w końcu się zgodziła. Teraz, kiedy zaczęła się szkoła, tak jakby tęskniłam za Leelah. Nigdy nie powiedziałabym o tym mamie – nie chciałam, żeby źle się z tym czuła czy co tam jeszcze – ale dziwnie było być samej w sumie przez cały czas.

Pomachałam Sylvii. Uniosła dwa palce w jednym z tych jej powitań nieaprobowanych w szkole. Choć był drugi tydzień września, panował ten wstrętny, duszny nowojorski upał. Człowiek czuje się, jakby brnął przez zupę, i wszystko dokoła śmierdzi śmieciami albo sikami. Oczywiście Sylvia nie pozwoliłaby, żeby upał przeszkodził jej w zaprezentowaniu nowej jesiennej mody. Ciuchy były dla niej tym, czym dla mnie książki: jedynym, co się naprawdę liczyło. Stała zatem na rogu w obcisłych dżinsach, sandałach na koturnie i długim swetrze bez rękawów. Tak, w swetrze, mimo że bez rękawów. Pokazała mi go poprzedniego popołudnia – miał fajny fioletowobakłażanowy kolor i wielki, luźny kołnierz. Czaderski, trochę dziwaczny, jeden z tych ciuchów, w których ja wyglądałabym głupio. Sylvii takie rzeczy pasowały.

Pomachałam do niej i wepchnęłam do torby *Opowieść podręcznej*, żeby skończyć czytać podczas lunchu. Pierwszy raz się zdarzyło, że Sylvia i ja miałyśmy okienko na lunch w tym samym czasie tylko raz w tygodniu, w piątki. No cóż, zawsze mogłam posiedzieć z Chloe, z Ainsley lub z kimś z drużyny hokejowej. Sylvia i ja przyjaźniłyśmy się z różnymi osobami, nie należałyśmy natomiast do żadnego klubu. Nikt nas nigdy nie prosił, żebyśmy się do któregoś przyłączyły. Zresztą wcale tego nie chciałyśmy.

Kluby były głupim pomysłem, ze wszystkimi tymi idiotycznymi sekretami i całym tym głównem z otręsinami. Funkcjonowały w Grace Hall od lat dwudziestych do osiemdziesiątych. Wtedy to władze szkoły zakazały ich działalności. Powód? Jakiś dzieciak z pierwszego roku chciał się dostać do klubu tylko dla chłopaków, więc po pijanemu postanowił przejechać się na dachu pociągu. Obcięło mu głowę.

Kilka lat temu komuś przyszło do głowy, żeby przywrócić kluby. Woodhouse, nasz nowy dyrektor, z początku dostał kompletnej schizy, zapowiedział, że będzie wyrzucał członków klubów i co tam jeszcze. Potem nagle zrobiła się cisza w eterze. Plotka głosiła, że rodzice dzieciaków, które były w klubach, zapłacili mu, żeby dał spokój, bo się martwili, że ich dzieci nie zostaną przyjęte do college'u.

Sylvia i ja zawarłyśmy pakt, że nigdy nie wstąpimy do żadnego klubu, nawet gdyby zaproszono nas obie. Miałyśmy inne zajęcia. Sylvia – swoich chłopaków, ja – swoje książki i nowego przyjaciela, Bena. Przede wszystkim miałyśmy siebie. Zawsze tak było. Niektórym ludziom mogłyśmy się wydawać dziwacznymi przyjaciółkami – ja, dziewczica bystrzaczka, i Sylvia, zdirowata królowa mody. Tymczasem w tym, co się liczy, byłyśmy podobne, zwłaszcza kiedy miałyśmy jakieś pięć lat, bo to wtedy zaczęłyśmy się kumplować. Zaprzyjaźniłyśmy się w przedszkolu głównie dlatego, że obie nienawidziłyśmy się bawić w przebieranie. Ja uważałam, że takie dziewczynskie zabawy w ogóle są głupie. Zdaniem Sylvii ciuchy do wyboru zawsze były beznadziejne. I tak to trwało. Zawsze łądowałyśmy w tym samym miejscu, tyle że z różnych powodów. Miałyśmy zatem długą wspólną historię.

Na rogu Sylvia dotknęła dekoltu, udała, że patrzy na zegarek, którego nie miała, i machnęła do mnie, żebym się pospieszyła. Pewnie pociła się na śmierć w tym głupim ciuchu. Byłoby jej jednak potwornie przykro, gdybym powiedziała, że głupio wygląda w swetrze w taki upał. I wtedy powiedziałaby coś wrednego. Pod tym względem Sylvia była jak krab: jeśli szturchnąłeś ją z niewłaściwej strony, potrafiła natychmiast odciąć ci palec.

Poza tym Sylvia faktycznie dobrze w tym wyglądała. Może nie była za bardzo praktyczna, ale zawsze elegancka. Czytała brytyjski „Vogue” i blogi o modzie, takie jak Style Rookie. Marzyła o tym, żeby zostać następnym piętnastoletnim fenomenem świata mody. Błeee – to najlepiej podsumowywało, co ogólnie myślałam o modzie. Natomiast Sylvia uważała, że książki, które czytam dla przyjemności, są pretensjonalne, i miała trochę racji. Koniec końców uznałam, że lepiej się zamknąć i siedzieć cicho w swoim szklanym kloszu.

Z marnym skutkiem próbowałam przyspieszyć kroku, żeby Sylvia nie dostała tętniaka. Miałam przecież torbę z ciuchami do hokeja i plecak, na dodatek w obcisłych dżinsach zaczęły mi się pocić nogi.

– Jezu, ale się wleciesz – powiedziała Sylvia, kiedy wreszcie do niej dotarłam.

– To przez te dżinsy – powiedziałam, ciągnąc za przyklejony do ciała materiał. – Chyba ci nie muszę przypominać, że to był twój pomysł?

Sylvia się uśmiechnęła.

– Potwornie się w nich wleciesz, ale wyglądają dobrze. – Zmarszczyła brwi i pokazała na moją koszulkę. – Co to za obleśny T-shirt? Nie to miałaś do nich nosić.

– Tamta koszula nie za bardzo pasowała.

To było kłamstwo. Nawet jej nie przymierzyłam. Kiedy Sylvia mi ją zostawiła, od razu wiedziałam, że nie ma mowy, by ktoś mnie w tym ciuchu zobaczył.

– Miała takie, wiesz, pufiaste rękawy i wyglądałam w niej, no nie wiem, jak...

– Jak dziewczyna? – Sylvia skrzyżowała ręce na biuście.

– Chciałam powiedzieć, że jak koronkowa serwetka.

– Twój problem polega na tym, że mylisz feminizm z bezguściem. Widziałas kiedyś zdjęcia Betty Friedan? W sumie była bajeczna.

– Skąd w ogóle wiesz, kto to jest Betty Friedan?

– Nie jestem idiotką. – Sylvia przewróciła oczami i ruszyła w stronę szkoły. – Po prostu lubię, żeby moja postawa społeczna miała trochę stylu.

Sylvia poprawiła książki na wąskim biodrze. Jak zwykle były związane satynową brązową wstążką. Ze względu na styl Sylvia nie chciała nosić żadnej torby na książki. Podejrzywałam po cichu, że ma nadzieję zapoczątkować nowy trend. Próbowwała zapoczątkować wiele różnych trendów. Na razie bez rezultatu. Ale też nikt w Grace Hall nie nabijał się z dziwacznych poglądów Sylvii na modę – ani z jej szalonych kapeluszy, ani z wielkich okularów słonecznych, ani z torebek wyglądających jak pokryte skittlesami – w sumie to było zwycięstwem. Koniec, kropka. Może i lepiej się uczyłam, i byłam lepsza w sporcie... Ona zawsze była o wiele lepsza w byciu sobą.

Skręciliśmy w Prospect Park West. Na chodniku tłoczyli się ludzie, jak zwykle, kiedy szliśmy do szkoły. Co rano przebijanie się tamtędy stanowiło prawdziwą udrękę. Wszyscy ci zestresowani rodzice wlokący młodsze dzieci, najeżdżający ci wózkami na kostki i sapiący tuż przy uchu. Starsze dzieci na hulajnogach wpadające na siebie z impetem. No i te wszystkie kliki ze szkoły średniej, nawołujące się i wrzeszczące do siebie, głównie przekleństwa. Zupełnie jakby to mogło zmienić bogate dzieciaki z prywatnego liceum w brooklyńskich zbirów, którymi tak pragnęły być.

Na tym odcinku Prospect Park West aż do głównego wejścia do szkoły rozgrywała się znaczna część prawdziwych dramatów w Upper School. Ludzie zrywali ze sobą, wdawali się w bójki, planowali podrywy. Czasem zdarzało się tu coś naprawdę złego. Na przykład George McDonnell rozwalił do krwi nos jakiejś dziewczynie z pierwszej klasy, bo przypadkiem rąbnął ją plecakiem, goniąc po chodniku jakiegoś innego idiotę. Wówczas pani Pearl natychmiast odzywała się przez głośniki. Jej głos brzmiał tak, jakby nie mogła się doczekać pretekstu, żeby dać wszystkim opieprz.

– Złe zachowanie w drodze do szkoły to to samo, co złe zachowanie na terenie szkoły! – wrzeszczała piskliwie, jakbyśmy dzięki temu mieli jej uważniej słuchać. – Gdy nie znajdujecie się pod opieką rodziców, uważa się, że odpowiada za was Grace Hall. Bójki nie będą tolerowane, ani dzikie harce i szarpaniny. Takie zachowanie będzie pociągać za sobą kary zgodne z kodeksem ucznia Grace Hall.

Nie byłam żadnym ekspertem, ale to mi się wydawało niezgodne z konstytucją. Po pierwszej takiej wypowiedzi pani Pearl chciałam zapytać mamę, jaka jest jej fachowa opinia na ten temat. Czekałam na

jej powrót do późna, walcząc z sennością. Usnęłam, zanim wróciła do domu.

Od szkoły dzielił nas kwartał. Niespodziewanie poczułam, że coś walnęło mnie w głowę.

– Au! – jęknęłam, chwytając się ręką za potylicę.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam uśmiech Cartera Rose’a. Pokazał na mnie palcem, po czym pomknął w stronę szkoły. Tak właśnie flirtowali chłopacy z drugiej klasy: walili cię w głowę.

– Carter naprawdę walnął mnie w tył głowy? – spytałam, wciąż słysząc dzwonięcie w uszach.

– Lubi cię – wyszczerzyła zęby Sylvia. Patrzyłyśmy za nim, jak wpadł w tłum ludzi przed szkołą. – Powinnaś dać mu szansę. Jest strasznie przystojny i gra w lacrosse’a. Macie ze sobą wiele wspólnego.

– Ja gram w hokeja na trawie. To dwa zupełnie różne sporty. Wiesz o tym, tak? – spytałam z rozdrażnieniem. Sylvia zawsze popychała mnie w stronę chłopaków, jakiegokolwiek chłopaka. – Poza tym Carter jest jak wielki nakręcony pies. Nie, dzięki.

– Tak, ale przystojny nakręcony pies.

Carter miał szczupłe ciało, gęste blond włosy i męski zarys szczęki. Mnóstwo dziewczyn na niego leciało. Ja nie. Nie byłam jeszcze pewna, jaki jest mój typ, ale nie taki jak on.

– Nie, nie, dzięki – mruknęłam. – Dam ci znać, kiedy będę szukać swatki.

– Jak tam sobie chcesz – wzruszyła ramionami Sylvia.

Widziałyśmy już schody prowadzące do szkoły i chaotyczny, zbity tłum przed nimi.

U góry schodów stał ochroniarz Willy i machał wielkimi łapskami, pokazując wszystkim, żeby weszli do środka. Zatrzymałyśmy się na skraju tego tłumy. Sylvia mocno chwyciła mnie za ramię i szarpnęła w stronę krzaków.

– Au! Co ty wyprawiasz?!

– No dobra – powiedziała przeproszająco. W jej głosie słychać było napięcie, oczami strzelała na boki, jakby próbowała się upewnić, że nikt nie słyszy. – Chciałam to zachować w tajemnicy, żeby nie zapeszyć, ale dłużej nie wytrzymam. Muszę ci powiedzieć.

– Co mi powiedzieć?

Musiałam to Sylvii przyznać, miała nieźle wejście. Z drugiej strony znałam ją wystarczająco dobrze, żeby się za bardzo nie podniecać. Sylvia potrafiła dostrzec dramat w tym, jak ktoś się zatrzymuje, żeby zasnuwać but.

– Powiedziałam mu wczoraj cześć. – Przynęła się do mnie jeszcze bliżej. – Nie uwierzysz, co się stało!

– Jakiemu „mu”? – zapytałam.

Natychmiast się zorientowałam, że powinnam to wiedzieć. I jednocześnie nabrałam podejrzeń. Sylvia zachowywała się jak kompletny popapraniec. Ostatnim razem powody takiego zachowania nie były za fajne.

– Chyba nie wzięłaś znowu lorazepamu swojej mamy? Nie powinnaś przychodzić do szkoły, jeśli...

– Nic nie brałam! – wrzasnęła tak, że spojrzęło na nas kilka osób, głównie jakieś mamy.

– Mniejsza z tym... Przepraszam – mruknęłam. Cofnęłam się trochę, żeby nie mogła mnie znów sponiewierać. – Próbowałam tylko pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy, dobra? – powiedziała. – Ja mam mamę, pamiętasz?

– Dobra. Au.

To była cała Sylvia. Nie miała żadnych hamulców. Mówiła naprawdę wredne rzeczy, kiedy uważała, że jej uczucia zostały zranione. Mówiła o moim zaginionym w akcji tacie, o tym, że mojej mamy wiecznie nie ma w domu. „Sierotka Amelia”, tak mnie nawet raz nazwała. To nie było w niej najfajniejsze. Czasami wrzeszczałam na nią za to. Poza tym próbowałam nie zwracać uwagi na to, co mówi o mojej mamie, bo tak naprawdę myślałam, że Sylvia jest zazdrosna. Moja mama była wszystkim, co miałam. Rzadko pojawiała się w domu, fakt, lecz ten czas, który spędzałyśmy razem, uważałam za wspaniały. Wiedziałam, że mama chciałaby spędzać ze mną jak najwięcej czasu. Zawsze wiedziałam, że mnie kocha, choć kłóciłyśmy się o różne głupoty. Naprawdę to wiedziałam. Mama Sylvii, Julia, wydawała mi się świetna. Sylvia jej nie cierpiała. Nigdy do końca nie zrozumiałam dlaczego.

– Próbowałam ci właśnie powiedzieć, że coś się stało. – Sylvia była kompletnie skwaszona. – To było dla mnie ważne, ale skoro ci nie zależy...

– Zależy mi – zapewniłam, przebolawszy szpilę pod adresem mojej mamy. Bo Sylvia nic nie mogła poradzić na to, że jest Sylvią. – Daj spokój, powiedz mi. Teraz naprawdę cię słucham.

Sylvia jeszcze przez minutę rozglądała się z nadąsaną miną, zupełnie jakby istniała szansa, że nie zdradzi mi swojego sekretu. Komu innemu mogła powiedzieć?

– Dobra, niech będzie – stwierdziła w końcu i na jej twarz powrócił ten szelmowski uśmiech. – Ian Greene – szepnęła. – Wczoraj wreszcie powiedziałam mu cześć i zgadnij, co się stało.

Sylvia miała większą obsesję na punkcie Iana Greene’a niż kiedykolwiek na punkcie jakiegokolwiek faceta. Jakiegokolwiek. A to wiele mówiło.

Obie zobaczyłyśmy go po raz pierwszy na tydzień przed rozpoczęciem zajęć. Leżałyśmy na moim łóżku z laptopem na kolanach i przeglądałyśmy nową „księgę spotkań” Grace Hall, która właśnie pojawiła się w sieci. Ian Greene był nowy. Z tymi doskonale niedoskonałymi włosami i ciemnymi, smutnymi oczami był seksowny, bez dwóch zdań. Nawet ja to widziałam. Do tego pod jego nazwiskiem napisane było Hampstead Heath, UK, co oznaczało, że będzie miał brytyjski akcent. No i samo Hampstead Heath też brzmiało wykwintnie. Nawet po szlachecku. Ian Greene równie dobrze mógł należeć do rodziny królewskiej.

– Nie bądź głupia – powiedziała Sylvia, kiedy to zasugerowałam. Była kilka razy w Anglii. – Hampstead Heath to taki londyński Brooklyn, tyle tylko, że wszyscy mieszkają tam w tych wartych miliony minirezydencjach. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem. – Nigdy nie wiadomo, może być na przykład hrabią czy kimś takim.

Jak się można było spodziewać, nie tylko Sylvia nakręciła się przyjazdem Iana Greene’a. Połowa dziewczyn z Grace Hall Upper School wzięła go na celownik jeszcze przed pierwszym dniem zajęć.

Kiedy zobaczyłam go na własne oczy, musiałam przyznać, że jest na kim zawiesić oko. Miał tę naturalną charyzmę złego chłopca i bystry, krzywy uśmiech sprawiający, że trudno było od niego oderwać wzrok. Grał na gitarze akustycznej i pisał muzykę. Prawdziwy talent miał jednak do fotografii, podobnie zresztą jak jego ojciec, którego zdjęcia wisały podobno w Muzeum Sztuki Nowoczesnej na Manhattanie. Rodzina Greene'ów sprowadziła się na Brooklyn, żeby matka Iana mogła objąć posadę głównego kustosa brooklyńskiego muzeum.

Ian nie tracił czasu i korzystał z zainteresowania dziewczyn. Z jakichś powodów jego nadzwyczaj bezpretensjonalne podejście do tego, że spał z każdą dziewczyną, która mu się nawinęła, sprawiało, że wydawał się bardziej ludzki.

– Nawet mnie nie zapytasz? – zdziwiła się Sylvia, zerkając w stronę schodów Grace Hall.

– O co nie zapytam? – Kompletnie straciłam wątek i nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Co się stało, kiedy powiedziałam Ianowi cześć! – prychnęła Sylvia, tupiąc nogą.

– Ano tak, pewnie. Co się stało?

Przez chwilę patrzyła na mnie, mrużąc oczy.

– Przyszedł do mnie do domu – wyrzuciła z siebie w końcu. – I... – Znów popatrzyła na schody.

Tłumek na chodniku się przerzedził, bo większość dzieciaków weszła do środka.

Jej oczy się rozszerzyły, zasłoniła usta ręką.

– I się pocałowaliśmy.

– Naprawdę? – spytałam, starając się, by zabrzmiało to tak, jakbym była podekscytowana.

W rzeczywistości byłam zirytowana. Nie wiedziałam nawet dlaczego. – Niesamowite!

Akurat to musiałam Sylvii przyznać. Często przesadzała, jednak nie tym razem. Ian Greene mógł przebierać w dziewczynach, a wybrał akurat Sylvie, przynajmniej na jedno popołudnie i jeden pocałunek. W sumie trudno się dziwić, że zwrócił na nią uwagę. Chłopaki uwielbiały Sylvie. Była ładna, miała krągłości dokładnie tam, gdzie trzeba... Takich dziewczyn niby w Grace Hall nie brakowało. Tylko że Sylvia miała coś jeszcze. Miała w sobie tę dzikość, dzięki której wydawała się zabawna, nieprzewidywalna i troszeczkę niebezpieczna. Oczywiście dokładnie ta dzikość w końcu zniechęcała do niej chłopaków. Bądź co bądź istnieje tylko cienka granica między dzikością a byciem kompletnym świrem.

Skoro naprawdę chodziła z Ianem, dlaczego tak mnie to rozdrażniło? O mój Boże, byłam zazdrosna? Chyba nie o to, że Sylvia pocałowała się z Ianem Greene'em. Bardziej zazdrościłam jej raczej tego, że chciała go pocałować i pocałowała. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ja chciałabym kogoś pocałować, a tym bardziej, że byłabym w stanie dopiąć swego.

– Wiem. Szaleństwo, no nie? – Sylvia szybko pokiwała głową i zagryzła wargę. Teraz wydawała się zdenerwowana. – Tyle tylko, że nie wiem, co zrobić, jak go zobaczę. Mam się zachowywać jak gdyby nigdy nic? Jeśli będę za miła, pomyśli, że jestem jakąś frajerką. Nie chcę też, żeby pomyślał, że jestem suką. – Na jej twarzy malowała się udręka. – Wiem, nie masz pojęcia o tych rzeczach, ale myślisz, że

powinnam do niego podejść?

– Hmm... nie sędzę, że powinnaś... no nie wiem... ganiać za nim – powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to pewnie. – Ale go nie ignoruj. Facet tego typu pomyśli, że to głupie.

– Kompletnie mi w niczym nie pomogłaś, Amelio. Ani trochę. Potrzebuję konkretów. – Podeszła do mnie, a ja się cofnęłam. Bałam się, że znowu szarpnie mnie za ramię. – Musisz mi powiedzieć dokładnie, co mam zrobić.

– Przede wszystkim oddychaj – powiedziałam.

O cokolwiek chodziło z tą dziwną zazdrością, znikła równie szybko, jak się pojawiła. Teraz w stu procentach chciałam pomóc Sylvii. Położyłam ręce na jej ramionach i trzymałam tak, aż wzięła głęboki oddech. I kolejny.

– Jest dobrze. Ian by cię nie pocałował, gdybyś mu się nie spodobała.

Sylvia spojrzała w dół, przestąpiła z nogi na nogę. Robiło się późno. Na chodniku stało tylko parę osób. Will trwał przy otwartych drzwiach szkoły, lecz w każdej chwili mógł je zamknąć. Kiedy to zrobi, będziemy oficjalnie spóźnione. Pewnie mogłabym się spóźniać przez sześć tygodni z rzędu, zanim w szkole zaczęliby się zastanawiać, czy coś z tym zrobić. Próbowалаm więc się tym nie przejmować. Mimo to strasznie się przejmowałam. Zwłaszcza że przyszłam o czasie.

– A co, jeśli to ja go pocałowałam? – spytała Sylvia. – To znaczy odprowadził mnie do domu, rozmawialiśmy o fotografii, potem usiedliśmy na werandzie i rozmawialiśmy o muzyce i oczywiście o modzie. Wtedy... po prostu ja... – Znow zasłoniła usta dłonią i popatrzyła na mnie tymi szalonymi, wytrzeszczonymi oczami. – O mój Boże. Chyba to zrobiłam. To ja go pocałowałam!

– Ale on też cię całował, tak?

– A co, jeśli nie? – Głos Sylvii stał się wysoki i piskliwy.

– Daj spokój, chybaś zauważyła, gdyby cię nie całował.

– Skąd możesz wiedzieć? – warknęła i spuściła wzrok. – Przepraszam, ale to prawda. W każdym razie może po prostu chciał być miły, dlatego mnie całował?

Naprawdę żałosne. Wiedziałam, że jedynym sposobem, by Sylvia wreszcie zostawiła mnie w spokoju, było dać jej to, czego naprawdę chciała – podbudować jej ego. W sumie właśnie tego zawsze oczekiwała od życia, tak ogólnie.

– Ian Greene wydaje mi się dość bystry. Na pewno widzi, jaka jesteś świetna. Co musisz zrobić? Nie zachowuj się przy nim jak wariatka. Nic więcej.

Wzięłam Sylvię pod ramię i pociągnęłam w stronę szkoły. Will patrzył w naszą stronę, mrużąc oczy. Pomachałam do niego z nadzieją, że zaczeka. Pochylił się do przodu, osłonił oczy ręką, pokręcił głową i zaczął mruzczyć coś pod nosem. Pociągnęłam Sylvię trochę mocniej.

– Przepraszam! Już idziemy! – zawołałam. – Ruszaj się, spóźnienie w niczym ci nie pomoże – pogoniłam Sylvię.

– Trzeba by było o wiele więcej niż jedno spóźnienie, żebyś nie dostała się na Harvard. – Sylvia

przewróciła oczami. – A poza tym czy to nie ty malowałaś twarz dzieciakom albo coś takiego na Święcie Plonów w ubiegły weekend? Coś tak czuję, że teraz możesz się spóźnić co najmniej przez tydzień.

– Pomagałam organizować imprezę, nic więcej – odparłam, choć faktycznie pomalowałam twarz jednemu dzieciakowi. Okazało się to wcale nie takie zabawne, jak z początku wyglądało. – A w ogóle, co za Harvard? Błeee, kto mówił coś o...

Wtedy zapisztczał mój telefon. Dostałam SMS. Próbowałam iść, grzebiąc w torbie. SMS był od Bena:

Zapomniałem ci powiedzieć. Myślę, że jesteś świetna. Dokładnie taka, jaka jesteś.

– Ale obleśne – stwierdziła Sylvia, zaglądając mi przez ramię. Patrzyła na mój telefon. – Naprawdę wciąż esemesujesz z tym popaprańcem?

Nigdy nie powinnam była mówić Sylvii o Benie. I właściwie nie powiedziałam. Dwa tygodnie temu, kiedy byłam w łazience, wzięła mój telefon – zupełnie bez pytania – i przeczytała SMS, który od niego dostałam.

– Oooo, widzę, że mamy tajemnice? – zapytała, włączając na moje łóżko z moim telefonem nad głową. – „Czuję, że nikt mnie nie rozumie tak jak ty”? Muszę ci powiedzieć, Amelio, że taki tekst mnie jakby osobiście obraża. Chyba że ten cały Ben cię bzyka. W takim wypadku brawa dla ciebie. Ale i tak jestem obrażona, że mi nie powiedziałaś.

Stałam w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersiach i mocno zaciskałam zęby. Wydawało mi się, że w każdej chwili mogą pęknąć. Nie chciałam wyjaśniać Sylvii całej sprawy z Benem. Widziałam, że ona tak to odbierze, że ja będę się czuła głupio. Wreszcie usiadła na łóżku.

– O Boże! Zrobiłaś to! Miałaś seks z tym gościem!

– Nie, Sylvio. Nie miałam. Przestań, naprawdę.

– O Boże, miałaś! Przecież widzę. Kto to jest? Jak wygląda? Nie mogę uwierzyć: moja mała dziewczynka dorosła i nic mi nie powiedziała. Zupełnie nic! – pokrzykiwała.

Choć robiła sporo hałasu, wydawało mi się, że tak naprawdę jest zadowolona.

– No dobra, będę skłonna ci przebaczyć, jeśli teraz mi powiesz. Wszystko. Na początek pokaż zdjęcie tego całego Bena. Chyba masz zdjęcie chłopaka, który cię rozdziewiczył, co? To ten gość z Packard, którego poznałaś na meczu hokeja na trawie, tak?

Przemaszerowałam przez pokój i wyrwałam jej z ręki telefon.

– Nie, to nie ten gość z Packard – syknęłam, wpychając komórkę do tylnej kieszeni. – I mnie nie rozdziewiczył. Tak w ogóle to chyba najbardziej obleśna rzecz, jaką w życiu powiedziałaś.

– Obleśna? – spytała Sylvia, unosząc splecione dłonie do piersi i trzepocząc rzęsami. – Utrata dziewictwa to coś pięknego. O moja mała dziewczynko!

– Przestań! – wrzasnęłam. – To, że jesteś zdzirą, nie znaczy, że wszyscy muszą być tacy.

Usłyszałam swoje słowa, chociaż właściwie nie mogłam uwierzyć, że je wypowiedziałam.

– Zdziară? – Sylvia spojrziała na mnie, jakbym uderzyła ją w twarz. – No ładnie. Dzięki, przyjaciółko.

Najgorsze, że mówiłam prawdę: Sylvia w siódmej klasie straciła dziewictwo i od tamtego czasu spała z dziewięcioma chłopakami. Przez większość czasu zachowywała się tak, jakby jej nie zależało na opinii. Ale ja wiedziałam lepiej, bo byłam jej najlepszą przyjaciółką. Może Sylvia mówiła mi ciągle wredne rzeczy, ale to nie znaczyło, że potrafiła znieść, jeśli odpłacałam jej tym samym.

– Wiesz, że nie chciałam tego powiedzieć – rzuciłam. – Po prostu... naprawdę nie chcę, żebyś się z tego nabijała.

– Nie nabijałam się – odparła Sylvia i z nadąsaną miną skrzyżowała ręce. – Natomiast nie mogę uwierzyć, że masz chłopaka i nie pisałaś ani słówka. Ja ci mówię o wszystkim.

– To tylko przyjaciel. Naprawdę. Nawet nie spotkałam go w realu.

Sylvia przewróciła oczami:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– On też się zgłosił na ten letni program w Princeton – odparłam, szykując się na reakcję Sylvii. – Piszemy do siebie maile, SMS-y i takie tam. Tyle.

– Tyle? – Sylvia rozdziawiła usta. – A piszesz maile do innych ludzi, którzy się zgłosili na tę imprezę dla kujonów?

– Nie. – Przewróciłam oczami. – Tylko Ben się ze mną skontaktował. Według mnie poprosił, żeby przysłali mu nazwiska osób z Nowego Jorku, które się zgłosiły do tego programu.

– Aha – powiedziała Sylvia ze złośliwym uśmiechem. – O co chcesz się założyć, że nie pisze SMS-ów ani maili do żadnego chłopaka z tej listy?

Najgorsze było to, że na początku miałam jakby nadzieję, że Ben i ja moglibyśmy ze sobą być. Nigdy dotąd nie potrafiłam rozmawiać z chłopakiem tak, jak rozmawiałam z Benem. Zaczęłam sobie myśleć: wow!, wreszcie to jest to. Mimo wszystko jestem normalna! Musiałam tylko poznać właściwego faceta.

Ben jakby dokładnie wiedział, co myślę, bo następnego dnia napisał mi, że jest gejem.

– Naprawdę przestań!

Zaczynałam być wkurzona. Że też ona niczego nie potrafi zostawić w spokoju.

Od razu tamtego dnia mogłam jej powiedzieć, że Ben jest gejem, i byłoby po sprawie. Niestety, spodobało mi się, że są takie rzeczy, których Sylvia o mnie nie wie.

– Hu, hu. I gdzie ten cały Ben chodzi do szkoły?

Zabrzmiało to tak, jakby mogła ewentualnie uznać Bena za nie najgorszy materiał na mojego przyjaciela, pod warunkiem że spełni on pewne kryteria. Na przykład chodzi do znośnej szkoły. Dla Sylvii Packer Trinity i St. Anne's były w porzo. Natomiast wszyscy, którzy chodzili do Collegiate albo Dalton, byli dupkami. Skąd ta opinia? Otóż Sylvia przespała się z więcej niż jednym chłopakiem z każdej z tych szkół, a oni puścili ją kantem.

– Chodzi do publicznej szkoły w Albany.

– Mieszka w Albany? – powiedziała Sylvia takim tonem, jakby się dowiedziała, że Ben ma

opryszczkę. – Żartujesz sobie? W tej dziurze? Nie mogę sobie wyobrazić, że zamierzasz mieć romans na odległość z jakimś ćwokiem z Albany.

– Powtarzam ci po raz ostatni, jesteśmy przyjaciółmi! – krzyknęłam. – Dlaczego nie mogę się z kimś po prostu przyjaźnić? Może wcale nie chcę mieć chłopaka!

Dopiero w chwili, gdy wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, jak bardzo są prawdziwe.

Dwa tygodnie później wciąż nie chciałam mieć chłopaka. Nie ma nic złego w tym, że piętnastoletnia dziewczyna nie chce mieć chłopaka. Tak jak powiedział Ben, ze mną wszystko jest w porządku. I to, że Sylvia ma fioła na punkcie chłopaków, wcale tego nie zmienia. To ona ma problem. Nie ja.

– Ben jest moim przyjacielem, Sylvio, powtarzam ci to chyba po raz setny – powiedziałam, zatrzymując się przed schodami Grace Hall, żeby odpisać na SMS. – I chyba po raz setny powtarzam, że jest gejem. Pamiętasz?

Bo oczywiście już jej powiedziałam. Za bardzo doprowadzała mnie do szału, żebym była w stanie to przemilczeć.

– Zamknę drzwi za trzydzieści sekund! – wrzasnął wtedy Will.

Mogłam się spóźnić, Sylvia miała rację. Jeśli teraz nie odpiszę Benowi, nie dam rady zrobić tego potem. Ja wstukiwałam wiadomość, Sylvia prychnęła i ruszyła do wejścia. Była zazdrosna. I teoretycznie miała dobry powód. Nie chodziło o to, że lubiłam Bena bardziej niż ją – ona pozostanie moją najlepszą przyjaciółką – ale czasami przyjaźnienie się z nim było o wiele łatwiejsze.

– Dla niego możesz się spóźnić, co? I ty uważasz, że dla mnie chłopacy są ważniejsi od ciebie? – Sylvia pokręciła głową, stając na najwyższym stopniu. – No to na razie! Może później znajdziesz czas dla mnie i mojego nudnego dramatu z Ianem. A tak w ogóle: nie ma mowy, żeby ten cały Ben był gejem. Nawet gdyby ci przysłał zdjęcie, jak robi to z facetem.

Sylvia wśliznęła się do środka dokładnie w chwili, gdy Will zamykał drzwi. Patrzyłam, jak się zatrząskują. Nie musiałam się spieszyć. Byłam oficjalnie spóźniona i w jakiś dziwny sposób to uczucie okazało się niemal wyzwalające.

AMELIA

Dzięki. Nie wiem co bym bez ciebie zrobiła

Wcisnęłam „wyślij” i czekałam. Komórka po chwili zapiszczała. Spojrzałam, żeby zobaczyć, co odpisał Ben. Ale SMS nie był od niego. Wysłano go z zastrzeżonego numeru.

Prospect Park Long Meadow, 15.00. Bądź tam. Ciągnie tylko swój do swego – przyjdź sama albo wcale.

Kate

5 WRZEŚNIA 1997

Zrobiłam w sumie osiem testów.

Mały plusik w okienku uparcie nie chciał zniknąć. Nie miało znaczenia, czy robiłam je późno w nocy, wcześniej rano, czy po trzech kieliszkach wina. Każdy test był pozytywny.

Dzisiaj lekarz z kampusu potwierdził testy moczu kolejnym testem moczu. Jakaś część mnie – ta absurdalna część dokonująca wszystkich wyborów, które doprowadziły mnie do tego punktu – myślała, że może numer dziewięć będzie szczęśliwy. Nie był. Lekarz z kampusu skierował mnie do ginekologa.

Ginekolog potwierdził „ciążę” za pomocą USG. Nie mówią „dziecko”, kiedy myślą, że może tego nie planowałaś i postanowisz zmienić sytuację.

Jestem mniej więcej w dziewiątym tygodniu. Nie potrafią powiedzieć na pewno i ja też nie.

Bo to nie był pojedynczy błąd. To było lato złych decyzji, które nastąpiło po życiu pełnym zbyt wielu słusznych. Najwyraźniej potrafię nawalić tylko w jeden sposób: na całej linii.

Jako mała dziewczynka sama z siebie ćwiczyłam grę na pianinie i zawsze próbowałam zrobić więcej, niż ode mnie oczekiwano. Wygłaszałam mowę na zakończenie nauki w swoim elitarnym prywatnym liceum w Chicago. Ukończyłam z wyróżnieniem Duke i poszłam do Columbia Law School. Jestem zastępcą redaktora „Columbia Law Review”, na litość boską.

Oczywiście to CV, nie człowiek. Człowiekiem jest to, co we mnie rośnie. I ten maleńki załączek jego albo jej nie dba o żadną z tych rzeczy. Po prostu chce, żebym go kochała.

I jak mogę go nie kochać, skoro to jedyna rzecz, której tak naprawdę kiedykolwiek pragnęłam? Mam dwadzieścia cztery lata i miłość jest dla mnie tą jedyną rzeczą, która nigdy mi się nie udała. Sukces w tej dziedzinie nie był nawet blisko.

Prawdopodobnie nie mogę obiecać, że będę we właściwy sposób kochać to dziecko. Ale mogę obiecać, że się postaram.

Kate

26 LISTOPADA

Było dopiero wpół do dziewiątej, gdy Kate wyszła z windy na piętrze, gdzie mieściło się jej biuro. Większość światel była pogaszona, panowała kompletna cisza. Pojedyncza lampa sufitowa rzucała światło na pustą recepcję i tworzyła dziwny krąg wokół ogromnego wazonu z liliami. To jakiś okropny dowcip, że pierwszego dnia po powrocie do pracy najpierw zobaczyła te kwiaty. Gretchen, próbując na pokaz choć raz być pomocną, wybrała właśnie lilie na pogrzeb Amelii. Piękne i gustowne. I okropne.

Patrząc na nie, Kate znów poczuła znajome pieczenie w głębi gardła. W ostatnich dniach zawsze następował po nim dziki bieg do toalety. Kate spędzała tam około dziesięciu minut skulona nad muszlą klozetową – i wymiotowała, a właściwie częściej miała tylko odruchy wymiotne. Te napady mdłości mogło wywołać niemal wszystko: widok ulubionych płatków Amelii w sklepie spożywczym, katalog sprzętu do hokeja na trawie przysłany pocztą, buty jakiejś nastolatki. Całkowite unikanie jedzenia wydawało się jedyną rzeczą, która pomagała. W ciągu miesiąca po śmierci Amelii Kate straciła siedem kilogramów. Zaczęła nosić workowate ubrania, żeby ukryć, jak koszmarnie jest chuda.

– Jak ci się udaje utrzymać taką formę, kochana? – zapytała ją parę dni temu jakaś miła staruszka w aptece Rite Aid.

To proste, miała ochotę odpowiedzieć Kate. Jestem trupem.

Zamiast tego zacisnęła usta tak mocno, że zaczęły jej łzawić oczy. Szybko zgarnęła swoje leki i wyszła. Leki, które przepisywał jej terapeuta i które, jak zapewniał, miały zwalczyć mdłości oraz bezsenność. W rzeczywistości nie pomagały. Czowała się po nich, jakby przebywała pod wodą. Wciąż je brała w nadziei, że może w końcu utonie.

Powrót do pracy był kiepskim pomysłem. Plan minimum zakładał, że Kate musi przejść przez hol do swojego gabinetu. Nie była jednak w stanie oderwać oczu od lilii. Zamarła przy windach i ucieszyła się z tego, że postanowiła przyjść wcześniej. Jeśli zwymiotuje na podłogę, będzie miała czas, żeby posprzątać. I może nie będzie musiała z nikim się spotkać. Taki był jej zamiar: przez cały dzień zostać u siebie i pocieszać się myślą, że są tu ludzie – żywi, oddychający ludzie – bezpiecznie trzymeni na dystans przez zamknięte drzwi.

Nie byłaby w stanie wymieniać jakichś uprzejmości. I co w ogóle mogliby jej powiedzieć? Przykro mi? Przykro mi, że twoja córka nie żyje? Przykro mi, że twoja córka skoczyła z dachu szkoły, kiedy jechałaś ją odebrać? Przykro mi, że się spóźniłaś? Jaka szkoda, że teraz będziesz wciąż na nowo przeżywać tę porażkę przez resztę swojego żałobnego życia?

Kate nie miała ochoty na rozmowy o niczym, na szczęście ludzie też starali się jej unikać. Nikt nie

szukał kontaktu z matką, której jedyne dziecko właśnie odebrało sobie życie. Kate mogła oszczędzić wszystkim tego dyskomfortu i zostać w domu o wiele dłużej.

– Weź sobie co najmniej trzy miesiące wolnego, potem jeszcze przez kilka popracuj w domu – powiedział jej Jeremy na pogrzebie.

Oczy miał wilgotne i zaczerwienione. Po raz pierwszy Kate zyskała pewność, że wszystkie te jego wrażliwe pozy, które obserwowała przez lata, nie były udawane. Nikt nie był aż tak dobrym aktorem. Vera, jego piękna żona o załamanych oczach, i trzech wysocy synowie stali obok niego, wpatrując się w swoje buty. Widok tej grupki, przystojnej, idealnie dopasowanej, kompletnej – niemal podciął jej kolana.

– Wiesz, Kate, jak wszyscy w firmie cię kochamy. Ale możemy utrzymać fortecę bez ciebie tyle, ile trzeba.

Vera podeszła, by ją objąć. Kate niemal się w nią wczepiła, ukrywając twarz w jej słodko pachnących włosach. To było zbyt wiele, to było nawet niestosowne, bo naprawdę słabo się znały. Ale wokół Very było tyle życia. Kate przerażała myśl, co się stanie, kiedy ją puści.

Trzy miesiące wolnego? Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Kate spędziła pierwsze dni po śmierci Amelii w otoczeniu trzech najbliższych przyjaciół z college’u. Pomogli jej przetrwać, pilnowali, żeby jadła, oddychała i brała kąpiel. Ale wszyscy mieli swoje rodziny, do których musieli wrócić wkrótce po pogrzebie. Nawet Seth – na studiach prawniczych chłopak Kate i teraz de facto jej najlepszy przyjaciel, który był dla niej taki kochany – w końcu zaczął się zjawiać coraz rzadziej. Kate na to nalegała. Te dni, gdy byli pseudomałżeństwem, dawno minęły. Seth miał teraz męża Thomasa i córkę, która go potrzebowała.

Matka i ojciec Kate też przyjechali. Strategicznie zjawili się trochę później, dopiero w przeddzień pogrzebu. Wygodnie odczekali, aż najgorsza rozpacz Kate przycichnie. Zawsze gardzili okazywaniem silnych emocji: złości, rozpacz, radości, miłości. U każdego, zwłaszcza u swojej jedynaczki. Kate wcześniej się nauczyła, że musi dusić w sobie uczucia. Jednak gdy zginęła Amelia, rodzice musieli podejrzewać, że tym razem nic nie będzie pod kontrolą, i mądrze odczekali kilka dni, nim przyjechali na Brooklyn. Ominął ich więc ten czas, kiedy Kate drapała sobie ramiona do krwi i łkała tak strasznie, że popękały jej naczynka na twarzy. Szybko też wyjechali – prawdopodobnie gdy dotarło do nich, że Kate w najbliższym czasie się nie pozbiera.

Rodzice pojechali, wszyscy przyjaciele powrócili do własnego bogatego życia. Kate została sama. Znowu. Przed Amelią zawsze była sama.

Przez dwa tygodnie siedziała w swojej tonącej w martwej ciszy kamienicy z brązowego piaskowca pogrążona w rozpacz i poczuciu winy. Czowała się tak, jakby skóra odpadała z niej pasmami niczym płyty celofanu. Patrzyła w sufit i szlochała, póki jej wewnątrz nie stało się wypaloną skorupą. Myślała o tym, że życie bez Amelii będzie niewytłumaczalną pustką. Tylko ona. Sama. Na zawsze.

Każdej nocy, gdy Kate udawało się zasnąć, śniła o tym, że spada – z dachu Grace Hall, z okna swojego gabinetu, ze szczytu schodów – i budziła się tuż przed uderzeniem o chodnik. Każdego ranka czuła wewnętrzny przymus, by wejść na najwyższe piętro kamienicy. Tam otwierała okno, wychylała się z dłońmi przyciśniętymi do framugi i patrzyła w dół. Zmuszanie się, żeby widzieć to, co widziała Amelia w ostatnich sekundach życia, i tak nie mogło być wystarczającą karą. Nic nigdy nie będzie wystarczającą karą.

Ponieważ to, że Amelia nie żyła, było oczywiście winą Kate. To, że odebrała sobie życie. Chronienie dziecka, nawet przed nim samym, było zadaniem matki. Kate zawiodła, całkowicie, kompletnie i strasznie.

Często zastanawiała się nad tym, czy też się nie zabić. Nad tym, jak to zrobić – miała wiele środków uspokajających; gdzie – we własnym łóżku; kiedy – od razu. Przekonanie, że musi zapłacić za to, jak strasznie zawiodła, żyjąc z poczuciem winy, było tak naprawdę jedynym powodem, dla którego tego nie zrobiła. Wróciła do pracy, ponieważ nie mogła dłużej znosić siedzenia w domu i czekania na powolny rozkład.

I oto stała w jednej z licznych recepcji wspaniałego Sloane, Thayer – cztery tygodnie, dwa dni i szesnaście godzin po tym, jak Amelia skoczyła z dachu Grace Hall. Zastanawiała się, jak kiedykolwiek mogło ją obchodzić, co się tutaj dzieje. Bo nie obchodziło jej to. Ani trochę. Nic jej już nie obchodziło.

Kate usłyszała za plecami dźwięk melodyjki oznajmiającej przybycie windy, więc chwiejnym krokiem ruszyła korytarzem w stronę swojego gabinetu. Chciała zniknąć, zanim ktokolwiek wyłoni się zza drzwi. Na rogu przyspieszyła kroku, gdy zobaczyła światła zapalające się w jednym z pomieszczeń. Powinna się spodziewać, że ktoś tu będzie bez względu na to, jak wcześniej się zjawiała. W miejscu takim jak Sloane, Thayer zawsze ktoś był.

– Cześć! – krzyknął ktoś w momencie, gdy miała otworzyć drzwi swojego gabinetu. Wzdrygnęła się i upuściła klucze. Akurat Daniel Moore! Wiedziała, że to on, nie musiała nawet podnosić wzroku. Ostatni człowiek, którego miała ochotę w tej chwili widzieć. Podbiegł i podał jej klucze, zanim zdążyła się po nie schylić.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Jestem tylko... Jestem zaskoczony, że cię tu widzę. Myślałem, że przez jakiś czas zamierzasz popracować w domu.

W jego głosie słychać było rozczarowanie, mimo że usiłował je ukryć. Kate nie była tym zaskoczona. Dla Daniela o jednego młodszego partnera mniej oznaczało pozbycie się rywala. W dodatku ich relacja bynajmniej nie była aż tak prosta. Odkąd poznali się w pierwszym tygodniu nauki w Columbia Law School, oscylowali między pełnym dystansu respektem, otwartą wrogością a czymś jeszcze – czymś znacznie bardziej poniżającym. Kate długi czas ciężko pracowała, żeby o tym zapomnieć. Choć to może dziwne, często jej się udawało. W tej chwili jednak zawisła nad nią ta brzydka historia z dawnych czasów.

– Dzień po dniu siedziałam sama w domu... Musiałam gdzieś wyjść – odparła, po raz pierwszy

patrząc Danielowi w oczy.

Krawat miał poluzowany, koszulę wymiętą. Jego policzki pokrywał nieogolony zarost, oczy wydawały się przekrwione, jakby nie spał całą noc. Danielowi było z tym jednak do twarzy. Idealnie przystrzyżone blond włosy i staranny, elegancki strój Kate zawsze uważała za jedno z jego najmniej atrakcyjnych cech. Ale nie najmniej atrakcyjne. Najmniej atrakcyjny w Danielu był jego kompletny brak współczucia.

– Wyglądasz, jakbyś siedział tu przez całą noc – dodała.

Popatrzył na swoje ubranie i uśmiechnął się, zakłopotany.

– Ta sprawa z Associated rozkręciła się na całego.

Starał się, żeby zdanie zabrzmiało tak, jakby mówił o czymś złym, tylko że błysk w jego oku zaprzeczał temu. Odkąd Kate i Daniel rozpoczęli karierę w Slone, Thayer jako stażyści przyjęci na lato, nieustannie deptali sobie po piętach. Piętnaście lat później oboje byli cenionymi prawnikami procesowymi. Jednak tylko Kate zaliczała się do uczniów Jeremy'ego i ta niesprawiedliwość zdawała się doprowadzać Daniela do szału, choć starannie to ukrywał. Zajmowanie się sprawą Associated pod jej nieobecność było dla niego ogromną szansą.

Kate widziała, że Daniela aż rozpieszcza pragnienie, by zapytała go, jak idzie z Associated. Nie dbała jednak o to, czy Komisja Papierów Wartościowych i Giełd zmusiła Victora Starke'a do sprawdzenia każdej możliwej luki. Jeremy zapewniał ją stanowczo, że na zwolnieniu nie musi się przejmować Victorem ani Associated Mutual Bank. I nie przejmowała się tym. Nawet teraz, po powrocie, za nic nie byłaby się w stanie do tego zmusić.

– Rozkręciła się na całego. – Kate usłyszała własny głos. Raczej twierdziła, niż pytała. Mimo wszystko nie miała ochoty dawać Danielowi satysfakcji i okazać choć pozorów zaciekawienia.

– W pozytywnym sensie – zapewnił skwapliwie Daniel. – Okazało się, że mimo wszystko udało nam się unieważnić to wezwanie. Komisja Papierów Wartościowych oczywiście się odwołała. – Wzruszył ramionami, jakby to było czymś oczywistym. – Uzasadnienie dostaniemy dzisiaj. Siedziałem pół nocy przy telefonie i informowałem Jeremy'ego. Znasz go; jest dość bystry, by przesiedzieć całą noc w domu, i kiedy się tu zjawia, wygląda całkiem nieźle. A właśnie, pewnie powinienem wziąć prysznic. Jeremy mówił, że będę mógł przedstawić część opinii prawnej. Nie chcę dawać mu żadnego powodu, żeby zostawił mnie pod drzwiami sądu.

– No tak. – Kate spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie. Chciała się uwolnić od Daniela, natychmiast. – Nie będę cię zatrzymywać. Pewnie powinnam wejść do gabinetu. Nie do końca nadaję się do pokazywania ludziom.

– Dobra – odparł Daniel, lekko mrużąc oczy, jakby się zastanawiał, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze. Najwyraźniej doszedł do wniosku, żeby tego nie robić. – Dobrze cię widzieć, Kate. Cieszę się, że wróciłaś. Nam... to znaczy firmie, brakowało ciebie. Daj mi znać, gdybym cokolwiek mógł dla ciebie zrobić.

Daniel strasznie się starał, Kate to zauważała. Chciał być miły i chciał dobrze – albo przynajmniej nie

bardzo źle – choć nie było na świecie nic takiego, co akurat on mógłby dla niej zrobić.

– Doceniam to, Danielu – odparła. – A teraz powinieneś już iść. Powodzenia.

– Dzięki – westchnął, wypuszczając powietrze z nadętych policzków. – Na pewno mi się przyda.

Zamknęła za sobą drzwi gabinetu i przez jakąś minutę stała po drugiej stronie, opierając się o ich wypolerowane drewno. W końcu zmusiła się, żeby przejść dalej. Rzuciła swoje rzeczy na biurko. Starła się nie wyglądać przez szerokie okno na poplątany miejski krajobraz. Znajdowała się na dwudziestym ósmym piętrze przy narożniku budynku, więc gdy się wychylała, widziała Czterdziestą Trzecią i Siódmą Aleję. Gdyby jednak spojrzała w dół z tej wysokości i wyobraziła sobie – bo na pewno by to zrobiła – co czuła Amelia podczas upadku, doprowadziłoby to tylko do nawrotu mdłości.

Jej komputer nie zdążył się uruchomić, gdy zadzwonił biurowy telefon. „University of Chicago”, pojawił się napis na wyświetlaczu, a dalej numer głównego kampusu. Teoretycznie mogło to być którekolwiek z jej rodziców. Po wielu latach znamienitych dokonań Gretchen Deal i Robert Baron byli profesorami, matka na wydziale medycyny, ojciec w szkole biznesu. Robert – bardziej odległy emocjonalnie, ale stosunkowo cieplejszy z nich dwojga – nigdy nie dzwonił. Telefon był o wiele zbyt intymną i osobistą formą kontaktu. Od czasu do czasu wysyłał córce maile. Prowadzili miłe rozmowy, kiedy widzieli się raz w roku na święta.

Kate wpatrywała się w telefon, zastanawiając się, czy nie pozwolić, by rozmówca nagrał się na pocztę głosową. Matka nie dawała jednak za wygraną. Jeśli było coś takiego, co chciała powiedzieć Kate, będzie na nią polować i zmusi ją, by tego wysłuchała aż do ostatniego wnikliwego słowa. W końcu Kate wciągnęła głęboko powietrze i podniosła słuchawkę.

– Kate Baron – powiedziała cicho, udając, że nie wie, kto jest po drugiej stronie, jakby mogło to sprawić, że rozmówca okaże się kimś innym.

– Jesteś tam! – zawołała radośnie Gretchen. – Miałam nadzieję, że ci się uda.

Gretchen była największą zwolenniczką tego, by Kate jak najszybciej wróciła do pracy. Najlepiej od razu. Dała jasno do zrozumienia, że według niej najlepsze dla Kate byłoby wyjście z domu i zajęcie myśli czymś innym. Kate dobrze znała swoją matkę. W rzeczywistości Gretchen bardziej martwiło to, że córka przegapi szansę na awans.

– Tak, jestem tu. – Kate wypuściła powietrze. – Udało mi się.

– Naprawdę myślę, że tak będzie najlepiej, Katherine – rzuciła Gretchen swoim zwykłym *staccato* w tempie karabinu maszynowego. Ten ton zawsze sprawiał, że Kate czuła się, jakby zaraz miała wybuchnąć bomba zegarowa. – Na pewno im tam ciebie brakowało. Zwłaszcza Jeremy’emu. Polega na tobie bardziej, niż myślisz.

– Ma dwa tuziny młodszych partnerów do pomocy. Polega na każdym z nas – odparła beznamiętnie Kate. Irytowało ją, że matka dzwoni do niej z tego powodu. Jeszcze bardziej irytowało ją, że jest zirytowana. Do tej pory powinna była się przyzwyczaić, że dla matki najważniejsza jest praca. Od

śmierci Amelii Gretchen dzwoniła co kilka dni. Każda rozmowa dowodziła, że kariera Kate interesowała ją o wiele bardziej niż jej rozpacz. – Jestem pewna, że świetnie sobie radził beze mnie.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła matka, przybierając ton „a nie mówiłam”. – W każdym razie sądzę, że robisz postępy. Ruszyłaś naprzód. Patrzysz na jasną stronę.

Kate poczuła, jak ściska jej się żołądek.

– Jasną stronę?

– Tak, Katherine. W całym tym strasznym bałaganie.

– Bałaganie? – Jakby pamięć o Amelii była czymś, co można zamieść i wrzucić do kosza na śmieci.

– Jesteś na mnie zła, że ci to mówię, ale ktoś musi.

Gretchen zawsze potrafiła przedstawić samą siebie jako bohaterkę i męczennicę równocześnie nawet w sytuacjach, które nie miały z nią nic wspólnego.

– Musi powiedzieć mi co? – Kate usłyszała własne słowa, choć wcale jej nie interesowało, co matka ma do powiedzenia.

– Amelia odeszła, Katherine, i to jest potworna tragedia – powiedziała energicznie Gretchen. – Ale takie są fakty. A ty, kiedy ostatni raz sprawdzałam, wciąż żyjesz i musisz o to życie dbać. Uważam, że łatwiej by ci było pójść naprzód, gdybyś skorzystała ze swojej nowo zdobytej wolności.

– Wolności? – Słowo zabrzmiało jakoś martwo.

– Daj spokój, moja droga. Nie udawaj głupiej. Ja też byłam pracującą matką, pamiętasz? Wiem, jaki to stres być ciągle rozdartą między pracą a domem. O taką właśnie wolność mi chodzi. Kto wie, może teraz będziesz miała nawet czas, żeby kogoś poznać? Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Mogłabyś zacząć od początku. Amelia pragnęłaby tego dla ciebie. Chciałaby, żebyś była szczęśliwa.

Kate słyszała bicie swojego serca, niemal dudnienie. Potrafiła sobie wyobrazić, że w jakimś mrocznym zakamarku duszy jej matka mogła postrzegać śmierć Amelii jako szansę na to, żeby ona, Kate, wyprostowała swoje życie. Ale powiedzenie czegoś takiego na głos było potworne, nawet jeżeli wzięło się pod uwagę, kto to powiedział. Kate mocno ścisnęła słuchawkę. Miała wrażenie, że plastik lada moment może pęknąć.

– Mamo?

– Tak, kochanie? – W głosie Gretchen brzmiało takie zadowolenie z siebie, jakby podzielenie się z Kate tym brutalnym wglądem było wspaniałym aktem altruistycznej dobroci. – Och, poczekaj chwilę. – W tle rozległy się jakieś głosy. – Lee właśnie do mnie zajrzał. Na drugiej linii czeka na mnie reporter „Timesa”. Najwyraźniej zgodziłam się na jakiś wywiad. Nie pamiętam nawet o czym. – Roześmiała się pogodnie. – Co chciałaś mi powiedzieć?

– Pierdol się, mamo – powiedziała spokojnie Kate. – To ci chciałam powiedzieć: pierdol się.

Delikatnie odłożyła słuchawkę i wpatrywała się w aparat. Spodziewała się, że matka zaraz zadzwoni. Tak się nie stało. Nic się nie stało. To było wyzwalające, choć jednocześnie żenujące – musiało minąć aż tyle czasu, by się postawiła, by powiedziała matce to, co tak naprawdę chciała jej powiedzieć. Skończyła

z uszczęśliwianiem ludzi, z dobrym zachowaniem i uprzejmością. Przestała być grzeczną dziewczynką.

Wypuściła powietrze, opuściła ramiona. Komputer wreszcie się uruchomił i Kate weszła do swojego służbowego maila. Sprawdziała pocztę z domu poprzedniego wieczoru. Pojawiła się tylko garstka nowych wiadomości, o wiele mniej niż w czasach przed śmiercią Amelii. Teraz jednak, gdy Kate wróciła do biura, ludzie zapewne potraktują to jako sygnał, by przestać traktować ją ulgowo. Jakaś część jej czekała na to, by porwał ją wir pracy, choć ta praca nic już dla niej nie znaczyła... Nagle odezwał się sygnał informujący o przyjściu SMS-a.

– No to się zaczyna – mruknęła, grzebiąc w torebce.

Gretchen nigdy nie pogodzi się z tym, że ktoś kazał jej się odpierdolić.

W końcu Kate poczuła telefon pod palcami, wyjęła go i spojrzała na wiadomość na wyświetlaczu.

Amelia nie skoczyła.

Zacisnęła powieki. Nie, w tej wiadomości wcale nie było tego, co jej się wydawało. To niemożliwe. Zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Po chwili otworzyła oczy. Znów spojrzała na wyświetlacz. Wiadomość nie uległa zmianie. „Amelia nie skoczyła”. Przeczytała to jeszcze trzy razy. Słowa wciąż były takie same. Serce Kate biło ciężko, gdy delikatnie odłożyła telefon na blat biurka. Powoli odsunęła się razem z krzesłem, by móc patrzeć na telefon z bezpiecznej odległości.

Proszę, to było jedyne, co była w stanie pomyśleć. Proszę, nie rób mi tego. Proszę, nie dręcz mnie.

Dlaczego ktoś miałby robić jej takie chore żarty? I kto? Była zbyt wstrząśnięta, by sprawdzić, kto wysłał wiadomość. Pochylała się właśnie nad biurkiem, by sprawdzić nadawcę, gdy drzwi nagle się otworzyły. Kate wyprostowała się jak struna.

– Co się stało? – spytała Beatrice, sekretarka Kate. Wpatrywała się w nią, jakby Kate postradała rozum. – Właśnie miałam wezwać ochronę, bo zobaczyłam, że pali się u ciebie światło. Co ty tutaj robisz?

– Beatrice, wystraszyłaś mnie – wysapała Kate, przyciskając rękę do piersi.

– Przecież widzę. – Beatrice zmierzyła ją wzrokiem pełnym dezaprobaty. Beatrice, matka sześciorga dzieci, traktowała Kate i drugiego prawnika, którego obsługiwała, jakby byli jej siódmym i ósmym dzieckiem. – Ustalałyśmy, że jeszcze co najmniej przez sześć tygodni będziesz pracować z domu, prawda? Chyba Jeremy nie wcisnął ci jakiegoś kitu w stylu: „Proszę, jesteś taka zdolna, jesteś jedyna na świecie”? Bo jeśli to zrobił, przysięgam, że...

– Jeremy mnie nie wzywał. – Kate pokręciła głową. – Musiałam się wyrwać z domu.

– I przyszłaś tutaj? – spytała Beatrice. – Do pracy?

– Nie miałam dokąd pójść.

Kate zerknęła na komórkę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć Beatrice o SMS-ie, ale uznała, że to by było pochochne; wciąż miała nadzieję, że tylko jej się wydawało.

– Najlepiej zamknij drzwi na klucz – poradziła Beatrice. – W przeciwnym razie te sępy oskubią

twojego trupa jeszcze przed lunchem.

Twarz Beatrice stężała, jakby żałowała, że wymknęło jej się to nawiązanie do śmierci. Kate chciała powiedzieć, żeby się nie przejmowała, że wszystko w porządku. Ale nie była w stanie myśleć o niczym innym prócz tego SMS-a.

Amelia nie skoczyła.

Było to szczególnie okrutne, jeżeli weźmie się pod uwagę, ile czasu zajęło Kate pogodzenie się z tym, że Amelia odebrała sobie życie. Pomysł, że jej córkę przyłapano na ściąganiu – i to na egzaminie z angielskiego – był wyjątkowo absurdalny. Według detektywa Moliny wstępne dowody wskazywały na to, że Amelia popełniła samobójstwo. I Kate nie pomyślała, że mogło być inaczej. Przynajmniej z początku.

Był potrzebny ktoś, na kogo można by zrzucić winę. Szkoła nieźle się do tego nadawała: zepsuty zamek w drzwiach prowadzących na dach, niedostateczny nadzór, oczywisty brak zabezpieczeń. Kate zastanawiała się, czy Amelia nie została zepchnięta, ale szybko uznała, że to bzdura. To, że ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Amelię, zdawało jej się równie niewiarygodne jak to, że jej córka mogłaby chcieć skrzywdzić samą siebie.

Detektyw Molina przeprowadził śledztwo: przeszukał pokój Amelii, porozmawiał z jej nauczycielami i przyjaciółmi, sprawdził komputer i telefon. Szukał śladów czegoś, co mogłoby doprowadzić do upadku, jakiegoś zagłębienia w powierzchni dachu, czegoś, o co Amelia mogłaby się potknąć. Szukał też śladów szamotaniny. Nie znalazł jednak niczego oprócz słowa „przepraszam” napisanego na ścianie nadbudówki. Tydzień później Molina zadzwonił i poinformował Kate, że lekarz sądowy oficjalnie potwierdził wstępne orzeczenie – Amelia odebrała sobie życie.

Wszystko to zajęło dziewięć dni. Dziewięć dni, podczas których powiedziano jej, że córka, która była jej najlepszą przyjaciółką, córka, którą się opiekowała, którą kochała i z którą się śmiała, była kimś tak naprawdę w ogóle jej nieznanym. Była przepełniona tak bezgranicznym smutkiem, że kosztowało ją to życie. A Kate przeoczyła wszystkie sygnały.

Mieli na to zręczne wyjaśnienie: samobójstwo pod wpływem impulsu. Zdarza się ono częściej, niż się ludziom wydaje, tak przynajmniej twierdziła doktor Lipton, psycholog szkolna z Grace Hall. Podobno było na porządku dziennym, że ludzie postanawiali się zabić i robili to w ciągu kilku godzin. Żadnego rozdawania ulubionych rzeczy, żadnego listu pożegnalnego, jak w czasach młodości Kate. Według doktor Lipton tym, co doprowadziło do samobójstwa, mogło być przyłapanie Amelii na ściąganiu. Zwłaszcza jeśli i tak czuła się przytłoczona emocjonalnie jakimiś problemami z przyjaciółką, zerwaniem z chłopakiem lub kłopotami w domu. Zwyczajny stres związany z byciem nastolatką mógł stworzyć podatny grunt.

Argumenty Kate, że mogło być inaczej, sprawiały jedynie, że czuła się jeszcze bardziej odpowiedzialna za to, co się stało.

– Na pewno powinnaś tu być? – spytała Beatrice. Teraz w jej głosie jeszcze wyraźniej słychać było troskę. Pewnie dlatego, że Kate siedziała bez ruchu, patrząc na podłogę. – Naprawdę nie wyglądasz dobrze.

Zanim padła jakakolwiek odpowiedź, rozległo się pukanie. Na progu pojawił się Jeremy w eleganckim granatowym garniturze w prążki i krawacie dopasowanym do niebieskich oczu. Kate nie widziała go od pogrzebu. Kilka razy rozmawiali przez telefon i dostała od niego kilka maili – krótkich, ale nienagannie miłych – z zapytaniem o samopoczucie.

– Cześć – powiedział cicho, stojąc za Beatrice.

– Cześć – odparła Kate, usiłując wziąć się w garść.

– Wróciłaś.

– Wróciłam.

Ostrożnie badali się wzrokiem. Kate czuła, że Beatrice patrzy to na Jeremy’ego, to na nią. Wiedziała, że brwi Beatrice się uniosły, nie musiała nawet tego sprawdzać. Ludzie ciągle gadali o Jeremym, o wszystkim, co robił, i o każdym, z kim to robił. Zawsze tak było. Dopatrywali się wielu rzeczy w zbyt wielu kolacjach za zamkniętymi drzwiami, w przydzielaniu niektórym współpracownikom zbyt wielu spraw. Część z tego mogła być prawdą – część z pewnością była prawdą – ale większość na pewno nie.

Komórka Kate znów zaczęła wibrować, robiąc sporo hałasu. Druga wiadomość. Kate głośno wciągnęła powietrze i pochyliła się ostrożnie, by na nią spojrzeć.

Amelia nie skoczyła. Ty to wiesz i ja to wiem.

Kate przycisnęła dłoń do ust. Próbowwała się nie rozpłakać.

– Rany, co się dzieje? – spytał Jeremy, wchodząc do gabinetu.

Podszedł prosto do jej biurka i wziął do ręki telefon. Przeczytał SMS i zmarszczył brwi.

– Kto to wysłał?

Dostawanie tych wiadomości samo w sobie było okropne. Ale tego, że Jeremy tu stał i patrzył na Kate, jakby była jakimś okaleczonym zwierzęciem, nie dawało się wytrzymać.

– Nie mam pojęcia – odparła Kate, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. – Parę minut temu dostałam pierwszą. Chyba kogoś to bawi.

– Bawi? To przecież nie ma sensu – zauważył sceptycznie Jeremy. – Chyba nie przypuszczasz, że coś w tym może być, prawda?

– Że coś w tym może być? Nie, nie sędzę. Policja... – Kate potrząsnęła głową. Mimo wysiłków z oczu popłynęły jej łzy. Żeby Beatrice i Jeremy tego nie zauważyli, wbiła wzrok w biurko. Nawet nie przyszło jej do głowy, że wiadomości mogły mówić prawdę. To było najgorsze. Z góry założyła, że ktoś ją dręczy. – Ale chyba... Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Cóż, numer jest zastrzeżony – zauważył Jeremy, znów spoglądając na wyświetlacz. – Powinniśmy przynajmniej sprawdzić, kto to wysłał. – Odwrócił się i podał telefon Beatrice. – Mogłabyś zanieść

komórkę Kate do Duncana z działu informatycznego? Na pewno pomoże nam dotrzeć do numeru nadawcy.

– Dobry pomysł – stwierdziła Beatrice i ruszyła do drzwi. – Zastrzeżony numer, a niech mnie!

Jeremy chwilę za nią spoglądał, potem przeniósł wzrok na jakiś punkt na podłodze. Kate wyczuła, że szukał taktownego sposobu, by wyjść.

– Dzięki. Nie chcę cię zatrzymywać ani absorbować tym wszystkim. To na pewno nic takiego. Poza tym pewnie spieszysz się do sądu – podsunęła mu pretekst. – Daniel wspominał, że wezwanie zostało uchylone. Victor musi być zadowolony.

– Victor zadowolony? Chyba aż tak bym tego nie nazwał – odparł w końcu Jeremy, patrząc jej w oczy. W porannym słońcu wpadającym przez okna za jej plecami błękit jego oczu przybrał smutny, wodnisty odcień. – Między nami, zgadzam się z tobą, że wniosek o uchylenie wezwania był bez sensu. Udzieliłaś klientowi sensownej porady. Myślę, że ciągnięcie tego może nas narazić nawet na sankcje. Ale Daniel... – Jeremy pokręcił głową i zacisnął zęby. – Wiesz przecież, jaki jest: jak ujadający piesek. Wymęczył ode mnie zgodę. Powiedziałem mu jednak, że ewentualne sankcje będzie musiał pokryć z własnej kieszeni. Chyba tak naprawdę w końcu się zgodziłem, bo nie mogłem się tego doczekać. No i w tym samym tygodniu przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Byłem zbyt wykończony, by się upierać.

Jeremy nie lubił Daniela od czasu, kiedy ten razem z Kate był letnim stażystą i brzęczał mu nad uchem niczym natrętna mucha. Nie tolerował u podwładnych aroganckiej ambicji, pewnie dlatego, że sam świetnie umiał kamuflować własną. Wydawało się, że istnieje jakiś inny powód, dla którego Jeremy gardzi Danielem. Kate nie pozwalała sobie na to, by zbyt głęboko się nad tym zastanawiać. Bądź co bądź, mogło jej się przecież tylko wydawać. Tak czy inaczej, w najbliższym czasie Daniel na pewno nie zniknie z firmy. Bez względu na opinię Jeremy'ego Daniel był świetnym prawnikiem, jednym z najlepszych, jakich mieli. Jeremy zaś bardziej lubił wygrywać, niż nie lubił Daniela.

– Wydaje mi się, że poszło całkiem dobrze – stwierdziła Kate.

– To, że poszło nie najgorzej, nie znaczy, że próba uchylenia tego wezwania była mądrym posunięciem. Szczęście to nie to samo co mądra porada. Dziś przegramy apelację, bez dwóch zdań. Jak myślisz, dlaczego wyznaczyłem akurat Daniela, żeby przedstawił drugą część opinii prawnej? – Jeremy się uśmiechnął, wyraźnie zadowolony z siebie. Po chwili znów spoważniał. – Słuchaj, może nie powinienem pytać... Właściwie na pewno nie powinienem, ale po tym SMS-ie i w ogóle... Jesteś pewna, że Amelia popełniła samobójstwo? Wiem o tym liście, który rzekomo napisała na ścianie obok miejsca, z którego spadła. Ale to było przecież tylko jedno słowo, prawda?

– Tak: „przepraszam”. Tylko tyle. Powtarzałam policji, że Amelia bardzo poważnie traktowała słowa. Że jeśli zostawiłaby list pożegnalny, to byłby bardziej opisowy. – Kate wzruszyła ramionami, pokręciła głową. – Może po prostu oszukuję samą siebie? Policja w każdym razie tak uznała.

– Potwierdzili, że to jej charakter pisma? – spytał Jeremy.

Kate zamrugnęła oczami. Takie proste, proste pytanie. Czemu nie pomyślała o przeprowadzeniu analizy charakteru pisma? Była taka przytłoczona, wytrącona z równowagi, bezbronna. Sama. I za każdym razem,

gdy zadawała o jedno pytanie za dużo, detektyw Molina zachowywał się tak, jakby coś z nią było nie w porządku. Bycie matką dziecka, które popełniło samobójstwo, samo w sobie jest okropne. Bycie uważaną za matkę, która próbuje zaprzeczać faktom, jest nie do zniesienia.

– Boże, jestem taka głupia – szepnęła Kate. – Kiedy powiedzieli, że to pismo Amelii, nawet nie zaprotestowałam. Masz rację. Sama powinnam zlecić analizę.

– Poważne traktowanie tego, co mówi policja, jest nie głupie, tylko rozsądne – odparł Jeremy ze swoją zwykłą swobodą. – Po tym SMS-ie może pora przyjrzeć się dokładniej... temu wszystkiemu.

– Przez cały ten czas bałam się kwestionować wiele rzeczy. Chyba bałam się tego, co mogłabym odkryć. Sama nie wiem.

– Amelia była dobrym dzieckiem – powiedział Jeremy. – A ty byłaś dobrą matką. Nic, co odkryjesz, tego nie zmieni.

Kate uśmiechnęła się smutno, łzy znów napłynęły jej do oczu. Jeremy zawsze potrafił powiedzieć to, co trzeba, każdemu – o wszystkim. Po prostu nie potrafił się powstrzymać.

– Słuchaj, znam komendanta policji. Znam to może trochę za dużo powiedziane, ale obaj jesteśmy w zarządzie Boys and Girls Club. Zadzwońię w kilka miejsc i może uda mi się skłonić odpowiednie osoby, by zleciły analizę charakteru pisma. Od tego zaczniemy i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Kate kiwnęła głową. Trochę się martwiła, że pozwala, by Jeremy to robił. Że pozwala mu się za bardzo angażować. W głębi duszy rozpaczliwie pragnęła, by to dla niej zrobił.

– Byłoby wspaniale. Dziękuję – odparła, czując się tak, jakby kogoś zdradzała. Nie była pewna kogo. – To... Jestem... Dziękuję ci.

Jeremy odwrócił się w drzwiach.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się smutno. – Chociaż tyle mogę zrobić.

Amelia

14 WRZEŚNIA, 12.16

AMELIA

powinnam iść?

BEN

dokąd iść?

AMELIA

na to cos w parku, no wiesz, ciagnie swoj do swego

BEN

no nie wiem, sama? jak dla mnie to jakas pulapka

AMELIA

ale jestem ciekawa

BEN

kotek tez był

AMELIA

racja

BEN

w twojej szkole jest pelno czubow

AMELIA

teraz to napedziles mi stracha

BEN

to dobrze. Dobrze jest się bać

AMELIA

super. Dziękuję.

BEN

niech Sylvia z toba idzie

AMELIA

nie zaprosili jej

BEN

o rany

AMELIA

no. o rany

BEN

będzie wsciekła

AMELIA

no

BEN

uch. uważaj na siebie

AMELIA

będę uważac... Kocham cie!

BEN

ja cie tez; napisz potem. nara

Facebook

14 WRZEŚNIA

Amelia Baron

flirtuje z katastrofą

Carter Rose ale sexy!

Sylvia Golde flirtuje? Sorry, gadasz jakieś pierdoły.

Carter Rose całujesz mamusię tą buzią?

Syliva Golde s...dalaj, Carter!

Amelia

14 WRZEŚNIA

Gdy wyrzałam z tej ścieżki, która kończy się przy Picnic House w Prospect Park, zobaczyłam, że stoją całą paczką przy kępie drzew. Przynajmniej domyślałam się, że to one. Chyba byłam zaskoczona, że tam są. Właściwie byłam przekonana, że tylko się namęczę, żeby nakłamać Sylvii, dokąd idę. A zawlokę tyłek aż do parku tylko po to, by przekonać się, że nikogo tam nie ma. Że to będzie jeden wielki dowcip. Ale były tam. Wyglądało na to, że same dziewczyny. Stały pod starymi powyginanymi drzewami i czekały.

Sroki. To musiały być one.

Reaktywowali cztery stare kluby: Sroki były tylko dla dziewczyn, Wolf's Gate – tylko dla chłopaków, Devonkill i Tudors – koedukacyjne. Wszyscy dostali kompletnego świra na punkcie utrzymywania w tajemnicy, kto jest w tych klubach i co tam robią. Mimo to ludzie gadali na korytarzach, na Facebooku, na gRaCeFULLY też. Krążyły plotki, że Sroki urządzały konkursy, kto najwięcej razy zrobi laskę, a chłopaki z Wolf's Gate włamały się do szkoły i ukradły iPady. Ludzie uważali jednak na to, co mówią. Nikt nie chciał się wypowiadać o kiepskich stronach tych klubów. Plotkowano też o tym, co się przytrafiło takim, którzy się wygadali.

Jakaś połowa z tego była prawdą. I tak dużo. Zapewne kluby najczęściej organizowały to, czego od nich oczekiwano: spotkania, imprezy i seks. Poza tym decydowały o tym, kto może być członkiem, a kto nie. Tego dotyczyła większość aktywności. Wolf's Gate i Sroki to szkolna wersja futbolistów i cheerleaderek – dla najfajniejszych dzieciaków. Ci z Devonkill i z Tudors byli fajni inaczej.

Nie czekałam na zaproszenie do jednego z tych klubów. Właściwie ludzie, którzy do nich należeli, byli według mnie jak owce, przynajmniej większość z nich. Sylvia i ja zawarłyśmy pakt, że nie dołączymy do żadnego, chyba że obie zmienimy zdanie. A i to pod warunkiem, że obie zostaniemy zaproszone, ponieważ żadna z nas nie chciała być w klubie, który nie chciałby nas obu. Fakt, że jestem zaciekawiona i że idę na spotkanie, niczego nie zmieniał.

Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że jakiś klub będzie chciał mnie zaprosić – o ile chodziło o zaproszenie. A już na pewno, że zaproszą mnie Sroki. To kolejny powód, dla którego nie czułam się tak źle z tym, że idę sprawdzić, o co chodzi. Wciąż byłam przekonana, że robią mi jakiś popieprzony kawał. Ale musiałam się dowiedzieć. Nie zależało mi, żeby być *cool*, chociaż z drugiej strony nigdy dotąd nie miałam szansy być *cool*. Poza tym z przyjemnością myślałam, że wybrały mnie z powodu, który nie ma nic wspólnego z tym, jak jestem bystra albo jak szybko biegam. Jeśli Sroki mnie chciały, to tylko dlatego, że jestem sobą.

Poza tym Sylvia też nie ciągnęła mnie ze sobą za każdym razem, gdy umawiała się z nowym

chłopakiem. Nie miałam do niej o to pretensji. Może tym razem nie będę musiała siedzieć sama i nic nie robić, dopóki kolejny nie puści jej kantem? Bo Sylwię zawsze rzucali. A ja zawsze byłam przy niej i pomagałam jej się pozbierać.

Zmrużyłam oczy w intensywnym słońcu, skręcając przy Picnic House, i wepchnęłam ręce głęboko do kieszeni. Trzęsły się. Nie wiedziałam dlaczego. Nie byłam przecież aż tak zdenerwowana ani nic w tym stylu.

Podeszłam bliżej i zobaczyłam jakieś dwadzieścia dziewczyn. Samych dziewczyn, tak jak myślałam. Jedne opierały się o drzewa, inne kucaly w cieniu. Wciąż były zbyt daleko, bym mogła rozpoznać twarze, ale dostrzegłam, że jedna pokazuje w moją stronę. Kilka odwróciło się, żeby spojrzeć. Któraś uniosła rękę. To było nie tyle machanie, ile coś w rodzaju sygnału.

Zdecydowanie na mnie czekały. Sroki: piękne, wredne ptaki znane z tego, że wydziobują ludziom oczy.

Starałam się nie przyspieszyć kroku. Nie chciałam sprawiać wrażenia, że pędzę zrobić to, czego ode mnie chciały. Nie, byłam *cool* i na luzie, i w ogóle się tym wszystkim nie stresowałam. Bo pozwolić Srokom pogrywać ze mną to jedno, a rzucać się im w ramiona, by dać im taką możliwość, to co innego.

Byłam mniej więcej w połowie drogi, kiedy zobaczyłam dwie dziewczyny nadchodzące z przeciwnej strony. Poczułam ulgę – i trochę zawód – że ten cały bajzel nie był tylko dla mnie. Ulgę, bo jeśli to miał być kawał, Sroki nie zrobią go tylko mnie.

Byłam prawie na miejscu. Słońce świeciło tak ostro, że nie byłam w stanie rozpoznać wszystkich pięciu dziewczyn stojących pod drzewami. Co do jednej nie miałam wątpliwości dzięki grzywie długich rudych loków. W szkole pełnej ludzi, którzy nie chcieli się rzucać w oczy, to była dzika, wyróżniająca się fryzura. Należała do Dylan Crosby – pięknej, popularnej uczennicy z przedostatniej klasy. Dylan była tym typem dziewczyny, po której można oczekiwać, że jest Sroką. Była tak szalenie *cool*, że znajdowała się jakby o poziom wyżej od tych, którzy byli *cool*. Grała główne role w niemal każdym przedstawieniu w Grace Hall, jakie potrafiłam sobie przypomnieć. Dylan wydawała się nie dbać o to, co myślą inni. Oczywiście to sprawiało, że każda chciała być jej bliską przyjaciółką. Ja i Sylvia również nie przejmowałyśmy się opinią innych. Tylko że kiedy my robiłyśmy coś innego niż reszta, nikt nie próbował nas naśladować.

Dylan nigdy nie miała chłopaka w Grace Hall – była po prostu za ładna. Połowa ludzi w szkole myślała, że Dylan jest oziębła; druga połowa uważała, że musi mieć jakiegoś chłopaka, kogoś starszego, może nawet żonatego. Albo sławnego. I utrzymuje to w tajemnicy. Przez jakiś czas na gRaCeFULLY pojawił się nawet wątek „Co tam u Dylan?”. Wszyscy wstrzymywali oddech, czekając, komu ona wreszcie postanowi dać zielone światło. Wątek zniknął, bo nie udało się wygrzebać żadnych brudów na jej temat. Przez jakiś czas krążyły nawet plotki, że Dylan wciąż jest dziewicą, co mnie osobiście podbudowało. Potem ludzie chyba uznali, że to zbyt głupie, nawet jako temat do żartów.

Wreszcie dotarłam w cień drzewa i rozpoznałam twarze czterech pozostałych dziewczyn: Zadie, Bethany, Rachel i Heather. Wyglądały tak, jakby tu rządziły. To miało sens. Ta czwórka to były

najpopularniejsze dziewczyny z ostatniej klasy. Dylan chodziła do przedostatniej klasy. Dostała się do klubu pewnie dlatego, że była najlepszą przyjaciółką Zadie. Tworzyły parę niemal tak dziwaczną jak Sylvia i ja. Cała piątka uchodziła za nierozłączną, choć nie sprawiały wrażenia, że za sobą przepadają. Z nimi chcieli się przespać wszyscy chłopcy z Grace Hall. Wszystkie dziewczyny je naśladowały.

Znałam Heather i Rachel z drużyny hokeja na trawie. Były współkapitanami. Heather to typowa dziewczynka z dobrego domu. Wyglądała, jakby zeszła z pokładu „Mayflower”, jej rodzice mieli pieniądze porównywalne z pieniędzmi Rockefellerów. Spędzała lato na Nantucket, ferie zimowe na pokazach koni w West Palm Beach. Dziwne, że mieszkała na Brooklynie, nie na Upper East Side. Rachel pochodziła z Paryża i klęła po francusku, co sprawiało, że uchodziła za jeszcze bardziej *cool*. Obie miały gęste, proste blond włosy – Heather do ramion, Rachel o wiele dłuższe – i mogłyby uchodzić za bliźniaczki. Naprawdę wrednie traktowały zawodniczki z drużyny hokejowej. Mnie do tej pory najczęściej dawały spokój. Na pewno pomagało mi to, że nawet w pierwszej klasie byłam zawodniczką dwa razy lepszą, niż one kiedykolwiek mogłyby być.

Nie znałam blisko Bethany, ale wiedziałam, że w grupie gra rolę tej, która wszystko potrafi obrócić w żart. Starła się, żeby wszyscy w szkole o tym wiedzieli. Choć nieco przy kości, miała jaja i ciągle ją zawieszali za wielkie szkolne numery. Miała też wredne poczucie humoru. Cały czas ktoś przez nią płakał. Pewnie dzięki temu dostała się do Srok: za bardzo się jej bały, by jej nie przyjąć. Krążyły plotki, że chętnie prześpi się z każdym i zawsze. W Grace Hall pełnym wychudzonych szkieletów to rekompensowało jej nadwagę.

Zadie znali wszyscy: najlepsza przyjaciółka Dylan i najbardziej pokrecona dziewczyna z Grace Hall. Błada, żylasta, z kolczykiem w nosie i ostrzyżonymi krótko czarnymi włosami. Po jednej stronie przecinało je szerokie białe pasmo, prawie jak u skunksa. Nie ja jedyna zastanawiałam się, czy Zadie zrobiła je sobie celowo. I nie ja jedyna za bardzo się bałam, żeby ją zapytać. Nastroszona grzywka przysłaniała jej błękitne oczy. Zadie zawsze ubierała się w obcisłe dżinsy i pomiętą wojskową kurtkę, która wyglądała na drogą. Spod jej rękawa wystawał niewielki tatuaż: „Caveat emptor”. Krążyły plotki, że jej rodzice byli kompletnie wyluzowani – miała siedemnaście lat i pozwolili jej na ten tatuaż. Podobno pozwalali jej nawet pić w domu alkohol i czasami chodzili z nią do klubów w centrum. Zaskoczyła mnie i nieco zdołowała obecność Zadie. Myślałam raczej, że jakiś głupawy szkolny klub jest poniżej jej poziomu.

Przystanąłam i wreszcie rozpoznałam twarze dwóch dziewczyn nadchodzących z przeciwnej strony: Tempest Bain i Charlie Kugler. Też chodziły do drugiej klasy i wydawały się równie podenerwowane jak ja. Żadna z nich nie cieszyła się szczególną popularnością. Tempest, nową w szkole, smukłą i sprężystą jak trzcina tancerkę baletową, wyróżniały fioletowe pasemka w kruczoczarnych włosach. Charlie, drobniutka dziewczyna o ślicznych ciężkich powiekach, nosiła workowate ciuchy. Plotka głosiła, że posiada fundusz powierniczy na pięćdziesiąt milionów dolarów, w tym oryginalnego Warhola wiszącego w jej sypialni.

Charlie, Tempest i ja patrzyłyśmy na siebie z tym samym zdezorientowanym, wystraszonym wyrazem twarzy. Podeszłyśmy do stojących pod drzewami dziewczyn i wzruszyłyśmy ramionami. Wydawało się, że jedyną rzeczą, która łączy naszą trójkę, jest to, że wszystkie okazałyśmy się tak ciekawe – albo tak głupie – żeby przyjść na wyznaczone spotkanie.

– No wreszcie, do kurwy nędzy – powiedziała Zadie, krzyżując ręce. Zerknęła na swój wielki czarny zegarek. – Lepiej się, kurwa, nigdy więcej nie spóźniajcie!

Spojrzałam na swój zegarek. Wskazywał 15.02, dwie minuty po ustalonym czasie.

– Co to w ogóle ma być? – odpaliła Tempest, odrzucając do tyłu głowę, jakby kompletnie nie dbała o to, kim jest Zadie i jej przyjaciółki, które tylko marnują jej czas. – Może zacznijcie od tego, na co się niby spóźniłam, do cholery.

Zadie zmrużyła oczy i z zadowoleniem wciągnęła powietrze, jakby wdychała rozkoszny zapach.

– Widzicie? – Obejrzała się przez ramię, zwracając do innych dziewczyn. – Co wam mówiłam? Jebitna balerina. Świetne, kurwa, no nie?

– O co ci chodzi? Jebitna bale...

– Ciii! – Zadie przysunęła palec wskazujący do nosa Tempest. – Zamknij się, kurwa! Lubię cię, ale nie aż tak.

Moje serce biło jak szalone. Nie pasowałam tu. W niczym nie byłam jebitna. To wszystko jest po prostu... po prostu nie dla mnie. Miałam ochotę uciec i ukryć się w swoim małym, bezpiecznym świecie. Z Sylvią. Co z tego, że ostatnio była dla mnie miła tylko wtedy, gdy rzucił ją chłopak? Przyjaźniłyśmy się od dawna. Prędzej czy później znów stanie się taką przyjaciółką, jaką była kiedyś. No i teraz miałam Bena. Nie potrzebowałam nikogo więcej.

Za późno. Już je zobaczyłam. Zobaczyłam Sroki. Nie pozwolą mi tak po prostu odejść. Zażądadają zapłaty. Mogłam się jedynie domyślać – jakiej. Nie chciałabym tyle zapłacić, tego byłam pewna.

Wtedy Dylan wysunęła się przed inne.

– Podejdźcie, usiądźcie – powiedziała miłym głosem i uśmiechnęła się przyjaźnie. – Wiem, że te wszystkie tajemnice są trochę pokręcone. Ale to element dobrej zabawy, obiecuję. – Pokazała ręką, żebyśmy się zbliżyły. W świetle słońca jej oczy ciepło lśniły i wydawała się jeszcze ładniejsza. Gdy uśmiechnęła się po raz drugi, patrzyła prosto na mnie. – No, chodźcie.

Poczułam, że się poruszam, zanim postanowiłam to zrobić. Ruszyłam w stronę niskich drzew o zwisających gałęziach. Reszta dziewczyn opierała się o nie, siedziała na torbach z książkami albo leżała na kocach. Znałam imiona większości. Chodziłam z nimi do Grace Hall właściwie przez całe życie. Dokładnie po nich spodziewałam się, że są Srokami: ładne, popularne, dobrze ubrane, z koneksjami. Prawie się nie pomyliłam. Wszystkie zdawały się tu być na miejscu, nawet Tempest i Charlie w ich własny, nietypowy sposób. Wszystkie, z wyjątkiem mnie. Nie pasowałam tu, co wcale mnie nie dziwiło. Szokiem okazało się to, że zapragnęłam zostać. Naprawdę. Wiedziałam, że powinnam odejść, żeby być fair wobec Sylvii i siebie samej. Ale nie chciałam odejść. Nie potrafiłam. Jeszcze nie.

Zadie i Dylan wciąż stały w słońcu i szeptem o czymś rozmawiały. Zadie wyglądała na wkurzoną. Dylan zdawała się rozkojarzona i nagle jakby posmutniała. Ludzie gadali o tej dwójce, o tym, jak Zadie zawsze krąży wokół Dylan niczym jakiś buldog. Uważali, że to dziwne. I tak było. To było jakieś pokręcone.

– Mówię poważnie – rzuciła na koniec Zadie, wskazując ze złością na Dylan. – Nie rób tego.

Wtedy Dylan odeszła, uśmiechając się i mrugając oczami. Usiadła na kamieniu pod drzewem. Próbowwała udawać zadowoloną, ale nie bardzo jej wychodziło. Zadie stała w słońcu na ścieżce jeszcze przez jakąś minutę, potem skrzyżowała ręce na piersi i zmarszczyła brwi. Spojrzała w prawo, w lewo, jakby się zastanawiała, czy nie odejść. W końcu stanęła przed grupą pod drzewami, zajmując należne sobie miejsce. Heather, Rachel i Bethany zajęły miejsca po obu jej stronach.

Zadie wreszcie zaszczyciła spojrzeniem naszą trójkę. Nic przyjemnego. Właściwie wydawała się zde gustowana. W tym momencie potrafiłam myśleć tylko o tym, że na jakiejś imprezie zmusiła dziewczynę, żeby połknęła nakrętkę od butelki. Zastanawiałam się, co takiego robiły, że żadna członkini klubu nie puściła o tym pary z ust. Skoro dziewczyn jest tyle, można się spodziewać, że prędzej czy później któraś się wygada. Chyba że miały naprawdę ważne powody, żeby siedzieć cicho.

– No więc jesteśmy Srokami, najstarszym i najbardziej zajebistym klubem w tej lamerskiej szkole – zaczęła poirytowanym głosem Zadie. – Założonym, kurwa, w tysiąc dziewięćset dwudziestym którymś, z mottem: „Oparcie, oddanie siostron, odwaga”. Teraz, kiedy go reaktywowałyśmy, dodałam jeszcze „albo nam obciągnij”. Słyszaliście o klubie, nie?

Spojrzała na nas ze złością. Jedna z naszej trójki zaczęła kiwać głową – nie pamiętam która – reszta się do niej przyłączyła.

– Dobrze – rzuciła Zadie. – Bo inaczej od razu musiałabym wkopać wasze dupy w chodnik.

Tempest zeszywniała, jakby miała ochotę powiedzieć Zadie, żeby poszła do diabła. Nie odezwała się jednak, a nawet skuliła się trochę, gdy Zadie spojrzała w jej stronę.

– Dlaczego my? – spytała cicho Charlie. – My trzy jesteśmy zupełnie inne.

Gdyby przydzielały jakieś kategorie, zdecydowanie byłam w tej grupie kujonem.

– Daj spokój, Charlie. Przecież wiesz, że to jakiś popieprzony dowcip – rzuciła Tempest, odzyskując rezon. Odsunęła się od drzewa, o które do tej pory się opierała. – Powiemy, że chcemy się przyłączyć, to każą nam wypić dziesięć galonów wódki z galaretką i porobią zdjęcia, jak rzygamy, albo coś w tym stylu. Potem będziemy musiały zostać w klubie, a one będą nam robić jeszcze bardziej popieprzone rzeczy.

Zadie uśmiechnęła się wrednie.

– Coś w tym stylu.

Dylan wysunęła się do przodu. Położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nie – zapewniła. – Wcale nie to robimy. Słowo. Ten klub ma być świetną zabawą. Jest świetną zabawą.

– Przestań! Nie wiem, czemu lizesz im dupy. Nawet jeszcze, kurwa, nie są przyjęte. – Zadie

spiorunowała Dylan wzrokiem, po czym znów spojrzała na nas. – Wy trzy macie nasrane w głowach, jeśli wam się wydaje, że będziemy was namawiać do przystąpienia. Nie chcecie tu być, to w tył zwrot i, kurwa, spadać! Do zobaczenia!

Nie brzmiało to tak, jakby miało nam się przytrafić coś złego, jeśli sobie pójdziemy, a zatem powinnam się stąd zbierać. Natychmiast. Skorzystać z oferty. Czekałam, aż moje ciało ruszy w stronę chodnika. Nic takiego się nie stało. Coś we mnie nie było gotowe, żeby stąd odejść.

– Słuchajcie! Wiem, że to się wam pewnie wydaje pokręcone – odezwała się Dylan, wchodząc przed Zadie. – Wiemy, że są dziewczyny z drugiej klasy bardziej popularne i tak dalej. Uważamy, że te dziewczyny są nudne. Myślimy, że wy macie, no nie wiem, jakąś osobowość. Nie wysilacie się i nie udajecie kogoś, kim nie jesteście. Nie macie fioła na punkcie bycia *cool*. Jak wiadomo, to absolutnie nie jest *cool*.

Poczułam, że zapiera mi dech, gdy Zadie nagle spojrzała na mnie oczami podkreślonymi czarną kredką.

– Powtórzę. Jeśli nie chcecie tu być – syknęła w moją stronę – odejdźcie od razu. Spierdalajcie! Bez urazy. – Zbliżyła się do nas, wyciągnęła papierosa, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Wypuściła dym długim strumieniem prosto w nasze twarze. – Bo jeśli zostanieie, a my postanowimy was przyjąć, potem nie będzie odwrotu. A na pewno nie będzie to łatwe.

Moje serce biło zawrotnie szybko. Bałam się, że Zadie to zauważy. I że wtedy się na mnie rzuci. Mogłam odejść. Powiedziała, że mogę to zrobić i będzie tak, jakby nic się nie stało. Jakbym nigdy nie zdradziła Sylvii ani nie zawiodła się na samej sobie. Powinnam stąd odejść, wiedziałam. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. Tyle tylko, że myśl o tym, by wstać i sobie pójść, była tak strasznie rozczarowująca.

Więc stałam tam dalej. Patrzyłam, jak Dylan odchodzi i przysiada na szarym kamieniu. Swobodna, wyluzowana, założyła nogę na nogę. Spojrzała na mnie, jakby usłyszała moje myśli. Uśmiechnęła się przelotnie, jej policzki uniosły się jak ciepłe, rumiane jabłuszka.

– Jest dobrze – przekazała mi ruchem warg. Potem znów się uśmiechnęła i kiwnęła głową. – Zostań.

– No to jak będzie, moje panie? – spytała Zadie, wsuwając papierosa do ust i mocno splatając palce.

– Przemówcie teraz albo milczcie, kurwa, na wieki.

Amelia

14 WRZEŚNIA, 19.36

BEN

jak dla mnie jakiś hard core

AMELIA

chyba tak; nie mogę nawet pisać ich imion w SMS-ach; mam je nazywać Sroka #1, Sroka #2 itd. Pokręcone

BEN

no, pokręcone. My mamy w szkole klub komputerowy.

AMELIA

ha, ha

BEN

i klub francuski. cool, no nie?

AMELIA

no tak jakby

BEN

jak na albany

AMELIA

chyba tak

BEN

macie tajne powitanie?

AMELIA

nie

BEN

nosicie maski i robicie pokręcone rzeczy?

AMELIA

jeszcze nie

BEN

żartowałem, nie śmiejesz się; niezły suchar...

AMELIA

przez ciebie czuję się jeszcze głupiej

BEN

nie chciałem

AMELIA

nieprawda

BEN

nie chciałem, naprawdę. brzmi cool. Po prostu ci zazdroszczę.

AMELIA

cool?

BEN

daj spokój, przecież wiesz. Mieszkasz w Nowym Jorku, tam wszystko jest cool.

AMELIA

na brooklynie

BEN

w naszej dziurze to na jedno wychodzi

14 WRZEŚNIA, 19.41

SYLVIA

hej??? gdzie u diabła byłaś po szkole?

AMELIA

sorry! dodatkowy trening hokeja

SYLVIA

Jezu, czy ta kobieta kiedyś wyluzuje?

AMELIA

niedługo stanowe

SYLVIA

stanowe? brzmi jak jakiś fizol; fuj

AMELIA

tak mam; jutro rano o tej samej porze?

SYLVIA

no; może WTEDY ci wreszcie powiem, co z lanem

14 WRZEŚNIA, 20.03

NUMER ZASTRZEŻONY

jutro bez majtek i stanika, kocie; będziemy sprawdzać. I włóż spódnicę. Ten sam czas, to samo miejsce.

14 WRZEŚNIA, 20.07

NUMER ZASTRZEŻONY

nie przejmuj się Sroką #1; dużo szczeka ale nie gryzie. Xoxo Sroka #2

AMELIA

dzięki, tego mi było trzeba

NUMER ZASTRZEŻONY

do usług; ja też nie mam majtek. Dłuuuuga spódnica to podstawa.

14 WRZEŚNIA, 20.11

NUMER ZASTRZEŻONY

kto jest twoim tatą?

Facebook

15 WRZEŚNIA

Amelia Baron

Jest ostrożną optymistką.

Ainsley Brown i 4 inne osoby to lubią

Kate

26 LISTOPADA

Kate wróciła do domu i ruszyła prosto na górę do pokoju Amelii. Miała nadzieję, że takie działanie pod wpływem impulsu pomoże jej przechytrzyć samą siebie. Od śmierci Amelii nie była w stanie wejść do jej pokoju. To Seth wybrał Amelii ubranie na pogrzeb. Posprzątał nawet trochę – wyrzucił niedojedzone jabłko, pozbierał brudną odzież i pościelił łóżko – żeby Kate nie musiała tam wchodzić, dopóki nie będzie na to gotowa. Od tamtej pory drzwi do pokoju jej zmarłej córki pozostawały zamknięte. Teraz Kate nie była ani trochę bardziej gotowa, by je otworzyć, więc stała z ręką na klamce i ze ściśniętym żołądkiem.

Odkąd dostała wiadomość, że Amelia nie skoczyła, była w stanie myśleć tylko o jednym: powinna była bardziej zaangażować się w śledztwo. Jak mogła to powierzyć jakiemuś detektywowi, któremu, według niej, bardziej zależało na zamknięciu sprawy niż na dotarciu do prawdy? Powinna była przejrzeć rzeczy Amelii. Powinna była skupić się na zadaniu właściwych pytań. Znaleźć w sobie odwagę, by to zrobić bez względu na to, że ludzie oczekiwali od niej cichej pokory. Bez względu na to, jak bardzo czuła się winna. Zamiast tego pograżyła się w smutku i przyjęła wyjaśnienie śmierci córki, w które nigdy do końca nie wierzyła. Wyparcie było łatwiejsze niż walka, było jedynym sposobem, żeby przetrwać.

Sytuacja nieco się zmieniła. Teraz Kate czuła się silniejsza niż zaraz po śmierci Amelii. Niewiele, ale zawsze coś. Zmuszenie się do pogodzenia z faktem, że Amelia odebrała sobie życie, było straszne. Lecz może być jeszcze gorzej – Kate zdawała sobie z tego sprawę.

Wciągnęła głęboko powietrze i nacisnęła klamkę. Zanim drzwi się otworzyły, zadzwonił telefon stacjonarny. Z ulgą wypuściła powietrze i rozejrzała się po piętze w poszukiwaniu przenośnego aparatu. Nie leżał na swoim miejscu. Rozległ się kolejny sygnał. Dźwięk dobiegał z dołu. Kate zeszła po schodach zadowolona, że oddała się od pokoju córki. Znalazła telefon w kuchni. Upłynęła minuta, nim dotarło do niej, że na wyświetlaczu pojawił się numer nowojorskiej policji. Od tak dawna nikt do niej nie dzwonił. I akurat dziś? To nie mógł być zbieg okoliczności. Może policja też dostała jakąś wiadomość?

– Słucham.

– Pani Baron? Tu detektyw Molina.

– Witam. Tak, to ja, Kate Baron. – Szykowała się na to, co nastąpi. Choć miała nadzieję, że Molina dzwoni z wiadomościami o Amelii, bała się, jakie mogą one być. – Czy... czy ma pan jakieś... Co u pana?

– Szczerze mówiąc, bywało lepiej – odparł. – W tej chwili, nie wiadomo dlaczego, docierają do mnie

skargi na prowadzone przeze mnie dochodzenie w sprawie pani córki. Jeśli miała pani jakieś zastrzeżenia, mogła pani przecież zadzwonić.

Czyżby Jeremy zdążył zatelefonować do komendanta policji? Kate nie wiedziała, dlaczego ją to zaskoczyło. Jeremy z reguły nie rzucał słów na wiatr. Nie spodziewała się jednak, że coś z tego wyniknie. Nie w ciągu kilku godzin.

– Och! Mmm... przepraszam – odparła Kate. – To chyba mój szef. Próbował być pomocny.

– Pomocny dla kogo? – mruknął Molina, jakby mówił po trochu do Kate, a po trochu do siebie. – Należało zadać mi pytanie, na które mogłem pani odpowiedzieć. Bo niezupełnie w ten sposób chciałem zwrócić na siebie uwagę komendanta.

Czyżby Molina martwił się o swoją karierę? W tej rozmowie ujawniało się wszystko, co Kate w nim drażniło. Przede wszystkim agresywny sposób, w jaki dręczył ją pytaniami. Wyrzucał je z siebie jak karabin maszynowy. Z tego powodu ona przyjmowała postawę defensywną. Bardziej skupiała się na osłanianiu przed jego natarczywością niż na informacjach, które chciała od niego uzyskać. Długo czekała, żeby ostry, twardy Molina otworzył się i pokazał swoje wrażliwe wnętrze. Nie doczekała się.

– Przykro mi, że przysporzyłam panu kłopotów. – Kate nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest wściekła, póki nie usłyszała tego w swoim głosie. – Dziś dostałam SMS, że moja córka nie popełniła samobójstwa. Nie skoczyła z dachu. Jak pan sobie wyobraża, nasuwa to pewne pytania i chciałabym poznać odpowiedzi. Od razu.

– Ach tak? – zachnął się Molina. – Od kogo ten SMS?

– Nie wiem. Był anonimowy.

Duncan oddał jej komórkę. Ustalił tylko tyle, że wiadomość wysłano ze strony internetowej firmy telekomunikacyjnej, co w praktyce oznaczało, że nie dało się namierzyć, kto ją wysłał.

– Ach tak? Anonimowy? – Sarkazm w głosie policjanta brzmiał aż za wyraźnie.

– Tak, anonimowy. Co nie znaczy, że informacja jest nieprawdziwa – odparła Kate, starając się, by zabrzmiało to stanowczo, a nie defensywnie. Nie zamierzała dać się zastraszyć Molinie. Nie tym razem. – Chcę, żeby sprawdzono ten SMS. I chcę, żeby ktoś przeprowadził analizę charakteru pisma tego jednego słowa na ścianie nadbudówki. Ma pan jego zdjęcie, jak zakładam? Bo to nie był żaden list pożegnalny i Amelia tego nie napisała. Od początku to wiedziałam. I nie odebrała sobie życia. To też wiedziałam od początku.

Aż do tej chwili Kate nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo to było prawdą. Amelia nie odebrała sobie życia. Amelia nie skoczyła. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

– Zakładam, że w takim razie oficjalna opinia lekarza sądowego nie ma dla pani żadnego znaczenia? – spytał Molina.

– Znałam swoją córkę. Wiem, że nie odebrała sobie życia – wyrzuciła z siebie Kate, starając się, by jej głos zabrzmiał spokojnie, tama jednak pękła i wszystkie wątpliwości, które tak bardzo starała się w sobie zdusić, popłynęły wartkim strumieniem. – Zamierzam się dowiedzieć, kto ją zabił albo co ją

zabiło, detektywie. Może mi pan pomóc lub nie wchodzić mi w drogę. Przysięgam, że nie będę siedzieć cicho, dlatego że tak pan sobie życzy. Już nie.

– Rozumiem. – Zabrzmiało to tak, jakby się uśmiechał. – W takim razie czemu...

Kate się rozłączyła. Rzuciła telefonem o długi rustykalny stół. Przeleciał za krawędź i walnął w podłogę. Usłyszała, że rozpadł się na kawałki.

– Cholera! – zaklęła, opadając ciężko na ławę przy stole. Ukryła twarz w dłoniach. – Niech to szlag!

Co ona wyprawiała? Jej nowe nastawienie „koniec z grzeczną dziewczynką” nie powinno dotyczyć Moliny. Potrzebowała go. To on miał wszystkie akta sprawy Amelii. Tylko on wiedział, co ustalił, a czego nie. Teraz na pewno jej nie pomoże.

Oparła głowę o blat stołu z grubych desek i rozejrzała się po kuchni: ściany z cegły, szafki w stylu prowansalskim, polerowany kamień i sprzęty ze stali nierdzewnej. Nigdy nie gotowała, ale zgromadziła wyposażenie jak do małej restauracji. Kupiła to wszystko dla Amelii. Amelii, która nie miała ojca i za rzadko widywała matkę. Kate zdawało się, że przynajmniej wszystko inne umiała jej zapewnić. Jakaż była głupia! Na co Amelii kuchenka za cztery tysiące dolarów? Teraz ona będzie musiała się gapić na te graty do końca życia, choć jadła tylko dania na wynos. Natychmiast poczuła w gardle kwaśny smak.

Przełknęła, zmusiła się, by wstać, i znów ruszyła po schodach do pokoju Amelii. Miała zadanie i zamierzała je wykonać. Przynajmniej tyle była winna swojej córce.

Na piętrze wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi pokoju Amelii. Weszła, włączyła światło. Od razu poczuła zaduch. Pachniało śmiercią. Jakby Amelia umarła w tym pokoju i jej ciało miało tu zostać, dopóki nie zgnije.

Tym razem Kate była pewna, że zwymiotuje. Przebiegła przez pokój i szeroko otworzyła okno. Wystawiła głowę i wciągnęła do płuc świeże powietrze.

Wyobraziła sobie ten zapach – racjonalna część jej mózgu zdawała sobie z tego sprawę, ale ta wiedza w niczym nie pomagała. Kate potrzebowała kilkunastu głębokich oddechów, żeby mdłości ustąpiły. Wreszcie poczuła się lepiej. Odwróciła się i oparła o parapet. Owiało ją zimne listopadowe powietrze.

Przebywanie w pokoju Amelii okazało się jeszcze gorsze, niż Kate sobie wyobrażała. Siedząc tu, tęskniła za córką tak bardzo, że bolało ją wszystko: nogi, ręce, powieki. Czuła się tak, jakby całe jej ciało pokrywały siniaki. Jej spojrzenie przesuwano się po przepelnionych regałach na książki, stojących niemal pod każdą ścianą.

Amelia nauczyła się czytać jako czterolatka i od tego czasu zawsze trzymała w rękach książkę. Czytała w wannie, idąc chodnikiem, przy latarce w nocy. Nawet wszystkie te regały nie były w stanie pomieścić jej księgozbioru. Wysokie stosy cieńszych i grubszych tomów zajmowały sporą część podłogi. Kate czasem się martwiła, że obsesja Amelii na punkcie książek to oznaka samotności. Że gdyby miała rodzeństwo albo chociaż tatę – albo gdyby ona nie była cały czas w pracy – Amelia skupiałaby się na prawdziwych ludziach, nie na wymyślonych.

Teraz wydawało jej się, że to głupi powód do zmartwień. Zwłaszcza gdy oderwała wzrok od książek i spojrzała na jedyną ścianę, na której nie było regału. Pokrywały ją zdjęcia: Amelia jako mała dziewczynka z Leelah, z koleżankami z drużyny i z przyjaciółmi z obozów. Z Kate. Było tu wielkie zdjęcie Amelii i Sylvii z wycieczki do Waszyngtonu w szóstej klasie, podczas której Kate była opiekunką całej grupy. Prawdziwy ewenement: udało jej się wtedy wziąć urlop z powodu szkolnego zobowiązania. Wszystko poszło świetnie. Tylko później Kate nie mogła się pozbyć dziwnego uczucia, że rodzice, którzy też tam byli – nawet pracujący na cały etat – wcześniej brali udział w wielu takich wycieczkach.

W chwili obecnej liczyło się tylko to, że Amelia była na tych zdjęciach szczęśliwa. Na każdym z nich. Być może Kate nie planowała takiej rodziny, ale Amelia nigdy o to nie dbała. Przynajmniej nie do czasu na kilka tygodni przed śmiercią, gdy nagle zaczęła się dopytywać o swojego ojca.

– Naprawdę nigdy mu o mnie nie powiedziałaś? – domagała się odpowiedzi, budząc Kate we wczesny sobotni poranek. – Czy ty w ogóle próbowałaś go kiedyś znaleźć?

– Kogo znaleźć?

– Halo! Mojego tatę! – Amelia pomachała obiema dłońmi. – No wiesz, tego hipisa z gitarą, który wybierał się do Afryki. Tego, którego podobno poznałaś pewnej deszczowej nocy w jakimś barze, do którego chodzili ludzie z Columbi. Mieliście w ogóle jakieś bary? Nie było tam jak w strefie wojennej?

Kate zerknęła na budzik, potem na Amelię, potem znów na budzik. Piętnaście po siódmej w sobotę rano. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie chciała, żeby Amelia zadawała jej te pytania. Nie teraz. Pewnego dnia, gdy Amelia będzie dostatecznie dorosła, historyjka, którą Kate opowiedziała jej o ojcu, zostanie uzupełniona. Ale to się działo za szybko. Na razie nie wymyśliła, co powie. Prawda raczej nie wchodziła w rachubę. Miała jedynie pewność, że kłamstwa powtarzane dziecku przez lata i utrwalane milczeniem to było coś zupełnie innego niż całkowicie nowe, wypowiedziane prosto w oczy nastoletniej już córce.

– Dlaczego nie śpisz, Amelio? – spytała, próbując zyskać na czasie. – Porozmawiajmy o tym później. Jestem naprawdę wykończona i ty na pewno też.

– Później, jasne. – W głosie Amelii pobrzmiwała złość. W jej oczach odbijało się coś jeszcze. Strach, zmartwienie? Na ten widok Kate ścisnął się żołądek.

– Amelio, co z tobą? – spytała, siadając na łóżku. – Coś się stało?

– Nie – odparła Amelia. Wydeła usta i odwróciła się. Utkwiła wzrok w najdalszym kącie pokoju. Kate wciąż wpatrywała się w córkę z nadzieją, że dzięki temu Amelia przyzna, co ją tu sprowadza, dlaczego domaga się odpowiedzi z samego rana. – Nic się nie stało. To znaczy prócz tego, że mam dość czekania, aż wreszcie powiesz mi prawdę.

Chodziło jednak o coś więcej, Kate to wyczuwała. Czy chciała wiedzieć o co? Nie. Najszczęsza prawda wyglądała właśnie tak. Kate wcale nie chciała wiedzieć.

– Amelio, nie zgadnę, co ci się wydaje...

– Daj spokój, mam – rzuciła Amelia ochryłym głosem. Wyjrzała przez okno, jakby chciała patrzeć

wszędzie, byle nie na Kate. – Ty sama w barze? Podrywająca jakiegoś przypadkowego faceta? Wpadka, która była „najlepszą rzeczą, jaka ci się przytrafiła”? – Amelia pokręciła głową i wreszcie spojrzała na Kate. Oczy jej się zaszklily. – Nie ma mowy, mamó. Nie kupuję tego. To do ciebie niepodobne.

Kate przez jakąś minutę nie spuszczała Amelii z oka, potem opadła z powrotem na łóżko. Odwróciła się i wtuliła twarz w poduszkę, żeby córka nie mogła dostrzec jej łez.

– Nigdy nie mówiłam, że to do mnie podobne, Amelio. I o to właśnie chodzi. Nigdy też nie mówiłam, że jestem doskonała. W tamtym czasie zrobiłam dużo różnych rzeczy, które nie były zbyt dobrze przemyślane – powiedziała cicho, uważając, by nie zasugerować, że Amelia była pomyłką. – W każdym razie jeśli masz pytania o twojego ojca, możesz je zadać. Zawsze ci mówiłam, że możesz mnie pytać o wszystko.

– I powiesz mi prawdę?

– Tak, Amelio – odparła Kate, czując swoje małe, kłamliwe serce tłukące się w piersi. – Powiem ci prawdę.

I w tamtej chwili Kate postanowiła, że to właśnie zrobi. Opowie całą prawdę o tym, jak ją poczęła, o błędach, które popełniła, i o rzeczach, które zrobiła, żeby je zatuszować. Bo Amelia zasługiwała na prawdę. Miała prawo do własnej historii, bez względu na cenę. Tylko nie w tej chwili. Kate potrzebowała czasu, żeby się przygotować.

– Chcę się z nim spotkać – powiedziała Amelia.

Kate spojrzała na córkę, mrużąc oczy. Usiłowała zapanować nad twarzą.

– Dobrze – odparła w końcu. A potem postanowiła znów ją okłamać. – Możemy spróbować. Weź tylko pod uwagę jedno... Nie mogę ci obiecać, że go znajdziemy.

Cztery dni później Amelia nie żyła. Kate nie sądziła, by pytania Amelii o ojca miały związek z jej śmiercią. To, że nie wiedziała, kto był jej ojcem, nie stanowiłoby dla Amelii powodu, żeby odebrać sobie życie. Było w tym jednak coś dziwnego; moment, gdy nagle Amelia zaczęła coś podejrzewać. Jeszcze gorsza wydawała się możliwość, że Amelia umarła w przeświadczeniu, iż Kate ją okłamała.

Kate zmusiła się, by odejść od parapetu. Podeszła do regałów. Przesunęła dłonią po podniszczonych grzbietach książek: *Odyseja*, *Wściekłość i wrzask*, *Lolita*, no i oczywiście wszystkie książki Virginii Woolf. Virginia Woolf – słynna samobójczyni – była ulubioną autorką jej córki. Uwadze Kate nie umknął ten zbieg okoliczności. Amelia uznałaby jednak, że naśladowanie pod tym względem swojej bohaterki to żaloszny banał. Kate była tego pewna.

Cofnęła się i opadła ciężko na łóżko. Ukryła twarz w dłoniach. Wciąż siedziała skulona, gdy usłyszała skrzypienie drzwi. W pierwszej chwili pomyślała, że to wiatr, ale zaraz zobaczyła dużą dłoń sięgającą do środka, by pchnąć drzwi. Powinna się ukryć, zanurkować pod łóżko, rzucić się do okna... Nie potrafiła.

– Kto tam?! – wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jaki mogła. – Wypierdalaj z mojego domu!

– Chyba nie masz broni? – zawołał głos zza drzwi. Głos Setha.

– Cholera, Seth! Co ty wyprawiasz?! Zakradasz się do mnie?!

Seth powoli wysunął twarz zza drzwi. Zobaczyła jego szeroko otwarte oczy i uniesione ręce.

– Dzwoniłem do drzwi – wyjaśnił zakłopotany.

Wszedł do pokoju ubrany w spodnie khaki i stonowaną koszulę – skromny, nijaki uniform, który zawsze nosił. Nawet teraz, gdy miał świetną pracę jako starszy doradca prawny senatora Schumera. Był to pewnie ten rodzaj stroju, który przyprawiał o gęsią skórkę Thomasa, przystojnego i bardzo modnie ubierającego się męża Seta.

– Nikt nie odpowiadał, drzwi były otwarte. Wiesz, naprawdę powinnaś zamykać drzwi na klucz. Każdy wariat z ulicy może po prostu wejść do środka.

– Widzę przecież – rzuciła ostro Kate. Jej serce wciąż biło jak szalone.

– Nie wiem, czy to było konieczne.

– Wybacz – mruknęła Kate, znów chowając twarz w dłoniach.

Nie powinna warczeć na Seta. Był dla niej taki dobry. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, przynajmniej nie w tym mieście. Między pracą a czasem spędzonym z Amelią nie udało jej się nawiązać zbyt wielu nowych znajomości. Wszystkich bliskich przyjaciół – z wyjątkiem Seta – poznała wiele lat temu w szkole średniej albo w college’u. Żaden z nich nie mieszkał w pobliżu. Kate popatrzyła na Seta i poklepała łóżko obok siebie. Podszedł i usiadł. Rozejrzał się po pokoju. Zesztywniał.

– Może powinniśmy zejść na dół? – podsunął z niepokojem w głosie. – Przyda ci się trochę świeżego powietrza.

– Dostałam dziś SMS o Amelii. Właściwie dwa – powiedziała Kate, ignorując jego propozycję. – Że nie skoczyła.

– Naprawdę? – Oczy Seta rozszerzyły się na chwilę, potem zmrużyły podejrzliwie. – Zaraz! SMS-y od kogo?

– Nie wiem. Były anonimowe.

Uniósł brwi.

– Anoni...

– Tylko jeszcze ty nie zaczynaj – powiedziała cicho Kate, patrząc mu prosto w oczy. – Proszę.

Wpatrywał się w nią przez minutę, potem jego twarz wreszcie złagodniała.

– Dobrze. – Objął ręką jej szczupłe ramiona. Przytulił ją, opierając podbródek o jej głowę. – Dobrze.

– Może to i dobrze – stwierdziła Kate. – W głębi ducha nigdy naprawdę nie uwierzyłam, że Amelia popełniła samobójstwo. Milczałam jednak, bo wiedziałam, że to by wyglądało, jakbym próbowała zaprzeczać faktom.

– No tak, ale czy policja nie...

– Policja popełnia błędy – warknęła Kate. – Czemu tym razem miałyby być inaczej?

– Już dobrze – powtórzył Seth, unosząc ręce.

Oczywiście ustępował jej. Kate nawet o to nie dbała. Rozejrzała się po pokoju. Należy przejrzeć

rzeczy Amelii, ale dobrze by było nie robić tego w tym pokoju, przepelnionym wspomnieniami o córce i zapachem śmierci.

– Na początek muszę się upewnić, że policja niczego tu nie przeoczyła.

– Na przykład czego? – spytał Seth. – Jak myślisz, Kate? Co się naprawdę stało?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. – Wzięła głęboki oddech. Stopowała wyobraźnię, by nie zaczęła jej podsuwać coraz okropniejszych scenariuszy. – Muszę się dowiedzieć. Myślisz, że mógłbyś się rozejrzeć tu na górze? Przejrzeć jej biurko, szuflady? Zobaczyć, czy czegoś nie znajdziesz? Miałam właśnie zabrać jej torbę na dół. Po prostu... wolałabym stąd wyjść.

– Oczywiście – powiedział Seth, choć nie wydawał się zachwycony. – Czego mam szukać?

– Jakiegoś dowodu, że Amelia nie odebrała sobie życia – odparła cicho Kate. – Albo dowodu, że to zrobiła.

Ruszyła na dół, niosąc podniszczoną torbę Amelii. Z dala od pokoju córki była w stanie się skupić na przejrzeniu jej telefonu i komputera. Siedziała przy stole w kuchni z torbą na kolanach i wciąż się martwiła, że wypadnie z niej coś bardzo ważnego, gdy tylko ją otworzy.

W końcu zdobyła się na to, by podnieść klapę. W środku zobaczyła kilka notesów, mały laptop, batonik musli, pomadkę do ust, gumę do żucia, iPhone'a i portfel. Kate po kolei wyjmowała te przedmioty i ostrożnie układała na blacie. Zwyczajne rzeczy normalnej, żywej dziewczyny. Teraz cenne pamiątki po zmarłej.

Najpierw wzięła do ręki iPhone'a. On też był martwy. Kate skrzywiła się na tę myśl. Znalazła ładowarkę w zewnętrznej kieszeni torby i szybko się przekonała, że telefon jest chroniony hasłem. Molina ją zapewniał, że przejrzął telefon Amelii, dałaby sobie głowę uciąć. Bez hasła, którego nie знаła nawet Kate, było to niemożliwe. Potrzebowała dwóch prób, by znaleźć właściwą kombinację liczb: urodziny Amelii i jej własne. Pod powiekami poczuła łzy.

Wreszcie dotarła do SMS-ów. Nie mogła uwierzyć własnym oczom! Setki zapisanych wiadomości od mnóstwa różnych ludzi – niektórzy mieli imiona, inni tylko numery telefonów, poza tym trochę numerów zastrzeżonych. Niektóre wiadomości były od Kate. Jedne tworzyły długie wątki, inne nie miały kontynuacji. Skąd między lekcjami, kursami, zajęciami ponadprogramowymi i treningami Amelia brała czas, by wysyłać tyle SMS-ów? A co ważniejsze, czy Kate nie powinna była o tym wiedzieć?

Może nawet powinna była je wszystkie czytać? Niektóre matki czytały wszystkie elektroniczne wiadomości swoich dzieci: SMS-y, maile, strony na Facebooku. Kate była wystarczająco wprowadzona w świat macierzyństwa – głównie dzięki kobietom z kancelarii – by wiedzieć, że niektóre robiły to od czasu do czasu za wiedzą dzieci; inne dobierały się do smartfona swojej pociechy w tajemnicy.

Kate nie robiła żadnej z tych rzeczy. Postanowiła zaufać Amelii.

Przynajmniej wmawiała sobie, że tak postanowiła. Bo teraz, kiedy siedziała, wpatrując się w morze

wiadomości, brak nadzoru wydał jej się konsekwencją napiętego harmonogramu, nie zaś świadomym wyborem. Oczywiście zaniedbała to. Zrobiła bardzo, ale to bardzo głupio. Amelia miała piętnaście lat. Nawet jeśli się starała trzymać z dala od kłopotów, zadaniem matki było zadbać o to, by jej się to udało.

Kate wstrzymała oddech i zaczęła przewijać na chybił trafił listę SMS-ów. Większość z nich nie miała znaczenia: rozmowy nastolatków o lunchu, treningach, pracy domowej. I wiadomość pod koniec, na dzień przed śmiercią Amelii. Wymiana SMS-ów z jakimś nieznanym numerem, z chłopakiem o imieniu Ben.

AMELIA

Kto to?

NIEZNANY NUMER

Ben z telefonu brata

AMELIA

O, cześć, już miałam nie odpisywać.

NIEZNANY NUMER

Pytałaś o Paryż?

AMELIA

Tak. Nic z tego.

NIEZNANY NUMER

Może zmieni zdanie?

AMELIA

Raczej nie. Jakieś pomysły?

NIEZNANY NUMER

Nie bardzo. To twoja mama.

AMELIA

Wiem. Moja mama. Szczęściara ze mnie.

Kate zamknęła oczy i zgięła się w pół, czując nagły ból brzucha. Wściekanie się na rodziców należało do niekwestionowanych praw każdego nastolatka. Wiedziała o tym. Sama wciąż się wściekała na swoich rodziców. Miała ku temu dobre powody. Byli zimni, pełni dystansu, ograniczeni. Ona była o wiele lepszą matką niż Gretchen. Nie żeby jakoś szczególnie wysoko ustawiała sobie poprzeczkę.

Ale może jej związek z Amelią wcale nie był taki dobry, jak jej się wydawało? A może, mimo wszystko, wcale tak dobrze nie znała córki?

Przycisnęła telefon do piersi i zamknęła oczy, jakby to mogło powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie powstrzymało. Nie próbowała zresztą ich tłumić. Zapadła się w sobie, jej policzki stały się mokre. Płakała długo, aż do wyczerpania.

W końcu mocno pociągnęła nosem, otarła dłonią twarz. Delikatnie odłożyła telefon na stół. Wiedziała, że prędzej czy później musi przebrnąć przez te wszystkie SMS-y. Będzie musiała przeczytać to wszystko z nadzieją, że nie natknie się na więcej rzeczy, które zranią jej uczucia. Ale nie w tej chwili. Na razie wystarczała jej wiedza, że są rzeczy, którym później musi przyjrzeć się bliżej.

Sięgnęła po chusteczki, żeby lepiej osuszyć policzki i wargi. Wzięła do ręki notesy Amelii i zaczęła przerzucać strony. Przesuwała palcami po zamasztych bazgrołach, próbując śledzić wrażenia przelane na papier. Wyobrażała sobie piszącą Amelię. Zaczęła przeglądać zeszyt od angielskiego... Na podłogę upadło kilka spiętych zszywką stron. Podniosła je i zaczęła czytać.

„Ujęcie czasu: *Do latarni morskiej*”, Amelia Baron. Wypracowanie, które Amelia rzekomo ściągnęła. Szansa, by oczyścić jej dobre imię. Oczywiście Kate nie umiałaby wykorzystać tej szansy bez czyjejs pomocy. Mogłaby przeczytać każdą stronę wypracowania i dalej nie miałaby pojęcia, czy Amelia coś ściągnęła. Jednak wersja wydarzeń sugerująca, że Amelia ściągała, zawsze wydawała się Kate najbardziej naciągana. Amelia wiedziała o Virginii Woolf wszystko, co tylko można wiedzieć. Czytała *Do latarni morskiej* wiele, wiele razy, z literatury miała zawsze najlepsze stopnie. Jakich więcej potrzeba argumentów? Amelia nie musiała ściągać. Do tego dochodził fakt, że nigdy nie kłamała. Sumiennie przestrzegała zasad i absolutnie uwielbiała swoją nauczycielkę angielskiego. To wszystko nie miało sensu. Jednak czym innym jest wiedzieć, że Amelia nie ściągała, a czym innym móc to udowodnić.

Kate odłożyła wypracowanie na stół i wyciągnęła z torby laptop. Włączyła go i zaczęła skanować pedantycznie uporządkowane pliki. Dokumenty Worda podzielono na foldery i opisano nazwą zajęć oraz numerem semestru. Tylko cztery pliki nie miały folderu, wszystkie zatytułowane gRaCeFULLY i różniące się datą. Kate wybrała jeden na chybił trafił i go otworzyła. Dokument miał wysmakowany layout – profesjonalna ramka, kolorowy baner, wyszukana czcionka. Wyglądał jak oficjalny biuletyn szkolny.

19 WRZEŚNIA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Cześć, suki!

Tak, to znowu my z całym tym gównem, którego opis nie nadaje się do druku...

Dziś mamy mnóstwo wiadomości. Przede wszystkim słyszałyśmy, że pewien nauczyciel chemii zrzuca mnóstwo pytań do egzaminu na pierwszym roku z California Standard Exam. A one, panie i panowie, są dostępne online{:}. Jak daleko, kurwa, może się posunąć lenistwo? Facetowi nie chce się nawet wymyślić własnych pytań na test? Nie nasza wina, że jest takim rozlazłym zasrańcem. Mówię wam, skorzystajcie z tego – oto link do pytań: caedu/standardtests/chemistry.com.

Najwyraźniej w ostatni weekend w szóstej klasie odbyła się kolejna imprezka spod znaku tęczy ust. Czy ktoś mógłby w końcu powiedzieć tym dzieciakom, że to było w modzie w dwa tysiące ósmym roku? Nawiasem mówiąc, totalna ohyda.

Czy ktoś powie Tempest Bain, żeby nosiła majtki? Wszyscy wiemy, że dziewczyna jest tancerką, ma superciało i w ogóle, ale czy naprawdę musimy oglądać jej cipkę?

Plotka głosi, że Bethany Kane jest chętna i gotowa. Nie, nie, poczekajcie, to nieaktualne wieści! Przeleciała już połowę naszej reprezentacji.

Sylvia Golde też się ostatnio bzyka. Jeszcze nie wiem, kim jest ten szczęśliwiec, ale Sylvia jako dziecko była w drużynie gimnastycznej. Bez wątpienia jej wybranek – kimkolwiek jest – nieźle sobie używa.

Sroki zaczęły w tym tygodniu rekrutację! Inne kluby nie mogą pozostawać daleko w tyle. Jeśli jeszcze was nie zaprosiły, może wciąż macie szansę? Ale większość z was, luzerów, nie ma powodu, by wstrzymywać oddech.

Imprezka spod znaku tęczy ust? W szóstej klasie? Kate słyszała kiedyś to określenie od Beatrice, która widziała coś na ten temat w programie Oprah. Założyła jednak po cichu, że to przesada, o ile nie kompletny wymysł. Poza tym to całe gRaCeFULLY nazwało najlepszą przyjaciółkę Amelii puszczałką. Czy to mogła być prawda? Nagle fakt, że Amelia nigdy nie mówiła o chłopakach, wydał się Kate podejrzany. Ktoś, kto zadawał sobie tyle trudu, żeby o czymś nie mówić, pewnie miał aż za wiele do powiedzenia.

Kate otworzyła i szybko zamknęła dwa kolejne pliki gRaCeFULLY. W jednym zobaczyła kolejną szpilę wbity Sylvii – coś o tym, że bierze tabletki antykoncepcyjne. W drugim tekst, który wyjaśnił jej,

dlatego ten plik zapisano na dysku.

Panie i Panowie, nadchodzi Amelia Baron. Zgadza się, dwie noce temu oficjalnie została kobietą. Szkoda mi wszystkich was, którzy liczyli na to, że odbiorą jej cnotę – ktoś was ubiegł. Nigdy nie uwierzycie, kim jest szczęśliwy zwycięzca. Nie dowiedziecie się tego tutaj. Pewnych rzeczy nawet ja nie puściłabym do druku.

Kate wpatrywała się w ekran. Znów poczuła pieczenie w gardle. Nie zdenerwowało ją to, że Amelia uprawiała seks – no, może ją zdenerwowało, ale tylko trochę. Przede wszystkim czuła się zraniona, że córka jej o tym nie powiedziała. Zawsze sobie wyobrażała, jak wcześniej przeprowadzi z Amelią tę rozmowę. Przez całe lata przygotowywała wykłady o miłości, bezpieczeństwie i zaufaniu. O tym, by wiążąc się z drugim człowiekiem, pozostać wiernym sobie. Aby starannie i ostrożnie wybierać, kiedy i ile komuś daje się z siebie. Zamierzała powiedzieć Amelii o wszystkich tych rzeczach, o których sama powinna wiedzieć o wiele więcej, kiedy była w jej wieku. Dlaczego tego nie zrobiła? Na co czekała?

– Hej!

Kate wzdrygnęła się i spojrzała w stronę schodów. Seth powoli schodził do kuchni. Wyglądał tak, jakby miał nadzieję, że coś go powstrzyma przed dotarciem na dół.

– Znalazłeś coś – stwierdziła Kate.

Poznała to po jego twarzy. I cokolwiek to było, nie dawało powodów do radości.

Seth kiwnął głową i usiadł naprzeciw niej. Z kieszeni koszuli wyciągnął poskładaną karteczkę. Przesunął ją po stole w stronę Kate, ale nie cofnął palców.

– Znalazłem ją w szufladzie biurka.

Kate spróbowała sięgnąć po karteczkę, ale Seth mocniej przycisnął ją pod palcami.

– Jesteś pewna, że powinnaś to robić? Co będzie, jeśli dowiesz się o rzeczach, o których lepiej nie wiedzieć?

– Jeśli to się przytrafiło Amelii, muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko, Seth.

W końcu kiwnął głową i cofnął rękę. Kate rozłożyła karteczkę.

NIENAWIDZĘ CIĘ!!!

Te dwa słowa krzyczały z wydartego kwadracika zeszytowego papieru w linie. Kate zeszywniała. Ktoś to napisał do Amelii? Litera wydawały się takie wściekłe – poszarpane i grube, jakby ktoś całym ciałem naciskał na ołówek.

To nie miało najmniejszego sensu. Amelia nie była typem dziewczyny, którego się nienawidzi. Inteligentna, ładna, wysportowana... Dziewczyna, której ludzie mogliby zazdrościć, gdyby nie była tak szalenie skromna. Nie chodziła tu i tam, próbując zwrócić na siebie uwagę, tak jak robiła Sylvia. Jak ktoś mógłby jej nienawidzić?

– Nie rozumiem – powiedziała Kate, bardziej do siebie niż do Seta. – Kto by mógł napisać coś

takiego do Amelii?

Kąciaki ust Setha opadły. Patrzył w stół. W końcu pokręcił głową i sięgnął do tylnej kieszeni. Wyciągnął zwitek około dwudziestu podobnie poskładanych karteczek. Rozchylił palce i pozwolił im opaść na blat. Utworzyły okropny, krzywy stosik.

– Na wszystkich jest to samo. – W jego głosie brzmiały smutek i złość. – Na wszystkich dwudziestu dwóch. Wydaje mi się, że są od różnych ludzi. Charaktery pisma są różne.

Dłoń Kate zawisała nad stosikiem, poruszała palcami z niedowierzaniem.

– O mój Boże – wyszeptała, niezdolna oderwać oczu od karteczek.

– Wiem. Źle to wygląda. Ale może to wcale nie to, co myślimy.

– Jakiś gang napastował Amelię. – Odwróciła się i spojrzała na niego. Jej oczy były tak rozszerzone, że aż ją piekły. – Jakie masz inne wytłumaczenie?

Seth pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Nie mam – odparł. – Nie mam pieprzonego pojęcia. Szczerze mówiąc, w tej chwili przychodzi mi do głowy tylko tyle, żeby iść do tej szkoły i puknąć w głowę parę dzieciaków. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się musisz czuć.

– Ja też nie potrafię. – Kate przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała sprawdzić, czy jej serce wciąż bije. – Nic nie czuję.

– Nie znalazłem żadnego listu od Amelii, niczego takiego. W ogóle nic, prócz pudła pod jej łóżkiem. Było w nim parę twoich starych pamiętników i albumy ze zdjęciami.

– Moich? – Kate gorliwie pisała pamiętniki od ostatnich lat podstawówki aż do końca studiów, kiedy obowiązki związane z wychowywaniem dziecka i robieniem kariery sprawiły, że rozmyślenia na temat własnego życia – a tym bardziej zapisywanie ich pod koniec dnia – zaczęły się jej wydawać absurdem. Nie widziała tych pamiętników od lat. – Pod jej łóżkiem?

– Tak mi się wydaje. Niektóre z nich mają okładkę z kreciej skórki. Zawsze nosiłaś je ze sobą na studiach. Nie zaglądałem do nich... Na jednym jest twoje imię.

– Co ona robiła z moimi pamiętnikami? – spytała Kate.

Może Amelia nigdy nie pytała o ojca, bo sama znalazła wszystkie odpowiedzi? Co jeszcze tam napisała, czego Amelia nie powinna czytać? O zdręczaniu się pytaniem, czy urodzić Amelię? O tym, jak najpierw postanowiła urodzić, a później aż cztery razy zjawiała się pod drzwiami kliniki, za każdym razem przekonana, że nie chce urodzić? Czy przeczytała również tę część, w której wątpliwości Kate, czy powinna zatrzymać dziecko, na krótko przerodziły się w żal, że to zrobiła? Ten żal szybko przyćmiła miłość do córki. Głęboka, rozdzierająca serce, zmieniająca całe życie w miłość. Czy Amelia czytała dość długo, by dotrzeć do tej części?

– Nie wiem, co z nimi robiła – powiedział Seth. – Wiem natomiast, że nic, co Amelia mogłaby przeczytać, nie zmieniłoby jej miłości do ciebie. Tak było, Kate. Naprawdę cię kochała.

– To dlaczego czuję się jeszcze gorzej?

Seth wyciągnął rękę i położył ją na dłoni Kate.

– Bo ona mimo wszystko odeszła.

Seth niechętnie zgodził się wrócić do domu. Kate znów wzięła telefon Amelii i weszła w listę kontaktów. W telefonie jej córki zapisanych było trzysta sześćdziesiąt siedem imion i numerów. Kate miała w swoim telefonie kilkadziesiąt, w tym wszystkich żyjących krewnych, wszystkich lekarzy i dentystów swoich i Amelii oraz trzy ostatnie sprzątaczkę. Jakim cudem Amelia mogła znać tylu ludzi?

Wzrok Kate przesuwiał się po liście obcych imion. Wiele dziewczyn. Może nawet większość. Sporo chłopaków: Adam, Aikin, Aiden, Arden... Może to ostatnie należało do dziewczyny? Kate rozpoznawała tylko nielicznych. Bennett Weiss. Z nim Amelia grała w piłkę nożną, gdy była jeszcze tak mała, by należeć do drużyny koedukacyjnej. George McDonnell. Kolejne nazwisko, które Amelia raz czy dwa razy wspomniała. Podobnie jak Carter Rose.

Większość numerów była lokalna, kilka z Manhattanu. Inne poprzedzały numery kierunkowe, które Kate nic nie mówiły. Przewinęła listę, szukając Bena pod „B”. Był tam na samej górze: 518 555 0110.

Kate wciąż wpatrywała się w listę, gdy ktoś mocno zapukał w kuchenne okno. Podskoczyła, uderzając kolanem w nogę od stołu.

– Przepraszam! – rozległ się kobiecy głos.

Za oknem trudno było dostrzec cokolwiek oprócz długich czarnych włosów. Kobieta wskazała na drzwi, potem zniknęła.

Kate powoli podeszła do drzwi. Nie była w nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Jednak zdecydowanie, z jakim kobieta pukała, kazało Kate przypuszczać, że nie odejdzie ona tylko dlatego, że się ją zignoruje, a przynajmniej nie nastąpi to od razu. Wzięła zatem głęboki oddech i otworzyła.

Kobieta stała kilka kroków od progu w blasku ulicznej latarni. Rzuciła się w oczy jej niezwykła, niemal niepokojąca uroda: długie czarne włosy, ogromne czarne oczy, delikatna blada twarz. Wyciągnęła idealnie zadbaną dłoń.

– Tak mi przykro, że panią przestraszyłam – powiedziała z uśmiechem. Jej szminka miała głęboką czerwoną barwę i też była nienaganna. Kobieta pokazała w stronę schodów prowadzących do drzwi na górze. – Dzwoniłam tamtym dzwonkiem. Nawiasem mówiąc, chyba się zepsuł. Potem zobaczyłam światło tu na dole. Teraz chciałaby pani pewnie, żebym się przedstawiła i wyjaśniła, dlaczego kręcę się pod pani domem. Jestem Adele Goodwin z komitetu rodzicielskiego w Grace Hall.

– Witam – powiedziała Kate.

Podając przybyłej rękę, zauważyła olbrzymi pierścionek z diamentem i pasującą do niego obrączkę na serdecznym palcu oraz błyszczącą delikatną bransoletkę z brylantami na nadgarstku. Zauważyła również, że kobieta się wzdrygnęła i potarła dłońmi ramiona. To była pierwsza naprawdę zimna noc tego roku.

– Przepraszam, proszę wejść do środka. Strasznie tu zimno – zaproponowała niechętnie.

– Och, jest pani pewna? Nie chciałabym się narzucać. Wiem, że powinnam wcześniej zadzwonić.

Sama też nie cierpię niezapowiedzianych gości.

Nie, nie jestem pewna, miała ochotę powiedzieć Kate. Zwykle czuła się nieswojo wśród rodziców uczniów z Grace Hall. Ludzi z komitetu rodzicielskiego widywała na zebraniach w szkole. Absolutnie nie czuła chęci, by podejmować ich u siebie w domu. To nie były takie matki z komitetu rodzicielskiego, jakie pamiętała z dzieciństwa. Tamte nosiły wyblakłe dzinsy, piekły talerze ciasteczek i własnoręcznie szyły kostiumy na Halloween. Te w większości były kreatywnymi kobietami, architektkami, projektantkami albo pisarkami. Czasem zajmowały się innymi rzeczami, ale zawsze niesamowicie lukratywnymi. Ubierały się modnie i były zdecydowanie odstręczające. Dorosłe cheerleaderki z imponującymi CV oraz gigantycznymi pieniędzmi.

– Nie, nie, nic się nie stało – zapewniła bez przekonania Kate, odwracając się w stronę kuchennego stołu. Zobaczyła, że stosik tych okropnych karteczek wciąż leży pośrodku blatu. Podeszła szybko, zgarnęła je i wrzuciła do szuflady. Gest niezręczny i podejrzany, ale nie miała wyboru. Unikając kontaktu wzrokowego, wskazała Adele Goodwin krzesło. – Proszę usiąść. Właśnie chciałam... Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję. I tak narobiłam dość kłopotu – odparła Adele.

Jej rozpięty teraz płaszcz odsłaniał ładną szmaragdową sukienkę kopertową. Pasowały do niej modne buty na bardzo wysokim obcasie. Na szyi Adele Goodwin miała kilka ciężkich naszyjników. Rozglądała się po kuchni, otwarcie ją oceniając, choć nie sposób było wyczytać z jej twarzy, do jakich doszła wniosków.

– Naprawdę nie chciałabym zabierać pani dużo czasu. Chcieliśmy porozmawiać z panią o kilku imprezach, jakie komitet rodzicielski pragnąłby zorganizować na cześć Amelii. Nie chcieliśmy tego robić bez uzgodnienia z panią.

– Imprezach? – Kate nie spodobało się to słowo.

Imprezy oznaczały tutaj bankiety. Należało zakładać, że rodzice oczekują jej obecności. Kate wypisywała skromne, ale nie żenująco niskie czeki na rzecz Grace Hall, gdy proszono o to rodziców, ale unikała imprez. Jako outsiderka zawsze czuła się obco wśród tego klubowego towarzystwa. Wzięcie udziału w czymś takim teraz było wręcz nie do pomyślenia.

Adele machnęła ręką, potrząsnęła głową i skrzywiła się.

– Imprezy. Przepraszam, okropnie to zabrzmiało – powiedziała i faktycznie wyglądała na zakłopotaną. W jej głosie było coś jeszcze, co wyprowadzało Kate z równowagi. – Proszę mi wybaczyć, to był długi dzień. Miałam kilka spotkań z rzędu i mózg mi paruje. – Znów się uśmiechnęła. Tym razem uśmiech nie był taki uroczy. – Chcielibyśmy uczcić Amelię, organizując aukcję na poświęconą jej tablicę pamiątkową.

– Och – westchnęła Kate, choć miała ochotę odmówić. Chciała powiedzieć tylko jedno: proszę wyjść! – Obawiam się, że nie będę zbyt pomocna. Moja praca... Naprawdę pracuję do późna. – Zawsze z trudnością wyrywała się na szkolne imprezy.

Wymówka równie dobra jak każda inna. Znajoma, akceptowana w towarzystwie.

– Wszystko, czego od pani potrzebujemy, to kilka zdjęć Amelii z dzieciństwa i pani zgoda oczywiście – odparła Adele. Na jej twarz wrócił swobodny, cieplejszy uśmiech, ale widać było, że się denerwuje i czuje się nieswojo. – Proszę mi wierzyć, całkowicie rozumiem problem z pracą. Jest pani prawniczką, prawda? Wspólniczką w firmie?

– Tak – odparła Kate, zastanawiając się, czy to część opowieści o śmierci Amelii: jej matka jest prawniczką.

– Ja też. To znaczy też jestem prawniczką. Teraz pracuję dla Time Warner. Wcześniej pracowałam w dziale korporacyjnym w Detcher, Weiss. – Adele pokręciła głową, jej twarz zeszywniała. – Moje stanowisko wydaje się mniej absorbujące niż pani. Są ludzkie godziny pracy. Mam Zadie, więc potrzebuję tego. Nie wiem, jak udało się pani pogodzić...

Nagle zamilkła, zapewne zdając sobie sprawę z *faux pas*, które niemal popełniła. Bo Kate ewidentnie nie udało się tego wszystkiego pogodzić. Amelia nie żyła, co nie świadczyło o sukcesie Kate jako matki. Adele splotła palce na kolanach, zmieniła pozycję na krześle.

– Mniejsza z tym – powiedziała. Desperacko próbowała zmienić temat. – W której firmie pani pracuje?

– Slone, Thayer – odparła Kate, gorączkowo szukając w głowie jakiejś wymówki, dzięki której natychmiast pozbędzie się Adele.

Pragnęła jej powiedzieć: „Nie musimy tego robić, możesz po prostu sobie pójść”. Próbowała siłą woli sprawić, żeby zadzwonił telefon albo włączył się alarm pożarowy.

– Jestem prawnikiem procesowym.

– Ach! Slone, Thayer! Tak, to jest coś. Praca tam musi być... interesująca. – Adele się skrzywiła. Firma faktycznie miała reputację wyjątkowo bezwzględnej. – Znam parę osób, które poszły tam zaraz po studiach. Nie jest im lekko. Może pani też je zna?

– To wielka firma – powiedziała Kate. Na przerzucanie się nazwiskami z Adele miała jeszcze mniejszą ochotę niż na znoszenie rozmowy o niczym. – W kancelarii w Nowym Jorku są nas setki. Jeśli te osoby nie pracują w dziale procesowym, nie ma szans, żebym je znała.

– Oczywiście. – Adele zatrzepotała rękami. Zrozumiała aluzję. – Chyba powinnam już iść. Może pani przesłać nam zdjęcia, gdy znajdzie pani czas. Och, ale była jeszcze jedna sprawa. Nie chcielibyśmy przesadzić, ale kilkoro uczniów chciałoby uczcić Amelię, upowszechniając w społeczeństwie wiedzę na temat samobójstw. Zamierzają zebrać pieniądze na krajową gorącą linię. Sądzymy, że może to być dla nich istotna część procesu poradzenia sobie z tym, co się stało. Mieliśmy nadzieję...

– Nie – rzuciła Kate. Jej głos zabrzmiał zbyt głośno, niemal jak warknięcie.

– Nie? – Adele wydawała się najpierw wystraszona, potem zdezorientowana, wreszcie trochę poirytowana. – Obawiam się, że nie rozumiem.

– Przepraszam, nie chciałam... Po prostu... – Kate się zawahała. Teraz nie mogła powiedzieć nic

prócz prawdy. – Nie jestem pewna, czy Amelia odebrała sobie życie.

– Co? – Adele zasłoniła szyję palcami. Wydawała się wystraszona.

– Źle się wyraziłam.

Kate machnęła ręką. Powinna milczeć. Na pewno nie chciała, by jej podejrzenia dotarły do członków komitetu rodzicielskiego. Tylko tego brakowało, żeby tłum roztrzęsionych rodziców dzieciaków z Grace Hall zaczął szturmować posterunek. Policja słusznie miałaby do niej pretensje o szerzenie niepokoju.

– To mógł być wypadek. Wciąż pozostały pewne wątpliwości. Gdyby mogła się pani wstrzymać z tym upowszechnianiem wiedzy na temat samobójstw, przynajmniej tym, które ma uczcić pamięć Amelii, byłabym bardzo wdzięczna.

– Jakie wątpliwości? – Oczywiście Adele rozszerzyły się. Nie dała się łatwo uspokoić.

– Naprawdę nie mogę. Policja... Na pewno pani rozumie – odparła Kate z nadzieją, że napomknienie o policji zakończy dyskusję. Ciągłe czuła na sobie baczny wzrok rozmówczynie.

Adele nie zamierzała ustąpić.

– Coś się dzisiaj stało. Może to nic, ale... – zawahała się Kate.

– ...może to coś – dokończyła cicho Adele. Jej oczy lśniły. Przeczesała wzrokiem blat stołu, jakby studiowała coś, co tam napisano. – Tak, oczywiście. Rozumiem.

– Na pewno? – Kate niemal nie wierzyła, że Adele nie próbuje wyciągnąć z niej więcej szczegółów. – Wstrzyma się pani zatem?

– Och, tak, tak. Oczywiście. Proszę nam dać znać, kiedy będziemy mogli wrócić do tego tematu. – Adele gwałtownie wstała i ruszyła do drzwi. Otwierając je, dodała: – I dziękuję za poświęcony mi czas, pani Baron. – Uścisnęła rękę Kate i uśmiechnęła się zdawkowo. – Pani córka była śliczną dziewczyną. Poznałam ją na początku roku, gdy zgłosiła się na ochotnika do pomocy przy Świącie Plonów, taka uprzejma i zaangażowana. Musiała być pani z niej bardzo dumna. I miała też niesamowite oczy. To rodzinne? Oczy o różnym kolorze?

– Wada genetyczna. – Kate próbowała pojąć, w jaki sposób zaczęły o tym mówić. – Zespół Waardenburga. W naszej rodzinie pojawił się pierwszy raz.

– Ach, rozumiem. Jakie to niezwykle – westchnęła Adele, gapiąc się na Kate w niepokojący sposób. Wreszcie odwróciła się na pięcie i ruszyła chodnikiem, unosząc rękę na pożegnanie. – No cóż, były piękne. Po prostu piękne.

26 WRZEŚNIA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Cześć, suki!

Plotka głosi, że Charlie Kugler też jest jedną z nowych Srok, ale mały ptaszek nam powiedział, że jej chłopak z Yale próbuje ją zmusić, żeby odeszła. Chyba chciałby, żeby jego damulka nosiła koronkową bieliznę i takie tam.

Och, i nowinki o lachociągach: słyszałyśmy, że Tempest Bain jest umówiona na wizytę w Renfrew. Oto kolejny dowód, że nikt nie może mieć prawie metra osiemdziesięciu stóp wzrostu, ważyć pięćdziesiąt kilo i nie mieć przy tym jakiegoś zaburzenia żywieniowego.

Wygląda na to, że George McDonnell znów jest na głodzie. Prawdopodobnie dlatego, że w weekend chłopcy w niebieskich mundurkach przymknęli go za palenie zioła na ulicy przy Old Stone House. Hej, George, zapamiętaj sobie, bo twoi rodzice też palą zioło... Palcie towar w domu{:}.

I na koniec nowości o belfrach. W ten weekend Liv Britton znów została wystawiona do wiatru. Uwierzycie? Nie ciągnie mnie do dziewczyn, ale gdyby mnie ciągnęło, nigdy bym cię nie wystawiła, Livy. Musisz zacząć się spotykać z lepszymi facetami. Powinnaś wypróbować paru tatusiów. Możesz mi wierzyć, wszyscy mieliby ochotę.

Facebook

30 WRZEŚNIA

Amelia Baron

ma nadzieję, że jej nie złapią

Chloe Frankel i 2 inne osoby to lubią

Sylvia Golde na czym? Jak się za bardzo podlizuje?

Amelia

30 WRZEŚNIA, 22.12

DYLAN

hej

AMELIA

co słycać?

DYLAN

rozpracowałaś już Zaritskiego?

AMELIA

tak, chyba będzie ok.

DYLAN

jesteś taka wyluzowana

AMELIA

naprawdę?

DYLAN

zwykle ludzie mają pietra

AMELIA

może też powinnam

DYLAN

nie, lubię jak jesteś cool; nara

AMELIA

dobranoc

30 WRZEŚNIA 22.14

AMELIA

nie śpisz?

BEN

nie

AMELIA

Dylan właśnie wysłała mi SMS-a

BEN

naprawdę??? Co napisała?

AMELIA

w sumie nic

BEN

no to super

AMELIA

ech, nieważne

BEN

daj spokój, musiała ci coś napisać

AMELIA

tylko cześć i takie tam

BEN

znowu gierki?

AMELIA

to jakieś przesłuchanie?

BEN

nie chcę, żeby królowa pszczoł cię użądliła

AMELIA

daj spokój

BEN

naprawdę chcesz się z nią przyjaźnić tylko dlatego, że nie wiesz, czy ona chce się przyjaźnić z tobą?

AMELIA

nie rób mi dziś psychoanalizy. Mam stresa.

BEN

no tak: jutro projekt paka?

AMELIA

no

BEN

nie daj się złapać, moja grzeczna niegrzeczna dziewczynko

AMELIA

rany, dzięki. Muszę lecieć.

1 PAŹDZIERNIKA, 7.18

BEN

sorry, nie chciałem wczoraj na ciebie wsiadać za to, że chcesz się przyjaźnić z Dylan

AMELIA

nie szkodzi

BEN

nie chcę żeby cię zraniła. Martwi mnie ta dziewczyna

AMELIA

mnie też

BEN

od razu mi lepiej; uważaj na siebie

1 PAŹDZIERNIKA, 7.37

NUMER ZASTRZEŻONY

gdzie, och gdzie podział się twój tatuś?

Amelia

1 PAŹDZIERNIKA

Pan Woodhouse wciąż gapił się na karteczkę od pana Zaritskiego. Zaritski kazał mi ją zanieść do gabinetu dyrektora jak jakieś oficjalne sprostowanie albo niechcianą paczkę. Może to była standardowa procedura? Co mogłam o tym wiedzieć? Nigdy przedtem nie wysłano mnie do dyrektora. Byłam trochę podenerwowana, a trochę mi ulżyło. Jeśli człowiek nic nigdy nie zrobił źle, to może być dla niego cholernym ciężarem.

Woodhouse podparł policzek ręką i czytał ze spuszczonej powiekami. Nie leciałam na starszych facetów, ale widziałam, że był przystojny. Zdecydowanie ponadprzeciętnie przystojny w tych modnych czarnych okularach i z niesamowicie gęstymi szpakowatymi włosami. Miał też w sobie coś, jakby intensywnej zadumę. Powinnam to lubić w facetach. Lubiłam to w książkach. I w poezji, i na zdjęciach. Podobała mi się myśl, że chłopcy też to mają. W prawdziwym życiu – wręcz przeciwnie.

Nie wiem, czy któraś dziewczyna z Grace Hall podzielała moje zdanie. Większość z nich leciała na pana Woodhouse'a. Robiono nawet zakłady, z którą się najpierw prześpi. Nie czy, ale kiedy. Dylan znajdowała się na liście kandydatek. Nikt nie miał pojęcia, z kim sypiała, więc czemu nie z Woodhouse'em? Zadie też nie wykluczono z tego grona. Jeśli którakolwiek miałaby dość ikry, żeby się przespać z Woodhouse'em, to pewnie ona. Obiło mi się też o uszy imię Sylvii. Sprawilo mi to przykrość, bo mówiono o niej tylko w kontekście tego, z iloma już się przespała. Było mi też trochę przykro ze względu na Woodhouse'a. Kojarzył mi się z wiszącą w powietrzu katastrofą.

– To prawda, co tutaj napisano? – zapytał pan Woodhouse, w końcu podnosząc wzrok znad karteczki. Wciąż podpierał głowę ręką.

– Nie wiem – powiedziałam. – Karteczka jest adresowana do pana. Nie pogwałciłam pańskiej prywatności, nie przeczytałam jej.

Wyszło to bardziej cwanie, niż planowałam. Miałam trzymać się faktów i jak najmniej mówić. Oto pierwsza faza strategii uniknięcia kary w przypadku przyłapania, jaką stosowały Sroki. Na pewno chodziło im przede wszystkim o to, żebyśmy my, koty, niczego o nich nie wygadały, jeśli zostaniemy złapane. Wiedziałam o tym. Nie byłam głupia. Dbały głównie o to, by nikt się nie dowiedział, kim są. Nie mogłyśmy zapisywać ich imion ani numerów w telefonach na wypadek, gdyby ktoś próbował je zidentyfikować na podstawie SMS-ów. Mówiąc o sobie, używały zamiast imion określeń Sroka #1 (Zadie), Sroka #2 (Dylan) i tak dalej. Całość zdawała się trochę paranooidalna, ale działała. Najprawdopodobniej nikt nie wiedział, kim są. Oczywiście złamałam trochę te zasady, wprowadzając imię Dylan do swojej listy kontaktów. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam. Nie zmusiłam też

Bena, by używał określeń Sroka #1 i tak dalej. Nabijałyby się ze mnie, gdybym spróbowała.

– Tu napisano, że przypięłaś opaską zaciskową torbę pana Zaritskiego do jego biurka – powiedział pan Woodhouse. – Zrobiłaś to, Amelio?

– Czy co zrobiłam? – „Na wszystkie pytania odpowiadaj pytaniem”.

Woodhouse długo się we mnie wpatrywał, potem ze zmęczeniem głęboko wciągnął powietrze.

– Posłuchaj, Amelio. Nie wzywałem cię tu dotąd, bo nie miałem powodu. Przejrzałem twoją teczkę, zanim przyszłaś, i jest właściwie nienaganna. Wybitne oceny, dwie nagrody, przewodnicząca klubu francuskiego, wyróżnienia za wyniki w nauce. Nie spóźniłaś się nawet raz. A teraz to? Dlaczego?

Przez chwilę myślałam o tym poranku z przed kilku tygodni, gdy Sylvia opowiadała mi o Ianie Greenie, a ja dostałam zaproszenie od Srok. Tamtego dnia zdecydowanie się spóźniłam. Will spisał moje nazwisko. Ktoś w sekretariacie musiał postanowić, że nie wpisze tego spóźnienia do mojej kartoteki. Sylvia miała rację. Kiedy jesteś bystrym dzieciakiem, dobrym dzieciakiem, Grace Hall sprząta po tobie.

– Czy to znaczy, że zostanę łagodnie potraktowana za pierwsze wykroczenie? – spytałam.

Zmusiłam się do uśmiechu, ale nie byłam pewna, czy dobrze wypadł. Udawanie nie mogło sprawić, że stanę się kimś, kto najpierw robi coś złego, zostaje przyłapany, a potem sobie z tego żartuje.

– W dodatku za dziesięć minut mam test z rachunku różniczkowego i nie chciałabym się spóźnić. Mogę iść?

– Nie. Nie możesz iść, Amelio. Problem tak po prostu nie zniknie. Przynajmniej dopóki mi nie wyjaśnisz, co się dzieje. Pan Zaritski napisał w tej notatce, że kiedy szarpnął torbę, nadwerężył sobie plecy. Ma trzy wysunięte dyski.

– No jasne, że ma. – Przewróciłam oczami.

Kim była osoba, którą próbowałam naśladować? Zadie? Jej nastawienie do życia w stylu „p...dol się” było zaraźliwe. Jakaś mała częśćka mnie pragnęła być taka jak ona albo przynajmniej być traktowana tak jak ona. Nauczyciele, administracja, właściwie wszyscy omijali Zadie szerokim łukiem, przymykali oko na jej drobne potknięcia. Nie uważali jej za niewiniątko, o nie! Oni się jej bali. Mnie nigdy nikt się nie bał.

– Amelio, może pan Zaritski nie jest łatwym człowiekiem – ciągnął pan Woodhouse. Nie lubił Zaritskiego i próbował nieudolnie ukryć ten fakt. – Ale nie jest też taki straszny. A ty przypięłaś jego torbę do biurka. Dlaczego zrobiłaś to teraz i dlaczego jemu? Do tej pory na jego zajęciach dostałaś tylko jedną ocenę, celującą.

Wzruszyłam ramionami. Opaski zaciskowe były pomysłem Srok, nie moim. Stanowiły pierwszy z trzech stopni inicjacji, przez które musiałam przejść, nim oficjalnie zostanę Sroką. Wylosowałam swoje zadania z kapelusza na ostatnim spotkaniu. Spotkania odbywały się dwukrotnie w ciągu tygodnia i raz w weekendy, zawsze o innej porze i w innym miejscu. Niełatwo przychodziło mi wymyślanie tyłu wymówek, by zmylić Sylvię i mamę. Z drugiej strony podobało mi się, że mam jakiś sekret. Spotkania uważałam za fajne; nie do końca jak imprezy, ale prawie. Zwykle któraś dziewczyna przynosiła butelkę

wina, ciągle ta czy inna wychodziła na papierosa. Od czasu do czasu podawałyśmy sobie z ręki do ręki jointa. Nie wzięłam go, kiedy przyszła moja kolej, miałam jednak ochotę. Wciąż nie mogłam się zdecydować, czy chcę oficjalnie zostać Sroką. Na razie robiłam, co mi kazały. Trochę się martwiłam, co zrobi Zadie, jeśli postanowię rzucić to wszystko. Poza tym lubiłam spędzać czas z Dylan.

Dylan i ja naprawdę zbliżyłyśmy się do siebie. Podobało mi się, że mam nową przyjaciółkę, która nie jest Sylwią. Sylvia uznałaby to za absurdalne. A ja lubiłam Dylan nie dlatego, że była piękna i popularna. Przynajmniej nie był to jedyny powód, choć i on się liczył, co nie napawało mnie dumą. Samo jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Dylan miała jakąś tajemniczą energię. Może dlatego, że była aktorką albo kimś w tym stylu? W jednej chwili z nią rozmawiałam, w drugiej jakby zniknęła w jakimś swoim świecie. A gdy się wydawało, że zupełnie przestała zwracać na mnie uwagę, znów ze mną była. To sprawiało, że czas spędzany z nią wydawał mi się... nie wiem... cenny.

Poza tym Dylan i ja miałyśmy ze sobą coś wspólnego. Chodziło nie tyle o to, co lubiłyśmy, ile o to, jak to lubiłyśmy. Ja miałam bzika na punkcie książek i pisania. Dla Dylan takim czymś stały się liczby. Zdecydowanie nie tego można by się spodziewać po dziewczynie, zwłaszcza z jej urodą, ale Dylan była naprawdę świetna z matematyki. I uwielbiała matematykę. W chwilach gdy ja pogrążałam się w jakiejś powieści, ona rozwiązywała zagadki matematyczne i sudoku na poziomie eksperckim. Pokrewne kujonkie dusze. Tyle tylko, że jej kujonstwo rzucało się w oczy o wiele mniej niż moje. Nigdy dotąd nie poznałam kogoś, kto byłby do mnie podobny w ten sposób. Chciałam się z nią spotykać, a na pewno byłyby z tego nici, gdybym została wykopana ze Srok za niewykonanie rozkazów.

Przypięcie torby nauczyciela opaską zaciskową nie było niczym trudnym, zwłaszcza w przypadku Zaritskiego, nauczyciela biologii. Uchodził za geniusza, więc rodzice go uwielbiali. Ja i pozostali uczniowie uważaliśmy go za nadętego buca. Miewaliśmy wrażenie, że Zaritski nie cierpi uczniów. Wkurzał też wszystkich ciągłym narzekaniem. A to pogoda, a to pyłki, jego zatoki, jego kolana, beznadziejne miejsce parkingowe, którego szukał przez czterdzieści pięć minut. Potrafił marudzić bez końca o całym gównie, jakie przytrafiło mu się w życiu. Zupełnie jakby kogoś obchodziły uczucia faceta, który spędzał weekendy na zrywaniu drobnych ogłoszeń przyklejonych w niedozwolonych miejscach i próbach wprowadzenia zakazu używania na chodnikach podwójnych wózków dziecięcych. Wybrałam Zaritskiego, bo sobie na to zasłużył.

Następny kawał – wazelina na kłamce – miał dotyczyć kogoś z dyrekcji. Zaplanowałam: kto i kiedy. Pani Pearl z pewnością zasłużyła sobie na upaćkanie ręki.

Trzecia i ostatnia próba... Wątpiłam, czy uda mi się przez nią przejść. Miałam znaleźć naprawdę głupawego chłopaka – typka, który jest całkiem blady, bo spędza mnóstwo czasu w domu, grając na Xboksie – i udawać na czacie, że jestem dziewczyną, której się podobał. Sroki kazały mi przeciągać tę znajomość i doprowadzić do tego, żeby chłopak wysłał mi swoje nagie zdjęcia. Nie wiedziałam, jak się z tego wywinąć, żeby Zadie nie spuściła mi lania. Czułam, że mam zbyt wiele wspólnego z tego typu chłopakami, by któremuś zrobić coś takiego.

Z drugiej strony kiedyś byłam gotowa przysiąc, że nigdy nie zrobię czegoś takiego, co przecież zrobiłam Zaritskiemu. Wykonanie okazało się łatwe. Wyrzutów sumienia nie miałam. Widziałam, jak wchodzi do toalety ze swoimi krzyżówkami. Typowy poranek, żartowali wszyscy: zawsze dokładnie o tej samej porze i zawsze na co najmniej dziesięć minut. Była druga przerwa na lunch, więc korytarze świeciły pustkami. Ktoś musiał mnie jednak gdzieś zobaczyć. Nie trwało długo, nim Zaritski skojarzył fakty.

Woodhouse wciąż się we mnie wpatrywał, czekając, aż coś powiem. Według Srok miałam przejść do fazy drugiej planu Uniknij Kary, Jeśli Cię Złapią – histerycznego płaczu – tylko jeśli trzymanie buzi na kłódkę totalnie nawali. Z uniesionych brwi pana Woodhouse’a wyczytałam, że faza pierwsza nie okazała się sukcesem. Z całą pewnością nie dam rady udawać hysterii. Po prostu nie byłam zdenerwowana. Parę tygodni temu przysięgłabym, że gdybym siedziała w gabinecie dyrektora, od razu bym się poryczała.

– Jakie są dowody, że to zrobiłam? – spytałam, naśladując mamę. – Nie potrzebuje pan dowodów?

– Pozwól, że cię o coś zapytam, Amelio – powiedział Woodhouse, przyglądając się badawczo mojej torbie. – Czy jeśli tam zajrzę, znajdę opaski zaciskowe?

Dlaczego ich nie wyrzuciłam? Wydawało mi się, że jeszcze się na coś przydadzą. Skończona idiotka ze mnie! Moja działalność przestępcza miała się zakończyć, zanim się na dobre zaczęła.

– Nie – odparłam, mocniej ściskając torbę i zastanawiając się gorączkowo, co zrobię, jeśli spróbuje mi ją zabrać i zajrzeć do środka.

– Posłuchaj, Amelio. Bez względu na to, co w tych okolicznościach wydaje mi się słuszne, pan Zaritski nie puści tego płazem. – Woodhouse podparł głowę ręką. Wydawał się przekonany, że powiem mu wszystko, co tylko chciał wiedzieć. Że to jedynie kwestia czasu. – Musimy się zastanowić, jak możesz mu to zrekompensować. Zaczniemy od tego, że się przyznasz.

Faza trzecia. Rzuć się na miecz, weź pełną odpowiedzialność i zaakceptuj karę. I nigdy, przenigdy nie wspominaj o Srokach. Bo jeśli to zrobimy, powiedziano nam, zostaniemy wydalone z klubu – co brzmiało tak, jakby wiązało się jeszcze z czymś znacznie gorszym.

– W takim razie dobrze, powiem panu Zaritskiemu, że go przepraszam albo coś w tym stylu.

– To na początek – powiedział pan Woodhouse, jakby nawet nie dosłyszał, że przyznałam się do winy. – Ale, Amelio, to do ciebie niepodobne. Nie wpadłaś na to sama. Wiem, że nie.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Naprawdę?

– Tak – stwierdził Woodhouse. – Nie proszę cię, żebyś zdradziła czyjeś zaufanie. Rozumiem, jakie to bywa trudne. Ale chcę, żebyś się zastanowiła, czy dziewczyny, które cię w to wplątały, naprawdę są twoimi przyjaciółkami. Czy naprawdę leży im na sercu twoje dobro.

– Pewnie – odparłam, starając się nad tym nie rozwodzić. Nie chciałam niechący potwierdzić istnienia Srok. – Dobrze.

Nagle Woodhouse zaczął mi się przyglądać, jakby był jakimś terapeutą. Jakbym była dzieciakiem na

skrajną załamania. Tak wygląda życie, jeśli jest się grzecznym. Najpierw nie wierzą, że w ogóle zrobiłaś coś złego; potem, gdy dojdą do tego, że jednak zrobiłaś, myślą, że masz załamanie nerwowe.

– Posłuchaj. Rozumiem, że większość czasu po szkole spędzasz sama. Że twoja mama dużo pracuje i jesteście tylko wy dwie – ciągnął Woodhouse. – Te grupy werbują ludzi, którzy czegoś szukają, bo wiedzą, że łatwiej nimi manipulować.

– Niczego nie szukam – zapewniłam.

Mówiłam prawdę, z tym że z jakiegoś powodu wydało mi się to kompletnym kłamstwem.

Woodhouse zmarszczył brwi, spuścił wzrok, pokiwał głową.

– Dobrze, Amelio – powiedział w końcu. Wydawał się niemal smutny. – Uczyłem w wielu szkołach, w wielu różnych miejscach... Zawsze jest tak samo. Małe szanse, że dobry dzieciak, taki jak ty, pozostanie dobry. Taka jest prawda, nawet w Grace Hall.

Zaczynał działać mi na nerwy. Nie chciałam, żeby próbował wejść do mojej głowy. Miałam ochotę powiedzieć mu, żeby przestał, ale przyznanie mu racji było najszybszym sposobem, żeby to zakończyć i wydostać się z gabinetu.

– Pewnie, chyba tak – wzruszyłam ramionami.

– W każdym razie chciałem tylko powiedzieć, że Sroki nie są rozwiązaniem. Niektóre z tych dziewczyn... – Woodhouse się zawahał. Uniósł ręce, jakby chciał się poddać, potem jego twarz złagodniała. – Każda z osobna jest miła. Przynajmniej większość z nich. Jako grupa nie potrafią... – przerwał, jakby szukał właściwych słów – ...ocenić sytuacji. Chcę, żebyś to dostrzegła, zanim będzie za późno.

Woodhouse do tej pory udawał głupiego. Jak się okazało, wiedział wszystko o Srokach. Mówił nawet tak, jakby wiedział, kto należy do grupy. Wyczuwałam w tym pułapkę.

– Naprawdę powinnam wrócić na zajęcia. To znaczy... mogę? Przepraszę pana Zaritskiego. Zostanę po lekcjach albo przyjmę karę czy co tam... Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

– Dobrze, Amelio, możesz iść – zgodził się Woodhouse, wyraźnie przybity.

To była moja szansa. Musiałam wyjść, zanim zmieni zdanie. Zerwałam się na równe nogi.

– Porozmawiam z Zaritskim. Przeprosiny mogą nie wystarczyć, choć na pewno będzie to dobry początek. Tym razem nie wpiszemy tego do twoich papierów. Następnym razem, Amelio, sprawy przybiorą inny obrót.

– Dziękuję, panie Woodhouse. – Rzuciłam się do drzwi.

– I Amelio! – zawołał. – Mówiłem poważnie, że powinnaś być ostrożna. Czasem trudno poznać, jak szybki jest prąd, dopóki nie znajdziesz się przy wodospadzie.

Po szkole siedziałam w dusznym boksie w prawie pustej pizzerii Roma i czekałam, aż Sylvia wróci z naszym zamówieniem. Wciąż byłam trochę nakręcona po zajściu z Zaritskim, zwłaszcza gdy

wydostałam się z gabinetu Woodhouse'a z uczuciem, że misja wykonana. Wszystkie te lata spędzone z nosem w książkach naprawdę dały mi w Grace Hall coś w rodzaju pola ochronnego.

Sylvia wracała akurat z dwoma porcjami pizzy, gdy mój telefon zaczął wibrować. Przyszedł SMS. Wyszarpnęłam komórkę z torby, by go przeczytać, zanim Sylvia dotrze do stolika. Wysłano go z zastrzeżonego numeru, co oznaczało, że to jedna ze Srok.

Impreza, @ Sroka #2. Odłóż pizzę, olej puszczałką. Damy ci stracić cnotę.

Od Zadie. Potrafiłam to poznać, chociaż numer był zastrzeżony. Już wcześniej nazwała Sylwię puszczałką. Jasna cholera, skąd Zadie wiedziała, że jestem dziewicą? Ale nie, chwileczkę. Nie mogła wiedzieć. Nie wiedziała. Pewnie chodziło jej o moją pierwszą łączoną imprezę. Musiałam się uspokoić. Wcześniej mówiła, że gdy my, koty, wykonamy pierwsze zadanie, pójdziemy na wspólną imprezę Srok i Wolf's Gate. Sroka #2 to była Dylan. Imprezy u Dylan nie chciałabym przegapić. Wsunęłam telefon z powrotem do torby.

– Dlaczego zawsze musi być taka gorąca? – powiedziała Sylvia, rzucając dwa zatłuszczone papierowe talerze na stół i machając rękoma. – To zdecydowanie najlepsza pizza w tej okolicy, ale mówisz im, żeby „nie była taka gorąca”, a oni grzeją jeszcze bardziej.

Na szczęście Sylvia prawdopodobnie nie zauważyła, że czytałam SMS. Siedząc, skupiła się wyłącznie na tym, by swoimi elektryzująco niebieskimi paznokciami ułożyć równo pokryte serem kwadraciki. Zawsze tak kazała kroić swoją pizzę, zupełnie jakby miała trzy latka. Ponad jej głową przez kwiaty wymalowane na szybach lokalu spojrzałam na Yogo Monster i sklep z alkoholem po drugiej stronie Siódmej Alei. Spodziewałam się zobaczyć tam obserwującą mnie Zadie. Dojrzałam tylko dużą grupę mam z wózkami i małymi dziećmi.

– No więc wiem, że Ian chce się ze mną spotykać, ale to nie znaczy, że chce być moim chłopakiem albo coś w tym stylu – powiedziała Sylvia, podejmując monolog o Ianie właściwie w tym samym miejscu, w którym go przerwała, gdy poszła po nasze pizze. Wsunęła kolejny kwadracik do ust, po czym sprawdziła, czy nie przyszły jakieś SMS-y. Sądząc po jej zawiedzionej minie, żadnego nie dostała. – Powiedział mi, że nigdy nie śpi dwa razy z dziewczyną, która chodzi z nim do tej samej szkoły. Więc to, że spał ze mną parę razy, musi coś znaczyć, prawda?

Oderwałam wzrok od okna, gdy poczułam, że na mnie patrzy.

– Mmm, no tak – mruknęłam.

Po jej grymasie zorientowałam się, że okazałam za mało entuzjazmu. Ian Greene wydawał się strasznie lecieć na Sylwię. Oczywiście jej dzikość, którą wszyscy chłopacy tak uwielbiali, nie zmieniła się jeszcze w kompletne wariactwo.

– To znaczy tak, jak najbardziej. Oczywiście.

Jej twarz rozluźniła się trochę.

– Naprawdę tak myślisz?

– Pewnie. Nikt nie sypia dwa razy z kimś, kto chodzi do tej samej szkoły, jeśli nie myśli, że to może być to – odparłam, choć wszystko, co wiedziałam na ten temat, w rzeczywistości wyczytałam w gRaCeFULLY. – Od tego się robi za duży bajzel. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Ian. Po co miałyby robić sobie kłopot? Mógłby przecież wszędzie poznawać nowe dziewczyny.

Sylvia pokiwała głową, ale wydawała się zmartwiona. Mój telefon zaczął wibrować. Kolejny SMS. Próbowałam dyskretnie go sprawdzić, ale Sylvia patrzyła prosto na mnie.

NUMER ZASTRZEŻONY

Nie spóźnij się!

– Kto to? Ten twój najlepszy przyjaciel Ben? – Sylvia przewróciła oczami. – Mówię ci, ten facet ma o wiele za dużo wolnego czasu, że tak ciągle do ciebie esemesuje. Jakiś luzer?

– Mam czas, żeby mu odpisywać – odparłam. – Niby ja też jestem luzerką?

– Nie ja to powiedziałam. – Wzruszyła ramionami.

Zmarszczyłam brwi.

– Słuchaj, nie miej do mnie o to pretensji – prychnęła. – To ty się zadowalaszy cyberseksem.

Poczułam straszną ochotę, by podsunąć jej swój telefon pod nos. Chciałam powiedzieć, że to ona jest luzerką, nie ja. Dostałam zaproszenie od Srok. One nie rekrutują luzerów. Na ten temat musiałam milczeć. Źle się z tym czułam. Było mi źle nawet z tym, że przechwalałam się Srokami przed samą sobą. Sylvia nie udawała. Gdy coś jej nie pasowało, dogryzała mi. Po prostu taka była. Przypomniały mi się te głupie SMS-y na temat mojego taty. Byłam niemal na sto procent pewna, że to ona mi je przysłała. Głupi żart.

– O co chodzi z tymi SMS-ami o moim tacie? – spytałam. Poruszyłam ten temat i stałam się jeszcze bardziej wkurzona. Kompletnie popieprzony kawał. – Wydaje ci się to zabawne?

– O czym mówisz? – Sylvia próbowała zgrywać niewiniątko i całkiem nieźle jej to wychodziło.

– Daj spokój. Wiem, że to byłaś ty.

– Pokaż mi to. – Sięgnęła po mój telefon. – Nie przysyłałam ci żadnych SMS-ów o twoim tacie.

Natychmiast wrzuciłam telefon z powrotem do torby. Nie dam jej go przecież do ręki! Co by było, gdyby przyszedł akurat kolejny SMS od Zadie?

– Nie wymyśliłam sobie tego – powiedziałam.

– Nie mówiłam, że wymyśliłaś.

– W ostatnim SMS-ie było napisane „Twoim tatą nie jest ten, kto myślisz”.

– I był wysłany z mojego numeru?

– Nie, z zastrzeżonego.

– I pomyślałaś, że ja ci go przysłałam? – Sylvia zrobiła obrażoną minę. – Dzięki.

– Chyba miałam nadzieję, że to ty – mówiłam prawdę. Teraz zdałam sobie z tego sprawę.

Sylvia zdecydowanie tego nie zrobiła. Byłam pewna. Kompletnie nie umiała kłamać. Gdyby nie mówiła prawdy, na pewno bym się zorientowała. SMS mógł być od Zadie albo innej Sroki. Nie było

žadną tajemnicą, że nie mieszkam z tatą. Fakt, że nigdy go nie poznałam, zatrzymałam dla siebie. Właściwie tylko Sylvia o tym wiedziała.

– Co powiedziała na to twoja mama?

– Na co?

– No, na ten SMS. – Spojrzała na mnie tak, jakbym specjalnie udawała głupią.

– Nie powiedziałam jej – odparłam z lekkimi wyrzutami sumienia.

– Dlaczego?

Oczywiście zastanawiałam się, czy tego nie zrobić, ale najpierw chciałam się dowiedzieć, kto mi wysyła te SMS-y. Gdyby były od Sylvii, moja mama pewnie chciałaby przeprowadzić przykrą dla wszystkich rozmowę z jej mamą. Gdyby nie były od Sylvii, moja mama zadzwoniłaby do szkoły, by powiedzieć, że ktoś mnie prześladowa. Za moment porozmawiałaby o tym z Woodhouse'em, a on powiedziałby jej wszystko o Srokach.

– Nie powiedziałam mamie, bo myślałam, że były od ciebie.

– No tak, zapomniałam. Fajnie.

– W każdym razie ostatni SMS był od mojej trenerki. Zostawiłam buty od hokeja na boisku. Muszę po nie wrócić.

Sylvia wydawała się trochę zraniona.

– Ale wrócisz, prawda?

Sprawdziłam godzinę.

– Mam jutro test z biologii. Pewnie nie.

– Och, dobrze – westchnęła Sylvia. – Zanim sobie pójdziesz, czy mogłabyś chociaż... Tak w skrócie: myślisz, że nie powinnam dzwonić do Iana, prawda? Powinnam poczekać, aż mi odpisze na SMS?

Dylan mieszkała przy Drugiej, niedaleko parku, w kamienicy z elewacją z piaskowca, która przypominała naszą, z tym że kamień był biały, a nie czerwony. Od frontu stała tu niby fajna, ale trochę przyprawiająca o ciarki rzeźba, małe drzewko z dłońmi zamiast liści na końcach gałęzi. Stałam u dołu schodów i gapiłam się na tę rzeźbę, gdy drzwi się nagle otworzyły. Na górze pojawiła się Dylan boso, w luźnej sukience i ze sznurkami koralików na szyi. W ręce trzymała papierosa. Wyglądała z nim dziwnie, jakby to był rekwizyt teatralny.

– No chodź, chodź – powiedziała, machając mi ręką. – Jesteś jednym z honorowych gości.

Dotarłam na szczyt schodów. Dylan zgasila papierosa, wzięła mnie pod ramię i poprowadziła do środka. Salon wypełniały po brzegi antyki, bibeloty i ciała – chłopcy i dziewczyny leżeli na kanapach albo na podłodze. Wypełniał go też dym – marycha, papierosy. Większość ludzi trzymała w rękach piwo. Musiałam przystanąć, bo Dylan pociągnęła mnie lekko do przodu w stronę kuchni.

– Wyglądasz, jakbyś nigdy nie widziała imprezy – śmiała się, podchodząc do lodówki i wyjmując z niej brooklyn lager.

Bywałam wcześniej na imprezach – takich z noclegiem, oglądaniem filmów, na imprezach urodzinowych, nawet na takich z chłopakami i dziewczynami. Ale nigdy na takiej jak ta.

Dylan zdjęła kapsel i podała mi piwo, jakby to była guma do żucia. Wzięłam je. Albo raczej musiałam to zrobić, bo butelka znalazła się w mojej ręce. Była zimna, wilgotna i cięższa, niż się spodziewałam. Chwyciłam ją mocno, żeby niechcący jej nie wypuścić. W święta piłam wino i z Sylwią raz łyknęliśmy wstrętnej whiskey jej ojca. Nigdy dotąd nie piłam piwa. Gapiłam się na butelkę, gdy do kuchni wparowała Zadie. Sprawiała wrażenie pijanej. Może po prostu była bardziej wkurzona niż zwykle?

– Uch! – stęknęła, osłaniając oczy, jakby mój widok ją oślepił. – Jest nasza słodka paniusia! No, pięknie!

– Bądź miła, Zadie – powiedziała Dylan, nie fatygując się nawet, żeby na nią spojrzeć. – Mówiłaś, że będziesz.

Zadie wyciągnęła dwa piwa z lodówki i zatrzasnęła ją biodrem. Dylan wzdrygnęła się na ten dźwięk, ale się nie odwróciła.

– Miła? – warknęła Zadie, wciąż gapiąc się na mnie ze złością.

Upiłam duży łyk piwa, starając się nie zakrztusić.

– Tak, miła – odparła Dylan. – Obiecałaś.

– Mówiliśmy nie o „byciu miłym”, tylko o „niebyciu wrednym”. – Zadie podeszła do Dylan. Pochyliła się, żeby szepnąć jej coś do ucha, ale Dylan odsunęła głowę. – Jeżeli wezmę pod uwagę, co naprawdę myślę o naszej słodkiej paniusi, wydaje mi się, że jestem, kurwa, wręcz czarująca.

Słodka paniusia? Zadie naprawdę mnie nienawidziła. Dlaczego? Prawie się nie znałyśmy. Z każdym kolejnym spotkaniem Srok stawało się coraz bardziej oczywiste, jak głęboko mną gardzi. Dylan zaczęła być dla mnie szczególnie miła, żeby mi to zrekompensować, i dopiero wtedy postanowiłam zostać. Powiedziała nawet, że przypominam jej ją samą, gdy chodziła do drugiej klasy. Miło myśleć, że widzi coś, co nas łączy, nawet jeżeli rzuciła to ot tak.

Przełknęłam kolejny łyk piwa, wstrzymując oddech, żeby nie musieć czuć smaku.

– Ja też jakoś nie przepadam za twoją jebitną baleriną, wiesz? – mruknęła Dylan, krzyżując ręce na piersi. Wydawała się rozdrażniona. – Ale nie wyzywam się na niej z tego powodu.

„Twoją jebitną baleriną”. Czy to znaczy, że ja byłam jej „słodką paniusią”? Zastanawiałam się, kto właściwie wybrał mnie do Srok.

Zadie wciąż kręciła się przy Dylan. Powoli wyciągnęła rękę i delikatnie odgarnęła kilka kosmyków jej włosów za ucho.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła Dylan, odtrącając rękę Zadie.

– Humorki, humorki – odparła Zadie ze złośliwym uśmiechem. Potem uniosła ręce, w każdej miała piwo, i kołysząc biodrami, ruszyła do drzwi. – Uważaj, słodka paniusiu, ona gryzie.

Wtedy w drzwiach do kuchni pojawił się Carter. Wydawał się skołowany i zdenerwowany. Ucieszyłam się na jego widok. Zanim spojrział w moją stronę, natarła na niego Zadie.

– Tu jesteś! – zawołała, przywierając do niego biodrami i mocno przyciskając usta do jego ust. Gdy wreszcie zabrakło jej tchu, Carter wyglądał na zamroczonego. Złapała go za rękę i pociągnęła w stronę salonu, rzuciwszy nam znaczący uśmiech. – Na razie, drogie panie!

– Nie jest taka straszna, jak się wydaje – odezwała się Dylan po wyjściu Zadie. Nie brzmiało to przekonująco. – Trzeba ją dobrze poznać. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Przez długi czas miałam wrażenie, że jest moją jedyną przyjaciółką.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Roześmiałam się cicho, choć zdecydowanie nie wyglądało na to, by żartowała. – Masz milion przyjaciółek.

– Nie takich, które naprawdę mnie znają – odparła Dylan, której zaszkliły się oczy. – Nie tak, jak zna mnie Zadie.

– Chciałabym cię naprawdę poznać. – Poczułam rumieniec wypływający mi na policzki, lecz i tak byłam zadowolona, że to powiedziałam.

– Chodź – powiedziała Dylan, uśmiechnęła się i wzięła mnie pod rękę. – Chcę ci pokazać coś na górze.

Ruszyłam za nią przez salon ku skrzypiącym, ciemnym schodom. Choć układ jej domu bardzo przypominał układ mojego, nie mogłyby się bardziej od siebie różnić. Jej był wręcz zawałony, pełen bogatych mebli i różnych przedmiotów, niemal ocierał się o zły smak. Przypominał plan filmu na podstawie powieści Jane Austen. Idąc na górę, obejrzałam się przez ramię. Wtedy dostrzegłam Iana Greene'a siedzącego na kanapie. Kto siedział obok niego? Dziewczyna, bez dwóch zdań. Byłabym gotowa przysiąc, że to Zadie. Wydawało mi się, że poznaję jej spiczaste buty i krótką spódniczkę w szkocką kratę. Ian trzymał rękę na nodze Zadie? Przecież dopiero co całowała się w kuchni z Carterem! Nie mogła go tak szybko spławić. Nie mogłam zawrócić i sprawdzić, bo Dylan pociągnęła mnie za rękę i straciłam ich z oczu.

– No chodź – powiedziała, trochę się drocząc, a trochę tracąc cierpliwość. – Pospiesz się!

Gdy się obejrzałam, Iana nie było, zniknął razem z resztą salonu.

– Czy wszystkie chłopki tutaj są z Wolf's Gate? – spytałam, gdy znalazłyśmy się u szczytu schodów. Staralam się, by brzmiało to nonszalancko.

– Tak. Większość z nich jest w porządku. Nieliczni to dupki. – W jej głosie pobrzmiwało znudzenie. Wskazała na jakieś drzwi mniej więcej w połowie korytarza. – Idziemy tam.

Weszłyśmy do małego gabinetu z wielkim mahoniowym biurkiem i reprezentacyjnym skórzanym krzesłem. Na wszystkich ścianach były regały z książkami, starymi, oprawionymi w skórę, z ozdobnymi złoceniami. Nie były to nowe książki zrobione tak, żeby wyglądały na stare. To były stare, bardzo stare książki.

– Wow! – zawołałam, podchodząc bliżej. Cała klasyka. *Odyseja*, *Moby Dick*, *Boska komedia*. – To niesamowite!

– Nikt ich nie czyta – wyjaśniła Dylan, jakby nie chciała wprowadzać mnie w błąd. – Mój tata jej

kolekcjonuje. Białe kruki też. – Wyciągnęła jedną z książek, leżącą samotnie na półeczce. – Takie jak ten.

Niepewnie wzięłam z jej rąk książkę. Bałam się, że obleję ją resztką piwa. Było to pierwsze wydanie *Słońce też wschodzi*.

– Wow! – powtórzyłam. Sama słyszałam, że zabrzmiało to strasznie głupio, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Ta książka była naprawdę niesamowita.

– W każdym razie pomyślałam, że może ci się tu spodoba – stwierdziła Dylan, odbierając mi *Słońce też wschodzi* i odkładając na półkę. Nagle stała się chłodna, ten ciepły uśmiech, który mnie prowadził na górę, zniknął. Uraziłam ją, ale nie miałam pojęcia, w jakim momencie. – Właściwie muszę iść – dodała Dylan, szybko odwracając się do drzwi. – Jak chcesz, możesz tu zostać i się trochę rozejrzeć. Ja powinnam coś zrobić. Zobaczymy się na dole za parę minut.

I już jej nie było. Zostałam sama w bibliotece Dylan z niemal pustą butelką piwa w ręce i mnóstwem pytań w głowie. Nie miałam pojęcia, co się stało, a tym bardziej jak to naprawić. Nie rozumiałam, co się właściwie dzieje między mną a Dylan.

Gdy tylko dotarłam do domu, napisałam do Bena.

AMELIA

Poszłam dziś na pierwszą imprezę z chłopakami.

BEN

I co, rozpusta?

AMELIA

Coś w tym stylu.

BEN

Seks, dragi

AMELIA

No

BEN

Domyślam się, że sobie odpuściłaś

AMELIA

W sumie tak; Dylan była dla mnie bardzo miła

BEN

To dobrze

AMELIA

Potem nagle jej się odmieniło

BEN

Niedobrze. Czemu?

AMELIA

Nie wiem. Ty mi powiedz

BEN

Co ja wiem o dziewczynach? Wszystkie jesteście pokręcone. Dlatego trzymam się chłopaków

AMELIA

Jesteś do niczego

BEN

:)

Odłożyłam telefon, przewróciłam się na drugi bok i otworzyłam *Do latarni morskiej*. Nie musiałam jeszcze raz czytać tej powieści, żeby napisać wypracowanie z angielskiego. Znałam całą książkę niemal na pamięć. Virginia Woolf była moją bohaterką. Nie dlatego, że weszła do rzeki z kieszeniami pełnymi kamieni, choć taki sposób odebrania sobie życia miał pewien styl. Dlatego że była niesamowicie utalentowana i była tym, kim pragnęła być, choć świat mówił jej, by była kimś innym.

Jakaż była niepozorna na tle Paula! On – płonący i rozjarzony; ona – stojąca z boku i ironiczna; on – wypływający na morze przygody; ona – na kotwicy u brzegu... 2.

Virginia Woolf, *Do latarni morskiej*

Odłożyłam książkę i spojrzałam na zegar. Dochodziła dziesiąta. Parę minut po ósmej dostałam SMS-a od mamy. Pisała, że niedługo wraca do domu, ale żebym nie czekała na nią i zjadła. Zamówiłam dla niej sushi. Gdyby nie to, poszłaby spać bez kolacji.

Od kiedy nie było z nami Leelah, często jadałam sama, zwykle trzy, cztery razy w tygodniu. Dania japońskie, chińskie, tajskie. Nigdy hinduskie – po nich za bardzo bym tęskniła za gotowaniem Leelah. Przez większość czasu nie było aż tak źle. Ludzie z barów z jedzeniem na wynos znali mój adres na pamięć i mówili mi rzeczy w rodzaju „dla ciebie wszystko”.

Nie winałam mamy za to, że musi pracować. Musiała dobrze wykonywać to, co do niej należało. Najczęściej byłam z niej dumna. Mimo tego od czasu do czasu czułam się samotna. To nie oznaczało, że „czegoś szukałam”, jak twierdził Woodhouse. Uważałam, że jest mi dobrze tak, jak jest.

Poza tym miałyśmy swoje piątkowe kolacje i żadnej z nas nie wolno było tego odwołać. Nigdy. Próbowaliśmy razem jeść drugie śniadanie w soboty. W niedzielę wieczorem zawsze przytulałyśmy się na sofie, oglądając jakiś film. W weekendy robiłyśmy też inne rzeczy w zależności od moich prac domowych, treningów hokeja i tego, ile mama miała pracy. No i od pewnego czasu w zależności od moich spotkań ze Srokami. Chodziłyśmy do muzeów albo robiłyśmy sobie manikiur. Raz chodziłyśmy po Manhattanie i jadłyśmy ciastka w różnych kawiarenkach. Latem spędzałyśmy razem tydzień gdzieś nad morzem – na Fire Island, Block Island, Nantucket. Wiedziałam, że mama chętnie spędzałaby w ten sposób ze mną więcej czasu, gdyby tylko mogła.

Kilka minut później usłyszałam, że na dole otwierają się drzwi i mama skrada się po schodach. Pewnie bała się, że mnie obudzi. Wreszcie otworzyła drzwi mojego pokoju i wsunęła głowę do środka. Ciemnoblond włosy związała nisko w kucyk, na nosie miała okulary w twarzowych szylkretowych oprawkach. Wyglądała na wykończoną, pod jej niebieskimi oczami zauważyłam ciemne podkówki. Ale i tak była ładna. Moja mama zawsze była ładna. Nie w stylu mamuśki, którą każdy facet chętnie by

przeleciał, to by było upokarzające. Moja mama była zwyczajną mamą, tyle że ładną.

Pomachałam ręką, nie odrywając głowy od poduszki, żeby wiedziała, że nie śpię.

– O, cześć! – Uśmiechnęła się, przyjemnie zaskoczona. – Nie obudziłam cię, prawda?

– Nie. – Usiadłam i odłożyłam książkę na stolik. – Czytałam.

– *Do latarni morskiej* czytałaś chyba kilka razy?

Cała mama. Ktoś inny mógłby bywać w domu o wiele częściej, a i tak zauważyłby o wiele mniej.

Może nie przypominałyśmy za bardzo bohaterki serialu *Leave It to Beaver*, ale było nam ze sobą dobrze.

– Tak, z dziesięć razy. Mam napisać wypracowanie na angielski. Przeglądałam ją sobie tylko, żeby zdecydować, o czym napiszę.

– Nie powinnaś chodzić na inne zajęcia z angielskiego? – zapytała mama. – Uznałyśmy, że jeszcze jedno zajęcia o poszerzonym profilu to by było zbyt wiele, ale nudzić się też nie jest dobrze. – Wydawała się przejęta. – Płacimy dużo pieniędzy za tę szkołę. Powinni być w stanie zaspokoić twoje potrzeby.

– Mamo, zajęcia są dobre, naprawdę. Liv to moja ulubiona nauczycielka. – Wzruszyłam ramionami. Mama taka była, strasznie się nakręcała z powodu niezbyt ważnych rzeczy. Przez poczucie winy. Wiedziała, że za rzadko bywa w domu. Zawsze była gotowa wziąć moją stronę, we wszystkim. Nawet w tym, w czym wcale nie potrzebowałam pomocy. – Poza tym mam parę pomysłów, jak sprawić, żeby to wypracowanie było bardziej interesujące.

– Obiecuj, że powiesz mi, jeśli coś nie będzie w porządku – poprosiła z powagą. – Z zajęciami albo z czymkolwiek innym.

Wtedy pomyślałam o tacie. Nie sądziłam, by osoba, która wysyłała te głupie SMS-y, naprawdę wiedziała cokolwiek o nim albo o mnie. Ale te wiadomości sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, kim naprawdę jest mój tata i co się z nim dzieje.

Podobno mama poznała go pewnego wieczoru piętnaście lat temu. „Jakiś chłopak z baru”, powiedziała o nim. Ich drogi się przecięły, kiedy on wyjeżdżał właśnie do Afryki, żeby pomagać ludziom. To było super myśleć, że mój tata to taki człowiek. Tyle że na takiego faceta moja mama raczej by nie poleciała. W typie mojej mamy był Seth: supermiły, bystry i sztywny. Ale Seth jest gejem. Właściwie cała ta historyjka nie miała żadnego sensu. Moja mama nie chodziła do barów. Nigdy. Prawie w ogóle nie piła. Nie wiem, kiedy przestałam w to wszystko wierzyć. Chyba jakoś stopniowo. Poza tym nigdy jakoś szczególnie nie zależało mi na dotarciu do prawdy. Myślałam, że gdyby mój tata był kimś, kogo warto poznać, odszukałby mnie dawno temu.

A potem przyszły te SMS-y.

Nie chciałam się nimi przejmować, lecz nie dawały mi spokoju. Chciałam powiedzieć mamie, że nie musi mnie chronić, że poradzę sobie z prawdą o swoim tacie. Nie mogłam tego zrobić. Patrzyłam na jej zmęczone oczy, na to, jak się do mnie uśmiecha, jakby chciała sprawić, żebym poczuła jej miłość... Nie mogłam tego wszystkiego zniszczyć. Nie chciałam, by mama pomyślała, że mi nie wystarcza. Poza tym bałam się trochę, że wkurzy mnie to, co powie. Że wkurzę się na nią.

Do tego były inne, ważniejsze rzeczy, o których chciałam z nią pogadać. Potrzebowałam rady. Oczywiście nie mogłam wspomnieć o tajnych klubach. Moja mama wparowałaby do Grace Hall w środku nocy i rozwaliałaby szkołę, cegła po cegle. I na pewno z miejsca znów by zatrudniła Leelah. A to by oznaczało koniec Srok i spotkań z Dylan. Musiałam zadać jej pytania w sprytny sposób.

– Należałaś w college’u do jakiejś korporacji studentek?

Korporacja studentek, tajny klub. To bezpieczny pretekst, by zadać jej większość ważnych dla mnie pytań.

– Korporacji studentek? – Mama w pierwszej chwili wydawała się zdezorientowana, potem jakby zakłopotana. – Tak, obawiam się, że tak. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że właściwie wszyscy z Duke do jakiejś należeli. Nie miałam wyboru.

– Było fajnie? To znaczy byłaś zadowolona, że to zrobiłaś?

– Zadowolona? – Zmarszczyła czoło i przysunęła palec do ust. – Raczej nie użyłabym tego słowa. Udało mi się przetrwać, ujmijmy to w ten sposób.

Zabawnie było wyobrazać sobie mamę na czymś w rodzaju spotkania Srok. Jeśli ja byłam świętoszkiem, to moja mama była prawdziwą świętą.

– Jak wyglądały twoje otrzęsiny? – spytałam, czując łączącą mnie z nią dziwną więź.

– Chwileczkę. Skąd te wszystkie pytania o korporacje studentek? Nie chcesz chyba wcześniej wyfrunąć do college’u?

– Nie – zapewniłam, gorączkowo szukając jakiejś wymówki. – Piszę wypracowanie o korporacjach studentek. Na zajęcia „Moralne kontrowersje w Stanach Zjednoczonych”.

Wow! Skąd to wytrzasnęłam? Stawałam się coraz lepsza w kłamaniu.

– Moralne kontrowersje w Stanach Zjednoczonych? Chyba nie słyszałam o takich zajęciach...

– Słyszałaś. Byłaś ze mną, kiedy je wybierałam.

– Naprawdę? – Wydawała się zdezorientowana. – Chodzisz jeszcze na normalne zajęcia, takie jak matematyka?

Przewróciłam oczami.

– Daj spokój, mamo.

– No cóż, jeśli potrzebujesz tego do wypracowania... Szczerze mówiąc, uważam, że korporacje studentek są złe. Są naprawdę okropne. Pod płaszczykiem siostrzanej lojalności przyprawiają dziewczyny o kompleksy.

To nie brzmiało dobrze. Mama nie mówiła tego specjalnie, żeby mi coś wyperswadować. Taka była jej szczerą, obiektywną opinią. Ale z drugiej strony tajny klub nie był dokładnie tym samym, co korporacja studentek. Były zupełnie, ale to zupełnie różne. Szkoła średnia i college to przecież coś zupełnie innego.

– Nawiasem mówiąc, jeśli trafisz do jakiejś korporacji studentek, nie będę ci miała tego za złe. – Położyła mi rękę na czole. – Na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz blado.

– Nic mi nie jest – zapewniłam, odsuwając głowę. – Ile miałaś lat, gdy zaczęłaś chodzić z chłopakami?

Mama wydeła policzki i westchnęła.

– Kiedy chciałam? – spytała. – Czy kiedy zaczęłam? Bo zawsze spędzałam więcej czasu na myśleniu o chłopakach niż na tym, by naprawdę z nimi być. Wiesz przecież, że romansowanie nigdy nie było moją silną stroną.

– Kiedy chłopacy zaczęli ci się podobać?

Powód tego pytania był prosty: od pewnego czasu zastanawiałam się, czy moje późne dojrzewanie nie ma podłoża genetycznego.

– Zanim ci na to odpowiem, powiedz, umawiasz się z kimś? Bo uzgodniłyśmy, że musisz skończyć piętnaście lat i zanim się umówisz, powiesz mi o tym. Nie będę na ciebie zła, obiecuję. Zawsze możesz mi powiedzieć prawdę, żeby nie wiem co.

– Nie umawiam się z nikim – zapewniłam, patrząc jej prosto w oczy. – Powiedziałabym ci, przysięgam. Zbieram tylko materiały. Do tego samego wypracowania.

– Tego samego wypracowania? – powtórzyła, marszcząc brwi.

Kiepskie kłamstwo. Bezsensowne.

– Tak, jest dwuczęściowe.

Wciąż miała sceptyczną minę.

– Mhm. No dobrze, powiedzmy, miałam około trzynastu lat. – Wykonała taki gest, jakby mogła być wtedy nawet młodsza. – Nie pamiętam dokładnie. Przynajmniej jestem pewna, że z nikim się nie całowałam, póki nie skończyłam piętnastu lat. Nawet dwudziestu.

Patrzyła, jakby próbowała dać mi coś do zrozumienia, ale zaraz się uśmiechnęła. To jedna z tych świetnych rzeczy w mojej mamie. Zawsze wiedziała, kiedy zachowuje się absurdalnie.

– Ach! No dobra – powiedziałam i nagle poczułam się samotna. Trzynaście lat to mniej niż piętnaście. Tylko o dwa lata mniej, ale wydawało mi się, że to ważne lata. Może coś ze mną było nie tak? Nie mogłam oczekiwać od mamy, że poprawi mi samopoczucie, skoro nie wiedziała, o czym tak naprawdę rozmawiamy. – Dzięki. Tego chciałam się dowiedzieć.

Pochyliła się, by mnie przytulić, i powiedziała w moje włosy:

– Przepraszam, że nie zdążyłam do domu na kolację, Amelio. Byłam już w drzwiach, a potem zadzwonił telefon, odebrałam i...

– Nie ma sprawy, mamó. Wiem, że nie chcesz siedzieć długo w pracy.

Wiedziałałam to, choć nie znaczy, że zawsze akceptowałam. Oczywiście mamy były zażawione, gdy wyprostowała się i uśmiechnęła. Kiedy była mocno zmęczona, robiła się strasznie płacziwa. Pogłaskała mój policzek.

– Jesteś kochaną dziewczyną, Amelio.

Pocałowała mnie w czoło i ruszyła do drzwi. Prawie do nich dotarła, gdy zdałam sobie sprawę, że

wcale nie chcę, by sobie poszła. Musiałam z nią jeszcze porozmawiać. Musiałam powiedzieć jej o wszystkim.

– Mamo! – zawołałam za nią.

– Co, kochanie?

– Zrekrutowały mnie...

Wtedy zabrzączał jej telefon i zaczęła obmacywać kieszenie płaszcza. W końcu go wyjęła i sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwoni. Na jej twarzy pojawiło się poirytowanie.

– Uff! Przepraszam – powiedziała do mnie. – Halo? Tak? Proszę chwilę poczekać.

Zasłoniła słuchawkę i wyjaśniła:

– Victor jest w Tokio. Chyba mu się wydaje, że cały świat powinien się dostosować do jego strefy czasowej. Muszę z nim porozmawiać. Dzwonił do mnie dzisiaj cztery razy. Czy nasza rozmowa może poczekać, Amelio?

Patrzyłam na komórkę w jej ręce i na jej minę, która wyrażała usilne staranie. Gdybym powiedziała, że ma się rozłączyć, zrobiłaby to. Wiedziałam o tym. Zrobiłaby też wszystko, by mieć pewność, że Sroki ani Dylan mnie nie skrzywdzą. I wiedziałam, że mogę się jej zwierzyć ze wszystkiego. Mimo wszystko nie byłam na to chyba gotowa. Jeszcze nie. Dopóki nie zrozumiem, co naprawdę chcę jej powiedzieć.

– Może poczekać.

– Jesteś pewna? Ten czas należy do ciebie, nie do nich.

– Wiem, mamo – zapewniłam. To, co powiedziała, dużo dla mnie znaczyło. Bardzo dużo. – Jestem pewna.

Kate

30 KWIETNIA 1998

Trzy tygodnie, cztery dni i pięć godzin. Tyle czasu upłynęło, odkąd urodziła się moja córeczka.

Wydaje mi się, że powinno być coraz łatwiej. Nie jest.

Najtrudniejsze było kilka pierwszych dni. Leżałam w szpitalu zupełnie sama. W środku nocy chciałam karmić Amelię piersią. Trudno mi było nawet wstać z łóżka. Wszystko mnie bolało. Wyjęłam ją z plastikowego łóżeczka...

Jest taka malutka, delikatna. To jakiś chory dowcip, że natura uczyniła je takimi kruchymi.

Dziś przyjdzie opiekunka do dzieci, za którą płaci Gretchen. Będę wdzięczna, kiedy się zjawi, mama zapłaciła za nią tylko po to, by móc wyjechać z miasta po trzech krótkich nocach spędzonych w hotelu Essex House. Miała tyle tupetu, by zacząć się mazgać, kiedy wyjeżdżała. To na pewno były łyzy zawodu.

Matki. Teraz jestem jedną z nich. To jest w tym najbardziej szalone. Ja: matka. Prawdziwej, żywej osoby.

Pielęgniarki w szpitalu powtarzały mi, że powinnam wysłać Amelię do przechowalni i trochę odpocząć. Obiecowały, że będą mi ją przynosić na karmienie. Wiem, że proponowały mi to, bo byłam sama. Kobieta, z którą leżałam w pokoju, miała męża. Pomagał jej przy dziecku przez cały dzień. Ona nie oddawała dziecka do przechowalni.

Ja też nie oddałam. Amelia nie będzie miała gorzej dlatego, że ma tylko mnie. Ani teraz, ani nigdy.

Kate

30 CZERWCA 1997

Dziś wezwał mnie do swojego gabinetu, by mi powiedzieć, że moja notatka o zasadzie estoppel była najlepszą sporządzoną przez letniego stażystę, jaką kiedykolwiek czytał. To tak, jakby prezydent wyszedł z Gabinetu Ovalnego, żeby poklepać mnie po plecach. Takie rzeczy się po prostu nigdy nie zdarzają.

Widzę, że najlepszym sposobem, żeby dojść do siebie po zerwaniu z Sethem, nie będzie znalezienie kolejnego chłopaka; będzie nim bycie najlepszym letnim stażystą, jakiego kancelaria Slone, Thayer jakiegokolwiek miała.

Kate

27 LISTOPADA

Kate stała w kuchni. Usłyszała pukanie i zastygła z ręką uniesioną nad ekspresem do kawy. Dopiero zaczynało świtać, było parę minut po siódmej. Uruchomiła ekspres i podeszła do okna. Zobaczyła swoją sąsiadkę Kelsey przeskakującą z nogi na nogę w spodniach od dresu, jaskrawożółtej bluzie Nike oraz wełnianej czapce naciągniętej na krótko ostrzyżone włosy.

Kelsey miała sześciolatnie bliźniaki i nie pracowała, by móc je wychowywać. Jej wspaniały mąż, Brazylijczyk, był ogromnie oddany jej i dzieciom. Taki obraz idealnego macierzyństwa sprawiał, że Kate czuła się kiepską matką. Wydawało się, że Kelsey nie ma żadnych konfliktów wewnętrznych. Chciała poświęcić się wychowywaniu dzieci i to właśnie robiła. Żadnej szarpaniny, chybotliwego balansowania, w którego wyniku ktoś zawsze tracił – Amelia, Kate, jej praca.

Odkąd przyjaciele Kate wrócili do swoich spraw, Kelsey ratowała jej życie. Podrzucała domowe jedzenie, przynosiła zakupy, robiła pranie. Wszystko bez proszenia i oczekiwania na wyrazy wdzięczności. Wydawała się niemal zawiedziona, gdy Kate jej powiedziała, że wraca do pracy i nie będzie potrzebować pomocy.

– Zatrzasnęły ci się drzwi?

– Nie, nie, wszystko w porządku – zapewniła Kelsey. Wciąż przestępowała z nogi na nogę. – Chciałam tylko zajrzeć i sprawdzić, jak się czujesz po pierwszym dniu w pracy.

– No tak, pierwszy dzień... Było... – Kate zawahała się, bo nagle nie była w stanie przypomnieć sobie niczego, co wydarzyło się w firmie.

Dostała SMS, że Amelia nie skoczyła, potem wszystko się zamazało, nie dawało ogarnąć. Przesiedziała pół nocy, czytając SMS-y Amelii, co też nie jej pomogło. Zaczęła od esemesowych dialogów Amelii i Sylvii, bo wydawało jej się, że są najmniej niepokojące. Zdumiewała ją liczba błahostek, o których pisały. Uparty pryszcz, czyjeś buty w złym guście, przypadkowe otarcie się w holu o jakiegoś chłopaka, szczegóły dziwnego snu z poprzedniej nocy – wszystko poddawały dokładnej analizie. Strumień wiadomości płynących między dwiema dziewczynami wydawał się nie mieć końca. SMS-ów było tyle, jakby ich autorki nigdy się nie widywały. A one przebywały fizycznie razem niemal do samego końca.

„Uciekaj. Będę cię kryła”. To był ostatni SMS, jaki Sylvia wysłała Amelii, gdy ta siedziała w gabinecie pana Woodhouse’a.

Sylvia przyznała w rozmowie z Moliną, że pomogła Amelii wymknąć się z gabinetu dyrektora kilka minut przed jej śmiercią. Ona sama schroniła się potem w toalecie, natomiast Amelia zniknęła. Podobnie

jak wszyscy inni Sylvia nie miała pojęcia, co zawiodło Amelię na dach albo skłoniło do skoku.

– Nic ci nie jest, Kate? – spytała Kelsey. Przeszła dreptać w miejscu i patrzyła na nią z troską w oczach.

– Nie, nie. Przepraszam, jestem tylko rozkojarzona. – Kate zdecydowanie pokręciła głową. – Właśnie robiłam kawę. Masz ochotę wejść i się napić?

To zaproszenie było impulsem, czymś, co rzadko jej się zdarzało. Choć Kelsey okazała się ostatnio tak pomocna, obie kobiety nigdy dotąd nie siedziały w cztery oczy przy kawie. Kate nagle tego zapragnęła. Pragnęła usiąść z Kelsey i udawać, że są bliskimi przyjaciółkami.

– Och, pewnie – odparła Kelsey z zaskoczoną miną i zerknęła na zegarek. – Ale powinnam się pospieszyć. Gabriel jest z chłopcami i za parę minut musi wyjść do pracy.

Weszła i usiadła przy stole. Po chwili Kate postawiła na stole kubki z kawą. Cały czas wmawiała sobie, że właśnie w ten sposób się to robi. Spontaniczne zaproszenie, swobodna rozmowa. W ten sposób samotni, bezdzietni ludzie radzili sobie z tym, że są kompletnie sami. Może powinna zaproponować muffinki lub ciasteczka? Niczego takiego nie miała. Czuła, że Kelsey się w nią wpatruje.

– Przepraszam, wiem, że zachowuję się dziwnie...

– Nie, wcale nie – zapewniła szybko i niezbyt przekonująco Kelsey. – To ja do ciebie zapukałam o siódmej rano.

Znad kubka Kate posłała jej smętny uśmiech. Próbowwała się nie rozpląkać. Kelsey była taka kochana i wspaniałomyślna. Takie kobiety nadawały się na matki. Te zajęte zaspokajaniem własnych ambicji nie powinny rodzić dzieci. Gdyby Kate nie była taka zajęta, gdyby bardziej zwracała uwagę na to, co się dzieje, może zapobiegłaby temu, co stało się z Amelią.

– Wczoraj dostałam anonimową wiadomość, że Amelia nie skoczyła. Jestem po tym... no nie wiem... roztrzęsiona.

– O mój Boże! – jęknęła Kelsey, zasłaniając usta dłonią. – Okropność! Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Nie wiem. – Kate pokręciła głową. – Ktokolwiek to był, myślę, że mógł mówić prawdę.

– Naprawdę? Myślałam, że policja... – Kelsey ugryzła się w język. – Och, nie znam przecież szczegółów. Nie miałam pojęcia, że były jakieś wątpliwości.

– Nie było. – Kate upiła łyk kawy. – Przynajmniej według policji. Ale nigdy nie miałam za dużo zaufania do tego detektywa, który prowadził śledztwo. Wydawał się strasznie spieszyć, by wreszcie móc się zająć jakąś bardziej interesującą sprawą. – Kate nienawidziła tego, jak zabrzmiały jej słowa: defensywnie, oskarżycielsko, rozpaczliwie. – W głębi serca nigdy nie wierzyłam, że Amelia odebrała sobie życie. No i teraz przyszedł ten SMS. Wczoraj w nocy znalazłam podejrzaną liściki w jej pokoju. W życiu Amelii prawdopodobnie działo się coś, o czym nie wiedziałam. Chociaż powinnam. Coś niedobrego.

– Och! – westchnęła Kelsey. Wpatrywała się w blat stołu i wierciła się lekko. – Słuchaj, nie mówiłam ci tego wcześniej, bo wydawało mi się, że nie ma sensu. Teraz sama nie wiem.

Kate ścisnął się żołądek.

– Czego?

Kelsey wzięła głęboki oddech, zacisnęła mocno palce na kubku.

– Tydzień przed śmiercią widziałam Amelię z chłopakiem. Byli tutaj, wchodzili do domu.

– Naprawdę? – Serce Kate zabiło szybciej. – Z chłopakiem? Tutaj?

Na pewno przyszli do domu, żeby się powyglądać. To nie musiało być tym, na co wyglądało, ale jak ślepa zamierzała być Kate? Jak długo zamierzała wierzyć, że świetne stopnie i wspaniałe osiągnięcia w sporcie wykluczają uprawianie seksu? Zaledwie na parę tygodni przed śmiercią Amelia zapytała ją wprost, kiedy zaczęli jej się podobać chłopcy. Kate niby to uwierzyła, że chodzi o zbieranie materiałów do pracy. Nie uwierzyła naprawdę; pytanie uruchomiło dzwonek alarmowy. Udawała, że wierzy, bo tak było łatwiej.

– To mógł być tylko przyjaciel. Nie wiem – stwierdziła Kelsey, ale było oczywiste, że wcale tak nie myśli. Przerwała, spuściła wzrok, znów wzięła głęboki oddech. – Widziałam ich tylko na schodach, kiedy wchodzili, i potem, kiedy wychodzili.

– Amelia po szkole z chłopakiem w naszym pustym domu... To mi nie wygląda na koleżeńską wizytę – stwierdziła Kate. – Moja żenująca naiwność... Amelia była takim dobrym dzieckiem. To uspiło moją czujność.

– Nie po szkole, Kate.

– Co? Co masz na myśli?

– To było w godzinach zajęć – powiedziała cicho Kelsey. – Przykro mi. Nie chodzi mi o roztrząsanie tego. Może nawet to wcale nie jest ważne, ale...

– W godzinach zajęć? – spytała Kate ze złością większą, niż chciała okazać.

Amelia wagarowała? Nie uwierzyłaby, podobnie jak w posądzenie o plagiat, gdyby nie to, że Kelsey widziała ją na własne oczy.

– Przykro mi, że wcześniej ci nie powiedziałam... Po prostu... – Głos Kelsey drżał. Wyglądała, jakby się miała pochorować ze smutku. – Nie chciałam ci mówić nic denerwującego, jeśli to nie miało znaczenia. Powiedziałaś, że może Amelia nie odebrała sobie życia. Było coś w tym chłopaku... Sprawił, że poczułam się nieswojo.

– Poczułaś się nieswojo?

– Chodziło nie tyle o niego, ile o to, jak przy nim wyglądała Amelia. Była zdenerwowana, smutna. Zdecydowanie nieswoja. Widziałam ich razem przez kilka sekund, więc trudno mi powiedzieć. Ale coś było nie tak w jej zachowaniu.

– Widziałaś, jak Amelia wagaruje i wchodzi do pustego domu z chłopakiem, przy którym ona i ty czułyście się nieswojo, i nie uznałaś, że należałoby mi o tym powiedzieć?

– Pomyślałam, że zapytam o to Amelię, gdy następnym razem będzie się opiekować moimi dziećmi. Chciałam ją zachęcić, żeby ci powiedziała. Nie było następnego razu. Bałam się, że gdybym powiedziała

ci coś wprost, mogłabyś to odebrać tak, jakbym oceniała, jaką jesteś matką. Tak mi przykro, Kate. – Głos Kelsey się załamał. Po chwili szeroko otworzyła oczy. – O mój Boże! Czy ten chłopak miał coś wspólnego z tym, co się stało Amelii?

Wysiadła z kolejki F przy Bryant Park. Było ciemno i mgliście, jakby słońce nigdy do końca nie wzeszło. Przecięła ulicę i ruszyła na zachód Czterdziestą Drugą. Mgiełka przeszła w mżawkę. Kate usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a. Schroniła się przed deszczem, żeby go przeczytać, gotowa na kolejną wiadomość o Amelii.

Znam twój mały sekret. Wkrótce wszyscy go poznają.

Dłonie Kate wciąż drżały, gdy dotarła do pracy i skierowała się do działu informatycznego. Nigdy dotąd tam nie była. Gdy miała jakiś problem z komputerem, któryś z informatyków przychodził do niej. Jak się okazało, niemal najważniejszy dział Slone, Thayer upchnięto w niezbyt imponującej klitce na drugim piętrze przy kserokopiarkach.

Zapukała w uchylone drzwi. Nikt nie odpowiedział. Odczekała jeszcze minutę, zapukała drugi raz i weszła. Oczywiście Duncan siedział w słuchawkach na głowie twarzą do okna, zatracony w grze na wyimaginowanej perkusji. Kate obserwowała go przez chwilę, ale jej nie zauważył. Nie miała wyboru. Podeszła i postukała go po ramieniu.

– Co jest, kurwa?! – wrzasnął, zrywając się tak szybko, że uderzył udami o biurko. – Au!

– Och, przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć.

– Nie ma sprawy – powiedział Duncan piskliwym i nerwowym tonem, który zdradzał, że jest na hajcu.

– Tylko nie rób tego więcej, naprawdę. To mi może trwale uszkodzić chi. Prawie nikt nas nie odwiedza. Nie możecie się do nas, nie wiem, podkradać. Nigdy tego nie róbcie.

Zamknął oczy i kilka razy odetchnął przez nos. W końcu je otworzył. Ot tak, po prostu, znów był wyluzowanym koleśkiem, którego Kate знаła od wielu lat.

Podawała mu swoją komórkę.

– Dostałam kolejnego SMS-a, takiego jak ten, z którym wcześniej przyszła do ciebie Beatrice.

Naprawdę nie potrafisz mi powiedzieć, kto je wysyła?

Duncan wziął z jej ręki komórkę i spojrzał na wiadomość.

– Mocno popieprzone – stwierdził po przeczytaniu.

– Dzięki – odparła Kate. – Też to widzę. Miałam nadzieję, że pomożesz mi ustalić, od kogo one przychodzą.

– A tak, właśnie. – Nacisnął kilka klawiszy komórki i zmarszczył brwi. – Znów ktoś użył strony internetowej firmy telekomunikacyjnej do przesłania wiadomości.

– To wszystko? Myślisz, że policja mogłaby powiedzieć coś więcej?

Wzruszył ramionami.

– Staram się trzymać z dala od psów. Nie potrafię przewidzieć, co mają w rękawie. Firma

telekomunikacyjna miałyby dane o tym, kto i gdzie się logował, żeby wysłać ten SMS, więc może policja mogłaby to od niej wyciągnąć. Potrzebowaliby pewnie jakiegoś istotnego powodu. Tyle ci mogę powiedzieć, jeśli chodzi o stronę techniczną, ale z tym SMS-em policja nie będzie w stanie zrobić nic innego, niż ja zrobiłem. – Oddał komórkę Kate. – Sorry.

– I tak dzięki. Myślisz, że mógłbyś mi pomóc z innymi rzeczami, na przykład z wydostaniem wszystkiego z laptopa mojej córki i wydrukowaniem SMS-ów z jej telefonu?

– Pewnie, że tak – powiedział Duncan ciszej. Posmutniał, gdy Kate położyła na jego biurku telefon i laptop Amelii oraz różne kable i ładowarki. – Na pewno chcesz mieć wszystko? Facebook, Twitter i tak dalej? Niektóre z tych rzeczy łatwiej oglądać online.

Facebook. Zamierzała nigdy nie sprawdzać strony Amelii na Facebooku. Tam jej córka wciąż będzie taka żywa. Wiedziała o tym, że przyjaciele Amelii korzystali ze strony jak z tablicy pamiątkowej i wchodzili tam, by zostawiać wiadomości w stylu „tęsknię za tobą”. Myśl o tym, że miałyby je zobaczyć, była kompletnie nie do zniesienia.

– Nie wydaje mi się, żeby Amelia miała konto na Twitterze. Nigdy o tym nie wspominała.

– Jesteś pewna? Większość dzieciaków ze szkoły średniej siedzi na Twitterze, przynajmniej czasami, i ciągle do siebie piszą. Do tego dochodzi Facebook. E-maile to coś takiego jak kiedyś tradycyjna poczta. Nie wiem, czy przysłoby jej do głowy, żeby wspominać o Twitterze. Mają to we krwi.

To było dla Kate zbyt wiele. Tyle miejsc, gdzie mogły czekać ukryte straszne rzeczy o życiu jej córki. Znow pomyślała o tej wiadomości od jakiegoś chłopaka o imieniu Ben. „Szczęściara ze mnie”, napisała ironicznie Amelia, mając na myśli to, że Kate jest jej matką. Okropnie się poczuła, gdy to przeczytała, a mogło być jeszcze o wiele, wiele gorzej.

– Co powiesz na takie rozwiązanie? – Duncan wyrwał Kate z ponurych rozmyślań. – Wydrukuję wszystkie dokumenty Worda i całą resztę, jaką miała na twardym dysku, oraz wydobędę historię z przeglądarki. Na inne konta, takie jak Facebook, dam ci hasła. Zajrzysz tam, jeżeli zechcesz. Pewnie nie zechcesz strasznie się wgłębiać w stronę swojej córki na Facebooku. Mam dwadzieścia cztery lata, jestem dość ogarniętym kolesiem, ale moi starzy dostaliby zawału, gdyby zobaczyli całą moją stronę. Trzeba mieć filtry dla mamusi i tatusia. Które z nich chciałoby widzieć, jak ich dziecko robi sobie nagie zdjęcia?

– Nagie zdjęcia?

– Daj spokój, aż taka stara nie jesteś. – Duncan przewrócił oczami. – W tych dobrych czasach, kiedy sobie używałaś, Facebooka jeszcze nie było.

– Ile ci to zajmie?

Duncan spojrzał na zegarek.

– Maks parę godzin. Puszczę ci SMS, kiedy wszystko będę miał.

W drodze do biura Kate usłyszała dzwonek komórki. Na wyświetlaczu pojawił się numer zastrzeżony. Przystanąła w spokojnym miejscu przy windach i odebrała. Mdlilo ją.

– Halo?

– Tu porucznik Lewis Thompson z Siedemdziesiątego Ósmego Posterunku – mówił z tym samym wyraźnie brooklyńskim akcentem jak Molina, ale był niezwykle ostrożny i uprzejmy. – Czy to pani Kate Baron?

– Tak.

– Przydzielono mnie do sprawy pani córki i...

– Co się stało z detektywem Moliną? – zapytała i natychmiast tego pożałowała. Nie chodziło o to, że chciała z powrotem Molinę. Weźmie tego całego porucznika Thompsona, kimkolwiek był. Każdy będzie lepszy od Moliny.

– Nie pracuje już w wydziale.

– Wylali go?

Podejrzewać, że Molina może być niekompetentny, to jedno, ale aż tak bardzo mieć rację to drugie. Kate poczuła coś w rodzaju przerażenia.

– Odszedł na własne życzenie. Do pracy w prywatnej firmie ochroniarskiej. Wczoraj ostatni dzień był w pracy.

– Och, rozumiem – powiedziała, chociaż wcale nie rozumiała. Ani trochę. Dzwonił do niej zaledwie dzień wcześniej.

– Otrzymaliśmy wyniki analizy charakteru pisma...

– Chwileczkę. Przeprowadziliście analizę?

– Ta sprawa wróciła do mnie z powodu tych wyników.

– Jak mogli sprawdzić charakter pisma, jeśli nie mieli nawet próbki od Amelii?

Kate była niemal pewna, co zaraz usłyszy: że „Przepraszam” na ścianie było z całą pewnością napisane charakterem pisma jej córki. Nie zamierzała jednak z góry zakładać, że policja wykonuje swoją robotę jak należy.

– Mieli materiał do porównań. Trzymam w ręce zaadresowany do niejakiego Jeremy’ego liścik z podziękowaniem za referencje i podpisany „Amelia”. Czy pani to coś mówi?

Jeremy, oczywiście. Amelia wysłała mu list z podziękowaniem za to, że dał jej referencje do letniego programu dziennikarskiego na Princeton. Jeremy był absolwentem tej uczelni i gdy się dowiedział, że Amelia ubiega się o uczestnictwo, wspaniałomyślnie zaproponował wesprzeć jej wniosek, by mogła wziąć udział w tym prestiżowym programie dla uczniów szkół średnich. Kate nie musiała go nawet o to prosić. Najwyraźniej Jeremy nie tylko porozmawiał z komendantem policji, ale spowodował też wykonanie analizy grafologicznej.

– Jeśli uważa pani, że ten liścik mógł nie zostać napisany przez pani córkę – ciągnął Thompson – przeprowadzimy ponownie analizę na podstawie próbki, którą pani dostarczy. Chcę mieć stuprocentową

pewność, że tym razem zrobimy to jak należy.

– Więc charakter pisma się zgadza? – spytała Kate, wciąż szykując się na złe wieści. – To Amelia napisała „przepraszam” na tej ścianie?

– Może pani najpierw udzieli informacji, o którą proszę – nalegał Thompson. Bez zniecierpliwienia, ale stanowczo. – Czy ten liścik został napisany przez pani córkę?

– Tak, napisała go Amelia.

– W takim razie to słowo napisał ktoś inny.

– Czyli to nie pismo Amelii?

– Nie jest nawet podobne.

Pobiegła do gabinetu, żeby pozbierać swoje rzeczy, i dała znak Beatrice, że wychodzi. Powiedziała porucznikowi Thompsonowi, że za godzinę chce się z nim spotkać w Park Slope, w Dizzy’s. Musiała zajrzeć w jedno miejsce, zanim wyjdzie.

Zbiegła dwa piętra niżej i przeszła za róg korytarza do ogromnego gabinetu Jeremy’ego. Zatrzymała się gwałtownie przy otwartych drzwiach. Siedział na krześle tak, by nie było widać, co robi. Pewnie czytał strony sportowe w „New York Post”.

Jeremy wzdrygnął się, gdy zapukała.

– Chciałam ci podziękować – wyjaśniła, gdy się odwrócił – za to, że porozmawiałeś z komendantem policji i zorganizowałeś analizę grafologiczną. To niesamowite, że zachowałeś ten liścik.

– To był miły liścik – odparł. – Charakter pisma się zgadzał?

Kate pokręciła głową.

– Nie.

– Naprawdę? – Jeremy wydawał się oszołomiony. – Wow!

– Wiem. Nie sądziłam, że Amelia to napisała, ale usłyszeć potwierdzenie... To jednak szok.

W każdym razie przydzielili kogoś nowego do sprawy. Wychodzę, żeby się z nim spotkać.

– Dobrze słyszeć, że traktują to poważnie – stwierdził Jeremy. – Może poznasz prawdę.

– Mam nadzieję – przytaknęła Kate, wpatrując się w niego. Przez sekundę zastanawiała się, czy czegoś nie dodać, ale właściwie wiedziała, że tego nie robi. – Jeszcze raz ci dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co. Jeśli będę mógł zrobić coś jeszcze, proszę, daj mi znać. Mogłabyś mnie informować na bieżąco?

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno! – zawołał za nią Jeremy. – Wiem, że w tej chwili cię to nie obchodzi i nie powinno obchodzić, ale chcę, żebyś wiedziała: odsunąłem Daniela od sprawy Associated. Kiedy wrócisz, będziesz jedynym współnikiem zajmującym się tym. Nie ma pośpiechu. Mówię poważnie, ja i starsi współnicy jesteśmy pod tym względem zgodni. Wrócisz, kiedy zechcesz. Nic nam nie będzie. Daniel miał szczęście z unieważnieniem wezwania i napisał dobrą opinię prawną na rozprawę w drugiej instancji.

Do jego papierów trafi to jako sukces, ale ty harowałaś nad tą sprawą sześć lat. Jest twoja i powinna pozostać twoja. Może zmuszam was, żebyście zapracowywali się na śmierć, ale wierzę w lojalność. Ona powinna być coś warta. To przesłanie powinno dotrzeć do innych młodszych wspólników w firmie. Kiedy wrócisz, zamierzam się wycofać.

Jeremy był starszym wspólnikiem w dosłownie każdym większym procesie sądowym prowadzonym przez firmę. Pośrednio lub bezpośrednio sprowadził większość klientów, więc pozostawali jego klientami, nawet jeśli on nie wykonywał żadnej pracy. Było to i prestiżowe, i satysfakcjonujące finansowo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to twoja sprawa: stawki, zyski, klient. – Na twarzy Jeremy’ego malował się zapał, jakby właśnie podarowywał Kate jakiś drogocenny prezent, który własnoręcznie wykonał. – Będzie tak, jakbyś to ty pozyskała klienta. Victor też nie ma absolutnie nic przeciw temu. Wydawał się nawet zachwycony, że się z tego wycofuję.

Słyszała plotki, że Jeremy „przyznawał sprawy” wspólnikom, sprawy, które miały decydujące znaczenie dla rozwoju ich kariery. Uznanie, że gigantyczny klient, Associated Mutual Bank, jest jej klientem, było tym samym dla Kate. Przed śmiercią Amelii wprawiłoby ją to w zachwyt. Teraz zrobiło jej się tylko niedobrze. Nie chciała jednak sprawić zawodu Jeremy’emu. Próbował jej pomóc w jedyny sposób, jaki znał: popychając naprzód jej karierę.

– Dziękuję – powiedziała, bo powinna tak powiedzieć; zresztą naprawdę tak myślała. – Za wszystko, co zrobiłeś.

Dizzy’s świeciło pustkami. Rozejrzała się po podniszczonych czerwonych boksach i zbieraniu eklektycznych obrazów na ścianach. W końcu wypatrzyła w głębi lokalu drobnego mężczyznę o kręconych siwych włosach, chyba po sześćdziesiątce. Nosił się konserwatywnie: marynarka, koszula, krawat... Właśnie mówił coś do ładnej kelnerki z kolczykiem w nosie i z czerwoną chustą zawiązaną na głowie. Kate obserwowała, jak mężczyzna dodaje kilka słów, a kelnerka odchyła głowę i wybucha głośnym śmiechem. W końcu podeszła do niego. Tylko on siedział sam. Domyśliła się, że musi być porucznikiem Lewisem Thompsonem, choć z wyglądu nie pasował do tej roli.

– Porucznik Thompson?

– Może mi pani mówić Lew, to od Lewis. – Wstał i wyciągnął rękę. – Proszę usiąść.

Z bliska wydawał się jeszcze drobniejszy. Zza szkielec w drucianych oprawkach patrzyły na nią bladoniebieskie oczy.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, próbując nie okazać rozczarowania jego wyglądem. Z trudem wyobraziła sobie, że ten drobny starszy pan ściga różnych złych facetów. Z jeszcze większym trudem – że któregoś z nich udaje mu się złapać.

Policjant spojrział ponad głowę Kate i przywołał gestem kelnerkę.

– Wie pani, na co ma ochotę? Przepraszam, nie mogłem czekać z zamówieniem.

Wskazał na swoje jedzenie. Owoce, omlet z warzywami, pełnoziarnisty tost. Nawet jego posiłek nie pasował do gliniarza. Z drugiej strony Molina, pozornie kwintesencja gliny, do niczego nie doszedł.

– Co ci przynieść, kochany? – zapytała kelnerka, on zaś wskazał na Kate.

– Wystarczy mi kawa – zdecydowała, choć czuła głód.

– Na pewno? – spytał Lew, gdy kelnerka odeszła. – Nie ma nic ważniejszego niż właściwe odżywianie.

– Proszę przypomnieć, z jakiego pan jest wydziału? Chyba wspomniał pan o tym przez telefon, ale jakoś mi umknęło.

Spodziewała się odpowiedzi w rodzaju „z drogówki”.

– Siedemdziesiąty Ósmy Posterunek, wydział zabójstw – odparł, ostrożnie biorąc do ust kolejny kęs.

– Wydział zabójstw?

– Zabójstw. Martwe ofiary – odparł, czytając Kate w myślach. – Nie mam żadnych nowych dowodów w sprawie pani córki. Tylko analizę charakteru pisma. Jestem tu, żeby słuchać, nie żeby mówić. Niech mi pani powie, dlaczego pani uważa, że córka nie odebrała sobie życia.

Więc powiedziała. Zdążyła wypić w tym czasie dwie filiżanki kawy. Mówiła, jaką uczennicą i córką była Amelia. O swoim odczuciu, że Amelia nie ściągała. I że nie odebrała sobie życia.

Od tamtego feralnego popołudnia cały czas tłumaczyła sobie, że to, co robi i myśli, nie jest tylko zaprzeczaniem faktom. Nie chodziło o to, że nie potrafi żyć z myślą o samobójczej śmierci swojego dziecka. Gdzieś głęboko w niej czał się mimo wszystko lęk, że siedzi naprzeciw tego drobnego porucznika, bo nie może się pogodzić z faktami. Na przekór temu lękowi brnęła dalej, opisując chłopaka, którego widziała Kelsey, i wszystkie karteczki z tekstem „Nienawidzę cię”. Powiedziała też o SMS-ach, które dostała. Teraz już trzech.

– Jaki to sekret pani ukrywa?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami, zagłuszając krzyczący w niej głosik: Może wiem! Może wiem! – Naprawdę.

– I nie ma pani pojęcia, kto może przysyłać te SMS-y?

Pokręciła głową.

– Sprawdzili je dla mnie w dziale informatycznym mojej firmy. Wiadomości wysłano ze strony jednej firmy telekomunikacyjnej. Tyle udało się ustalić. Wydrukują mi też wszystkie wiadomości i e-maile z telefonu i laptopa Amelii. Nie jestem pewna, czy Molina za pierwszym razem je wszystkie przejrzał.

Oparła się chęci, by powiedzieć wprost, że Molina okłamał ją w żywe oczy. Użyła aluzji.

– Mówił, że to zrobił, ale nie miał hasła, więc nie wiem, jak tego dokonał. Przeoczył też karteczki.

– Hmm. Nasi ludzie zajmą się tymi SMS-ami. Może i nie są najszybsi, ale zapewne uda im się poznać więcej szczegółów. Zwrócimy się też po informacje do tej firmy telekomunikacyjnej. Oni też nie

powalają szybkością. Przejrzałem jeszcze raz akta pani córki.

– No i?

– Są dość skąpe.

– Dość skąpe?

– Proszę posłuchać. Kiedy przyzwoity glina wykonuje przyzwoitą robotę, różnie to wygląda. Jest pewien zakres prac. – Wykonał nieokreślony gest. – W sprawie takiej jak ta należałoby się spodziewać więcej przesłuchań świadków, więcej szczegółowych notatek. Trochę tego było, ale prawdopodobnie nie tyle, ile trzeba. No i raport z autopsji...

Kate nigdy nie czytała tego raportu. Nie poprosiła o to ani jej tego nie zaproponowano.

– Co z nim?

– Przede wszystkim nie było go w aktach śledztwa. Pojechałem na Manhattan po kopię. W zakładzie medycyny sądowej mieli tylko zdjęcia. Nie jestem ekspertem od analizy zdjęć z autopsji, ale przynajmniej jedna rzecz nie pasuje do kogoś, kto umyślnie skoczył z dachu.

Tego właśnie Kate pragnęła: konkretnego dowodu, że Amelia nie odebrała sobie życia. A jednak nagle ogarnęła ją panika.

– Co pan ma na myśli?

– Na przedramionach Amelii były zadrapania. Długie. Być może pozostawione przez czyjeś paznokcie. – Przerwał, widząc grymas na twarzy Kate. – Na pewno chce pani to usłyszeć? Takie szczegóły chyba nie są konieczne.

– Chcę wiedzieć – odparła, oddychając z trudem. – Muszę. Proszę mówić dalej.

– Do tego jeszcze pozycja i miejsce upadku ciała. Nie wykluczają samobójstwa. Wykluczałyby, gdyby ciało upadło, powiedzmy, daleko od budynku. Ale nasuwa to pewne pytania. Pytania, na które ktoś powinien znaleźć odpowiedzi.

– Możemy zadzwonić do Moliny i go zapytać?

– Już to zrobiłem. – Lew starannie ułożył widelec i nóż po obu stronach talerza. – W tej chwili jest najwyraźniej nieosiągalny, przebywa na jakiejś łodzi rybackiej w okolicach Florida Keys. Ma wrócić dopiero za tydzień.

– Mówił pan, że ma zostać ochroniarzem? – upewniła się Kate.

Myślała, że to degradacja. Tylko że wycieczka wędkarska to nie rozrywka dla biednych.

– Nie takim, który zarabia osiem dolarów za godzinę w Best Buy. Nic w tym stylu. Pracuje dla Carmon Industries. Obsługują duże przedsiębiorstwa. Zatrudniają gliniarzy, ludzi z FBI... Słyszałem, że to złoty interes, jeśli lubi się coś takiego.

– Czy to wszystko nie wydaje się strasznie wygodnym zbiegiem okoliczności? Brakujący raport z autopsji, odejście Moliny z policji akurat wtedy, kiedy zaczęłam zadawać pytania?

– Dziwnie się to zbiegło w czasie, bez dwóch zdań.

– Dziwnie? – Kate zaczynała być rozdrażniona. Czy ten nowy jest równie niedbały jak Molina? – I to

wszystko? Tylko tyle pan o tym powie, że to dziwne?

Lew dopił kawę i kiwnął głową.

– Na razie.

– Czyli będziemy siedzieć i czekać, aż Molina wróci z wakacji? – Zabrzmiało to głośniejszym i gniewniejszym głosem niż zamierzała.

Zauważyła, że kelnerka i barman odwracają się w jej stronę. Nie dbała o to. Miała dość. Raz została zignorowana, uciszona, zlekceważona. Zmuszono ją, by pogodziła się z czymś, w co nie wierzyła. Nie zamierzała pozwolić, by zdarzyło się to jeszcze raz.

– Nie – odparł spokojnie Lew. Wstał i starannie rozprostował kilka banknotów, po czym umieścił je pod pojemnikami na sól i pieprz. – Zaczniemy od punktu wyjścia, prześledzimy kroki Moliny. Tam, gdzie będzie trzeba, przetrzemy nowe szlaki. Pani córka nie żyje, na ścianie napisano słowo „Przepraszam”, a ona tego nie zrobiła. Mamy budzące wątpliwości wyniki autopsji i anonimową wiadomość, według której nie odebrała sobie życia. Dla mnie to aż nadto, by ponownie otworzyć śledztwo.

– Och – westchnęła Kate, czując równocześnie ulgę i niepokój, bo istniał jakiś próg, przez który przeskoczyli, a z którego istnienia nie zdawała sobie nawet sprawy. – No tak, dobrze.

– Mamy pytania. Jak pani myśli, kto będzie znał odpowiedzi?

– Nie wiem – odparła Kate łamiącym się głosem. – Naprawdę nie wiem.

– Oczywiście, że pani wie – powiedział Lew, pokazując jej, by ruszyła z nim w stronę drzwi. – Wie pani o wiele więcej, niż się pani wydaje.

To był pomysł Kate, by najpierw porozmawiać z Sylvią. Wcześniej przesłuchiwał ją Molina. Kate miała niemal pewność, że Sylvia powinna wiedzieć coś więcej. Lew zgodził się z nią, że to punkt wyjścia równie dobry jak każdy inny.

Matka Sylwii zamasyście otworzyła drzwi ubrana w obcisłe spodnie, dopasowaną bluzkę bez rękawów i czerwone baleriny. Kompletnie nietwarzowy strój, jakiego Kate nigdy by nie włożyła. Julia jednak wyglądała w tym wszystkim naprawdę ślicznie. Była w naturalny sposób piękna, miała szczupłą, wysportowaną figurę i nieco egzotyczny wygląd. Z włosami związanymi w niedbały kucyk wydawała się o wiele młodsza, niż mogła być w rzeczywistości. Jej starszy syn studiował przecież na drugim roku w Stanford.

– Och, witajcie! – krzyknęła Julia, a jej lekki holenderski akcent zdawał się wyraźniejszy niż zwykle. Wyglądała na lekko zdezorientowaną. Spoglądała na przemian to na Kate, to na policjanta. Nim Kate zdołała wyjaśnić, po co przyszli, podbiegł do nich mały terier, zajadle szczekając. – Beeper, nie! – Julia skarciła pieska, delikatnie odsuwając go nogą po wypolerowanej drewnianej podłodze. – Przepraszam, zaraz go zamknę.

Wróciła kilka sekund później, zamknąwszy psa na tarasie przy kuchni.

– Wejdźcie, wejdźcie – zaprosiła. – Jaka miła niespodzianka.

Usiłowała udawać przyjemne zaskoczenie, którego oczywiście nie czuła. Kate nie miała jej tego za złe. Najlepsza przyjaciółka córki Julii popełniła samobójstwo. Julia pragnęła o tym zapomnieć, a nie spędzać czas z matką zmarłej.

– To porucznik Thompson – przedstawiła Kate. – Pomaga mi dojść do tego, co się stało z Amelią.

Julia wyciągnęła rękę, którą Lew mocno uściskał. Wydawał się nieco wyższy, choć niewiele.

– Miło mi pana poznać, poruczniku. – Julia, choć uprzejma, wydawała się spięta. – Widzę, że policja ponownie zajmuje się tą sprawą. Czy to oznacza, że pojawiło się coś nowego?

– Uzupełniamy wstępne przesłuchania – odparł nonszalancko Lew – by się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Uważam, że to dobry pomysł. Nie wierzę w samobójstwo Amelii.

– A to dlaczego?

– Amelia była dla mnie prawie jak córka – stwierdziła stanowczo Julia. – Zawsze była taka zrównoważona. Mogłam tylko mieć nadzieję, że moje dzieci też takie będą.

Pełna buntu Kate słuchała, jak Julia mówi o Amelii. Jakby miała do niej jakieś prawa. Najgorsze było to, że faktycznie miała. Amelia mnóstwo czasu spędzała u nich w domu. Julia nie pracowała.

– Powiedzmy, że to instynkt macierzyński. Określenie chyba niezbyt naukowe, co nie czyni go ani trochę mniej trafnym.

– Dziękuję, że to powiedziałaś – odezwała się Kate, rozdarta między uczuciem ulgi a zazdrością. – I za to, że tak bardzo dbałaś o Amelię. Uważała to miejsce za swój drugi dom.

Julia spojrzała prosto na Kate, w jej oczach pojawił się błysk. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała ochotę coś dodać, ale postanowiła się powstrzymać.

– Mamy kilka pytań do pani córki – wtrącił się Lew. – To nie zajmie dużo czasu.

– Och, rozumiem. – W głosie Julii zabrzmiało zaskoczenie. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, by mogła sądzić, że przyszli porozmawiać tylko z nią. – Hmm, dobrze. Proszę tędy.

Niechętnie poprowadziła ich w głąb domu. Umeblowanie było pogodnym połączeniem drogich, ekskluzywnych sprzętów i młodzieńczego chaosu. Jednak to wszystko było w jakiś sposób przyjemne, poprawiało samopoczucie.

– Usiądźcie proszę – zachęciła Julia, gdy znaleźli się w salonie, przestronnym wysokim pomieszczeniu z pufiastymi białymi sofami. Na ciężkim drewnianym stoliku stał wazon z bukietem pomarańczowych tulipanów. – Pójdę tylko... pójdę na górę i przyprowadzę Sylvie.

Popatrzyła nieufnie w stronę schodów.

– Muszę was ostrzec. Od tego, co się stało z Amelią, ona nie jest sobą. Sądzę, że czuje się winna. Może dlatego nie wierzę, że to było samobójstwo. Nie chcę, żeby Sylvia tak się czuła.

Lew i Kate siedzieli w milczeniu, czekając na powrót Julii. Wydawało im się, że trwa to zbyt długo. W końcu schody zatrzeszczały pod ciężkimi krokami i chwilę później pojawiła się Julia ze sztucznym

uśmiechem na twarzy. Za nią szła Sylvia, blada i wymizerowana, w obcisłych dżinsach i bezkształtnym czarnym T-shircie tak wielkim, że równie dobrze mógłby uchodzić za sukienkę. Jej ciemne włosy były związane w kucyk jak u matki, ale o wiele bardziej niedbale. Sylvia zawsze perfekcyjnie dbała o swój wygląd. To było częścią jej tożsamości. Teraz wyglądała strasznie. Ten widok rozdzierał serce.

– Chodź, kochanie – zaszczebotała Julia sztucznie wysokim głosem. – Usiądź sobie tu, na kanapie.

Kate i ten policjant zadadzą ci kilka pytań.

Julia usiadła i poklepała miejsce obok siebie, spoglądając na córkę.

Sylvia nawet nie drgnęła.

– Mamo, przestań do mnie mówić, jakbym była jakąś psycholką.

Julia uśmiechnęła się do Kate trochę zakłopotana, a trochę ze smutkiem.

– Sylvio, mamy kilka pytań dotyczących Amelii. Potem damy ci spokój – poinformował porucznik. –

Proszę, okaz cierpliwość, bo są to pewnie pytania, na które już odpowiadałaś.

– Dobra, niech będzie. – Sylvia przewróciła oczami. – Nie mam wyboru, prawda?

– Nie, raczej nie masz – odparł Lew. – Ty i Amelia byłyście najlepszymi przyjaciółkami?

– Tak. To znaczy tak jakby. Jakoś od przedszkola.

– Czy Amelia miała depresję albo coś ją zdenerwowało?

– Jesteśmy nastolatkami. Wszystkie mamy depresję.

Kate się uśmiechnęła. Właśnie coś takiego powiedziałyby Amelia.

– Nie pamiętasz niczego, co odbiegałoby od normy? – drążył Lew, ignorując jej sarkazm.

– Ostatnio chciała się dowiedzieć, kto jest jej tatą. Dostawała w związku z tym dziwne SMS-y. „Kto jest twoim tatusiem?” czy coś w tym stylu. Nie wiem dokładnie, bo nie chciała mi ich pokazać. Numer był chyba zastrzeżony. Nie była strasznie tym przejęta, nie tak, żeby chcieć się przez to zabić. – Sylvia rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Kate i wbiła wzrok w podłogę. – Mówiła, że już nie wierzy w to, co mówiłaś o jej tacie. Wspominała, że jeśli będzie musiała, sama dotrze do prawdy.

SMS-y o tacie? Teraz nagle dopytywanie Amelii o ojca nabrało sensu. Ale dlaczego nie powiedziała o nich Kate? Kto je przysyłał?

– Wiesz, czy udało jej się czegoś o nim dowiedzieć? – zapytał Lew.

Sylvia pokręciła głową.

– Mówiła, że wie, gdzie są stare pamiętniki mamy. Zamierzała je przejrzeć.

– Zrobiła to? – Kate wzięła się w garść.

– Nie wiem. – Sylvia rozłożyła ręce. – Potem o tym nie wspominała. Miałam ją zapytać, ale później, no wiecie, stało się to wszystko.

– A co ze związkami? – zapytał porucznik. – Może jakiś chłopak?

– Na pewno nie było żadnego chłopaka.

– Moja sąsiadka widziała Amelię, jak w środku dnia wchodziła do naszego domu z jakimś chłopakiem. To było na kilka dni przed jej śmiercią – odezwała się Kate. – Nic o tym nie wiesz?

– Może to był ten cały Ben – zastanowiła się Sylvia. Nagle wydała się zdenerwowana. – To z nimi było naprawdę pokręcone. Amelia mi o tym nakłamała, więc kto wie.

– Widziałam jakąś wiadomość od Bena – potwierdziła Kate. Jej żołądek skurczył się na to wspomnienie: „szczęściara z ciebie”. – On chodzi do waszej szkoły?

– Nie. Ubiegali się o ten sam letni program dla kujonów w Princeton – prychnęła Sylvia. W jej głosie zabrzmiał niesmak, a może zazdrość. – Ciągłe do siebie pisali. Amelia powtarzała, że on jest gejem i mieszka w Albany. Że jest samotny. To wszystko wydawało mi się pokręcone.

Lew robił notatki.

– Amelia do niego napisała?

– Mówiła, że dostał jej e-mail od kogoś z Princeton. Tak jak mówiłam, to wszystko było strasznie dziwne. Miał nawet przyjechać tu do niej tego dnia, kiedy zginęła. Wiecie o tym, prawda? Amelia nigdy nie chciała zdradzić żadnych szczegółów na jego temat. Myślę, że była zażenowana i miała ku temu powody.

– Nie masz pojęcia, gdzie moglibyśmy znaleźć tego Bena, jego numer telefonu, nazwisko, e-mail? – ustalał Lew. – Może znasz nazwę szkoły?

Sylvia pokręciła głową.

– To musi być w jej telefonie. Ona ciągle z nim pisała.

– Jest – potwierdziła Kate. – Widziałam.

– No dobrze. Jakieś nieporozumienia? – dopytywał porucznik. – Miała problem z jakimiś dziewczynami?

– Nie.

– Sylvio, znalazłam karteczki w jej pokoju – odezwała się Kate. Nie mogła się pozbyć uczucia, że Sylvia czegoś im nie mówi. – Na każdej napisano „Nienawidzę cię”. Wyglądały, jakby były od różnych osób. Wiesz, o co chodzi?

Sylvia skrzywiła się i pokręciła głową.

– Nikt nie pisze na prawdziwych karteczkach. Jesteś pewna, że to nie były notatki Amelii? Zawsze pracowała nad jakimś stukniętym projektem.

– To prawda. – Kate się uśmiechnęła, przypomniawszy sobie, jak Amelia miała siedem lat i pocięła na kawałki jeden z dwóch egzemplarzy *Drzewa, które umiało dawać*, by zrobić z tych kawałków poruszaną wiatrem figurę.

Dziwne, że Sylvii nie zaskoczyła informacja o karteczkach. U Kate, gdy je znalazła, wywołały szok. Myślała, że z Sylwią będzie podobnie. Albo że przynajmniej okaże ona znacznie więcej zaciekawienia. Chyba że wiedziała o nich wszystko.

– A co z tym szkolnym biuletynem? – zapytał Lew.

– No właśnie, gRaCeFULLY, tak się nazywa – dodała Kate. – Wiesz, kto go pisze, Sylvio?

Sylvia wpatrywała się w swoje dłonie, kręcąc głową.

– O czym oni mówią? – Julia pochyliła się w stronę córki, usiłując nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Dlaczego nagle wyglądasz na taką zmartwioną?

– Nie jestem zmartwiona, mamó.

– To plotkarski blog albo biuletyn czy coś w tym stylu – wyjaśniła Kate. – Był... To, co tam pisali, było dość ostre.

– Ostre? – powtórzyła Julia. – Dlaczego nigdy dotąd o tym nie słyszałam?

– Bo to głupie – rzuciła Sylvia. – I ukazuje się dopiero od jakichś dwóch lat.

Kate żałowała, że poruszyli ten temat, pewnie nie aż tak ważny. Poza tym nie chciała, żeby Julia dotarła do gRaCeFULLY i przeczytała, co tam pisali o Sylvii. Nikomu by tego nie życzyła.

– Kto wydaje to całe gRaCeFULLY? – zapytał porucznik.

Sylvia wzruszyła ramionami.

– Jakiś debil, który nie ma nic lepszego do roboty.

– Czy Amelię denerwowało to, co tam o niej pisali? – drążył Lew. – Niektóre z tych rzeczy były dość osobiste.

– Chwileczkę – wtrąciła Julia. – Przepraszam, że przerywam, ale czy to znaczy, że gdzieś w szkole ktoś rozwiesza złośliwy blob na temat uczniów?

– Blog, mamó, nie blob. Na komputerze – burknęła Sylvia. – Nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym mówimy. Amelia strzeliła samobójca. Koniec, kropka.

– Sylvio! – rzuciła z wyrzutem Julia. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale na litość boską, pomyśl o uczuciach Kate! Ona próbuje dociec, co naprawdę stało się z Amelią.

– Skoczyła z dachu. – Sylvia złośliwie przeciągała słowa. – Co tu dociekać?

– Dlaczego – powiedziała Kate, usiłując nie dopuścić do tego, by Sylvia wyprowadziła ją z równowagi. Sylvia też była zdenerwowana i Kate to rozumiała. – Chcę wiedzieć dlaczego. Chcę wiedzieć, co takiego zdarzyło się w życiu Amelii. Co ją do tego doprowadziło. Bo nie wierzę. Nie wierzę, że to zrobiła.

– Co z tym szkolnym wypracowaniem, które podobno ściągnęła? – zapytał Lew. – Twierdzą, że dlatego skoczyła. Że była roztrzęsiona po tym, jak ją przyłapali. Czy Amelia rozmawiała z tobą o tym wypracowaniu, Sylvio?

– Pff! Amelia była za bystra, żeby musieć ściągać. A jeśli miałyby ściągać, to na pewno nie wypracowanie z angielskiego. Ona mogłaby prowadzić te zajęcia. Była zdenerwowana, bo zarzucali jej, że ściągała. Ale wiedziała, że tego nie zrobiła. Prawda i tak by wyszła na jaw.

– Więc jeśli nie chodziło o chłopaków, o narkotyki ani o przyłapanie na ściągnięciu – zapytał Lew – to jak myślisz, dlaczego miałyby się zabić?

– Bo była głupia – warknęła ze złością Sylvia. Skrzyżowała obie ręce na ogromnym T-shircie, przyciskając go do ciała, przez co jeszcze lepiej było widać, jaka jest chuda. Odwróciła się w stronę schodów. – I samolubna. Żałuję, że w ogóle ją poznałam.

3 PAŹDZIERNIKA

Ponieważ jest 176 definicji słowa loser w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Cześć, suki!

O wy durne, durne chłopaki! Plotka głosi, że paru chłopaków z niższych klas zostało wrobionych i wysłało zdjęcia swoich „klejnocików” różnym kandydatkom na Sroki, które udawały, że są ich skrytymi wielbicielekami. Wspomniane zdjęcia zostały potem wysłane do wszystkich dziewczyn siedzących w świetlicy. Taka mała rada, chłopaki: jeśli dostaniecie SMS od dziewczyny, która twierdzi, że chce zobaczyć wasz towar, to ściema! Żadna dziewczyna nigdy by nie chciała dostać zdjęcia waszej parówki.

Wygląda na to, że nasza droga Jessica, nosząca niefortunne nazwisko Dealer, wyleci za rozprawianie pigulek wśród pięknych i zblazowanych z Grace Hall. Trzy prywatne szkoły w trzy miesiące, Jessico? Twoje nazwisko nie musi determinować twojego losu.

Plotka głosi, że pewien obrzydliwie bogaty (i mający kiepskie referencje) ojczym – jak by to ująć – inteligentnej inaczey dziewczyny z ostatniej klasy prowadzi kampanię, żeby upchnąć ją do Ligi Bluszczowej. I gdy mówię, że prowadzi kampanię, znaczy to, że nie zna piekła straszliwszej furii niż nadwściekłość członka zarządu z tłustą książeczką czekową i koneksjami na ulicy. Plotka głosi, że planuje założyć podsłuchy w dziekanacie lub przestrzeli kilka kolan.

W ostatni weekend cała drużyna lacrosse’a została wyrzucona z Kale’s Tavern nie dlatego, że jej członkowie byli niepełnoletni i pijani w trupa, lecz dlatego, że jeden z tych kretynów zeszczął się na podłogę! Hej, debile, jeśli ktoś jest tak głupi, żeby was obsługiwać, moglibyście okazać choć trochę uprzejmości i zorientować się, gdzie jest toaleta.

Amelia

5 PAŹDZIERNIKA, 23.34

AMELIA

znowu było dziwnie

BEN

o-ho! co się stało?

AMELIA

ona w ogóle jest dziwna, co chwilę w innym humorze. czasem czuję, że wcale nie chce się ze mną przyjaźnić

BEN

sorry, ale wy dziewczyny wszystkie jesteście stuknięte; skończyłaś zadania od Srok

AMELIA

tak

BEN

nawet...

AMELIA

tak

BEN

myślałem

AMELIA

wiem, mówiłam, że tego nie zrobię; ale nie miałam wyboru

BEN

aha, jasne

AMELIA

nie oceniaj. to wredne

BEN

nieważne; ten chłopak wie, że to była ściema?

AMELIA

jutro

BEN

o rany

AMELIA

wiem, jestem do bani; nara, muszę lecieć

5 PAŹDZIERNIKA, 23.41

SYLVIA

czy mój tyłek wygląda lepiej w czarnych dżinsach Jamesa czy w sukience vintage z West Village?

AMELIA

podchwytliwe pytanie?

SYLVIA

ha, ha!

AMELIA

w sukience

SYLVIA

wiedziała! dzienks!!! Xo xo

5 PAŹDZIERNIKA, 23.47

DYLAN

właśnie myślałam o tobie

AMELIA

ja też

DYLAN

miłe myśli?

AMELIA

pewnie

DYLAN

ekstra; do jutra

AMELIA

pa!

5 PAŹDZIERNIKA, 23.52

CARTER

stara, co było zadane z biologii?

AMELIA

127-47, plus ćwiczenia

CARTER

kurwa; dzienks. Idziesz w piątek na melanz u Chloe?

AMELIA

nie wiem

CARTER

przyjdź, będzie fajnie

AMELIA

może, nara

6 PAŹDZIERNIKA, 01.02

NUMER ZASTRZEŻONY

Mamusia ci kłamie. Pozwolisz jej to robić?

Facebook

6 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

gotowa się zachwycić

Carter Rose jestem na Garfield 322; wpadnijcie

Sylvia Golde bla bla bla

Amelia

6 PAŹDZIERNIKA

Sylvia i ja siedziałyśmy przy stoliku w Tea Lounge i odrabialiśmy pracę domową. Wytatuowani bariści puszczali na cały regulator radio z jakąś kapelą grającą indie. Panował tu straszny tłok: pisarze, studenci, mamy gadające z przyjaciółkami i ignorujące swoje wrzaskliwe bachory. W Tea Lounge zawsze był tłok, a niepasujące do siebie meble w stylu garażowym były podniszczone, ale i tak świetne. Kiedy tylko mogłyśmy, Sylvia i ja chodziłyśmy tam po szkole, żeby odrobić pracę domową. Ona zamawiała espresso, które ledwie była w stanie przełknąć, ja brałam chai latte i udawałyśmy, że jesteśmy z college'u.

– To, czego dokonywa się z miłości, dzieje się zawsze poza dobrem i złem³ – wyrecytowała Sylvia z książki, którą akurat czytała.

– Ach tak? – spytałam, słuchając tylko jednym uchem. – Niezłe.

Skupiłam się na swoim laptopie. Kończyłam wypracowanie z *Do latarni morskiej*. Z początku zirytowały mnie tematy, które dała nam Liv. Nie byłam geniuszem ani nikim takim, ale tematy były o wiele za łatwe. Aż głupio łatwe. Po zajęciach Liv wzięła mnie jednak na stronę i powiedziała, że mogę napisać, o czym chcę. W końcu wpadłam na pomysł, który wydał mi się interesujący. Myślałam, że Liv też będzie pod wrażeniem. Chciałam jej zaimponować.

Lubiłam Liv nie tylko dlatego, że była młoda i ładna, nosiła odważną biżuterię i miała ten tajemniczy tatuaż, który było trochę widać, gdy wiązała włosy w kucyk. Liv była najlepszą nauczycielką, jaką kiedykolwiek miałam. I do tego pisała tak jak ja. Pokazała mi nawet kilka opowiadań, które opublikowała w jakichś małych czasopismach literackich – dość dobre. Nie tak dobre jak z „New Yorkera”, ale naprawdę niezłe.

Do tego Liv chciała mnie wspierać w pisaniu. Ciągle próbowała mnie nakłaniać, żebym coś z tym robiła, na przykład przesłała parę opowiadań do jednej z grup literackich. Letni program dziennikarski w Princeton to coś innego. Artykuły na temat konkretnych spraw nie były tym samym co historyjki, które sobie wymyślałam. Nie czułam się gotowa, by świat je analizował i rozbierał na czynniki pierwsze. Jeszcze nie.

– Kto by pomyślał, że stary dobry Nietzsche był takim romantykiem – rzuciła Sylvia. Czułam, że się we mnie wpatruje, sprawdza, czy mnie zainteresowała. Na próżno. – Nie możesz tego wiedzieć, Amelio. Ale kiedy człowiek się zakocha, tak właśnie jest: poza dobrem i złem.

Nie do końca żartowała z tym całym dramatem szekspirowskim. Wszystko, co się wiązało z chłopakami, było dla niej właśnie takie: życie i śmierć, wzloty i upadki i o wiele za dużo eliksirów nasennych. – Wiem, że wcześniej lubiłam innych facetów – ciągnęła ze śmiertelną powagą – ale z Ianem

to jest naprawdę to. Na początku lubiłam go tylko dlatego, że jest przystojniutki, ma ten swój słodki akcencik i tak dalej. No i też trochę dlatego, że może kiedyś dzięki niemu zostanę księżną, ale teraz... sama nie wiem. On jest takim niesamowitym człowiekiem. Naprawdę otworzył mi oczy.

Przyglądała mi się, jakby oczekiwała, że zacznę zadawać pytania na temat jej miłości. Nie zamierzałam tego robić. Byłoby mi łatwiej cokolwiek wymyślić, gdyby Sylvia poprzednio nie mówiła dokładnie tego samego o trzech innych chłopakach. Najbardziej szalone było to, że nie kłamała. Wierzyła w to, co mówi. To jedna z tych rzeczy, które sprawiały, że była taka świetna. Miała gigantyczne dzikie serce, które pożerało wszystko, co stało mu na drodze. Miło było przy niej być, zwłaszcza że czasami ledwie czułam własne serce przytłoczone ciężarem mojego hiperaktywnego mózgu.

Poza tym kto wie? Może z Ianem to w końcu będzie to? Mało prawdopodobne, lecz niewykluczone.

– O cholera! – powiedziałam, przypominając sobie, która godzina. – Jestem spóźniona. Dziś po południu opiekuję się dziećmi Kelsey.

Miałam tylko dziesięć minut, żeby wyrwać się z Tea Lounge i dotrzeć na spotkanie Srok u Zadie. Mieszkała spory kawałek stąd, przy Ósmej. Nie mogłam się spóźnić. Zadie miała podobno ogłosić naszej trójce coś superważnego. Chodziło o ostatnią rzecz, którą musiałyśmy zrobić, zanim staniemy się prawdziwymi Srokami. Nawiasem mówiąc, wciąż nie byłam pewna, czy w ogóle tego chciałam. Byłam natomiast pewna, że zrobię wszystko, co będzie trzeba, by dalej przyjaźnić się z Dylan.

– Nawet mnie nie słuchasz, co? – spytała Sylvia, z roztargnieniem przerzucając kartki podręcznika *Wprowadzenie do filozofii*. Nagle przestała to robić, zmrużyła oczy i spojrzała na mnie podejrzliwie. – Co się ostatnio z tobą dzieje? Nigdy nie masz czasu, a kiedy go znajdziesz, zachowujesz się jak kompletny świr. I te wszystkie update'y statusu na Facebooku, cała ta porąbana, kiepska poezja? „Amelia Baron gotowa się zachwycić”. Wiesz, jak mnie to wkurza, kiedy ludzie próbują być na Facebooku tacy artystyczni. Jakbyś była zakochana w kimś albo w czymś.

Spojrzałam na nią nagle, odrywając oczy od pracy domowej. Nic nie mogłam na to poradzić.

– Oż cholera, jesteś! – wrzasnęła, rzucając tak głośno książkę na stół, że flejtuchowaty scenarzysta za nami zrobił taką minę, jakby miał ochotę jej przyłożyć.

– Zamknij się – syknęłam. – Przez ciebie nas stąd wywalą.

– O Boże, kto to? – Sylvia wyszczerzyła zęby, jej oczy błyszczały. – Amelio Baron, wreszcie zakochałaś się w jakimś chłopaku i nawet się nie pofatygujesz, żeby mi powiedzieć? Jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Masz moralny obowiązek mówić mi takie rzeczy. – Wydawała się raczej podekscytowana niż wkurzona. – Żądam, żebyś zaczęła od początku i powiedziała mi absolutnie wszystko. Wtedy może ci wybaczę. Jest starszy, tak? Ale nie łysy, prawda?

Właśnie dlatego Sylvia wciąż była moją najlepszą przyjaciółką. Wydawało się, że niczego bardziej nie pragnie niż tego, żebym się zakochała. Przez dziewięćdziesiąt procent czasu skupiała się wyłącznie na własnym tyłku. Dziesięć procent całkowicie oddawała mnie.

– Tu jesteś, ślicznotko – zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, za naszymi plecami rozległ się głos

z brytyjskim akcentem.

Twarz Sylvii się rozpromieniła. Odwróciła się i zobaczyła Iana lawirującego w naszą stronę między krzesłami. Miał na sobie obciste džinsy i przylegający czarny T-shirt. Jasnoblond włosy zaczesał w coś w rodzaju irokeza. Włożył jakieś dziwne europejskie tenisówki, które wyglądały jak buty do kręgli. Ogólnie image bardzo w stylu „kurwa, mam to gdzieś”, jakby był jakąś angielską gwiazdą rocka albo totalnym luzerem. Mogło być i tak, i siak. Ianowi to pasowało. Chłonełam jego niezaprzeczalny urok, czekając, aż też poczuję, że mnie kręci. I nic. Widziałam, że to niezłe ciacho, każdy to widział. Ale nie czułam nic.

Ian i ja wpadliśmy na siebie na kolejnej imprezie w poprzedni weekend. Zorganizowano ją w domu jednego z chłopaków i była o wiele ostrzejsza – kiedy wróciłam do domu, dochodziła druga. Na szczęście mama spała jak zabita. Przynieśli o wiele więcej twardych narkotyków niż zwykle, a ludzie uprawiali seks praktycznie w przedpokoju. Na tej imprezie też nie rozmawiałam z Ianem. Raz widziałam go z Zadie, ale – na tyle, na ile byłam w stanie stwierdzić – raczej próbował się od niej uwolnić. Później też nie rozmawialiśmy o tej imprezie. Tak naprawdę w ogóle nie rozmawialiśmy o tym, że należymy do klubów. To był sekret, który milcząco postanowiliśmy zachować dla siebie i nie zdradzać go Sylvii. Tak więc teraz wisiała w powietrzu dziwna kula napięcia. Nienawidziłam myśli, że wiem coś o chłopaku Sylvii, czego ona nie wie. To, że mogłam go mieć na oku, działało pewnie na jej korzyść, zwłaszcza że kręciła się koło niego Zadie. Mimo to czułam się tak, jakby to była zdrada. Zdrada, której Sylvia pewnie nigdy by mi nie wybaczyła.

Ian objął Sylvię i ją pocałował. Nawet te jego swobodne gesty, takie jak ten, wydawały się nerwowe. Gdy odsunęli się od siebie, Sylvia uśmiechnęła się do niego tak promiennie, jakby zaraz miał buchnąć z niej ogień.

– Wszędzie cię szukałem – powiedział. Po męsku kiwnął głową zrędliwemu scenarzyście siedzącemu obok, bez pytania zabrał wolne krzesło od jego stolika i usiadł na nim okrakiem. – Wydawało mi się, że dziś po południu mieliśmy iść do parku i pstryknąć parę fotek.

Sylvia uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Lubi robić mi zdjęcia – powiedziała z udawaną skromnością. – Urocze, nie uważasz? – zwróciła się znów do Iana. – Myślałam, że do czwartej masz trening z drużyną? Za parę minut miałam ci wysłać SMS. Amelia i tak musi już iść.

– Na pewno? – spytał uprzejmie Ian. – Droczyłem się tylko z Sylvią. Nie chcę wam popsuć planów. Przecież możemy się spotkać później.

Próbował mi się nie narażać. Myśli, że coś na niego mam? Ze względu na Sylvię liczyłam na to, że jego grzeczność ma inne powody.

– Nie, nie, Sylvia ma rację – potwierdziłam, zerkając na zegarek. Wstałam, zebrałam swoje rzeczy i pokazałam Ianowi, żeby zajął moje miejsce. – Muszę gdzieś być o czwartej.

Sylvia kokieteryjnie przekrzywiła głowę, gdy Ian usiadł obok niej. Wymachiwała nogą założoną na

nogę. Cała reszta jej ciała wyglądała, jakby była z gumy. Ian nie był w stanie oderwać od niej oczu. Patrząc na nich, poczułam się lepiej. Nigdy nie widziałam, żeby Ian patrzył w ten sposób na Zadie ani jakąkolwiek inną dziewczynę. Sylvia jest bezpieczna. Ich uczucie było totalnie odwzajemniane.

– No dobra, na razie – rzuciłam, chociaż żadne z nich mnie nie słuchało.

Odczekałam jeszcze chwilę i poszłam. Chwytałam za kłamkę, gdy Sylvia zawołała za mną:

– Hej, psiapsióło! – odwróciłam się, a oni już trzymali się już za ręce. – Pamiętaj, jeszcze z tobą nie skończyłam. Wiem, że masz tajemnice. W końcu będziesz się musiała wygadać.

Wyszłam z Tea Lounge i ruszyłam Union w stronę Siódmej Alei. Zrobiło się trochę zimno, słońce kryła ciężka warstwa stalowoszarych chmur. Zaczęło też mocno wiać. Był pierwszy tydzień października i wreszcie nadeszła prawdziwa jesień. Zapięłam bluzę, naciągnęłam kaptur na głowę. Skręciłam na południe w Siódmą Aleję. Wtedy zaczęło wiać jeszcze mocniej, tak że chłód przenikał mnie aż do szpiku kości. Skuliłam ramiona i pochyliłam się, mając nadzieję, że okropny tłum na Siódmej Alei jakimś magicznym sposobem się rozstąpi.

Nic z tego. Po szkole na chodnikach w Park Slope zawsze było pełno dzieciaków i mamus, i wszystkich tych dziwnych typów jak pisarze czy artyści – nie do końca *cool*, nie do końca bezdomni – którzy zawsze szwendali się po okolicy, kiedy prawdziwi dorośli byli w pracy.

Minęłam supermarket Ace, do którego dzieciaki z Grace Hall chodziły kraść batoniki, i La Bagel Delight, w którym podawali gorące bajgle prosto z pieca. Minęłam szkołę numer 321, istny młyn. Patrzyłam na ich zatłoczone podwórze ze zdumieniem. Nigdy nie byłam w stanie pojąć, jak ten mały budynek mógł pomieścić wszystkie te dzieciaki.

Minęłam Pino's – w środku wciąż siedział tłum dzieciaków ze starszych klas podstawówki w Grace Hall. Parę przecznic dalej inni siedzieli na ławce przed Cocoa Bar, który był zbyt miłym i spokojnym miejscem dla dzieciaków po szkole. Po drugiej stronie ulicy miała siedzibę John Jay High School, ale o tej porze gliniarze wygonili większość uczniów do domu.

Przez ostatnich kilkanaście przecznic szłam ze spuszczoną głową, by wiatr nie wiał mi w twarz. Dzięki temu nie musiałam się martwić, że wpadnę na naszą sąsiadkę Kelsey, mamę Sylvii albo kogoś takiego. Lubiłam je obie. Zawsze były dla mnie miłe. Zadawałyby jednak pytania, na które nie chciałam odpowiadać.

Myślałam o jednym: Sylvia uważa, że się zakochałam. Zastanawiałam się, co to znaczy, że czuję się trochę tak, jakby to była prawda.

Nim dotarłam na Ósmą, trzęsłam się jak galareta. Szybko skręciłam w lewo w stronę domu Zadie z nadzieją, że jeśli będę szła w inną stronę, wiatr zelżeje. Było jeszcze gorzej. Mocniej pochyliłam głowę i objęłam się rękoma.

Po paru krokach ktoś mnie mocno potrącił. Potem poczułam dłoń na swoim ramieniu. Spojrzałam. Wielka dłoń mężczyzny. O cholera, o cholera, o cholera! Napadli mnie. Albo mnie zgwałcą. Muszę się

ruszać, uciekać, biec. Wrzeszczeć.

– Puszczaj mnie, dupku! – wrzasnęłam najgłośniejszym głosem, jak potrafiłam, próbując wywinąć się spod tej dłoni. – Puszczaj!

– Amelio, to ja!

Znał moje imię. Skąd, u diabła, znał moje imię?

– Przepraszam cię, bardzo przepraszam. Nie pomyślałem. Nie chciałem cię przestraszyć.

Znów mocno się szarpnęłam. Wcale mnie nie trzymał. Odsunęłam się kilka kroków i podniosłam wzrok. Zobaczyłam... pana Woodhouse'a w spodniach do biegania, tenisówkach i w wiatrówce, z czarną wełnianą czapką na głowie, w której wyglądał jak jakiś deskorolkarz. Miał absolutnie przerażoną minę.

– Tak mi przykro, Amelio. – Uniósł ręce, rozejrzał się wokół. Patrzył szeroko otwartymi oczami. Cofnął się jeszcze o krok. Sądzę, że na wypadek gdyby ktoś zamierzał wezwać gliny. – Kilka razy wołałem cię po imieniu. Chyba mnie nie słyszałaś przez ten naciągnięty kaptur. Nie powinienem cię tak dotykać. Naprawdę przepraszam.

Moje serce biło tak mocno, że czułam je w opuszkach palców.

– Tak, nie powinien pan – potwierdziłam, próbując złapać oddech. – Kiepsko reaguję, kiedy... nie wiem... dotykają mnie przypadkowi mężczyźni.

– Boże, chyba za długo uczyłem na północy Connecticut – odparł. – Człowiek zapomina, że w mieście ludzie mają się na baczności.

– Ja pewnie nie łąpałabym tak dziewczyn nawet w Connecticut.

– Masz rację – powiedział z uśmiechem. Rozejrzał się zdezorientowany. – Nie mieszkasz tu w okolicy, prawda?

Woodhouse zaczynał mnie przerażać. Wykuł na pamięć treść moich papierów czy co? Poza tym fatalnie, że spotkał mnie w tej okolicy. I tak byłam zestresowana, bo na własne ryzyko wprowadziłam imię Dylan do pamięci telefonu. Za cynk do dyrektora o zamiarach spotkania Srok pewnie odrąbałyby mi palec.

– Idę do cioci. Mieszka w pobliżu.

Czemu nie powiedziałam „do przyjaciółki”? Nie mam żadnej cioci. Woodhouse pewnie wiedział również o tym.

– To pewnie miło, że masz ją tak blisko.

Nie potrafiłam wyczuć, czy wbił mi szpilę, bo wiedział, że kłamię.

Potem na bardzo długą chwilę zapadło niezręczne milczenie. Kiwał głową, jakby zastanawiał się nad czymś, co za chwilę zamierzał mi powiedzieć. Wreszcie zmrużył oczy i spojrzał na zachodzące słońce.

– Niedługo się ściemni. Uważaj w drodze do domu. Nigdy nie wiesz, kiedy jakiś głupiec wyskoczy i cię złapie. – Jeszcze raz się uśmiechnął, potem wskazał podbródkiem w stronę, w którą szłam. – I powiedz Zadie oraz reszcie dziewczyn, żeby lepiej były grzeczne.

Zadie otworzyła z impetem wielkie stalowe drzwi, zanim zdążyłam nacisnąć dzwonek. Modliłam się tylko, żeby nie widziała mojej rozmowy z panem Woodhouse'em.

– Spóźniłaś się – warknęła, spoglądając nad moją głową na chodnik, jakby sprawdzała, czy ktoś mnie nie śledzi. Szarpnęła mnie za bluzę i wciągnęła do środka. – Jezu, nie stój jak jebana debilka.

Myślałam, że Zadie wpuszcza mnie do budynku, nie do swojego mieszkania. Wnętrze było jednak wielką otwartą przestrzenią z oknami od podłogi do sufitu po jednej stronie, a ścianą z nagiej cegły po drugiej. Podłogi wyglądały jak chodnik, tyle że wypolerowany. Nieliczne meble były strasznie niskie, zimne i nowoczesne. Z wyjątkiem regału pełnego zdjęć, na którym stało też kilka drogich waz, miejsce to bardziej przypominało sklep z meblami niż dom, w którym naprawdę mieszkają ludzie.

– Jezu, wejdźże wreszcie! – Zadie minęła mnie i ruszyła w stronę podwieszanych stalowych schodów. – Wszyscy są już na dole.

Zaczęłam schodzić za nią do piwnicy. Z przodu urządzone niewielkie pomieszczenie z pustymi regałami i z fotelami. Obok był korytarz wyłożony nowoczesnym wzorzystym dywanem – spirale błękitu, zieleni i czerwieni przeplatały się na całej jego długości.

Zadie powiedziała, że wszyscy już są. Ale w piwnicy panowała dziwna cisza. Kompletna cisza. A jeśli nikogo tam nie ma? Jeśli całe to spotkanie było pułapką? Zadie naprawdę mnie nienawidziła. Nie wiedziałam dlaczego, ale byłam tego pewna. A teraz stałam w cichej piwnicy jak w pułapce, odcięta od świata. Nikt nigdy nie usłyszy moich krzyków.

– No na co czekasz? – spytała Zadie, machając do mnie ręką.

– Tu na dole jest tak cicho – niemal szeptałam. Jak skończona kretyńska.

– Eee... Izolacja akustyczna, debilko – odparła, jakby każdy miał u siebie w domu pokoje z izolacją akustyczną. Wpatrywała się we mnie ze złością. – Mój ojczym ma tu na dole studio i lubi ciszę. I co, chcesz wszystkie szczegóły o całym domu, zanim ruszysz dupę?

– Dlaczego mnie tak bardzo nienawidzisz? – usłyszałam własne pytanie. Jakaś część mnie była zadowolona, że to powiedziałam. Ta druga, bystrzejsza część mnie miała ochotę udusić tę pierwszą. – Powiedz mi, co takiego robię, a spróbuję przestać, przysięgam.

Oczy Zadie zwęziły się w niebieskie szparki, gdy przysunęła swoją twarz do mojej. Jej włosy miały zapach papierosów. Zobaczyłam z bliska charakterystyczne białe pasemko. W tym jednym idealnie równym miejscu jej włosy były kompletnie pozbawione koloru. Jakby nanosiła utleniacz, używając linijki.

– Możesz przestać być sobą? – spytała cicho. Jej twarz była teraz tak blisko. Niemal mogłybyśmy się pocałować. – Bo jeśli możesz, to byłoby świetnie. Jeśli nie, chyba muszę cię nienawidzić dalej.

W tej chwili z długiego korytarza wypadła Dylan.

– Tu jesteś! – Uśmiechnęła się. Moje serce zabiło mocniej na myśl, że mówi do mnie. Ale ona zwróciła się do Zadie. – Wszyscy mają dość tego czekania, Zadie. Parę dziewczyn powiedziało rodzicom, o której będą w domu.

– Dobra – odparła Zadie, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Idę. Ale lepiej niech nasza słodka paniusia siedzi z dala ode mnie. Od smrodu i doskonałości chce mi się rzygać.

Zrobiła w tył zwrot i pomaszerowała korytarzem. Wpatrywałam się w podłogę, ruszając za nią. Bałam się, że jeśli spojrzę na Dylan, mogę zacząć płakać. Nie mogłam tego dłużej znosić. Nie mogłam dłużej znosić nienawiści Zadie tylko po to, by móc spotykać się z Dylan.

– Przepraszam za spóźnienie – mruknęłam do Dylan, mijając ją. – Nie chciałam, żeby wszyscy na mnie czekali. Wpadłam na kogoś i...

– Pst! – szepnęła, unosząc palec do ust. Wychyliła się, jakby sprawdzała, czy Zadie naprawdę sobie poszła.

– Dlaczego przyjęła mnie do klubu, jeśli tak strasznie mnie nienawidzi? – spytałam. – Naprawdę tego nie rozumiem.

– Dlaczego cię przyjęła? – spytała cicho Dylan. Wydawała się zdezorientowana. – Zadie cię wybrała.

– Wybrała mnie? Co ty mówisz?

– Dylan! – wrzasnęła Zadie z końca korytarza. – Chodź tu, kurwa, wreszcie!

Dylan spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Spokojnie, łagodnie.

– Mogłybyśmy ją ignorować. – Jej uśmiech stał się psotny. – Ale myślę, że dzisiaj mogłaby naprawdę kogoś zabić.

– Lepiej nie ryzykujmy. – Pokręciłam głową i spojrzałam w długi korytarz, jakby prowadził do krzesła elektrycznego. Nie kupowałam historyjki, że Zadie chciała mnie zrekrutować, ale to nie był odpowiedni moment, żeby dopytywać o szczegóły. – Jestem pewna, że na mnie pierwszą by padło.

Dylan przekornie pokręciła głową.

– Pewnie tak.

Potem stała tak po prostu przez długą chwilę i dalej się uśmiechała. Ze swoją gładką skórą, wysokimi kośćmi policzkowymi i gęstymi kasztanowymi lokami była najdoskonalszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam. Nieskazitelną. Trudno było na nią patrzeć, jakby miała... jakbym ja miała rozsypać się na kawałki, gdybym wpatrywała się w nią zbyt długo.

Dylan uśmiechnęła się do mnie raz jeszcze, po czym poszła tam, gdzie zniknęła Zadie. Patrzyłam za nią, czując się tak, jakby ktoś wyssał mi całe powietrze z płuc. Dylan zrobiła tylko kilka kroków. Niespodziewanie wróciła i mocno splotła swoje palce z moimi.

Nie mogłam oderwać oczu od naszych złączonych dłoni, gdy Dylan ciągnęła mnie długim, ciemnym korytarzem. Słyszałam teraz głosy, daleko, na drugim końcu. Była też plama światła i czułam, że ktoś się tam porusza. Chciałam, żeby korytarz ciągnął się w nieskończoność. Chciałam, żeby palce Dylan pozostały splecione z moimi. Chciałam, żeby nigdy nie odeszła.

Dylan zamarła na skraju prostokąta światła, które padało z najdalszego pokoju na dywan w korytarzu. Puściła moją dłoń. Była zwrócona do mnie plecami, lekko wygięła ręce. Wpadłam na nią.

– No więc ta gra – usłyszałam słowa Zadie.

– Na co czekasz? – wyszeptaliśmy Dylan do ucha. Zadie kompletnie odbije, kiedy zauważy, że wciąż mnie nie ma w pokoju.

Dylan nie odpowiedziała. Zamiast tego odwróciła się powoli. Jej twarz była zaledwie kilka centymetrów od mojej. Czułam na skórze jej oddech. Czułam bicie własnego serca. Byłam pewna, że Dylan też je czuje. Jedynym dźwiękiem był głos Zadie dochodzący z pokoju.

– ...i ta gra nie jest dla sztywniaczek ani dla romantyczek, nic w tym stylu – ciągnęła Zadie. – Przemówcie teraz albo zabierajcie stąd swoje żalosne dupy.

Wtedy usta Dylan dotknęły moich. Jej wargi były tak drobne, delikatne i miękkie, gdy wreszcie zaczęłam odwzajemniać pocałunek. W niczym nie przypominały ostrych, słonych w smaku warg ratownika z Chatham, z którym całowałam się na wakacjach dwa lata temu.

Nasze usta przywarły do siebie. Dylan dotknęła mojej twarzy. W tej chwili zyskałam pewność. Nie chciałam być po prostu jej przyjaciółką. Nie chciałam być taka jak ona. Chciałam ją całować.

I wtedy z cichym westchnieniem Dylan zniknęła. Zostałam sama w ciemności na skraju tego małego prostokąta światła.

Minęła sekunda, nim złapałam oddech. Moje serce wciąż tłukło się jak szalone, gdy wśliznęłam się do pokoju, w którym zebrały się dziewczyny. Łudziłam się, że moje policzki nie są tak zarumienione, jak mi się wydaje. Przysunęłam grzbiet dłoni do ust, ale ich nie otarłam. Zamiast tego przycisnęłam palce do warg, jakby próbując zatrzymać w sobie ten pocałunek.

Rozejrzałam się szybko, by sprawdzić, czy któraś mnie obserwuje. Oczy wszystkich dziewczyn – jedne siedziały rozwalone na skórzanych kinowych fotelach, inne opierały się o ściany albo siedziały po turecku na podłodze – były utkwione w Zadie, która stała z przodu. Za nią znajdowały się lśniący sprzęt elektroniczny i ogromny telewizor z płaskim ekranem.

Przysunęłam się do najbliższej ściany, szukając wzrokiem Dylan. Byłam przerażona, że sobie poszła, że zniknęła. Wreszcie spojrzałam na Zadie. Dylan była przy niej, siedziała na fotelu po prawej stronie. Wpatrywała się we mnie niezupełnie ze zmarszczonym czołem, ale bez uśmiechu. Wydawała się raczej zaskoczona i lekko zdezorientowana.

To ona mnie pocałowała, powtórzyłam w myślach. I przypomniałam sobie absurdalne wahania Sylvii dotyczące pocałunku z Ianem. Na pewno Dylan pocałowała mnie. Dlaczego jest zaskoczona?

– Mamy bloga. Nazywa się „Ciągnij swój do swego”. – Zadie wyglądała na dumną z siebie. – Ja to wymyśliłam. Każda ma stronę ze swoimi zdjęciami. Celem gry jest doprowadzenie do tego, by jak najwięcej osób zalajkowało wasze zdjęcia.

Tłumaczyła jeszcze i jeszcze o tych zdjęciach i o tym, jak sprawić, żeby więcej osób je zalajkowało. Słuchałam jednym uchem. Mogłam myśleć tylko o tym pocałunku. Wydawał mi się czymś bardzo właściwym. Sekundę później poczułam ból w stopie. Upłynęła chwila, nim pojęłam, że Zadie depta mi po palcach.

– Słuchasz mnie, kurwa, suko?

– Eee... mmm... Tak – wyrzuciłam z siebie bełkotliwie. Poczułam, że inne dziewczyny też na mnie patrzą. – Słucham.

Zadie skrzyżowała ręce i paskudnie skrzywiła usta. Teraz była bliżej, tuż przy mnie.

– Wchodzisz?

Czy jeszcze musiałam w coś wchodzić? Po tym, co się właśnie stało z Dylan, może wcale nie. Tak naprawdę wcale nie słuchałam. Dotarło do mnie niewiele – blog, zdjęcia, ludzie, których nie znam. Nie podobała mi się ta gra. Nie miałam ochoty brać w niej udziału.

Spróbowałam spojrzeć za plecy Zadie na Dylan. Zobaczyć, czy da mi jakiś znak. Rozmawiała pochylona z Bethany. Wydawało się, że nie zauważyła, jak Zadie na mnie wsiadła. Że zupełnie jej to nie obchodzi. Jakby mnie tu w ogóle nie było.

Jeśli Dylan potrafiła tak szybko się mną znudzić, jak uda mi się przykuć jej uwagę, gdy nie będę Sroką? Kiedy przestaniemy się cały czas widywać na spotkaniach i imprezach? Może Dylan zaczęłaby udawać, że mnie nie zna? Może odebrałaby to jak zniewagę, że nie zostałam dla niej w klubie? Może byłaby wściekła? Gdyby tylko na mnie spojrzała, wiedziałabym. Znów pomyślałam o tym pocałunku, o dłoni Dylan delikatnie dotykającej mojej twarzy.

– No? – Zadie znów szturchnęła moją stopę. – Jak będzie, słodka paniusiu? Wchodzisz w to?

Ponownie spojrzałam na Dylan. Nie rozmawiała z Bethany. Wpatrywała się w podłogę. Wyglądała na niezbyt szczęśliwą. A jeśli po cichu pragnęła, żebym odeszła? Niemożliwe. To by nie miało żadnego sensu. Przed chwilą mnie pocałowała. Bo pocałowała, prawda?

– Chcę zostać – wychrypiałam i odchrząknęłam. Zmusiłam się, żeby wytrzymać wredne spojrzenie Zadie. – Wchodzę w to.

Zadie przyglądała mi się ze złością jeszcze przez minutę, jakby usiłowała mnie zmusić, żebym zmieniła zdanie.

– Zostaję – powtórzyłam. Głos wciąż mi drżał.

– Zadie, dość tego! – krzyknęła wreszcie Dylan z drugiego końca pokoju. Wstała. Skrzyżowała ręce na piersi i wysunęła biodra w wyzywającej pozycji, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałam. – Naprawdę, daj jej już, kurwa, spokój!

Pierwszy raz usłyszałam, by Dylan mówiła w taki sposób, ze złością i jakoś tak twardo. Wszystko dlatego, że mnie broniła. Poczułam się, jakby miało mi pęknąć serce. Jednak ten pocałunek coś oznaczał. Teraz byłam tego pewna.

Wychodziłyśmy jakieś dwadzieścia minut później, bogatsze o wiedzę na temat kilku niejasnych „szczegółów” tej całej „gry”. W kuchni natknęłyśmy się na ojczyma Zadie, wysokiego, wysportowanego mężczyznę o gęstych, ciemnych włosach. Nosił szpanerski europejski garnitur, na palcu miał tandetny pierścień. Najwyraźniej dużo wydawał na ciuchy, mimo to wyglądał okropnie kiczowato. Nie

dorównywał innym ojcom z Park Slope, którzy czasami byli *cool*, ale najczęściej – szykowni i szalenie poprawni. Nigdy nie nosili szpanerskich europejskich ciuchów. Nawet ci, którzy pochodzili z Europy.

Na stole stała otwarta butelka szkockiej, obok prawie pusta szklanka. Ojczym Zadie klikał na swoim iPhone. W drugiej ręce trzymał BlackBerry. W kącie poruszała się jakaś starsza kobieta o siwiejących blond włosach upiętych w luźny kok, ubrana w czarne spodnie i fartuch. Przetrzepywała poduszki na sofie. Przez sekundę myślałam, że to matka Zadie, ale zaraz zauważyłam, że przetrzepuje te poduszki, jakby od tego zależało jej życie. Mieli sprzątaczkę, podobnie jak większość ludzi w Park Slope. Ta kobieta wyglądała jak pełnoetatowa służąca, może nawet pokojówka.

– Hej! – zawołał głośno i przeciągle ojczym Zadie. – Co my tu mamy?! Sroki wylatują ze swojego tajnego gniazda.

Uśmiechał się w jakiś taki pijacki sposób, trochę uroczy, trochę obleśny.

– Uch, zamknij się, Frank – figlarnie ripostowała Zadie, podchodząc do niego swobodnie i zabierając mu drinka z ręki. Upiła łyk, potem kolejny. – Mmm... – mruknęła. – Zawsze wyciągasz najlepszy towar, kiedy ci się wydaje, że nikogo nie ma w domu.

Ojczym odebrał jej szklankę, zanim pociągnęła jeszcze raz.

– Twoja mama mnie zabije, jeśli wróci do domu i poczuje od ciebie whiskey. No, przedstaw mnie swoim przyjaciółkom.

Byłam na przodzie grupy. Chciałam jak najszybciej wydostać się z tego domu, a stałam tu jak na świeczniku. Zadie przewróciła oczami, pochyliła się, oparła łokcie na granitowym blacie.

– Eee – powiedziała, zabrała mu z ręki iPhone i zaczęła przesuwać palcem po ekranie. – To nie są moje przyjaciółki.

– Daj spokój – zaprotestował, obejmując ją ramieniem. Zwrócił się do nas. – Mam nadzieję, że Zadie dobrze was ugościła. Jeśli o mnie chodzi, jesteście zawsze mile widziane w naszym domu. Lubię kluby. Też kiedyś byłem w czymś takim. Najlepsza rzecz na świecie. Ci faceci wciąż są moimi przyjaciółmi. Dzięki klubom życie jest, no wiecie, lepiej zorganizowane.

– Nie sądzę, żeby gang zaliczał się do klubów, Frank. – Zadie uśmiechnęła się w naszą stronę. Szpanowała. – Wiecie, Frank wychował się po niewłaściwej stronie Brooklynu. Wydaje mu się, że w Skull and Bones Society chodzi o zabijanie ludzi.

Frank rzucił jej szybkie spojrzenie. W następnej chwili na jego twarz powrócił swobodny uśmiech. Wzruszył ramionami.

– Może i tak – stwierdził. – Ale braterstwo to zawsze braterstwo. Byłem też gliniarzem, pamiętasz? To klub, który kładzie na łopatki wszystkie inne cholerne kluby, wierz mi.

– A właśnie! Ktoś pozwolił ci nosić broń. Wydaje się to tak niemożliwe, że ciągle o tym zapominam. – Zadie skinęła w stronę drzwi. – W każdym razie one właśnie wychodziły.

– Dobra, będziesz się mogła zabrać za te eseje do college’u – powiedział. – Założyłem się wreszcie z tym dupkiem Teddym. Jak się dostaniesz na dwie uczelnie z Ligi Bluszczowej, ten zasraniec będzie mi

wisiał pięć kawałków.

– Jeśli się dostanę, kto zatrzyma kasę?

– Dla mnie możesz ją sobie wziąć i splukać w kiblu. Chcę tylko pokazać temu nadętemu zasrańcowi, że może się pierdolić. Proszę wybaczyć moje słownictwo.

– Patrzcie, patrzcie, moje panie! – Zadie dramatycznie machnęła ręką. – Tatuś, który się zakłada o to, czy dostaniecie się do college’u. To was czeka, jeżeli wasza mama wyjdzie za faceta z niewłaściwej strony Brooklynu.

– Tak, właśnie – potwierdził, zrzucając parę przetrzepanych poduszek na podłogę, by usiąść na sofie. Nogi oparł o drogi stolik. – Dostajecie całe mnóstwo kasy i zajebistą zabawę.

Kate

27 LISTOPADA

Kate i Lew siedzieli u niej w domu na sofie przed dwoma otwartymi pudłami dostarczonymi przez kuriera krótko po tym, jak wrócili od Sylvii. Każde pudło wypełniały tony wydruków. Duncan podzielił je, połączył gumkami w pliki grube na jakieś pięć centymetrów albo więcej i opisał: „E-maile”, „SMS-y”, „Dokumenty Word”.

– Tyle tego – szepnęła.

Lew wyciągnął karteczkę dołączoną przez Duncana.

– Na pewno jest tego więcej. Mam tu listę niektórych haseł. „Facebook”, „Twitter” – stwierdził. – Prawdopodobnie pisała też na jakimś blogu. Przyjrzymy się temu. W tej chwili trudno stwierdzić, jaki jest podstawowy sposób komunikowania się tych dzieciaków. Czat, Facebook, SMS-y... W każdej szkole inaczej, wie pani.

Lew był po sześćdziesiątce, wydawał się jednak znacznie bardziej niż Kate obyty ze sposobami komunikowania się nastolatków. Ledwie rozumiała, o co chodzi z Twitterem. Tym bardziej nie miała pojęcia, jak kogoś „obserwować” czy „śledzić”.

– Miał pan do czynienia z tego typu komputerową historią w innych sprawach?

– W sprawach? Nie. – Lew uśmiechnął się i pokręcił głową. – Ale mam sześcioro wnuków. Codziennie parę razy udaje się im wciągnąć mnie na Facebooka. Ciągłe przysyłają mi zdjęcia, wiadomości i takie tam.

– Sześcioro wnuków? – powtórzyła cicho, próbując nie myśleć o wnukach, których nigdy nie będzie miała.

– Na razie tylko połowa naszych dzieci założyła rodziny. Boże dopomóż, kiedy wszystkie się do tego zabiorą – dodał niby z irytacją, choć w oczywisty sposób się cieszył. Wskazał na pudła: – Chyba powinniśmy się tym podzielić.

– Mógłby pan przejrzeć jej konta na Facebooku i Twitterze i ten blog? Mam komputer stacjonarny na piętrze w gabinecie.

Lew omiół wzrokiem sterty papierów.

– Poradzi sobie pani z tym wszystkim?

– Nie – odparła Kate, biorąc głęboki oddech. – Pewnie nie.

Lew zniknął na schodach. Kate wyciągnęła pierwszy plik papierów, dokumenty Word z komputera Amelii. Wydawało jej się najmniej prawdopodobne, że od czytania ich wpadnie w histerię, choć

wiedziała, że prawdziwe brudy, a więc i wszystko, co może się przydać, będzie pewnie w SMS-ach. Na razie nie była gotowa, by się w nie zanurzyć. Na szczęście wszystkie te dokumenty, oprócz postów gRaCeFULLY, które już widziała, okazały się szkolnymi wypracowaniami lub opowiadaniem pisanym przez Amelię. Prawie skończyła przerzucać strony, gdy dotarła do wypracowania „*Do latarni morskiej: przyjaźń i feminizm*”, Amelia Baron. To wypracowanie Amelia rzekomo ściągnęła. Tyle tylko, że miało inny tytuł niż to, które wypadło z notesu Amelii.

Kate zabrała wypracowanie do kuchni i otworzyła szufladę, do której na początku wizyty Adele wrzuciła wszystkie te podłe karteczki. Wypracowanie Amelii wsunęła do tej samej szuflady. Wyciągnęła je teraz i spojrzała na tytułową stronę: „*Ujęcie czasu: Do latarni morskiej*”, Amelia Baron. To nie te same wypracowania. Każde miało inny temat.

Położyła wypracowania obok siebie. Przerzuciła je. Najwyraźniej nie miały ze sobą nic wspólnego. Dlaczego Amelia napisała dwa różne wypracowania o tej samej książce? Kate wpatrywała się w nie, przesunęła palcem po tytułach. Choć nie potrafiła podać argumentów, teraz miała pewność, że Amelia nie ściągała.

Zostawiła wypracowania na stole i wróciła do salonu. Ze stert dokumentów wyciągnęła e-maile. Na karteczce naklejonej na wierzchu Duncan napisał: „Wydrukowałem tylko ostatnie cztery miesiące. Jeżeli chcesz więcej, daj mi znać”. Wszystkie te wiadomości pochodziły z zaledwie czterech miesięcy?

Pierwszy e-mail wysłał George McDonnell. *Idziesz w ten weekend na melanż u Chloe? Podobno ktoś ma przynieść E. E? Jak ecstasy? Czy Gerge McDonnell był tym tajemniczym chłopakiem, z którym Amelia weszła do domu? Kate wciąż usiłowała się pogodzić z całą tą sprawą z seksem. Teraz się okazuje, że były jeszcze narkotyki?*

Ściągnęła gumkę łączącą e-maile, modląc się, by Duncan wpadł na pomysł, żeby przysłać też wiadomości wychodzące. I faktycznie, mniej więcej w trzech czwartych pliku pojawiło się oznaczenie: „Wiadomości wysłane”. Kate przerzucała je, póki nie znalazła odpowiedzi Amelii.

E? Nagle jesteś ćpunem albo coś takiego? Niefajnie, ziomal. W każdym razie nie mogę przyjść, w niedzielę wcześniej rano mam trening.

Przymknęła oczy i przycisnęła wydruk do piersi. Dzięki Bogu. Może mimo wszystko w niektórych sprawach się nie myliła. Spojrzała na kolejny wysłany przez Amelię e-mail, do jej trenerki lacrosse’a, pani Bing. *Czy obóz treningowy w tym roku też będzie w czasie ferii wiosennych?*

Może czekały ją nie tylko same kłamstwa i przykre niespodzianki? Kilkanaście stron dalej natrafiła na e-mail, który ją zmroził.

Przepraszam, Amelio. To było zupełnie nie na miejscu. Możemy o tym porozmawiać? Proszę.

Phillip

Kimkolwiek był ten Phillip, coś się wydarzyło między nim a Amelią. Jakaś kłótnia. Kate spojrzała na adres: p_woodhouse@gracehall.edu.

Phillip Woodhouse, dyrektor Grace Hall? Kate zamrugnęła i jeszcze raz spojrzała na adres. Co wyprawiał Phillip Woodhouse? Dlaczego pisał maile do Amelii, i to w tym tonie? „Przepraszam”? „To było zupełnie nie na miejscu”? Od kiedy to dyrektor przeprosza ucznia? I co konkretnie „było zupełnie nie na miejscu”?

Wzdrygnęła się, słysząc kroki na schodach. Lew miał zmienioną, niemal szarą twarz.

– Co się stało? – spytała Kate. Najpierw ten e-mail od Woodhouse’a, teraz Lew. To było zbyt wiele.

Ręce trzęsły jej się od nadmiaru adrenaliny. – Co pan znalazł?

Czekała, by wyraz jego twarzy się zmienił, ale on zatrzymał się i chwycił mocno oparcie fotela.

– Chyba powinna pani pójść na górę i sama to zobaczyć – odparł w końcu.

– Co... Nie. Dlaczego? Na górę? – Kate spojrzała na schody i poczuła, że robi jej się niedobrze. –

Niech mi pan po prostu powie, co pan znalazł. Coś na Facebooku?

Pokręcił głową.

– Tak jak mówiłem, musi pani zobaczyć.

Kate zakręciło się w głowie. Znów spojrzała na e-maile na swoich kolanach.

– Znalazłam drugie wypracowanie – powiedziała w końcu, próbując grać na zwłokę. – Dwa różne

wypracowania na ten sam temat. To pierwsze Amelia rzekomo ściągnęła.

– Mhm – mruknął Lew, nie wykazując wielkiego zainteresowania. – Należałoby sprawdzić.

– I znalazłam to. – Podała mu e-mail.

Zerknął na niego.

– Kim jest Phillip Woodhouse? – zapytał. – Może być naszym tajemniczym chłopakiem?

– Dyrektorem Grace Hall.

Lew zmarszczył brwi, potem znów spojrział na e-mail.

– Jeszcze nie panikujmy – powiedział. – Sprawdźmy, o co chodzi. Może istnieje jakieś sensowne

wyjaśnienie. W sumie nie ma tu niczego niestosownego.

Kate wpatrywała się w niego w milczeniu. W końcu podniósł wzrok. Kiwnął głową.

– Niech będzie – przyznał. – Zgoda, trzeba to wyjaśnić.

Na górze w gabinecie Kate usiadła przy biurku przed zahibernowanym ekranem komputera.

– Dobrze – powiedziała, dając znak, że jest gotowa. Było jej niedobrze. – Miejmy to z głowy.

Lew poruszył myszką i monitor obudził się do życia. Amelia ubrana tylko w różowe, koronkowe majteczki i pasujący do nich stanik pochylała się sugestywnie nad krzesłem w swoim pokoju, zwrócona pośladkami w stronę kamery.

– O mój Boże – jęknęła Kate, zasłaniając oczy ręką. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie spojrzeć jeszcze raz, by się upewnić, że dobrze widzi. Nie była w stanie. Ta seksowna dziewczyna prężąca się przed kamerą była Amelią. Żadnych wątpliwości. Kate wzdrygnęła się, próbując usunąć ten obraz ze swojej głowy. – Niech pan to wyłączy! Proszę, niech pan to wyłączy!

Lew spełnił prośbę.

– Co to było?! – krzyknęła Kate.

– Blog, na którym pisała – odparł ponuro Lew. Sprawiał wrażenie udręczonego.

– Amelia zrobiła sobie takie zdjęcie i zamieściła je gdzieś, gdzie każdy mógł je obejrzeć?! – krzyczała, jakby to on kazał Amelii zrobić coś takiego.

– Nie każdy – wyjaśnił łagodnie. – Ktoś musiał znać pseudonim Amelii, żeby to znaleźć.

Kate myślała, że zwymiotuje na klawiaturę. Czy jej córka potajemnie się prostytuowała? Była ekshibicjonistką? Co, na Boga, mogło ją opętać? Zrobiła sobie półnagie zdjęcia i na dodatek zamieściła je w sieci? Takie rzeczy robiły... Nie, czegoś takiego nikt nie robił.

– Ile osób to widziało? Potrafi pan to stwierdzić?

Może tylko na pozór to takie okropne. Dziesięć, piętnaście osób – takie liczby tłukły się jej po głowie. I tak źle, ale to nie praca w agencji towarzyskiej. Może w dzisiejszych czasach dzieciaki tak się zabawiają – oglądają siebie nawzajem w bieliźnie? Oto nowa bezpieczna forma seksu: pokazać się nago w internecie, żeby nie musieć tego robić w prawdziwym życiu. Kate sama wiedziała, że na siłę szuka usprawiedliwienia. W tych zdjęciach, które chyba na zawsze wryły jej się w pamięć, nie było nic zdrowego.

– Jest tysiąc dwieście osiemdziesiąt osiem komentarzy.

– Co? – Kate sprawiała wrażenie, że nie wie, o czym jest mowa.

– Pytała pani, ile osób to widziało – odparł niechętnie Lew. – Tyle osób „polubiło” jej zdjęcie. Niektóre napisały komentarze.

– Te zdjęcia widziało ponad tysiąc osób? – Kate nie wierzyła własnym uszom. Jej oczy były tak rozszerzone, że aż ją piekły.

– To... cokolwiek to jest, nie dotyczyło tylko Amelii – odparł Lew, ignorując jej pytanie. Nie chciał powiedzieć, że te zdjęcia widziało jeszcze więcej osób. – W tej grupie jest ponad dwadzieścia dziewczyn.

– W grupie?

– „Ciągnie swój do swego”. Zdołałem ustalić, że miały jakiś ranking, prawie jak w grze.

– W grze? Z takimi zdjęciami? O mój Boże, to chore. – Nagle Kate ogarnęła wściekłość. – Musimy znaleźć te dziewczyny! Musimy powiedzieć ich rodzicom, co dokładnie robią. To nie jest dobre. To nie był pomysł Amelii. Ktoś ją w to wrobił.

– Zgadza się, ale wszystkie imiona są na pewno pseudonimami. Ma pani jakąś książkę pamiątkową klasy albo coś, czego moglibyśmy użyć, by zidentyfikować te dziewczyny?

– Jest książka spotkań ze zdjęciami wszystkich uczniów. W internecie.

Poszła do sypialni po laptop, by uprościć porównywanie zdjęć. Myślała teraz jedynie o tym, że mimo wszystko Amelia odebrała sobie życie. Jeśli została wplątana w pozowanie półnago, może miała takie

poczucie winy i czuła się tak okropnie, że nie mogła z tym dłużej żyć.

Gdy wróciła do gabinetu, Lew rozmawiał przez telefon.

– Tak, dobrze – powiedział cicho, pocierając czoło. – Zaraz będę.

Rozłączył się. Zaciskał szczęki.

– Co się stało? – zapytała.

Spodziewała się usłyszeć, że dzwonił, by odciągnąć go od sprawy, powiedzieć mu, że lepiej zrobi, jeżeli poświęci czas na coś innego. Nie teraz. Nie po zobaczeniu tych wszystkich zdjęć. Lew odetchnął głęboko. Nadal dotykał czoła ręką.

– Jeśli poda mi pani adres i hasło do tej książki spotkań, sam posprawdzam dziś wieczorem. Lepiej, żeby nie oglądała pani reszty tych zdjęć.

– Dokąd pan idzie?

– Do domu. Latem moja żona miała udar – wyjaśnił cicho. Pokręcił głową, wbił wzrok w podłogę. Spojrzał na Kate zażawionymi oczami. – Kiedy ma zły dzień, słucha tylko mnie. Przez większość czasu nie mam nawet pewności, czy wie, kim jestem, ale i tak mnie słucha. Wydaje się, że dziś miała naprawdę zły dzień. Dzwoniła jej opiekunka.

Kate zamrugała. Żałowała, że nie potrafi przedkładać problemów człowieka po udarze nad własny niepokój. Tak naprawdę pragnęła tylko chwycić policjanta za nogawkę i błagać go, żeby został, by jej nie opuszczał, póki nie pozna wszystkich okropności o Amelii, które zostały jeszcze do odkrycia.

– Dobrze – wydusiła. – To znaczy tak, oczywiście. Wie pan może, kiedy pan wróci?

– Jutro z samego rana.

Lew zatrzymał się przed Kate i spojrzał jej prosto w oczy. Jego twarz złagodniała w sposób, jakiego Kate jeszcze u niego nie widziała. Wyobraziła sobie, że w ten sposób patrzył na swoje dorosłe dzieci: stanowczo, ale ciepło. Poczwała, że zaraz się rozplacze. – Niech pani spróbuje się nie zamartwiać. Dowiemy się, co się z nią stało.

Została sama. Oparła się pokusie ponownego wejścia na blog „Ciągnie swój do swego”. Nie było to trudne. Nie zniosłaby ponownie widoku tych zdjęć Amelii. Nigdy.

Wróciła do pudeł z papierami. Musiała skończyć przeglądać korespondencję. Pragnęła dowiedzieć się zwłaszcza tego, czy były kolejne wiadomości od Woodhouse’a. Może znajdzie całkiem niewinne wyjaśnienie tamtego maila. Kto wie? Ale jeśli było ich więcej...

Nim przebrnęła przez wszystkie wiadomości, słońce zaszło. W salonie panowała ciemność. Lampa stojąca przy sofie rzucała blady krąg światła na stolik, na którym Kate ułożyła wszystkie maile, jakie Amelia dostała od Woodhouse’a. Siedemnaście.

Porozkładała je na stoliku, jakby były jakąś okropną układanką, i wpatrywała się w nie. Większość wiadomości składała się ze zdania albo dwóch. Woodhouse prosił Amelię, żeby się z nim spotkała, żeby się zastanowiła nad tym, co jej mówił, albo nad tym, co robi. W jednej niemal jej groził: *Pomyśl o swojej*

przyszłości, Amelio. To cię może drogo kosztować.

Amelia odpowiedziała mailem tylko dwa razy, zawsze niemal monosylabami: *Dobrze* i *O której?*

Czy coś mogło się wydarzyć między Amelią a Woodhouse'em – romans, molestowanie seksualne, cokolwiek? Kate spotkała się z nim w dniu śmierci Amelii. Najwyraźniej przeprowadzili rozmowę, z której Kate absolutnie niczego nie pamiętała. Przyszedł też na pogrzeb. Wszystko z tamtego dnia tworzyło tylko zamazane obrazy. Kate przymknęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie Woodhouse'a. Był młody, prawda? Nawet atrakcyjny. W jej mózgu pojawił się przebłysk hipsterskich okularów i gęstych, kędzierzawych włosów. O ile wyobrażała sobie właściwą osobę. Woodhouse z pewnością miał imponujące dokonania: stypendium Fulbrighta oraz harwardzki tytuł magistra polityki publicznej i edukacji, który uzyskał mniej więcej w tym samym czasie, gdy Kate robiła dyplom z prawa. Przypomniała sobie, że czytała o nim w biuletynie, jaki rozesłała szkoła, gdy został dyrektorem. Kto powiedział, że facet ze świetnym CV nie może być równocześnie pedofilem?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw raz, potem trzy razy, znacznie mocniej. Było niecierpliwe, niemal agresywne.

Kate wstała z sofy i obejmując się mocno rękoma, z wahaniem poszła przez ciemny pokój w stronę drzwi. Nie włączyła światła. Nie była gotowa ujawnić, że jest w domu.

Bum! Bum! Bum! – rozległo się znowu, gdy niemal stanęła przy drzwiach.

Ścisnął się jej żołądek. Pochyliła się, by spojrzeć przez wizjer. Na ganku stał Seth. Widziała, że mocno zacisnął zęby. Otworzyła, a on znieruchomiał z dłonią uniesioną, jakby chciał znów walić do drzwi. Przez chwilę na jego twarzy malowała się ulga, zaraz potem pojawiła się złość.

– Nie. Nie wolno ci, nie teraz – powiedział z pretensją w głosie, mijając ją i wchodząc do środka. – Wiesz, ile razy dzisiaj do ciebie dzwoniłem?

– Nie, byłam...

– Dwanaście – warknął. – Zostawiłem ci dwanaście wiadomości. Pofatygowałaś się, żeby do mnie oddzwonić? Nie, oczywiście, że nie. Na moją prośbę Thomas wyszedł z pracy o wpół do siódmej, bo musiał zastąpić opiekunkę, żebym ja mógł przyjść tutaj i sprawdzić, co z tobą. Wiesz, co to znaczy: wyjść o wpół do siódmej z McCann Erikson? To tak, jakbyś przepracowała pół dnia. Powiem wprost: Thomas jest wkurzony na mnie, że nie liczę się z jego pracoholizmem, i tym samym jest wkurzony na ciebie. Jaką masz wymówkę, że do mnie nie oddzwoniłaś? – Seth rozejrzał się po pokoju. – I dlaczego siedzisz tu po ciemku? Już ci mówiłem, że to cię zdołuje. Istnieją badania, według których...

Seth zamilkł, bo Kate miała dziwny wyraz twarzy. Sekundę później zaniósł się szlochem.

– O rany – mruknął, obejmując ją. – Dobrze, już dobrze. Możesz siedzieć po ciemku, jeśli chcesz, kochana. I pieprzyć Thomasa. Lola to jego córka. Raz dla odmiany może zleźć z tej swojej wieży z kości słoniowej, żeby się nią zająć. No przestań. Potrzebujesz drinka.

Dwadzieścia minut później z kieliszkami wina w rękach – gdy Seth zdążył się we wszystkim zorientować – przyglądali się kartkom pokrywającym stolik.

– To trochę jak z *Lolity* – stwierdził. – Co zamierzasz z tym zrobić?

Pokręciła głową.

– Chyba się dowiem, dlaczego je wysłał.

– Jesteś pewna, że to ważne?

– Co masz na myśli? Oczywiście, że to ważne.

– Słuchaj, Kate. Wiesz, że cię kocham, prawda?

Popatrzyła na niego ze złością. Wiedziała, że zaraz powie coś, czego nie chciała słuchać.

– Chyba tak.

– I wiesz, że kochałem Amelię.

Kiwnęła głową.

– Chciałaś wiedzieć, że śmierć Amelii nie była samobójstwem – ciągnął. – Ale skoro już to wiesz, dlaczego musisz to udowadniać? I komu?

Seth wciąż był przekonany, że Amelia popełniła samobójstwo, Kate to czuła. Myślał, że całe to śledztwo było dla Kate tylko częścią procesu dochodzenia do siebie. Zapewne częścią konieczną, ale w ostatecznym rozrachunku niczemu niesłużącą.

– Była moją córką. Jedyną, jaką kiedykolwiek będę miała i...

– Słuchaj, wiem, co to znaczy, zwłaszcza teraz z Lolą. Ale....

– Myślisz, że powinnam dać sobie z tym spokój? Że jeśli ktoś zabił Amelię, powinnam pozwolić, by uszło mu to na sucho?!

Seth pokręcił głową i zmarszczył brwi. Jego zwykle szorstkie zachowanie złagodniało.

– Chcę powiedzieć, że nie powinnaś się tym zadręczać – niemal wyszeptał. – Żadna z tych rzeczy nie przywróci Amelii do życia, a ciebie może doprowadzić na skraj przepaści. Co będzie, jeśli dowiesz się czegoś strasznego o niej i o tym całym Woodhousie, ale to nie będzie miało żadnego związku z jej śmiercią? Co wtedy? Chcę tylko powiedzieć, że Amelia pragnęłaby, żebyś zajęła się też sobą. J a chcę, żebyś zajęła się sobą.

Miał rację z tym dowiadywaniem się okropnych rzeczy. Już teraz Kate wiedziała o takich, które pragnęła wymazać z pamięci. W tym momencie na stoliku zaczęła wibrować jej komórka. Najpierw spojrzeli na nią, a potem popatrzyli po sobie. Kate się nie poruszyła.

Nie musiała go prosić. Seth wstał i podszedł sprawdzić, kto dzwoni.

– To tylko poczta głosowa – powiedział, podając jej komórkę.

Wiadomość była od Daniela.

– Chciałem ci powiedzieć, żebyś się nie martwiła o tę całą sprawę z Associated – mówił Daniel. Próbował brzmieć radośnie. Nie wyszło mu. Był nakręcony, może nawet zły. – Dawno temu zorientowałem się, co jest grane. Nigdy nie uda mi się zyskać przychylności Jeremy’ego. Dlatego za kilka tygodni zacznę pracować w Meyers, Jenkins. Zaproponowali mi niesamowitą umowę partnerską, będę udziałowcem. Wszystko jest okej. Wybieram się do Szkocji pograć w golfa. Uwierzysz? Od dwóch lat

nie byłem na wakacjach! W każdym razie na pewno się spotkamy. Dbaj o siebie, Kate. I gratuluję. Zasługujesz na to.

Nagranie skończyło się minutę temu, a ona wciąż trzymała telefon przy uchu. Daniel przeszedł do innej firmy po wszystkich tych latach, kiedy pazurami próbował utorować sobie drogę na szczyt w Slone, Thayer? Miał zniknąć z jej życia ot tak, po prostu? Czowała ulgę, ale też coś jeszcze. Niepokój. „Zasługujesz na to”. Ta część wiadomości jej się nie spodobała. Nie uważał, by ktokolwiek prócz niego zasługiwał na cokolwiek dobrego.

– Kto to był? – spytał Seth, nie dając się nabrać, że Kate wciąż odsłuchuje wiadomość. – Jeremy chce, żebyś przyjechała i zdrapała mu z buta gumę do żucia? – Uniósł ręce i zaczął nimi wymachiwać w powietrzu. – Och, Kate! Pomóż mi, pomóż! Nie mogę dotknąć butów swoimi śnieżnobiałymi rączkami.

– Skończyłeś?

Seth upił łyk wina i westchnął.

– Chyba tak.

– W każdym razie to był Daniel, nie Jeremy.

– O rany – mruknął Seth. – Jeszcze lepiej. Co miał dziś do powiedzenia ten krzyżowiec i korporacyjny kapitan? Zdeptał parę starszych pań, żeby dobrać się do wora z gotówką? Wrzucił do rzeki parę szczeniaczków, żeby móc prowadzić sprawę?

– Myślałam, że skończyłeś.

Seth wzruszył ramionami.

– Daniel sobie na to zasłużył. Wiesz, wpadłem na niego w zeszłym roku na imprezie dla absolwentów. Powiedział, że zastanawia się, czy nie zainicjować pozwu grupowego, by Human Rights Watch przestało zbierać darowizny w jego okolicy.

– Na pewno żartował.

Seth uniósł brwi.

– Nie wydaje mi się. Wiesz, słyszałem plotki, że jego była żona, Gail, musiała po rozwodzie być hospitalizowana.

– Teraz naprawdę zmyślasz.

– Może i tak, ale daj spokój! Daniel na pewno wykorzystuje ludzi. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Pozwalał sobie wobec ciebie na różne rzeczy, odkąd ty i on...

– Mógłbyś mi, proszę, o tym nie przypominać?

– Przepraszam. – Seth zrobił skruszoną minę.

Komórka Kate znów zaczęła wibrować, tym razem w jej dłoni.

– Chyba nie Daniel znów do ciebie dzwoni?

– To nie poczta głosowa. SMS – odparła, choć tylko zerknęła na telefon. – Przeczytasz mi go, proszę?

Oddała komórkę Sethowi.

Chwycił ją i spojrział, jakby chciał zakończyć te bzdury raz na zawsze. Przeczytał wiadomość i wyraz

jego twarzy powoli się zmieniał.

– Przeczytaj głośno – poprosiła Kate.

– Kate, nie sądzę... To tylko dwa słowa. Kto wie, co to...

– Seth, proszę.

Zaczerpnął powietrza i poruszył się na krześle, jakby próbował grać na zwłokę.

– Dobra, dobra. Niech będzie – powiedział cicho, unosząc telefon i patrząc na ekran. Głośno, gwałtownie wciągnął powietrze. – „Pierdolona kurwo”.

10 PAŹDZIERNIKA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

No więc słuchajcie wszyscy, pojawiły się tarcia w szeregach klubu szachowego...

Wiemy, wiemy, kto by chciał słuchać o tych kujonach, no nie? Ale czekajcie, to naprawdę niezłe. Najwyraźniej pewna młoda dama z drużyny znana ze swego agresywnego stylu... hmm... gry (no dobra, chodzi o Ainsley Brown) w ostatnią sobotę spóźniła się na mecz z Horace Mannem, bo była zajęta czymś innym w toalecie z pewnym przeciwnikiem ze Stuyvesant. Plotka głosi, że ów przeciwnik z radością oddał jej partię w zamian za wyświadczone usługi.

Administracja szkoły twierdzi, że jest coraz bliższa złapania tego łobuza z lepкими palcami, który zwędził dwa nowe szkolne iPady. Byli to albo lamerzy z Wolf's Gate, albo belfer od chemii ze Stowarzyszenia Anonimowych Hazardzistów, pan Hale. W tym przypadku mam nadzieję, że go wywalą, najlepiej zanim zdąży ocenić mój ostatni test.

Sroki znowu w akcji. Tym razem chodzi o zdjęcia i blog. Nie znam szczegółów, ale założę się, że są smakowite.

Wygląda też na to, że Ian Greene i Dylan Crosby rozglądają się za jakimś towarkiem. Biedna Sylvio, wiedzieliśmy, że twoje godziny są policzone. Poza tym najprawdopodobniej Dylan wreszcie kogoś ma. Szczegóły wkrótce.

Zajrzyjcie tu jeszcze, ludziska. Będzie więcej sensacyjnych materiałów.

Amelia

13 PAŹDZIERNIKA, 20.37

DYLAN

masz jutro czas?

AMELIA

jasne o której?

DYLAN

po szkole

AMELIA

co chcesz robić?

DYLAN

nic szczególnego; może park; kino

AMELIA

jak randka

DYLAN

chyba tak

AMELIA

brzmi nieźle. dozo

13 PAŹDZIERNIKA, 21.03

BEN

co tam?

AMELIA

nic co u ciebie?

BEN

w porzo; rozmawiałaś z mamą?

AMELIA

jeszcze nie; wciąż nie jestem pewna

BEN

dlaczego?

AMELIA

od razu powiedziałaś rodzicom?

BEN

w sumie tak

AMELIA

i było ok?

BEN

tata doszedł do siebie szybciej niż mama

AMELIA

z moją byłoby w porzo, ale to i tak dziwne; jak kiepska pogadanka o seksie

BEN

no, ale potem poczujesz się lepiej, wierz mi

AMELIA

może; muszę lecieć. nara xo

13 PAŹDZIERNIKA, 21.11

SYLVIA

widziałaś ostatnie gracefully?

AMELIA

Jeszcze nie, a co?

SYLVIA

właśnie przeczytałam i piszą, że Ian rozgląda się za jakimś towarkiem. WTF!!!

AMELIA

100 procent tego gówna to kompletne kłamstwa...

SYLVIA

mam nadzieję że się nie mylisz

Facebook

14 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

Stanowili cząstkę nierzeczywistego, lecz przejmującego i podniecającego świata ludzi zakochanych [4](#).

Sylvia Golde fuj, dość już tych pretensjonalnych literackich odniesień!

George McDonnell no naprawdę byś się już zamknęła

Chloe Frankel to było piękne, Amelio. Uwielbiam tę książkę.

Amelia

14 PAŹDZIERNIKA

Obudziło mnie słońce świecące prosto w twarz. Było nisko na niebie, tuż nad dachami kamienic po drugiej stronie ulicy. Zmrużyłam oczy, zasłoniłam je ręką i zerknęłam na budzik przy łóżku. Była prawie piąta. O wpół do siódmej miałam się zająć dziećmi Kelsey. To wszystko, jeśli chodzi o kinową randkę z Dylan.

– Naprawdę to wszystko przeczytałaś? – spytała Dylan.

Przekręciłam się w łóżku. Dylan stała na końcu pokoju, wpatrując się w książki na przepelnionych półkach. Miała na sobie tylko koszulkę bez rękawów i bieliznę. Włosy upięła w zbity kok na karku, kilka luźnych kosmyków opadało jej wokół twarzy. Wyglądała jak księżniczka.

– Masz tu całą bibliotekę. – W jej głosie słychać było podziw jakby zmieszany z lękiem. – Nigdy nie widziałam u nikogo w domu tylu książek.

– A biblioteka u ciebie w domu?

– Mój tata kolekcjonuje książki. On ich nie czyta. Równie dobrze mógłby kolekcjonować pamiątkowe talerze albo jakąś broń. Przeczytałaś je, prawda?

Przebiegłam wzrokiem długie wypchane regały. Teraz, gdy patrzyłam na nie oczami Dylan, faktycznie gromadzenie książek wydało mi się głupie. Ale... Ona ciągle nosiła ze sobą zaawansowane sudoku, jak jakąś przytulankę – zachowanie nie do końca normalne.

– Nie wszystkie – skłamałam. – To by było pokręcone. W każdym razie niektóre z nich są chyba mojej mamy.

Zasmuciło mnie moje kłamstwo. Byłoby miło móc być w stu procentach sobą, gdy spędzałam czas sam na sam z Dylan. Czułam jednak, że ona zawsze będzie mi się wymykać. Nie wiedziałam, które ze swoich dziwactw powinnam przed nią ukrywać. Nie pomagało też, że Dylan miała jakąś paranoję, by ludzie się o nas nie dowiedzieli. Zupełnie jakby to był los gorszy od śmierci. Nie chciałam biegać po Brooklynie, obwieszczając wszystkim, że się kochamy, ani maszerować w paradzie równości. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale i nie obchodziło mnie, czy ktoś się dowie. Zależało mi jedynie na Dylan. Spytałam ją raz, czy czuje się zakłopotana tym, że jesteśmy ze sobą. Nie poszło dobrze.

– Nie – odparła z rozdrażnieniem. Byłyśmy wtedy w mojej sypialni tak jak zwykle. – Po prostu nie lubię, żeby ludzie w szkole wiedzieli cokolwiek o moim życiu osobistym. W porządku?

Życiu osobistym. Powiedziała to tak, jakby nie istniała dla niej większa tajemnica. Zaczęłam się zastanawiać, ilu byłych chłopaków zachowało tajemnicę Dylan. Równie dobrze mogły być też przecież inne dziewczyny. Przed zadaniem tego pytania powstrzymywałam się całymi tygodniami. Bałam się

odpowiedzi. Tak czy inaczej, nie mogło iść zbyt gładko. Mimo wszystko miałam nadzieję, że Dylan zmieni zdanie co do utrzymywania naszego związku w sekrecie. Nie wiedziałam, czy ją kocham, ale tylko o niej myślałam. Kiedy byliśmy razem, czułam, że dotykam czegoś większego i lepszego ode mnie. Wydawało mi się, że to jest właśnie miłość.

Chciałam, żeby Dylan została, żebyśmy zamówiły kolację i udawały, że jesteśmy małżeństwem. Mogłam nawet zadzwonić i powiedzieć Kelsey, że jestem chora. Nigdy nie robiłam takich nieodpowiedzialnych rzeczy, ale dla Dylan byłam na to gotowa. Jednak wiedziałam, że i tak nie zostanie. Dylan przychodziła do mnie tylko na parę godzin po szkole. Potem zawsze mówiła, że musi wracać do domu na kolację, odrobić pracę domową albo że jej matka chce z nią porozmawiać. Może to wszystko było prawdą. Zawsze jednak miałam wrażenie, że to były wymówki.

Dylan wciąż wpatrywała się w moje regały.

– Nie ma sprawy, jeśli to wszystko twoje książki – rzuciła.

Nigdy nie kłamałam dobrze.

– Fajnie, że kochasz czytać. – Cofnęła się i usiadła na skraju łóżka obok mnie. – Ludzie chyba wyobrażają sobie różne rzeczy, czytając. Potrafią wyobrażać sobie całe światy. Dla mnie to tylko słowa na kartce, nic więcej.

– Naprawdę niczego sobie nie wyobrażasz? Dziwne.

Zobaczyłam, jak kąciki ust Dylan opadają. „Dziwne”. Dlaczego to powiedziałam? Jakby coś z nią było nie tak.

– Miałam na myśli, że to też jest fajne – dodałam. Za późno.

– No tak, jasne. Wcale nie jest. Nie jestem taka jak ty, Amelio. Nie jestem podobna do nikogo. – Dylan zerwała się z łóżka i sięgnęła po dzinsy, by się ubrać. W oczach miała pustkę. Gdy dostrzegłam tę pustkę, wiedziałam, że nasza randka się skończyła. – Muszę lecieć. Dziś wieczorem wyświetlają ten odcinek, w którym gra moja mama. Przychodzą do niej przyjaciele, żeby razem go obejrzyć. Chcę jej pomóc w przygotowaniach.

Brzmiała jak jakiś robot.

– Pewnie, idź.

Usiadłam na łóżku i naciągnęłam koszulę. Wtedy znów się pojawiły, znów zaczęły cisnąć mi się na usta. Pytania, na które nie było dobrych odpowiedzi. Tym razem nie potrafiłam się powstrzymać.

– Jestem twoją pierwszą dziewczyną?

– A co to za różnica? – Przynajmniej wyglądało na to, że samo pytanie jej nie zdenerwowało. Spodziewałam się, że gdy tylko je usłyszy, rzuci się do drzwi. – Teraz jestem z tobą, prawda?

Dylan włożyła kurtkę i sięgnęła po torbę. Rozpuściła włosy. Mówiła mi kiedyś, że jej mama nienawidzi, gdy nosi je upięte. Twierdziła, że wtedy szczęka Dylan wydaje się za szeroka.

– Chyba nie ma żadnej różnicy. Ale jesteś ze mną, naprawdę ze mną? – Poczułam, że ścisła mi się

zołądek. To był błąd: próbować ją zmusić, by rozmawiała ze mną o tych sprawach. Powinnam zadowolić się tym, co mi dawała. Nie potrafiłam się zamknąć. – Bo czasem wydaje mi się, jakbyś wcale tego nie chciała.

Na te słowa Dylan się uśmiechnęła, wręcz rozpromieniła. Usiadła na łóżku obok mnie. Jej biodro dotykało mojej nogi. Chwyciła kosmyk moich włosów i wsunęła mi go za ucho.

– Lubię cię, Amelio. Ale chcę, żeby to, co mamy, dotyczyło tylko nas. Nie musimy niczego udowadniać ludziom w Grace Hall ani Srokom. To nasza sprawa i poza tym niczyja.

Nie odpowiedziała na moje pytania. Ale w jej słowach było coś romantycznego. My przeciw światu... Byłam głupia, szukając dziury w całym. Dlaczego tak pragnęłam, żeby ludzie się o nas dowiedzieli? Bo byłam porąbana, oto dlaczego. Nie potrafiłam tego zostawić tak, jak jest. Oto są skutki spędzania długich godzin w samotności. Człowiek robił się dziwny i marudny.

Kiwnęłam głową.

– Przepraszam, chciałam tylko...

– W porządku. Rozumiem. – Dylan pocałowała mnie z uśmiechem. – Moje biedactwo. To nawet słodkie.

Od wyjścia Dylan minęło około dziesięciu minut, wtem usłyszałam na dole jakiś dziwny hałas. Siedziałam przy biurku i kończyłam pracę domową z biologii. Zamarłam, zaczęłam nasłuchiwać. Doszłam do wniosku, że musiało mi się wydawać. Powinnam włączyć jakieś głupie światła na dole, bo na zewnątrz praktycznie zapadła ciemność. No i utknęłam na górze w swoim pokoju w domu, w którym szybko zapadał mrok. Dziecinnie głupi błąd. Taki, jakich zwykle nie popełniałam, bo jestem ekspertem w byciu samą.

Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam kolejnego hałasu. Przez chwilę nic się nie działo. Właśnie miałam odetchnąć z ulgą, gdy znów coś usłyszałam. Ciche stuk, stuk, potem wyraźniejszy głuchy odgłos. Jakby ktoś po ciemku wpadał na różne rzeczy. Jasna cholera, naprawdę ktoś mógł być w moim domu?

Złapałam komórkę i wybrałam 911, tylko nie nacisnęłam „połącz”. Co by było, gdyby się okazało, że to nic takiego, a mama dowiedziałyby się, że dzwoniłam na policję? Byłaby totalnie przerażona, że ja byłam przerażona. I znów czułaby się winna, że siedzę w domu sama i się boję. Na pewno znów zaczęłyby przychodzić do mnie Leelah. A to by oznaczało koniec ze Srokami. I z Dylan.

Trzymając palec na przycisku „połącz”, podkrađłam się do drzwi. Wsunęłam głowę z pokoju i spojrzałam w dół na schody. Wszędzie było ciemno. Z jednego miejsca na parterze sączyła się słabiutka poświata. Ktoś włączył światło w kuchni, to małe nad kuchenką, albo w łazience. Istniała możliwość, że to ja je zostawiłam albo mama, gdy wychodziła do pracy. Wydawało mi się, że raczej nie.

Nie mogłam tak stać i czekać, by się przekonać, czy ktoś jest na dole i czyha na okazję... no nie wiem... żeby mnie zamordować albo coś w tym stylu. O wiele lepiej było pójść na dół i sprawdzić. Gdybym utknęła w swoim pokoju, nie byłoby ucieczki. Zaczęłam schodzić po schodach, przywierając

plecami do ściany. Wciąż trzymałam palec na przycisku „połącz”. Teraz słyszałam, jak ktoś otwiera i zamyka szafki. Wsuwa i zamyka szuflady. Na sto procent ktoś tam był, czegoś szukał. Ktoś, kto nie wiedział, gdzie to coś jest.

Nie mogłam ryzykować dalszego czekania z dzwonieniem na 911. Gdy zobaczę, kto to jest – a ten ktoś zobaczy mnie – będzie za późno. W połowie drugiego półpiętra na schodach prowadzących do kuchni nacisnęłam „połącz”. Wstrzymałam oddech.

– Dziewięćset jedenaście, o co chodzi? – powiedziała operatorka. Jednak ktokolwiek był na parterze w kuchni, usłyszałby, gdybym odpowiedziała. – Halo? Dziewięćset jedenaście, czy coś się dzieje?

– Tak – wyszeptałam w końcu. – Ktoś jest w moim domu i... – Wtedy, kątem oka, zobaczyłam kogoś u dołu schodów. – Jasna cholera!

Odwróciłam się i pobiegłam w górę. Telefon wypadł mi z ręki i upadł o wiele za daleko, bym mogła po niego sięgnąć.

– Amelio! O mój Boże, co ty robisz?!

Dotarłam na piętro, gdy zdałam sobie sprawę, że to głos mamy. Spojrzałam. Stała u dołu schodów z przerażoną miną i trzymała mój telefon w ręce. Przysunęła go do ucha.

– Halo? Tak... nie... – powiedziała do operatorki, która musiała być przekonana, że właśnie ktoś tłucze mnie na śmierć. – To moja córka. Myślała, że jestem włamywaczem. Tak. Nie. Oczywiście, chwileczkę.

Z naprawdę wystraszoną miną podała mi telefon.

– Chce z tobą porozmawiać, upewnić się, czy nic ci nie jest. Nic ci nie jest, Amelio?

Długo przekonywałam operatorkę z telefonu alarmowego, zanim w końcu uwierzyła, że naprawdę nic mi nie jest i rzeczywiście rozmawiała przed chwilą z moją mamą.

– Mamo, czemu mi nie powiedziałaś, że przychodzisz do domu?! – wrzasnęłam, gdy się rozłączyłam. – Nie możesz bez uprzedzenia pojawiać się dziesięć godzin wcześniej niż zwykle!

W ostatnich dniach działo się to wszystko z Zadie, dostawałam te okropne SMS-y o tacie, więc byłam trochę podenerwowana.

– Tak mi przykro, Amelio. Nie chciałam cię przestraszyć – tłumaczyła się mama, dotykając dłonią moich pleców. – Powinnam wysłać SMS, masz rację. Tak się ucieszyłam, że dziś udało mi się wymknąć wcześniej. Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– No to ci się udało – mruknęłam.

Byłam okropna, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Nagle całe moje życie wydało mi się absurdem. Ciągle byłam sama w domu. Mniejsza z tym, że świadomie zrezygnowałam z obecności Leelah. To naprawdę nie było fair, że miałam do wyboru jedynie bycie traktowaną jak dziecko albo siedzenie samotnie w czterech ścianach. Na pewno zachowywałabym się normalniej wobec Dylan, gdyby mama częściej bywała w domu. Może nawet powiedziałabym mamie o Dylan, Srokach i w ogóle.

Z zadowoleniem. Naprawdę chciałam komuś o tym powiedzieć.

Mama przez chwilę wpatrywała się w swoje buty, potem spojrzała w sufit. Przymknęła oczy i pokręciła głową.

– Masz rację, Amelio. Nie powinnam tak cię zaskakiwać, kiedy jesteś sama w domu. Nie wiem, co powiedzieć. Nie pomyślałam.

Wydawała się taka zmęczona. Kompletnie wykończona. Nagle ścisnęło mi się gardło. Dzień po dniu udawałam, że jej nieobecność w domu nie ma znaczenia. Przez większość czasu faktycznie tak było. W tej chwili czułam inaczej.

– Już dobrze, mamo. Mniejsza z tym – zakończyłam.

Obu nam będzie łatwiej udawać, że to prawda, wiedziałam o tym.

– Słuchaj, może przynajmniej spróbujemy uratować ten wieczór? – Uśmiechnęła się, choć wciąż wyglądała na smutną. – Może wybierzemy się na piątkową kolację we wtorek? Mogłybyśmy nawet iść do Ginza na hibachi. Twoje ulubione.

– Dobrze – zgodziłam się z poczuciem winy. Naprawdę zapowiadał się fajny wieczór. Wykorzystam szansę. Może przy kolacji wreszcie porozmawiam z mamą o Dylan, Srokach, nawet o SMS-ach, o tacie. O wszystkim. – Ginza brzmi nieźle.

– Świetnie – ucieszyła się mama, obejmując mnie ramieniem i trochę za mocno przyciskając do siebie. – Chodźmy, umieram z głodu!

Wkładałam płaszcz i czułam zawroty głowy. Naprawdę, wszystko całkiem nieźle wyszło. Nienawidziłam mieć tajemnic przed mamą. Dobrze będzie wreszcie jej o wszystkim powiedzieć. I jeśli ona też miała przede mną jakieś tajemnice – na przykład o tacie – będzie miała szansę, by mi je zdradzić. Ostatnio zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to możliwe, że wujek Seth jest moim tatą. Pomysł szalony, ale on i mama spotykali się mniej więcej w czasie, kiedy przyszłam na świat. I jeśli za sprawą genów lubiłam Dylan i późno zaczęłam dojrzewać, to Seth był pod tym względem podobny. Więc jest w tym jakiś sens. Właściwie nawet podobał mi się ten pomysł. Seth był zabawny, interesujący, niezwykle bystry. Naprawdę fajnie byłoby mieć go za tatę. Jako bonus dostałabym przyrodnią siostrzyczkę albo coś w tym stylu.

Wtedy rozległo się pukanie.

– Kto to? – spytała mama.

– Nie wiem – odparłam trochę zmartwiona, że to może być Dylan.

Powiedzieć o niej mamie to jedna rzecz, ale uczestniczyć w ich spotkaniu – druga. Nie byłam gotowa.

– O, cześć! – powiedziała mama, siląc się na towarzyski ton. – Co u ciebie?

Na ganku zobaczyłam Kelsey w ślicznej czerwonej sukni wieczorowej i z pełnym makijażem.

– Cześć – rzuciła zdezorientowana. – Amelio, myślałam, że dziś wieczorem zajmujesz się chłopcami?

Pokręciło mi się coś?

Następnego dnia dostałam SMS od Heather. Przyszedł w połowie zajęć. Fot. U ciebie za godz. Kompletnie zapomniałam, że zgodziłam się wziąć udział w tej durnej grze Zadie.

– Od kogo? – Sylvia próbowała zajrzeć mi przez ramię i przeczytać wiadomość.

Siedziałyśmy na szkolnym podwórku i jadłyśmy lody jogurtowe, które kupiłyśmy przy Siódmej Alei. Ładna pogoda sprawiła, że obie włożyłyśmy lekkie kurtki i okulary przeciwsłoneczne. Próbowałyśmy udawać, że wciąż jest dość ciepło, by siedzieć na zewnątrz i jeść lody. Wrzuciłam komórkę do torby, by nie mogła odczytać wiadomości.

– Od mojej mamy.

– W godzinach pracy? – zdziwiła się Sylvia, a w jej oczach malował się szok. – No jasne, akurat. Tylko tak dalej, a zostanie Matką Roku.

– Przestań. Nie jestem w nastroju.

Wciąż byłam wkurzona na mamę. Nie porozmawiałam z nią wczoraj wieczorem. Zasnęła w łóżku z czasopismem w ręce, zanim wróciłam od Kelsey. Nie miałam serca jej budzić.

Później, gdy się z tym przespałam, doszłam do wniosku, że nie jestem jeszcze gotowa, by jej powiedzieć o Dylan. Zrobię to. Tylko nie teraz. Kochałam mamę i byłyśmy ze sobą blisko, ale wspomnienie o tym, jak mi opowiadała, skąd się biorą dzieci, wciąż przyprawiało mnie o gęsią skórę. Starła się ze wszystkich sił, żeby brzmiało to swobodnie i normalnie. Wyszło... obleśnie. A teraz chodziło o to, że ja uprawiam seks. Nawet gdybym pominęła tę część o seksie, musiałabym powiedzieć, że jestem z dziewczyną. Czułam, że powiedzenie, że jestem z chłopakiem, byłoby łatwiejsze. Choć teoretycznie nie powinno być różnicy.

Sylvia wzruszyła ramionami.

– Nieważne, chciałam tylko pomóc.

Rozejrzałam się po podwórzu.

– Gdzie się dziś podziewa Ian?

Nie miałam ochoty na kontynuowanie tematu. W podobnych sytuacjach Ian zawsze działał.

– Gdzie się dziś podziewa Ian? – warknęła Sylvia. – Naprawdę, świetne pytanie. Nie znam na nie odpowiedzi. Ten dupek nie odzywał się przez cały dzień.

– Duppek? – zdziwiłam się, bo Sylvia nigdy dotąd nie mówiła tak o Ianie. Nawet w żartach. – O co chodzi?

– Halo, Ziemia! Napisałam ci SMS-a wczoraj wieczorem. Czy ty w ogóle czytasz moje SMS-y?

– Ach, chodzi ci o gRaCeFULLY? Daj spokój. Wierzysz w te bzdury? Wszystko wysane z palca.

– Nie wszystko – odparła. – Pisali sporo rzeczy o mnie i chciałabym, żeby one nie były prawdą, ale jak najbardziej są.

– Nieważne, nie wierzę w to. Ian ma fioła na twoim punkcie.

Naprawdę nie wierzyłam. Często widywałam Iana na imprezach u Srok. Miał mnóstwo okazji do zdrady, zwłaszcza z Zadie, która wieszała się na nim, gdy tylko mogła. Z tego, co wiedziałam, nie

skorzystał z okazji. W ogóle nie widziałam, żeby skorzystał z jakiegokolwiek okazji. Sylvia spojrzała na swoją skromną porcję beztłuszczowych lodów jogurtowych z czekoladową posypką i dziabnęła ją łyżeczką. Pokręciła głową.

– Cóż, ostatnio sporo go nie ma. I te wszystkie kiepskie wymówki. Że jego tata jest tuż przed otwarciem wystawy w galerii. Że musi iść do lekarza z młodszą siostrą. Że mama załatwiła mu spotkanie z menedżerem artystycznym. Jest w ogóle coś takiego jak menedżer artystyczny?

– Jeśli jest – odparłam – to Ian na pewno by kogoś takiego miał.

Sylvia przewróciła oczami, potem spojrzała w bok. Patrzyłam na jej powoli pochmurniejącą twarz. Wściekłą Sylvię trudno znieść, smutna jest jeszcze gorsza. Zawsze zapada się w sobie i przypomina pomarszczony balonik.

– Wiem, jak to jest, kiedy ktoś mnie zdradza – szepnęła. W oczach miała łzy. – To właśnie takie uczucie. I ono naprawdę jest bardzo, bardzo do dupy.

– Może potrzebuje trochę przestrzeni?

Sylvia miała rację. W tych sprawach nie zawodziło jej wyczucie. Znów pomyślałam o Zadie. Z taką dziewczyną może zdrada była tylko kwestią czasu.

– Przestrzeni, pewnie! – roześmiała się ponuro Sylvia. – Żeby znaleźć sobie nową laskę.

– Nie o to mi chodziło.

– Dzięki za słowa pociechy, Amelio. Bez obrazy, co ty możesz wiedzieć? Przez całe życie całowałaś się z jednym facetem. I nawet nie jestem pewna, czy pijany ratownik w ogóle się liczy. – Patrzyła na mnie przez chwilę.

Czekałam, aż sobie przypomni naszą rozmowę w Tea Lounge, kiedy zaczęła podejrzewać, że z kimś jestem. Ale ona do tego nie wróciła. Jakby to się nigdy nie zdarzyło. Czułam ulgę i rozczarowanie jednocześnie.

– Jakoś trudno się słucha rad o związkach od kogoś, kto nigdy z nikim nie był. Esemesowanie z tym palantem z Albany się nie liczy.

– Ben nie jest palantem – zaprotestowałam, choć bez przekonania.

Ostatnio zachowywał się jakoś inaczej. Najpierw bez zastrzeżeń dawał mi wsparcie w sprawie z Dylan. Niespodziewanie zaczął mnie jakoś dziwnie oceniać. Zachowywał się, jakby był moim starszym bratem albo kimś takim. Upominał, że powinnam uważać na Dylan, bo na taką dziewczynę nie mogę liczyć. Zupełnie jakby ją znał. Gubiłam się w domysłach. Był zazdrosny czy miał dość tego, że ciągle o niej piszę?

– Kocham cię, więc powiem ci to wprost – oświadczyła Sylvia. – Ben zdecydowanie jest porąbany. Każdy facet, który chce tylko ciągle gadać z dziewczyną, jest porąbany.

– Ben jest gejem, Sylvio. Mówiłam ci to z milion razy. Jestem jego przyjaciółką. Nie wiem, dlaczego mi nie wierzysz.

– Jasne, akurat. Możesz na ślepo wierzyć we wszystko, co mówi ci jakiś koleś, którego nigdy nie

spotkałaś. Nie wiesz, czy naprawdę jest gejem. Nawet jeśli mówi ci prawdę, ktoś, kto spędza więcej czasu przed komputerem niż w realu, jest porąbany. Koniec, kropka.

– Nieważne. – Wzruszyłam ramionami.

Może Sylvia miała rację? Może powinnam na jakiś czas przystopować z Benem? Brakowało mi czasu na przejmowanie się nim. Manewrowanie z Sylwią i Dylan wystarczało. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć Sylvii o Dylan. Trzymanie w tajemnicy i tego, i Srok to był dla mnie za duży stres. Nie sądziłam, żeby Sylwią strasznie zszokował fakt, że spotykam się z dziewczyną. Byłaby zaskoczona, jasne. Sama wciąż byłam zaskoczona. Czasem nie miałam pewności, czy to prawda. Może byłaby wkurzona, że nie powiedziałam jej o Dylan wcześniej? (I tak bym tego nie zrobiła dopóty, dopóki nie nabrałam pewności). Zdecydowanie o wiele bardziej wściekłyby się o Sroki.

A co, jeśli się myliłam? Co, jeśli Sylvia przejmie się tym, że spotykam się z dziewczyną? Setki razy spałyśmy w tym samym łóżku. Jeszcze częściej widywałyśmy siebie nago. To Sylvia pokazała mi, jak używać tamponów. I wyjaśniała – ze szczegółami – co się dzieje, kiedy facet dobiera się do kobiety. Wiele lat dzieliłyśmy się wszystkimi sekretami. A co, jeśli jej powiem i potem nic już nie będzie takie jak dawniej?

– Panno Golde?! – zawołał ktoś przez podwórze, nim zdobyłam się na to, by wspomnieć coś o Dylan. Podniosłyśmy wzrok i zobaczyłyśmy tę upiorną doktor Lipton, szkolną psycholog. Ze swoją bladą cerą, w czarnej sukni z wysokim kołnierzem wyglądała jak wampirzyca. – Byłyśmy umówione, panno Golde.

– No to zajebicie – mruknęła Sylvia dość głośno, by doktor Lipton to usłyszała.

– Coś się stało? – spytałam.

Sylvia miała pewne problemy pod koniec pierwszej klasy. Matka kilka razy przyłapała ją na tym, jak się cięła. Nie było to aż tak straszne, jak się wydawało, przynajmniej według tego, co mówiła Sylvia. Ale jej mamie kompletnie odbiło. Wysyłała Sylwią chyba do dziesięciu różnych terapeutów równocześnie. Dzięki niej głowa doktor Lipton nie wychodziła z tyłka Sylvii. Na razie w tym roku z Sylwią było wszystko w porządku. Przynajmniej na tyle, na ile wiedziałam.

– Nic się nie stało – rzuciła Sylvia. – Moja mama jest upierdliwa. Nic nowego.

– Sylvia, poważnie! Na pewno nic ci nie jest? – Miałam trochę wyrzutów sumienia, że umknął mi pierwszy raz, kiedy się pocięła. Nie zamierzałam pozwolić, żeby to się powtórzyło. – Z Ianem i tak dalej?

– Jezu, nie! Ludzie! – syknęła, ruszając bez pośpiechu w stronę doktor Lipton. – Jak na kogoś, kto ma romans z facetem udającym geja, za mało martwisz się o siebie, a za dużo o mnie.

Pasowało mi, że zjawiła się doktor Lipton, bo nie miałam pojęcia, jak spławić Sylwią, żeby zdążyć do domu na „Fot”. Wciąż chciałam się wywinąć z tej durnej gry. Niestety, nie wymyśliłam, jak to zrobić, by nie urazić Dylan. Szło mi z nią tak dobrze, że nie chciałam tego spieprzyć.

Wtopiłam się w strumień ludzi wracających z lunchu. W atrium skręciłam w prawo, w stronę

bocznego wyjścia. Zdążyłam się nauczyć od Srok, że schody pożarowe są najlepszą drogą, żeby zwać ze szkoły. Od tej strony nie było żadnych sekretariatów ani klas. Wymykałam się tamtędy w środku dnia z pięć razy. Zero problemów. Trzeba było skręcić w lewo, jeszcze raz w lewo, wejść na klatkę schodową, a później...

– O, witaj – powiedziała Liv, zatrzasnąwszy laptop.

Stała na schodach pochylona nad ekranem. Na podstawie jej miny można by pomyśleć, że przyłapałam ją na przeglądaniu stron porno. Ja też czułam się przyłapaną. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie uciec tą samą drogą, którą przyszedłam, ale było za późno. Nie przychodziło mi do głowy żadne wytłumaczenie mojej obecności w tym miejscu.

– Dzień dobry – powiedziałam, wciąż mając nadzieję, że wymyślę jakąś dobrą wymówkę.

– No to obie zostałyśmy przyłapanie, co? – powiedziała Liv, czytając w moich myślach. W zwiewnej bluzce i masywnym naszyjniku wyglądała jak zwykle ślicznie. – Powinnam być na zebraniu. Schowałam się tu i pracuję nad opowiadaniem.

– O czym jest? – podchwyciłam. Rozmowa o opowiadaniu Liv była lepsza niż wyjaśnianie, co tutaj robię.

– Co o czym jest? – Teraz to Liv zachowywała się dziwnie.

– To... mmm... opowiadanie?

– Och, no wiesz, chłopak, dziewczyna, wynika z tego tragedia. Wciąż je poprawiam. – Uśmiechnęła się. – A skoro mowa o opowiadaniach, Amelio, cieszę się, że na ciebie wpadłam. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Co?

– Wydajesz się zdenerwowana. Nie martw się, to nic złego... Jednak wysłałam twoje opowiadanie do tej grupy literackiej.

– Co?

Mówiłam jej, że nie chcę go nigdzie wysłać. Co za nauczyciel robi coś takiego?

– Wiem, zaryzykowałam i podjęłam tę decyzję za ciebie. Od tego czasu ciągle mam wyrzuty sumienia. – Pokręciła głową. – Masz talent literacki i chciałam cię wesprzeć w jego rozwijaniu. Lubię kreatywne grupy literackie. Ty nie musisz ich lubić. Chyba tak bardzo się uwikłałam we własne frustracje przy publikowaniu tego, co piszę, że... W każdym razie ta decyzja nie należała do mnie i przepraszam cię za to. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Wpatrywałam się w swoje buty, czując się wściekła i dziwnie obnażona. Szybko przyszło mi do głowy, że źle się na to wszystko zapatrywałam. Liv postąpiła irytująco, fakt. Źle się z tym czuła, więc mogłam to wykorzystać, by wydostać się ze szkoły i zdążyć do domu.

– Trudno, stało się – powiedziałam. – Przepraszam, muszę lecieć. Mam... mmm... wizytę u dentysty. Mama zapomniała napisać mi usprawiedliwienie, więc...

– Och – westchnęła cicho Liv.

Nie potrafiłam wyczuć, czy mi uwierzyła. Właściwie wyczułam, że mi nie uwierzyła.

– Wizyta u dentysty?

– Mam ubytek.

Powoli pokiwała głową, zagryzając wargę.

– No to jesteście kwita. – Uśmiechnęła się. – Idź do dentysty, a ja nic nie powiem, jeśli obiecasz mi wybaczyć, że wysłałam twoje opowiadanie. I jeśli nikomu nie powiesz, że nie poszłam na zebranie nauczycieli, żeby móc pracować nad swoim opowiadaniem.

– Umowa stoi – oświadczyłam i pchnęłam drzwi. Czułam się dobrze, bezpiecznie. Mogłam odetchnąć.

– Dzięki, Liv.

Przebiegłam przez boczne podwórze, jak najdalej od szkoły. Nie obejrzałam się za siebie. Potem pomknęłam przez Prospect Park West w stronę Pierwszej przekonana, że w każdej chwili pani Pearl albo ktoś inny może zawołać mnie po imieniu. Na rogu odwróciłam się, by sprawdzić, czy nikt mnie nie widział. Brałam zakręt, gdy coś potężnie walnęło mnie w czoło i odrzuciło do tyłu.

– Au! – wrzasnęłam.

– Oj, przepraszam – usłyszałam głos. – Nic ci nie jest, mała?

W głowie mi pulsowało, ledwie mogłam podnieść wzrok.

– Taki ze mnie palant – powiedział Ian Green. – Nie powinienem pisać SMS-a, idąc. Naprawdę przepraszam.

– Nic mi nie jest – odparłam, choć strasznie bolało mnie oko. Musiałam zderzyć się z jego ramieniem.

– Nie przejmuj się. Właściwie chyba jestem spóźniona, więc...

Zaczęłam go wymijać, choć wciąż widziałam tylko na jedno oko.

– No cóż – odchrząknął. – Jesteś spóźniona chyba na spotkanie ze mną. – Ian nieśmiało uniósł aparat fotograficzny. – To najwyraźniej jedna z prób, przez które muszę przejść. – Zakłopotany wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, zaczynam żałować, że wpakowałem się w te bzdury z klubami. Może Sylvia miała rację. Oni nie są do końca normalni.

Ian był świetnym fotografem. Oczywiście nie to było powodem, dla którego Zadie go wysłała, by zrobił mi zdjęcia. Usiłowała skłócić mnie i Sylvię. Albo, kto wie, może Sylvię i Iana?

– Tak, cały ten cyrk z klubami jest trochę porąbany – odparłam. Zabrzmiało to niezręcznie, nerwowo, jakbym miała wyrzuty sumienia. Owszem, zatajałam przed Sylvią, co robię ze Srokami, ale wtajemniczać w te sekrety Iana to było co innego. Na razie poczucie winy jakoś nie doprowadziło mnie do tego, by to wszystko odkręcić. Wciąż bardziej przejmowałam się sobą i Dylan. – Wiesz, jak mają wyglądać te zdjęcia? Nic nam nie powiedziały.

– No cóż, na tym się nie kończą bzdury w stylu płaszczka i szpady – odparł. – Przesłali mnie tutaj z zamkniętą kopertą, która podobno zawiera instrukcje dotyczące sesji fotograficznej. Nie wolno mi jej otwierać, póki razem nie znajdziemy się u ciebie w domu.

– Poważnie?

– Obawiam się, że tak.

To się zaczynało stawać głupie. Im dłużej na to pozwalałam, tym głębiej wpadałam w pułapkę Zadie. Czy miałam wybór? Zadie pewnie była gotowa się założyć, że odwołam tę sesję. Prawdopodobnie o to właśnie chodziło. Wreszcie dałabym jej powód, by wyrzucić mnie ze Srok i odsunąć od Dylan. Wzięłam głęboki oddech.

– No dobra, to chyba powinniśmy iść do mnie do domu – stwierdziłam. – Zanim ktoś nas zobaczy, jak tutaj stoimy.

Ian się uśmiechnął. Również jemu ulżyło, że mogliśmy stąd zniknąć. Wyciągnął rękę i pochylił głowę jak jakiś arystokrata.

– Pani przodem, madame.

W domu od razu rzuciłam swoje rzeczy na kanapę w dużym pokoju.

– Poczekaj może na dole – powiedziałam. – Skoczę na górę i się przebiorę.

Wiedziałam, że muszę się postarać, by wyglądać w miarę przyzwoicie. Dylan będzie oglądać te zdjęcia.

– Sprawdzimy najpierw rozkazy? – zreflektował się Ian.

– Pewnie. Dopełnij obrzędu.

Rozdarł kopertę.

– Zajrzyj na blog „Ciągnie swój do swego” – odczytał. – Zrób zdjęcia w takim samym stylu.

Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Poszukiwanie skarbu. No świetnie. Masz komputer?

Zaprowadziłam Iana na górę do swojego pokoju, w którym panował o wiele większy bałagan, niż sądziłam. Miałam nadzieję, że nie było tu tak paskudnie, gdy była u mnie Dylan. Zrobiłam krok nad stertą ciuchów, usiadłam przy komputerze i zaczęłam przeglądać wyniki wyszukiwania bloga „Ciągnie swój do swego”. W końcu znalazłam. Kliknęłam i wyskoczyło zdjęcie Heather i podpis „Honey Baxter”. Ujęcie pokazywało tylko twarz. Obok umieszczono kilka linijek tekstu: miasto (Nowy Jork), wiek (osiemnaście lat – oczywiście kłamstwo), zdanie o tym, co „lubi” (czekoladę) i czego „nie lubi” (luzerów).

Potem kliknęłam na zdjęcie, które przeniosło mnie na stronę z innymi zdjęciami. Na pierwszym Heather stała z rozsuniętymi nogami w koronkowym biustonoszu i pasujących do niego majtkach. Na drugim pochyliła się w stronę kamery z dłońmi na cyckach, na kolejnym – z palcem w ustach. Było dwanaście zdjęć, wszystkie mnie więcej w podobnym stylu: porno.

– Ale gówno! – rzuciłam.

– No, faktycznie gówno – potwierdził Ian z niedowierzaniem.

Weszłam znów na stronę główną bloga i zobaczyłam, że każda dziewczyna ze Srok ma stronę ze zdjęciami mniej więcej w podobnym stylu. Każda z nich miała setki, czasem tysiące lajków. Najwięcej

lajków miała Zadie. Kliknęłam jedno z jej zdjęć i na monitorze pojawiło się kilka innych. Wyjątkowo dobrze na nich wyszła, musiałam przyznać. Były czarno-białe, mroczne, z dramatycznym oświetleniem, niemal artystyczne. Na każdym z nich Zadie wydawała się całkiem naga, zasłonięta jedynie dłońmi, szalem, cieniem.

– Po co to wszystko? – spytał Ian.

Nie wydawał się szczególnie zainteresowany zdjęciami Zadie. Odebrałam to jako znak, a nawet dowód, że nic między nimi nie zaszło.

– Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam, że one robią... no cóż... coś takiego.

– Co ci zrobią?

– Co masz na myśli?

– Kiedy się nie zgodzisz – odparł, jeszcze mocniej marszcząc czoło. – Chyba nawet się nie zastanawiasz nad tym, czy wziąć udział w tych bredniach?

– Nie. To znaczy raczej nie.

– Raczej nie? Pomyślałbym, że poczujesz się z tym nieswojo. W twojej sytuacji...

– Sytuacji?

– Chodzi mi o to, że jesteś... – Wyglądał na zakłopotanego. – No nie wiem, skromniejsza niż niektóre z tych dziewczyn. Traktuję to jako komplement, naprawdę.

Sylvia powiedziała Ianowi, że jestem dziewicą. Uch! Potwornie upokarzające. Nie wspomnę nawet o tym, że to już nie była prawda.

Odwróciłam się od Iana i znów spojrzałam na monitor. Wstrzymując oddech, kliknęłam profil Dylan. Wyglądała pięknie na tych zdjęciach, oczywiście. Było w nich coś jeszcze, coś, co sprawiało, że się wyróżniały. Jakiś smutek powodujący, że trudno było na nie patrzeć, a równocześnie nie sposób było oderwać od nich wzroku. Nie chciała grać w tę grę tak samo jak ja. Zadie ją do tego zmusiła.

– Wracasz do szkoły? – spytał Ian. Zaczął zbierać swoje rzeczy. – Nie wymyśliłem, jak tam wejść, żeby nikt nie zauważył. Masz jakiś pomysł?

Ruszył do drzwi z tym wielkim aparatem fotograficznym w ręce. Poczułam, jakby coś przeciekało mi przez palce. Słodka panusia, skończona sztywniara... Nawet jeśli Zadie nie wyrzuci mnie ze Srok – a tak by pewnie było – to jeśli nie wyślę swoich zdjęć, Dylan pomyśli, że ją oceniam. Co, jeśli z tego powodu nie będzie chciała ze mną być?

– Czekał – rzuciłam do Iana przekraczającego próg. Zatrzymał się, lecz nie odwrócił. – Chcę to zrobić.

Teraz powoli się odwrócił.

– Nie potrzebujesz tych dziewczyn, Amelio – powiedział cicho. Wydawał się rozczarowany. – Sylvia ma rację. Te całe kluby to kompletne bzdety.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie robię tego dla nich.

– A co z Sylvią? Wątpię, żeby była zachwycona, że oglądałem jej najlepszą przyjaciółkę w samych gaciach.

– Hmm... no tak – mruknęłam z namysłem. Oczywiście miał rację. – I tak myśli, że ją zdradzasz. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Kiwnął głową, wytrzymując moje spojrzenie. – Wiem.

Nie powiedział: „No co ty!” albo „To jakiś absurd!”. Tylko: „wiem”. Równie dobrze mógłby mi powiedzieć, z kim sypia. Ale to nie była Zadie. Byłam tego pewna. Widziałam, że zdjęcia Zadie kompletnie go nie zainteresowały. Może brak zainteresowania wynikał z tego, że naoglądał się jej w realu? Ian Greene na pewno miał lepszy gust. Zadie była zbyt oczywista.

Po co w ogóle mu to powiedziałam? I tak czułam się źle, wiedząc, że Ian jest w Wolf’s Gate. Teraz być może dowiedziałam się o nim czegoś, czego nie chciałam wiedzieć. Byłam taka pewna, że nie zdradza Sylvii. Wydawało mi się, że moje pytanie zabrzmiało tak niewinnie. Myślałam, że razem pośmiejemy się z tego, jaka Sylvia jest niemądra. Koniec, kropka. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że on to właściwie potwierdzi.

Kolejny powód, żeby odwołać tę debilną sesję zdjęciową. Tyle tylko, że z każdą upływającą minutą coraz bardziej czułam, że nie mogę. Nie zmienił się ani jeden z powodów, dla których musiałam to zrobić.

– Sylvia się nie przejmie, że robięś zdjęcia – powiedziałam. Do tej pory to było moje największe kłamstwo. Z całą pewnością by się przejęła, gdyby tylko się dowiedziała. Liczyłam jedynie na to, że nigdy się nie dowie. – Jestem lesbijką, Ian. Nawet nie lubię facetów.

Lesbijką. Poczułam, że kręci mi się w głowie. Po raz pierwszy wypowiedziałam to słowo na głos. Nawet z Dylan robiłyśmy to, co robiłyśmy, ale nie mówiłyśmy o tym. Nie w ten sposób.

– Och. – Ian lekko odrzucił głowę, potem uśmiechnął się z zakłopotaniem. – No tak. Dobrze. Świetnie dla ciebie.

No i stało się, poszło w świat. Powiedziałam komuś – i to Ianowi Greene’owi – a świat nie przestał się kręcić. Moja głowa nie wybuchła, Ian nie zniknął w obłokach dymu. Niesamowite! Poczułam się tak, jakbym mogła latać.

– Sylvia jeszcze nie wie, więc proszę, nie mów jej. Chcę jej sama powiedzieć we właściwym momencie.

Kto wie, może faktycznie nie przejęłaby się tymi zdjęciami, gdyby wiedziała, że jestem lesbijką. To prawdopodobne.

– Tak – powiedział. – Tak, oczywiście.

– Proszę, Ian. Muszę to zrobić – wyjaśniałam, próbując odsunąć od siebie myśli o Sylvii.

Nie tylko robiłam to z jej chłopakiem, lecz także prosiłam go, żeby ją okłamał. Wiedziałam, że gdyby Sylvia znalazła się w podobnej sytuacji, pewnie zrobiłaby to samo. Zrobiłaby wszystko, by zatrzymać chłopaka, na którym jej naprawdę zależało. Dzięki temu to wydawało się przynajmniej trochę mniej złe.

– Bez twojej pomocy nie dam rady.

Wziął głęboki oddech i przeciągle westchnął. Pokręcił głową, patrząc na dywan. Najwyraźniej nawet Ian podrywacz miał granice, których nie chciał przekraczać.

– No dobra. – Nie wydawał się szczęśliwy. – Ale wisisz mi przysługę.

Amelia

18 PAŹDZIERNIKA, 00.02

AMELIA

siema! co u ciebie?

BEN

tak to chcesz rozegrać?...

AMELIA

jesteś wkurzony. Co ci zrobiłam?

BEN

nic

AMELIA

co to? ciche dni?

BEN

słuchaj, jesteś zajęta. Rozumiem to. Masz dziewczynę. Ale nikt nie lubi jak się go olewa.

AMELIA

masz rację, przepraszam. Nie chciałam cię zranić. Przyjaciele?

BEN

dobra. Przyjaciele na zawsze.

18 PAŹDZIERNIKA, 00.16

AMELIA

zapomniałam spytać. Co z tym chłopakiem z drużyny piłkarskiej

BEN

dzięki że pytasz. okazuje się że ma dziewczynę „w internacie”

AMELIA

czyli się czai?

BEN

dokładnie; mówiłaś już Sylvii?

AMELIA

mówiłam że musimy porozmawiać, ale potem mnie olała dla lana.

BEN

mówiłaś mamie?

AMELIA

jeszcze nie; znów za późno wróciła

BEN

musisz komuś powiedzieć; lepiej się poczujesz

AMELIA

kiedy cię zobaczę? myślałam że przyjeżdżasz do NY? Naprawdę muszę się z tobą spotkać! Musimy się zobaczyć! Inaczej zacznę się zastanawiać czy celowo mnie unikasz ;(

BEN

wciąż nad tym pracuję; dowiesz się pierwsza; xoxo

AMELIA

xoxoxo

Kate

19 LIPCA 1997

Dziś rano, gdy się obudziłam, przekonałam samą siebie, że to wszystko mi się przyśniło. Że wymyśliłam to sobie. Bo nie ma mowy, żebym coś takiego zrobiła. Nie ja.

Ale to byłam ja. Ta ja, której nienawidzę. Zadzwoiłam do biura, żeby wziąć wolny dzień, i do wieczora leżałam w łóżku. Może nigdy nie wrócę do pracy? Mogą mi złożyć lipną ofertę albo w ogóle żadnej. Już mi nie zależy.

Zasługuję, by być bezrobotną przez resztę życia.

22 LIPCA 1997

Do: Kate Baron

Od: Daniel Moore

Temat: ?

Gdzie jesteś? Przegapiłaś superimprezę dla letnich stażystów wczoraj wieczorem, a wiesz, że według mnie większość z nich jest do niczego. To było prywatne zwiedzanie Giełdy Nowojorskiej po godzinach. Naprawdę zajebiste. Potem kolacja w Cipriani. Mówię ci, Kate, żałuj, że cię nie było.

Wracaj do zdrowia

D.

Kate

28 LISTOPADA

Kate patrzyła przez okna salonu na wschód słońca. Świat powoli przybierał barwę ponurej szarości, potem stłumionego różu. Nie spała przez całą noc. Przez długi czas po wyjściu Seta siedziała skulona na kanapie, wpatrując się w telefon wetknięty między poduszki fotela, gdzie rzuciła go po tym, jak przeczytał jej na głos ten okropny SMS.

Nim nadszedł świt, przebrnęła przez niemal wszystkie pliki, które przysłał jej Duncan. Zostały SMS-y Amelii. Czytanie ich odłożyła na później. Zamierzała je przeczytać, gdy poczuje, że jest gotowa. Wreszcie zdała sobie sprawę, że to nie nastąpi nigdy.

Najpierw chciała przejrzeć SMS-y o ojcu, które dostawała Amelia. Fakt, że obie dostawały anonimowe wiadomości o człowieku, z którym Kate się przespała, nie wyglądał na zbieg okoliczności. Znalezienie tych konkretnie SMS-ów stanowiło nie lada wyzwanie. W telefonie Amelii były potworne ilości wiadomości od numerów zastrzeżonych lub nieznanych. Po dwudziestu minutach przewijania Kate wreszcie znalazła to, czego szukała.

Twoja mamunia niszczyła ludziom związki. A twój tatuś jest męską dziwką.

Dobry Boże. Sylvia nie wspomniała o niczym, co by przygotowało Kate na takie okropności. Co czuła Amelia, kiedy to czytała? Wstyd, na pewno. Wstyd, który nie ona powinna czuć.

Dalej przewijała wiadomości od numerów zastrzeżonych i nieznanych, próbując pozbyć się palącego, tępego uczucia w żołądku. Mieszanka najróżniejszych nieistotnych tekstów, przypomnień ze szkoły, zwykłych wiadomości od koleżanek, które miały zastrzeżone numery... Dziwne odniesienia do jakiejś Sroki, zazwyczaj z numerem, ale w liście kontaktów żadnej Sroki nie było. Kate nie mogła sobie przypomnieć, by Amelia kiedykolwiek o kimś takim wspominała. W końcu oczy Kate zaczęły łzawić. Przejrzała zaledwie maleńki ułamek SMS-ów od numerów zastrzeżonych, ale musiała sobie zrobić przerwę.

Zajęła się więc wiadomościami do i od Bena. Ich też było dużo i szybko zorientowała się, że na chybił trafił wybiera tylko niektóre. Jedne czytała, inne przebiegała wzrokiem, jeszcze inne pomijała. Ten niezbyt systematyczny sposób przeglądania wiadomości oznaczał, że z całą pewnością coś zostanie przeoczone. Być może jakaś maleńka cząstka Kate pragnęła, żeby tak się stało. Wciąż czuła lęk przed dowiedzeniem się wszystkiego, a przynajmniej wszystkiego naraz. Poza tym SMS-ów było tak wiele, że upłynęłoby wiele dni, nim przeczytałyby każdy po kolei; nie miała wyboru, musiała czytać tylko niektóre.

Wiadomości wymieniane między Benem a Amelią były pełne ciepła i wsparcia. Czytając je, Kate

dość mocno polubiła tego chłopaka, kimkolwiek był. Nie umiała się przed tym powstrzymać. Dziwny sposób, w jaki on i Amelia się poznali, wkrótce stracił znaczenie. Ważniejsze stało się to, że był dla niej naprawdę dobrym przyjacielem. Nawet w porównaniu z Sylvią. Bo choć obie dziewczyny z pewnością się kochały, ich relacja nie była symetryczna. Benowi Amelia zdradzała więcej sekretów, zwłaszcza dotyczących Dylana, którego lubiła, w którym może nawet się podkochiwała. Ulgę przyniosło Kate to, w jaki sposób Amelia pisała o Dylanie – nerwowo, trochę z zakłopotaniem, jakby oszołomiona rozwojem sytuacji. Młodzieńczo. Na pewno nie jak jakaś doświadczona dziewczyna prezentująca swoje wdzięki w internecie.

Odłożyła SMS-y z wątku „Ben”, by czytać te, które wymieniali między sobą Amelia i Dylan. Usiłowała prześledzić meandry życia córki. Szybko się w tym pogubiła, bo nie znalazła żadnych konkretów. Właściwie nic nie zostało tam jasno napisane. W SMS-ach od Dylana pojawiały się liczne odniesienia do Sroki #1, Sroki #2 i tak dalej. To były ksywy, tego się domyśliła. Nie wiedziała jednak ani czyje były, ani dlaczego ich używano. Była za to pewna, że między Amelią a Dylanem pojawiło się jakieś romantyczne uczucie, choć trudno stwierdzić, jak poważne. Ta dwójka co najmniej raz umówiła się na spotkanie w ciągu dnia podczas przerwy w zajęciach, co oznaczało, że Dylan mógł być chłopakiem, którego widziała Kelsey. To prawdopodobne: tylko tyle Kate mogła stwierdzić. Oczywiście im bardziej zagłębiała się w życie Amelii, tym bardziej zaczynała odnosić wrażenie, że właściwie wszystko było prawdopodobne.

– Nie chcę, żeby na tym skupiła się uwaga – powiedziała Kate, gdy Lew dotarł do jej domu kilka godzin później. Podała mu komórkę Amelii. – Czy mimo to mógłby pan dodać tę wiadomość do tych, których nadawców wasi ludzie próbują namierzyć? Te SMS-y stają się coraz bardziej wrogie. Znalazłam też jeden z tych o ojcu. Dobrze byłoby wiedzieć, kto je wysyłał.

Lew wpatrywał się w komórkę, powoli kiwając głową. Chyba niedawno brał prysznic, bo wyglądał świeżo. Stojąc obok niego w salonie, Kate zdała sobie sprawę, jak okropnie musi wyglądać: wykończona, nieumyta, wciąż w tym samym ubraniu. Nie umyła nawet zębów.

– Poproszę chłopaków z informatycznego, żeby na to spojrzeli – obiecał Lew. – Sprawdzę też, jakie zrobili postępy z poprzednimi SMS-ami. Idzie im to o wiele wolniej, niżbym sobie życzył. Nasz dział informatyczny to w sumie jeden facet ze starym pecetem, który rozpracowuje takie rzeczy dla wszystkich posterunków na Brooklynie. Postaram się też przyspieszyć sprawę z firmą telekomunikacyjną. – Westchnął. – A teraz, skoro przyszedł ten ostatni SMS, chyba pora, żeby opowiedziała mi pani o ojcu Amelii.

Lew – z szóstką wnuków i chorą żoną, o którą tak bardzo się troszczył – wydawał się prawym człowiekiem. Pewnie nigdy by się nie przespał z niewłaściwą osobą. Na pewno nigdy by nie okłamał swoich dzieci. Kate wpatrywała się w niego przez chwilę, zastanawiając się, czy tym razem uda jej się wywinąć od zdradzenia swojego brudnego sekretu. Wiedziała, że odpowiedź brzmi „nie”. Dawno temu

też powinna tak brzmieć.

– No dobrze – wydusiła z siebie Kate. Opadła na kanapę, wpatrując się w swoje dłonie. Seth był jedynym człowiekiem, który znał prawdę. Teraz pozna ją Lew. Zdawała sobie sprawę, że w końcu będzie musiała mu powiedzieć, ale to ani trochę nie ułatwiało jej zadania. – Nazywa się Daniel Moore – wydusiła z siebie w końcu. – Razem studiowaliśmy prawo i pracuje albo raczej pracował w mojej firmie. Nie jest zbyt miłym człowiekiem.

– Wie o Amelii?

– Nie – odparła Kate. Jej głos był piskliwy, ściśnięty. Głos kłamcy. – To znaczy tak. Wie o Amelii, ale nie wie, że jest jego córką.

– Nigdy nie podejrzewał?

– Chyba musiał. Ale nie pytał. Szczerze mówiąc, gdyby to zrobił, skłamałabym. – Kate nie była w stanie się zmusić, by spojrzeć na policjanta. – To, co nas łączyło, skończyło się, zanim się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Przez długi czas po narodzinach Amelii Daniel trzymał się na dystans. Może się bał, że zmienię zdanie i zacznę go o coś prosić?

– Nigdy nie mówiła pani o nim Amelii?

Kate potrząsnęła głową.

– Wiem, jak to musi wyglądać. Tylko że Daniel nie jest dobrym... Nie byliśmy... Nie jest takim mężczyzną, jakiego życzyłabym sobie dla Amelii jako ojca. Więc zrobiłam tak, by nim nie został. Nie jestem dumna ze swojego postępowania, ale nigdy nie byliśmy ze sobą. Seks dwojga ludzi, którzy za sobą nie przepadali. Nie mogliśmy mieć wspólnego dziecka. Ale ja pragnęłam ją mieć. I nie chciałam, żeby Daniel próbował mnie namawiać na usunięcie ciąży, bo na pewno by to robił. Ożenił się kilka lat po urodzeniu Amelii. Gdybym wtedy mu powiedziała, to by nie było w porządku. Teraz jest rozwiedziony. Nie powiem mu o Amelii, bo ona nie żyje.

– No cóż, chyba na razie to zostawimy. Jeśli coś zasugeruje, że Amelia miała z nim jakiś kontakt, będziemy musieli z nim porozmawiać.

– O Boże, nie sądzi pan chyba...

Lew potrząsnął głową.

– Według mnie jest o wiele bardziej prawdopodobne, że śmierć Amelii miała coś wspólnego z tym. – Uniósł czerwoną teczkę. – Powiązałem dziewczyny z grupy „Ciągnie swój do swego” ze szkolną księgą spotkań. – Otworzył teczkę i wyjął z niej pojedynczą kartkę. Niezwykle starannie zapisano na niej nazwiska dziewczyn, adresy, nazwiska ich rodziców. – Wszystkie uczą się w Grace Hall, większość w wyższych klasach. Jest ich dwadzieścia dwie.

– Tyle ile tamtych karteczek. Wydaje mi się, że Amelia wszystkie te dziewczyny w swoich SMS-ach nazywa Srokami. Ta nazwa ciągle się pojawia.

– Możliwe. W każdym razie chyba najwyższa pora, żebyśmy popytali w szkole.

W chłodnym kamiennym holu Grace Hall przy komputerze ustawionym na drewnianym biurku siedział ochroniarz. Monitor rzucał niebieskawą poświatę na jego mięsistą twarz. Na identyfikatorze miał napisane: „Will Finkle”.

– W czym mogę pomóc? – zapytał leniwie, nie odrywając wzroku od komputera.

– Chcielibyśmy widzieć się z dyrektorem. – Lew machnął odznaką, dzięki czemu zaczął przypominać Kate prawdziwego policjanta. – Chodzi o tę dziewczynę, która zginęła kilka tygodni temu.

– No nie mów pan – rzucił oschle ochroniarz, jakby znudził się czekaniem, aż ktoś się pojawi i zacznie o nią dopytywać. Spojrzał w oczy Kate. Poznał ją, była tego pewna. Nie miał jednak żadnego problemu z udawaniem, że jej nie kojarzy. – Będę potrzebował od państwa jakichś dowodów tożsamości.

Kate wygrzebała prawo jazdy, Lew podał mu swoją odznakę. Ochroniarz przyjrzał im się uważnie, powoli wstukał dane do komputera.

– Proszę tu podpisać – oznajmił, gdy wreszcie skończył, i wskazał na ekranie małe pole na podpis elektroniczny. Kilka sekund później drukarka wypluła dwie przepustki dla gości.

– Dużo zaawansowanych zabezpieczeń jak na szkołę – zauważył Lew, wskazując głową komputer.

– Kiedy ma się więcej pieniędzy, niż jest się w stanie wydać – odparł ochroniarz – wymyśla się, co można z nimi zrobić.

– To nowe?

– Komputer jest od trzech tygodni... w zeszłym tygodniu dodali to. – Ochroniarz dotknął czytnika kart wejściowych. – Wie pan, ile dzieciaków zapomina tych cholernych kart? Co rano muszę wstawiać z krzesła pięćdziesiąt, sześćdziesiąt razy, żeby otwierać te cholerne drzwi.

– Skąd takie zmiany?

– Pan niech mi to powie – odparł ochroniarz. – To państwo przyszlście w sprawie tej zmarłej dziewczyny.

Ciężkie, pachnące kwiatami powietrze w głównym holu przyprawiało Kate o mdłości. Szli w stronę sekretariatu. Po obu stronach ładnej, wyglądającej na antyk komody, na której stał ogromny bukiet kwiatów – wydawała się stara, ale nie pretensjonalna – pięły się łukiem w górę wielkie drewniane schody. Powyżej wisiał obraz, który mógł być autentycznym Picassem. Na ścianie po przeciwnej stronie widniała ogromna czarno-biała fotografia skąpo ubranej, zmysłowej tancerki siedzącej w obskurnej szatni.

Lew i Kate przystanęli ramię w ramię obok tej fotografii, wpatrując się w nią i w tabliczkę poniżej, na której widniał napis: „Diane Arbus, aktorka komediowa, w swojej szatni. Atlantic City, New Jersey, 1963. Prezent od rodziny Greene’ów”. To było coś nowego. Może Kate nieczęsto bywała w szkole, ale to zdjęcie było czymś, co na pewno by zapamiętała. Z jednej strony kontrowersyjne zdjęcie i jego wyeksponowanie dobrze się łączyło z postępowością Grace Hall; z drugiej wydawało się kompletnie niestosowne. Zwłaszcza teraz.

– Myśli pan, że te nowe środki ochrony coś znaczą? – spytała Kate.

Lew zmarszczył brwi.

– Trudno powiedzieć. – Wciąż wpatrywał się w zdjęcie. Jemu też coś nie pasowało. – Wygląda tak, jakby coś ukrywali. Może to tylko wyrzuty sumienia.

– Pani Baron! – zawołał ktoś z korytarza wysokim, przenikliwym głosem.

Kate i Lew odwrócili się jak na komendę. Zobaczyli starszą kobietę maszerującą szybko korytarzem. Jej siwiejące włosy były upięte, obcisły tweedowy kostium wyglądał na szyty na miarę. Pani Pearl. Kate nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie Woodhouse'a, ale pani Pearl pozostawiła w jej pamięci niezatarty ślad. Niezbyt pozytywny.

– Gdybyśmy wiedzieli, że pani przyjdzie, wysłalibyśmy kogoś, by po panią wyszedł – stwierdziła Pearl, patrząc ostentacyjnie na Kate, po czym podała pomarszczoną dłoń policjantowi. – Nazywam się Pearl, jestem prodziekanem do spraw uczniów w Grace Hall.

– Porucznik Lewis Thompson – odparł, po męsku ściskając jej dłoń.

Pani Pearl wpatrywała się w nich jeszcze przez chwilę, jakby spodziewała się wyjaśnienia powodów tej niezapowiedzianej wizyty. Ponieważ nie usłyszała żadnego, uśmiechnęła się, ale niezbyt przyjemnie.

– Pan Woodhouse jest akurat nieobecny. Pojechał na konferencję szkół prywatnych do Bostonu. Wraca jutro. Jeśli państwo chcą, mogę umówić państwa na spotkanie...

– To może poczekać – stwierdziła Kate, sięgając po teczkę, którą trzymał Lew.

Wypuścił ją z ręki, choć niechętnie. Dawał jej wcześniej do zrozumienia, że to on będzie mówił. Jednak gdy Kate znów zobaczyła panią Pearl, nagle ogarnęła ją zbyt wielka złość, by potrafiła siedzieć cicho. Podsunęła teczkę pani Pearl.

– Przepraszam, co to takiego? – spytała kobieta, mrużąc oczy i patrząc na teczkę, ale nie biorąc jej do ręki.

– To lista dziewcząt, które razem z Amelią były w jakimś klubie – odparła Kate, przysuwając teczkę jeszcze bliżej, tak że tekturowy róg prawie wbił się w mostek pani Pearl.

W jej głosie brzmiała wściekłość. I faktycznie, była o wiele bardziej wściekła na szkolną administrację, niż sobie to uświadamiała. Co oni robili, by nie pozwolić dzieciakom łączyć się w jakieś szajki uprawiające porno? Nie brakowało im przecież środków.

– Publikowały swoje półnagie zdjęcia na blogu.

Pani Pearl cofnęła się o krok, unosząc ręce, by osłonić zagrożony mostek.

– Natrafienie na taką informację z pewnością musiało być dla pani szokiem – stwierdziła gładko pani Pearl. – Ale, jak zapewne potrafi sobie pani wyobrazić, Grace Hall nie jest w stanie kontrolować praktycznie ani prawnie, co robią uczniowie poza terenem szkoły.

– Poza terenem szkoły? Robią to w internecie – odwarknęła Kate. – Myślę, że te dziewczyny prześladowały Amelię. Znalazłam pełne nienawiści karteczki w jej pokoju, więc zaczęłam przeglądać jej SMS-y. Bóg wie, co jeszcze znajdę. Prześladowanie musi być niezgodne z zasadami bez względu na to,

gdzie do niego dochodzi.

Była świadoma, że użycie słowa „prześladowanie” natychmiast podgrzeje atmosferę. Była z tego zadowolona. Chciała, żeby posłuchali, co ma do powiedzenia. Nie zamierzała dopuścić do tego, by tym razem wykręcili się sianem.

– Prześladowały? – spytała pani Pearl z miną, która wyrażała lekkie zaskoczenie i mnóstwo sceptycyzmu. – Niezwykle poważny zarzut, pani Baron. Zakładam, że ma pani dowody?

– Amelia nie żyje – rzuciła Kate. – To dla mnie wystarczający dowód.

– Poruczniku – pani Pearl zatrzepotała rękami, skupiając uwagę na policjancie, jakby liczyła na jego rozsądek – czyż policja nie stwierdziła, że Amelia popełniła samobójstwo? Planujemy nawet za tydzień wielką imprezę charytatywną na cześć Amelii, by zwiększyć świadomość dotyczącą przyczyn samobójstw. Ma to na celu zebranie pieniędzy na ogólnokrajową gorącą linię. Chce mi pan powiedzieć, że ona nie odebrała sobie życia?

– Pojawiły się wątpliwości – odparł Lew. – Poważne wątpliwości.

– Impreza charytatywna? – zdziwiła się Kate. – Prosiłam kogoś z komitetu rodzicielskiego, żeby się z tym wstrzymano.

Pani Pearl zmarszczyła brwi.

– Cóż, nie mogę się do tego ustosunkować. Impreza odbędzie się w przyszły piątek. Jeśli ma pani jeszcze pytania, proszę się zwrócić do komitetu rodzicielskiego. Jeśli zaś chodzi o to rzekome prześladowanie, obawiam się, że musi pani poczekać na pana Woodhouse’a.

Kate miała coś odwarknąć, gdy dłoń policjanta ciężko spoczęła na jej ramieniu, uciszając ją, zanim otworzyła usta.

– W porządku – zwrócił się do pani Pearl. – Możemy poczekać. Tymczasem chcielibyśmy porozmawiać z nauczycielką, która uczyła Amelię angielskiego.

Pani Pearl zmrużyła oczy, jakby kalkulowała, ile to będzie ją kosztować, jeśli odmówi również tej prośbie.

– Myślę, że to możliwe – powiedziała w końcu. – O ile jest dostępna.

Dziesięć minut później ich kroki odbijały się głośnym echem w kamiennym korytarzu. Pani Pearl prowadziła ich do poczekalni w pobliżu gabinetu Liv.

– Zaczekajcie państwo tutaj – powiedziała, wskazując dwa fotele stojące przy dwóch stolikach. – Liv zaraz powinna wyjść. Jeśli to wszystko, naprawdę muszę wracać do pracy.

Odwróciła się, nie czekając na ich odpowiedź.

– Jest jeszcze jedna sprawa, pani Pearl! – zawołał za nią Lew.

Z zaciśniętymi ustami odwróciła się na pięcie.

– Tak, poruczniku?

– Te nowe zabezpieczenia przy wejściu... Czy to reakcja na śmierć Amelii?

– Nie, to nie reakcja, poruczniku. Nie – wyjaśniła chłodno pani Pearl. Wiedziała, do czego zmierzał Lew. – Jak pan zapewne potrafi sobie wyobrazić, śmierć jakiegokolwiek dziecka, nawet samobójcza, przypomina wszystkim rodzicom o tym, co może spotkać ich dzieci. Jeśli chodzi o związek przyczynowo-skutkowy, będzie pan musiał sam zapytać o to zarząd szkoły. To zarząd zdecydował o wprowadzeniu nowych środków bezpieczeństwa.

– Bardzo chętnie zapytam. Potrzebuję nazwisk członków zarządu.

Pani Pearl zawróciła i podała mu katalog szkolny, który wzięła ze sterty leżącej na stoliku.

– Ich nazwiska są tutaj, na samym końcu. Numery telefonów podadzą panu w sekretariacie. A teraz, jeśli wciąż mają państwo jakieś pytania, sugeruję, żeby je państwo zadali panu Woodhouse’owi. I żeby się państwo umówili na spotkanie.

Odmaszerowała. Lew usiadł i rozłożył katalog na kolanach. Obok położył listę dziewczyn z „Ciągnie swój do swego”. Gdy przesuwiał palcem po nazwiskach, głowa kiwała mu się lekko w lewo i prawo. Zatrzymał się mniej więcej w połowie i podniósł wzrok.

– O co chodzi? – spytała Kate.

– Jedna z tych dziewczyn, Zadie Goodwin. – Lew podał jej listę. – Proszę spojrzeć na nazwisko jej ojca albo raczej ojczyma.

Kate odebrała kartkę i przebiegła wzrokiem po nazwiskach. Zadie. Czy Amelia coś o niej wspominała? Czy widziała to imię w SMS-ach? Kate wydawało się, że nie. Jednak gdzieś słyszała to imię. Wreszcie dostrzegła ją u dołu listy: Zadie Goodwin. Ojciec: Frank S. Carmon.

– Tak się nazywa ta firma, w której poszedł pracować Molina, prawda? Myśli pan, że Frank Carmon to ten Carmon? Carmon Industries?

– Wiem, że to on.

– Mówi pan poważnie?

– Frank Carmon był kiedyś gliniarzem. Miał określoną reputację, niekoniecznie dobrą. W każdym razie ponad dziesięć lat temu odszedł i założył Carmon Industries.

– Właśnie tam przeniósł się Molina. Myśli pan, że to zbieg okoliczności?

– Nie – odparł Lew i spojrzął jej w oczy. Nie myślę tak.

Wzrok Kate padł z kolei na nazwisko matki Zadie: Goodwin. Adele Goodwin.

– O mój Boże – wyszeptała. – Jej matka przyszła do mnie do domu. To ona próbuje preforsować tę imprezę charytatywną na rzecz wzrostu świadomości o przyczynach samobójstw.

Rozległy się kliknięcia i pisk. Zaraz potem drzwi do zachodniego skrzydła szkoły otworzyły się szeroko. Wyjrzała przez nie ładna kobieta zbliżająca się do trzydziestki, o filigranowej sylwetce i zupełnie prostych, długich blond włosach. Miała wysokie skórzane buty i krótką sukienkę jak z serialu *Mod Squad*. Oparła się o drzwi, przytrzymując je. W dłoni miała kartę magnetyczną.

– Pani Baron? – spytała, uśmiechając się niepewnie.

– Tak. – Kate zerwała się, jakby to ją właśnie przyłapano na ściąganiu.

– Jestem Liv. – Młoda kobieta wyciągnęła rękę. – Tak mi przykro, że musiała tu pani czekać. Wciąż próbujemy się przyzwyczaić do tych wszystkich zabezpieczeń.

– Nic się nie stało. To porucznik Lewis Thompson – przedstawiła Kate. – Pomaga poznać przyczyny śmierci Amelii.

– Och, nie wiedziałam, że policja znów zajmuje się tą sprawą – powiedziała Liv z miną wyrażającą zaskoczenie. – Pani Pearl nic o tym nie wspomniała.

– Nie ma pani nic przeciwko temu, żeby porucznik był przy tej rozmowie? – spytała Kate, choć nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Liv nie wyraziła zgody.

– Och, nie. Oczywiście, że nie – odparła Liv z zakłopotaniem i przywitała się także z nim. – Byłam zaskoczona, to wszystko. Miło mi pana poznać, poruczniku. Proszę tędy.

Gabinet Liv był naprawdę maleńki, mieściło się tu tylko biurko, jedno wąskie krzesło dla gości i cztery sterty książek. O jedną ze ścian opierały się dwa niezmontowane regały. Kolejną pokrywały fotografie w ramach starannie ułożone w miły dla oka, lekko nieregularny wzór. Na większości z nich była Liv – na pieszych wędrownkach, na rowerze, w podróży. Z przyjaciółmi, na niektórych być może ze swoimi kolejnymi chłopakami. Byli w podobnym typie: młodzi, z wielkimi bokobrodami, noszący flanelowe kraciate koszule.

– Wiem, dużo tego. – Liv wskazała na zdjęcia. – Uczniowie się ze mnie nabijają. Zawsze mówią, że próbuję się zachowywać tak, jakbym sama była dzieckiem. – Wzruszyła ramionami. – Może i jestem. Człowiek nic nie poradzi na to, kim jest.

Stało się oczywiste, dlaczego Amelia tak lubiła Liv.

– Tak – przytaknęła Kate. – To prawda.

– Przepraszam za warunki.

Adresatem tej uwagi był Lew, który stał oparty o ścianę, bo nie miał gdzie usiąść.

– Gabinety przydzielane są na podstawie stażu pracy. W tej klitce siedzę od czterech lat. Jak się państwo domyślają, wśród nauczycieli w Grace Hall nie ma zbyt wielkiej rotacji.

– Nie, nie, w porządku – zaprotestowała Kate. – Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać.

– Zrobię, co będę mogła – odparła Liv. – Amelia była jedną z moich ulubionych uczennic. Kreatywna, niezwykle wnikliwa, zabawna. Czasem trudno było za nią nadążyć. – Uśmiechnęła się lekko, potem pokręciła głową i zmarszczyła brwi, jakby dopiero sobie przypomniała, że Amelia nie żyje. W jej oczach pojawiły się łzy, które otarła dłonią. – Przepraszam. Jestem pewna, że nie przyszli państwo do mnie, by patrzeć, jak tracę nad sobą kontrolę.

Racja. Liv nie powinna płakać. Była taka młoda i śliczna, jeżeli zechce, urodzi kiedyś mnóstwo własnych dzieci. A jedyne dziecko Kate, która już raczej nie zostanie matką, nie żyło. Mimo to Liv głośno szlochała i chusteczką osuszała łzy. Kate patrzyła na nią bez słowa. Zacisnęła usta, żeby nie wyrwało się jej coś niestosownego. Coś w rodzaju: gdybyś nie doniosła, że moja córka ścigała, nic złego by się nie

stało. Tak naprawdę w to nie wierzyła albo wierzyła tylko częściowo. A jednak poczułaby się lepiej, gdyby to powiedziała.

– Zacznijmy od wypracowania, o którego ściągnięcie oskarżano Amelię – odezwał się Lew. Otworzył czerwoną teczkę i wyciągnął dwa wypracowania znalezione przez Kate. – Jedno z nich, to z pani uwagami, zostało znalezione w torbie Amelii. Drugie w jej komputerze.

Liv wzięła oba wypracowania i położyła je na biurku. Przerzucała strony, marszcząc brwi. Skończyła i popatrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

– Uwagi naniosałam na wypracowanie, które dostałam od Amelii. Znalazłam w nim skopiowane fragmenty.

W głosie Liv dały się słyszeć napięcie i chyba rozpacz. Przedtem była pewna, że ma rację, teraz jakby się przeraziła, że jednak mogło być inaczej.

– Stanowczo podkreślam: nie chodzi o parafrazę czyjejś pracy ani o jedno skopiowane zdanie. Nigdy bym za coś takiego nie doniosła na Amelię. Większość jej wypracowania została przepisana słowo w słowo z traktatu akademickiego o Virginii Woolf. Nie miałam wyboru.

– A to drugie wypracowanie? – spytał Lew. – Nie widziała go pani wcześniej?

– Nie – zaprzeczyła z naciskiem Liv, wertując drugie wypracowanie. – Niestety, nie. Wygląda na dobre. Nie potrafię powiedzieć po szybkim przejrzeniu, czy zostało ściągnięte. Są tysiące tekstów o Virginii Woolf. Z pewnością ta praca wygląda na oryginalną i twórczą, dokładnie taką, jaką napisałaby Amelia.

– Czy Amelia osobiście oddała pani to wypracowanie? – spytała Kate. – Czy jest możliwe, że zaszła jakaś pomyłka?

– W Grace Hall uczniowie oddają wszystkie wypracowania przez internet – wyjaśniła Liv. – Używają zabezpieczonego systemu mailowego. Nie wiem, jak mogłoby dojść do pomyłki.

– Potem je pani drukuje? – spytał Lew.

– Tak. Jedna z uczennic, moja asystentka, otwiera je i drukuje dla mnie. Po przeczytaniu pracy wrzucam ją do programu wychytującego plagiaty. W dzisiejszych czasach należy tak postępować, choć uważałam to za formalność. Nigdy się nie zdarzyło, by program cokolwiek wychwytał. Poza tym dlaczego Amelia nie miałaby mi powiedzieć, że to nie było jej wypracowanie? Gdy ją pytałam o te skopiowane fragmenty, nie chciała niczego wyjaśnić. Wierzcie mi państwo, pytałam i pytałam. Praktycznie błagałam ją o jakieś wytłumaczenie.

– Nie wiem, dlaczego Amelia tego nie wyjaśniła – wtrącił się Lew. – Powinniśmy porozmawiać z pani asystentką.

– Dobrze – zgodziła się nerwowo Liv. – Ma na imię Bethany... Właściwie zanim podam państwu jej nazwisko, powinnam zapytać Delię, to znaczy panią Pearl. Obecnie w Grace Hall drastycznie ograniczono zakres informacji udzielanych o uczniach. Kary za naruszenie tych ustaleń są naprawdę drakońskie.

– Obecnie? – spytał Lew.

– Powiedzmy, że ostatnio kilkakrotnie podkreślano znaczenie czegoś, co ponoć zawsze było polityką związaną z ochroną danych uczniów – odparła Liv. – Nie mogę zrobić rzeczy, za którą wyrzucą mnie z pracy. Narzekam na ten gabinet i niektóre zasady panujące w szkole, ale nie jestem gotowa zostać przymierającą głodem pisarką.

– Nie ma problemu – przytaknął Lew i podał jej swoją wizytówkę. Równocześnie podsunął Kate listę dziewczyn z bloga, wskazując palcem nazwisko Bethany Kane. – Proszę się ze mną skontaktować, gdy porozmawia pani z panią Pearl. Z oczywistych powodów prosilibyśmy, by zrobiła to pani szybko.

Bethany Kane należała do grupy „Ciągnie swój do swego”. Podmieniła wypracowanie Amelii i wydruk dała Liv. Dziewczyny zaaranżowały to tak, jakby Amelia ściągała. Czy to, co się wydarzyło na dachu, w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie? Nawet gdyby się okazało, że Amelia skoczyła z własnej woli – choć Kate wciąż w to nie wierzyła – wcześniej okrutnie ją dręczono. Kate nie wiedziała tylko dlaczego. Dlaczego te dziewczyny tak bardzo nienawidziły Amelii i dlaczego zaczęło się to tak nagle?

– Tak. – Liv wpatrywała się w wizytówkę. – Oczywiście, rozmawiam z nią jak najszybciej.

– Mogę zapytać panią o coś innego? – Głos Kate zabrzmiał ochryple.

– Oczywiście.

– W szufladzie Amelii znaleźliśmy plik karteczek. Na każdej było napisane „nienawidzę cię”. Napisały to dwadzieścia dwie różne osoby. – Kate nie chciała dopowiadać reszty, ale wiedziała, że musi.

– Zdaje mi się również, że Amelia należała do grupy dziewczyn, które opublikowały swoje roznegliżowane zdjęcia w internecie.

– Roznegliżowane zdjęcia? – Liv wyglądała na równie przerażoną jak Kate, co było równocześnie niepokojące i w jakiś sposób pocieszające. – Amelia? Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. W Grace Hall jest wiele dzieciaków, które nie mają całkiem równo pod sufitem. Amelia nigdy do nich nie należała.

– Więc nie ma pani pojęcia, o co w tym chodzi? – drążyła Kate. – Ta grupa nazywała się „Ciągnie swój do swego”. Dziewczyny spotykały się po szkole i tak dalej. Jakby należały do czegoś w rodzaju klubu.

Liv spuściła wzrok. Potrząsnęła głową, wpatrując się w biurko. Kate czekała, aż powie, że nie miała o tym pojęcia.

– Przykro mi, nie mogę – odparła zamiast tego Liv takim tonem, jakby cierpiała.

– Nie może pani? – zapytał Lew.

Takiej irytacji w jego głosie Kate dotąd nie słyszała.

– Jak mówiłam, Grace Hall ma naprawdę surowe kary za...

– Chwileczkę – wtrąciła Kate. Czują, że traci panowanie nad sobą. – Mówi pani, że wie o czymś, co może mieć związek ze śmiercią Amelii, ale musi pani milczeć?

– Jak powiedziałam, zależy mi na pozostaniu w tej pracy – powiedziała cicho Liv. Wyglądała, jakby znów miała się rozpłakać. – Zadają państwo właściwe pytania. Tyle mogę powiedzieć. Proszę je dalej

zadawać. Porozmawiać z Phillipem Woodhouse'em. Wiem, że on wam... Cóż, on chciałby wam powiedzieć. To wszystko, co się dzieje między nim, zarządem szkoły a prawnikami... – Potrząsnęła głową. – Przepraszam, powiedziałam więcej, niż powinnam.

– O mój Boże. – Kate wpatrywała się w Liv szeroko otwartymi oczami. – Pani mówi poważnie.

Lew znów położył dłoń na ramieniu Kate. To był rozkaz. I choć Kate nienawidziła go w tym momencie, wiedziała, że miał rację. Wściekanie się na Liv donikąd nie prowadziło.

– Rozumiemy – odezwał się Lew. – Nie chcemy, żeby ktoś przez nas stracił pracę. Najpierw porozmawiamy z administracją. Wrócimy do pani później, żeby zadać więcej pytań.

– Tak, oczywiście. – Liv wyglądała na zrozpaczoną. – Naprawdę chcę pomóc, przysięgam.

– A co z tym szkolnym blogiem plotkarskim? Jak on się nazywał? Grace-coś-tam?

– Ach tak, gRaCeFULLY. – Przewróciła oczami i pokręciła głową. – Na szczęście przestał się ukazywać. Z nieznanych mi powodów.

– Dlaczego administracja wcześniej go nie zamknęła? – zapytał Lew.

– Nigdy nie udało im się dojść, kto za tym stoi. Próbowali wysledzić, skąd dokonywane są wpisy, ale ten, kto to robił, niezłe zacierał swoje ślady. Słyszałam, że wynajmowali do pomocy jakiegoś eksperta od zabezpieczeń komputerowych. Teraz blog i tak się nie ukazuje, więc nie jestem pewna, na czym stanęło.

W tym momencie komórka Liv zapiszczała, jakby przyszedł SMS. Sięgnęła po nią i odczytała wiadomość.

– Bardzo przepraszam, ale mam zebranie nauczycieli, o którym kompletnie zapomniałam – tłumaczyła się zirytowana. – Czy chcieliby państwo wiedzieć coś jeszcze? Naprawdę muszę pędzić. Chętnie jeszcze się z państwem spotkam, jeśli to w czymś pomoże.

Liv zbierała swoje rzeczy: notes, telefon.

– Czy Amelia kiedykolwiek wspominała pani o chłopaku imieniem Dylan? – zapytała Kate. Wydawało jej się, że to bezpieczne pytanie. Takie, które jej jako matce wolno zadać. – On i Amelia chyba się spotykali.

Liv zamarła.

– Słyszałam, że Amelia spotyka się z Dylan. Nie od niej, więc nie jestem pewna, czy to prawda i czy „spotyka się” to właściwy zwrot. Należałoby raczej powiedzieć, że była zaangażowana – wyjaśniła. – Ale Dylan Crosby to nie chłopak, pani Baron. To dziewczyna.

Amelia

19 PAŹDZIERNIKA, 21.52

DYLAN

co tam?

AMELIA

niewiele; co u ciebie?

DYLAN

kiepski humor

AMELIA

dlaczego?

DYLAN

nie wiem

AMELIA

zróbmy jutro coś fajnego

DYLAN

brzmi dobrze; masz pomysł?

AMELIA

z tobą wszystko jest fajne

DYLAN

:) dozo jutro

AMELIA

ok. dozo xo

19 PAŹDZIERNIKA, 21.59

SYLVIA

ona jest w Srokach

AMELIA

kto?

SYLVIA

dziewczyna którą bzyka Ian

AMELIA

niemożliwe

SYLVIA

tak, jedna z tych sroczych suk się do niego dobrała

AMELIA

kto?

SYLVIA

nie wiem; ale się dowiem

19 PAŹDZIERNIKA, 22.05

CHLOE

impreza, u mnie, piątek 9 wieczór

19 PAŹDZIERNIKA, 22.12

AMELIA

kiedy cię zobaczę??? jeśli wciąż mnie będziesz unikał, pomyślę, że jesteś jakimś seryjnym zabójcą albo coś

BEN

Rany, dzienks

AMELIA

tak sobie żartuję. daj spokój, kiedy przyjeżdżasz?

BEN

może w czwartek, pracuję nad tym

AMELIA

tak! no to nie muszę cię blokować ;)

19 PAŹDZIERNIKA, 22.25

TRENER BING

poprawka, autobus na mecz w sob. odjeżdża o 7.30, NIE o 8.30; nie spóźnijcie się

19 PAŹDZIERNIKA, 22.32

DYLAN

czasami nienawidzę tego miejsca. Chcesz uciec?

AMELIA

wchodzę w to; kiedy wyjeżdżamy?

Facebook

20 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

Pomyślałam [...] o tym, jak przykro jest nie być wpuszczonym do środka, i że, być może, jeszcze mniej przyjemnie jest być w środku zamkniętym [5](#).

Virginia Woolf, *Własny pokój*

Sylvia Golde Naprawdę nie chcę być niemila, ale zaczynasz być totalnie porąbana!

George McDonnell zaczynasz???

Carter Rose ziomal, ten okręt już odpłynął.

Amelia

20 PAŹDZIERNIKA

– „Fragment wiedzy nigdy nie jest prawdziwy ani fałszywy – a jedynie mniej lub bardziej użyteczny z biologicznego i ewolucyjnego punktu widzenia. Wszelka dogmatyczna wiara jest przybliżeniem: te przybliżenia tworzą glebę, z której wyrastają lepsze przybliżenia” – odczytała Sylvia teatralnym głosem z podręcznika do filozofii. – I na wypadek gdybyś się zastanawiała, kto to powiedział...

– Nie zastanawiałam się – odparłam, nie podnosząc wzroku.

Miałyśmy dłuższą przerwę i siedziałyśmy w nowiuteńkiej supernowoczesnej bibliotece Grace Hall; szklane ściany, zaawansowany sprzęt komputerowy i trochę klasycznych akcentów: staroświeckie oświetlenie, witraże i surowo ciosane odrestaurowane biurka. Nazwę zmieniono na Rose Library od rodziny Rose'ów (do której należeli Carter, Bennett i Cole) sponsorującej renowację. Skupiałam wzrok na pracy z biologii, ale trudno mi się było skupić, z powodu Sylvii bez przerwy gadającej nad moim uchem.

Po szkole miałam się spotkać z Dylan. Mówiła, że chce mi coś powiedzieć. Po SMS-ie od niej poprzedniego wieczoru o tym, żebyśmy razem uciekły, byłam przekonana, że to będzie coś dobrego. Może nawet chciała mi powiedzieć, że jest gotowa, byśmy otwarcie się spotykały?

– Ernst Mach, on to powiedział – ciągnęła Sylvia, bo jak zwykle nie przejmowała się tym, czy mam ochotę jej słuchać. – Chcesz wiedzieć, co powiem? Powiem: pierdol się, Ernst. W ogóle co to za imię: Ernst? Brakuje tu samogłoski albo czegoś takiego.

– Po co się w ogóle zapisywałaś na wprowadzenie do filozofii? – Spojrzałam na nią. Byłam zirytowana. Czasem to, co robiła, było takie głupie, choć nigdy nie potrafiła się do tego przyznać. – Nikt ci nie kazał. Wszyscy wiedzą, że to jedne z najtrudniejszych zajęć.

– Lubię wyzwania, tak jak każdy – głupawo odparowała Sylvia. – Wiesz, nie jesteś tutaj jedyną intelektualistką.

Zmrużyłam oczy i spojrzałam na nią.

– Och, poczekaj, chyba sobie przypominam. Brian Porter chodzi na te zajęcia, co?

Sylvia poruszyła się na krześle. Brian był chłopakiem, za którym uganiała się zeszłej wiosny, kiedy wybierało się kursy. Leciąca na niego, zanim pojawił się Ian. W końcu udało jej się dorwać Briana, ale wywinął jej się w środku lata, co było do przewidzenia.

– Najgorsze jest to, że wypisał się chyba drugiego dnia – przyznała w końcu. Pokręciła głową.

– Ty też się mogłaś wypisać.

– Żeby Brian wiedział, że zapisałam się na te zajęcia tylko dla niego? Daj spokój, ja też mam swoją

dumę.

– No to mam nadzieję, że Ian nie zapisze się w następnym semestrze na literaturoznawstwo albo coś w tym stylu – rzuciłam. – Bo to podobno naprawdę morderczy kurs.

– Nieważne. Nie obchodzi mnie już, co robi Ian. – Sylvia próbowała brzmieć jak twardzielka, ale jej twarz drżała. Rozejrzała się po zatłoczonej bibliotece. – Naprawdę nie czytasz moich SMS-ów? Halo! Myślę, że mnie zdradza.

– Właśnie. Zapomniałam. – Nienawidziłam rozmów o Ianie. Od chwili gdy właściwie mi się przyznał, że zdradza Sylvię, próbowałam unikać rozmów o ich związku. Jeżeli wkrótce ze sobą nie zerwą, będę musiała powiedzieć Sylvii. Naprawdę, naprawdę nie miałam ochoty tego robić. – Mniejsza z tym. W takim razie jest skończonym idiotą.

– Widzisz? Nawet nie mówisz, że jestem stuknięta. Ty też myślisz, że coś z nim jest nie halo. – Sylvia miała smutną minę. Znów zaczęła przeczesywać wzrokiem bibliotekę, pewnie w poszukiwaniu Iana. – Nieważne, chłopacy są do dupy.

Musiałam zmienić temat, zanim Sylvia zacznie z grubej rury. I chciałam jej powiedzieć o Dylan zwłaszcza teraz, gdy Ian już wiedział. Idealny moment nigdy nie nadejdzie.

– Jestem z kimś – bąknęłam, gdy Sylvia wciąż rozglądała się dokoła. – To znaczy tak mi się wydaje. W każdym razie miałaś rację, kiedy tak wcześniej pomyślałaś.

– O cholera, wiedziałam! – Sylvia poklepała mnie radośnie. – Od jak dawna? Kto to? Musisz mi powiedzieć wszystko. O rany! Ale jestem ciekawa!

Sylvii wciąż udawało się czasami mnie zaskoczyć. Nie przypuszczałam, że uda jej się nawet na ułamek sekundy skupić na mnie zamiast na Ianie.

– Od dwóch tygodni albo coś koło tego.

– Od dwóch tygodni! – wrzasnęła Sylvia. Bibliotekarka syknęła do nas głośno zza swojej lady. Sylvia z poirytowaniem machnęła na nią ręką. – Myślałam, że powiesz: dzień albo dwa. Dwa tygodnie? I nic mi nie mówiłaś? Poczekaj! Proszę, proszę, powiedz mi, że nie chodzisz z tym psycholem Benem.

– Nie chodzę z Benem. I on nie jest żadnym psycholem.

– Nie jest gejem i jest strasznym psycholem. W porządku, nie musimy się co do tego zgadzać. Nie chcę mówić o tym durniu. Chcę mówić o tym ciachu, które w końcu przeleciało Amelię Baron. Kto to jest? Carter? George McDonnell? Przysięgam, że od lat są gotowi na wszystko, by się do ciebie dobrać.

Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam na Sylvię. To była ta chwila. Teraz powiem najlepszej przyjaciółce, że chodzę z dziewczyną.

– Pewnie powinnam powiedzieć ci wcześniej – zaczęłam.

Będzie dobrze. Sylvia jakoś to zniesie. Wiedziałam, że tak będzie. Musiało tak być.

– Nie dlatego, że to ma znaczenie dla nas, ale...

– O cholera! – rzuciła nagle Sylvia, przywierając do biurka. Wychyliła się na chwilę, by zobaczyć coś za moimi plecami, i znów się skuliła. – Czy to Ian stoi tam dalej? Z dziewczyną?

– O czym ty mówisz?

Spojrzałam przez ramię. Faktycznie, po drugiej stronie biblioteki przy dziale encyklopedycznym i wielkim drewnianym globusie dostrzegłam Iana z jakąś dziewczyną. Pochyliła się, zanim zobaczyłam, z którą.

– Czy to nie Susan Dolan? – syknęła Sylvia. – Kurde, taka wywłoka!

Widziałam tę dziewczynę tylko przez sekundę. To mogła być Susan Dolan. Ian otwarcie z nią flirtował? Kiepsko. Susan puszczała się na prawo i lewo. Poczułam egoistyczną ulgę, że to nie Zadie. Susan Dolan przynajmniej nie była w Srokach. Sekret, który dzieliłam z Ianem, nie miał nic wspólnego z tym, że był akurat z nią.

– Jestem lesbijką, Sylvio – brnęłam dalej mimo niespodziewanego dramatu z Ianem.

Przyszła pora, by zacząć mówić; o wszystkim. Nagle ogarnęło mnie poczucie, że muszę to zrobić teraz albo nigdy.

Sylwię wciąż całkowicie pochłaniało dyskretne podglądanie, co się dzieje za moimi plecami. Jakby do niej nie dotarło, co powiedziałam. Potem nagle jej oczy skupiły się na mnie.

– Czekaj, co mówiłaś?

– Że chyba jestem lesbijką.

– Eee tam, nie jesteś. – Zbyła mnie machnięciem ręki i wróciła do swoich obserwacji. – W byciu lesbijką nie ma miejsca na jakieś chyba.

Wyobrażałam sobie, że Sylvia będzie zaskoczona, smutna, nawet że trochę spanikuje. Nigdy nie pomyślałam, że mi nie uwierzy.

– Nie chyba. Ja to wiem. Wiem, że jestem lesbijką.

Sylvia parsknęła teatralnie.

– No dobra, ale wiesz, że geje i lesbijki też uprawiają seks, prawda? Bycie lesbijką to nie sposób na uniknięcie seksu, bo... O mój Boże! – Znów się schyliła. – On trzyma rękę na jej tyłku? Nie mogę na to patrzeć. Ty zobacz. Ty zobacz. Odwróć się i sprawdź.

Próbowałam się nie wkurzyć. Ian publicznie z inną dziewczyną, zwłaszcza z kimś takim jak Susan Dolan? Gruba sprawa. Ale po tej bombie, którą zrzuciłam? Byłoby miło, gdyby moja przyjaciółka poświęciła pięć minut mnie i moim osobistym dramatom. Jednocześnie współczułam Sylvii. Być aż tak dymanym na oczach wszystkich – naprawdę do dupy.

Straciłam ołówek na podłogę. Zyskałam pretekst, by się odwrócić i spojrzeć w stronę globusa. Po omacku szukałam ołówka palcami, lecz z początku nie mogłam dostrzec Iana. Nagle się pojawił. Pewnie się wyprostował, bo do tej pory musiał kucać za jakimś regałem. Chwilę później Susan Dolan pojawiła się tuż obok niego. Na sekundę znieruchomiałam i patrzyłam, jak mówią do siebie i swobodnie stykają się ramionami. Ooo, było kiepsko. Naprawdę kiepsko.

– Tego szukasz? – zapytał ktoś.

Tuż przy swojej dłoni zobaczyłam modne brązowe buty jakiegoś mężczyzny. Nade mną stał pan

Woodhouse, trzymając w ręce mój ołówek.

– Tak, dzięki.

– O tak, wielkie dzięki – wtrąciła się Sylvia, odganiając Woodhouse’a ruchem dłoni. – Wie pan, próbujemy tu się uczyć.

Sylvia nie lubiła Woodhouse’a, bo ciągle groził jej oficjalnymi upomnieniami. Woodhouse uchodził za twardego, jeśli chodziło o te sprawy. Większość dzieciaków albo go nienawidziła, albo chciała się z nim przespać. Nie zostawało wiele na cokolwiek pomiędzy. Woodhouse przez chwilę wpatrywał się w Sylvię, jakby strasznie się starał mimo wszystko ją lubić. I to sprawiło, że poczułam do niego jeszcze większą sympatię.

– Możesz dziś po zajęciach zajrzeć do mojego gabinetu, Amelio? Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

– Co? Dlaczego? – To zabrzmiało o wiele zbyt nerwowo. W ostatnim czasie miałam tyle na sumieniu. – Chciałam powiedzieć... Po szkole mam trening hokeja na trawie.

– Rozmawiałem z panią Bing – zapewnił Woodhouse. – To nie potrwa długo.

Potem zwrócił się do Sylvii:

– Panno Golde, naprawdę się cieszę, że się pani uczy. Wczoraj dzwonił do mnie pani nauczyciel hiszpańskiego. Nie wiem, na czym się pani skupiała w ciągu ostatnich tygodni. Najwyższa pora znów poświęcić się nauce. Nie może sobie pani pozwolić na kolejne ostrzeżenie.

Sylvia go ignorowała i bazgrała coś w notesie.

– Oczywiście, dyrektorze – powiedziała w końcu, nie podnosząc wzroku.

– Wspaniale, panno Golde – stwierdził z zatroskaną miną. – Po prostu wspaniale. W każdym razie, Amelio, widzimy się później.

Woodhouse odszedł. Sylvia machnęła w jego stronę, jakby chciała fizycznie usunąć go z pola widzenia. Potem zaczęła rozglądać się po bibliotece. Ian i Susan Dolan zniknęli.

– Świetnie, dzięki, jebany panie Woodhouse.

W połowie zajęć z biologii dostałam SMS-a od Dylan.

U ciebie, na długiej przerwie?

Nie będziemy miały dużo czasu, może dwadzieścia minut, przez co to wszystko wydawało się dość ryzykowne. I ekscytujące.

Ledwo doczekałam końca biologii i wypadłam ze szkoły. Gdy skręciłam za ostatni róg, zobaczyłam Dylan siedzącą na naszym ganku. Podpierała ręką głowę i patrzyła w drugą stronę, jakby usiłowała osłonić się od wiatru. Rzeczywiście, było zimno, choć w jasnym jesiennym słońcu jej włosy wyglądały jak płomienie.

Miałam do przejścia kilkadziesiąt metrów. W tym momencie Dylan wreszcie odwróciła się w moją stronę. Jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Widząc, jak na mnie patrzy, nagle pojęłam, że czuje do

mnie to samo co ja do niej. Wreszcie byłam tego pewna. Byłam też pewna czegoś jeszcze. Nie leciałam po prostu na Dylan. Nie wpadła mi w oko. Kochałam ją. Kompletnie i całkowicie, na zabój.

W pewnym sensie poczułam ulgę. Bo teraz nie było odwrotu. Już nie. Nie było miejsca na ostrożność. Wyglądało na to, że po całym tym chaosie i niezdecydowaniu dla Dylan też coś się zmieniło. Widziałam to w sposobie, w jaki na mnie patrzyła. Odpowiedziałam jej uśmiechem i przyspieszyłam kroku.

– Chodź do środka – powiedziałam, chwytając ją za rękę. – Muszę ci coś powiedzieć.

Wbiegłyśmy po schodach prowadzących do drzwi wejściowych. Pragnęłam tylko ją pocałować, tu, zaraz, na ulicy. Dwie nastolatki robiące coś takiego na chodniku w samym środku zajęć? Ludzie zwróciliby na to uwagę. Może nawet uznaliby za stosowne wspomnieć o tym mojej mamie.

Wciąż byłyśmy w przedpokoju za ledwie przymkniętymi drzwiami – Dylan zaczęła mnie całować. Jej ręce ściągały ze mnie kolejne warstwy ubrań. W natłoku rąk, nagiej skóry i ust poczułam się tak, jakby słowa, które miałam wypowiedzieć, wszystkie te ważne słowa zostały wypowiedziane. Dylan wiedziała, co czułam. A ja wiedziałam, że ona czuje to samo.

Potem leżałyśmy nagie na sofie w dużym pokoju. Splotłyśmy nogi.

– Uwielbiam to, że twojej matki nigdy nie ma w domu – odezwała się Dylan, wtulając się we mnie i opierając głowę na mojej piersi. Przesunęła palcem po moim ramieniu. – To musi być świetne uczucie, gdy po prostu zostawia cię samej sobie.

– Czasami. Ale lubię być z moją mamą. Chciałabym, żeby miała trochę więcej czasu.

Przypomniałam sobie, jaka byłam wściekła w ubiegły weekend, kiedy tak strasznie wcześnie ją obudziłam i zaczęłam na nią wrzeszczeć, żeby mi powiedziała o tacie. Tamtej nocy dostałam kolejny SMS o ojcu. Nagle potwornie mnie to wkurzyło, tak bardzo, że nie dbałam o to, czy ją zranię. Wygrzebałam nawet w piwnicy wszystkie jej stare pamiętniki. Postanowiłam, że przeczytam je od deski do deski i sama się dowiem, jak było.

Zaczęłam czytać niektóre z nich – parę stron tu, parę stron tam – ale nie dotarłam daleko. Przeczytałam kilka wpisów z czasów, gdy mama dowiedziała się, że jest w ciąży, i z okresu tuż po moim urodzeniu. Nie było tam nic o tym, kim był mój tata. Właściwie czytanie tego wszystkiego sprawiło tylko, że zaczęłam żałować mamy, wówczas samotnej i przerażonej. Nie zachwycało jej, że mnie urodzi. Nie miałam jej tego za złe, ale nie paliłam się, żeby o tym wszystkim czytać. Poza tym czułam, że to nie fair. Moja mama nie czytała moich osobistych maili ani SMS-ów, przynajmniej tak mi się zdawało.

A jeśli mama chroniła mnie przed tatą, bo miała ważne powody? Kochała mnie. Byłaby do tego zdolna. Pozwoliłaby, żebym się na nią naprawdę wściekła, jeśli taka byłaby cena mojego bezpieczeństwa. Mama była wszystkim, co miałam – wszystkim, co kiedykolwiek będę mieć – i kochałam ją. Nie chciałam dowiedzieć się czegoś, co mogłoby to zmienić. Byłam gotowa przeżyć całe życie z czarną dziurą tam, gdzie powinien być mój tata, dopóki mama będzie przy mnie, by tę dziurę wypełnić.

– Moja mama zawsze jest w domu. To upierdliwe.

Kiedyś spotkałam mamę Dylan. Niewiele o niej wiedziałam. Tylko tyle, że była aktorką, której kiedyś się wydawało, że będzie następną Marilyn Monroe. Zdecydowanie była przepiękna, tak jak Dylan, ale musiała się zadowolić paroma rólkami w różnych odcinkach *Prawa i porządku*. Naciskała też strasznie na Dylan. Namawiała ją, żeby została aktorką, choć Dylan tego nienawidziła. Domagała się, by Dylan chesała się tak, a nie inaczej, ciągle mówiła jej, że musi się odchudzić (Dylan i tak była strasznie szczupła). Zupełnie jakby jej córka była jakąś lalką, a nie prawdziwym, żywym człowiekiem. Dylan wydawała się nie mieć nic przeciwko temu, ale wiele rzeczy, które mówiła mi o swojej mamie, przyprawiało mnie o ciarki. Cieszyłam się, że mam swoją mamę – choć nie zawsze była przy mnie tyle, ile bym pragnęła.

– Wydawało mi się, że ty i twoja mama jesteście ze sobą naprawdę blisko – powiedziałam.

– Bo jesteśmy. Mama i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami – odparła Dylan, jakby wykuła to na pamięć. – Ona, Zadie i mój tata to jedyni ludzie, którzy naprawdę mnie znają. – Staralam się nie potraktować osobiście tego, że nie załapałam się na tę krótką listę. Nie znałam Dylan aż tak długo. – W każdym razie cieszę się, że twojej mamy tu nie ma. Dzięki temu możemy być same.

– Ja też – przytaknęłam, czując, jak serce trzepocze mi w piersiach. – Wiesz, dziś prawie powiedziałam o nas Sylvii.

– Prawie? – W głosie Dylan brzmiało zaskoczenie i lekkie zdenerwowanie.

– Nie martw się, dotarłam tylko do tej części, że wolę dziewczyny – wyjaśniłam. – Nie mówiłam, którą dziewczynę.

– Przecież to jest najważniejsze. – Dylan uśmiechnęła się do mnie swawolnie, jej niebieskie oczy błyszczały.

Wypuściłam powietrze z płuc. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech. Powiedziałam Sylvii bardzo mało. Martwiłam się, czy Dylan mimo to nie będzie na mnie zła.

– Jesteś zdecydowanie najważniejsza w tym wszystkim – odparłam, odpowiadając jej szerokim uśmiechem. – Najzabawniejsze jest to, że Sylvia mi nie uwierzyła. Uważała, że w rzeczywistości nawet nie wiem, co to znaczy „być lesbijką”.

Dylan opadła na sofę i zapatrzyła się w sufit.

– Nie wiesz? – spytała.

– Wiem – odparłam, pragnąc, by na mnie spojrzała. – A ty?

– Nie ufam ludziom – stwierdziła Dylan, jakby to było odpowiedzią na pytanie.

Nie miałam wrażenia, że według niej to coś złego. To był po prostu fakt, z którego powinnam zdawać sobie sprawę.

– Oni jedynie chcą przylepić ci etykietkę. Nazwać cię tym albo tamtym. I potem tym jesteś, na zawsze.

Wyczułam, że mówiła o czymś więcej niż tylko o nas. Jakby wciąż usiłowała przewyższyć ludzi, którzy chcą jej przylepić jakąś etykietkę.

– Nikt prócz mnie nie będzie decydował, kim jestem – oświadczyłam. – Nie dbam o to, co myślą inni.

Zależy mi tylko na tobie.

Wow! To było szczere. Właściwie zaimponowałam samej sobie. Spojrzałam na Dylan. Czekałam, aż się odwróci w moją stronę, pokaże, że jest ze mnie dumna. Ale ona dalej gapiła się w sufit. Milczała dłuższą chwilę. Coraz trudniej było mi oddychać.

– No dobrze – powiedziała wreszcie cicho. – Ja też.

Miałam wrażenie, że bardziej próbuje się ze mną zgodzić, niż naprawdę tak myśli. Na początek wystarczy.

– Mogę cię o coś zapytać?

Wiedziałam, że to niebezpieczne pytanie, ale musiałam poznać odpowiedź. Zwłaszcza teraz. – Czy ty i Zadie byłyście kiedyś, no wiesz, razem?

– Ja i Zadie? Mówisz poważnie? – Dylan roześmiała się głośno. – To byłoby obleśne. Jesteśmy jak siostry. Poznałyśmy się jako pięciolatki. Zadie to jedyna osoba oprócz moich rodziców, która wie o mnie wszystko. Zawsze była przy mnie, zwłaszcza kiedy naprawdę kogoś potrzebowałam. Chwilami wydaje mi się, że nadal jest.

– Och – westchnęłam, wcale nie czując upragnionej ulgi. Chciałam zapytać Dylan, co ma na myśli, mówiąc, że kogoś potrzebuje. Trochę ją rozumiałam, bo coś podobnego łączyło mnie z Sylwią. Wyczuwałam zarazem, że Dylan mówi o czymś innym. – To fajnie.

– W każdym razie Zadie woli facetów – ciągnęła Dylan. – Ona i ja jesteśmy tylko przyjaciółkami, okej? Opiekuje się mną, to wszystko.

– W porządku. – Uśmiechnęłam się. Bo choć wciąż nie do końca jej wierzyłam, naprawdę pragnęłam, żeby tak było. – To dobrze.

Wtedy przytuliłyśmy się do siebie. Przymknęłam oczy i wdychałam słodką woń dzikich włosów Dylan. Wtem pojawiła się ta przykra myśl, którą odsuwałam od siebie przez kilka dni.

– Uch! – westchnęłam.

– Co?

– Właśnie przypomniały mi się zdjęcia, które jutro mają się ukazać na tym durnym blogu.

Odkąd Ian mi je zrobił, ciągle się nad tym zastanawiałam i miałam ochotę się wycofać. Poza tym skoro miałam Dylan tak naprawdę, do czego były mi potrzebne Sroki?

– Nie jestem zachwycona, że jakieś lubieżne, tłuste staruchy siedzące przed komputerami w samych gaciach będą klikać moje zdjęcia lepkimi paluchami.

– Mniam! – roześmiała się Dylan. – W twoich ustach to tak smakowicie brzmi.

– Mówię poważnie – zachnęłam się, a mimo to śmiałam się tak bardzo, że głowa Dylan zaczęła podskakiwać na mojej piersi. – Nie czujesz się źle z tym, że one są w necie?

Spojrzałam na Dylan, jej uśmiech zamarł.

– Chyba tak – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Niemal wszystko sprawia, że czuję się źle.

– Ten, czyje półnagie zdjęcia są w necie, pewnie tak powinien się czuć.

Dylan milczała. Jej zdjęcia były w sieci. Chyba ją uraziłam.

– Cóż, mniejsza z tym – spróbowałam głupio i bez powodzenia zmienić temat. – Zamierzam powiedzieć Zadię, że nie chcę już w to grać. Że zmieniłam zdanie.

– Wyrzuci cię ze Srok – zaprotestowała Dylan, zrywając się, by na mnie spojrzeć. Oczy miała rozbiegane i przerażone. – Na pewno cię wyrzuci.

– W tych całych Srokach zależy mi tylko na tobie.

Dylan opadła na łóżko. Tym razem milczała jeszcze dłużej. To było okropne. Miałam nadzieję, że powie coś w stylu: „Pieprzyć Zadię, nie potrzebujemy jej”. Nie zrobiła tego. Wciąż leżałyśmy splecione, gdy usłyszałam, że otwierają się drzwi frontowe.

– O cholera – szepnęłam. – To moja mama.

Obie byłyśmy nagie. Nasze ciuchy zostały w przedpokoju. Powiedzieć mamie o Dylan to jedno, ale dopuścić do tego, by weszła i nas tak zastała, to zupełnie inna sprawa. Chwyciłam narzutę z kanapy i zakryłam nią Dylan. Potem skrzyżowałam ręce na piersiach i skuliłam się, próbując jak najlepiej zasłonić nagie ciało. Zacisnęłam powieki niczym dziecko, które pragnie zniknąć.

– No, no! – odezwał się głos, który nie należał do mojej mamy. – Czyż to nie romantyczne?

Otworzyłam oczy. W salonie stała Zadię. W jednej ręce trzymała nasze ubrania. W drugiej – iPhone’a. Filmowała nas.

– Jak się tu dostałaś?! – wrzasnęłam. – Nie możesz tak po prostu wchodzić do mojego domu!

– Nie zamknęłaś drzwi – odparła Zadię zadowolona z siebie i zaczęła mnie obchodzić, jakby próbowała zrobić jak najlepsze ujęcia.

Dylan podciągnęła wyżej narzutę, zasłaniając piersi, i odwróciła głowę.

– Musiało wam się nieźle spieszyć, bo chyba nawet były uchylone.

Powinnam podejść i wyrwać Zadię swoje ciuchy, ale nie chciałam, by mnie filmowała idącą nago przez pokój.

– Co, jesteś stalkerem?! Skąd w ogóle wiedziałaś, że tu jesteśmy?! – wrzasnęłam. – Nie wolno ci tu być! To mój dom.

– Stalkerem? Nie przesadzasz trochę? – Uśmiechnęła się złośliwie. – Ale skoro musisz wiedzieć... Tak, śledziłam cię. I czekałam na zewnątrz. Czekałam, czekałam, bez końca. – Na chwilę odsunęła telefon, patrząc prosto na Dylan, która najwyraźniej nie chciała na nią spojrzeć. – Muszę przyznać, formy wam nie brakuje. Chyba u dziewczyn to wygląda inaczej.

Czekałam, że Dylan wrzaśnie na Zadię. Że znów stanie się tą dziewczyną, którą widziałam wtedy u Zadię w piwnicy. A ona tylko siedziała, jakby chciała się stopić z sofą.

– Wynoś się! – krzyknęłam jeszcze głośniejsze. – Wypierdalaj z mojego domu!

Zadię westchnęła jakby znudzona i znów skierowała na mnie kamerę.

– Wiecie, to będzie nie za dobry film, jeśli nie zrobicie czegoś... no... ciekawego. Nie będziecie miały dwóch milionów wyświetleń na YouTube z tego powodu, że jesteście dwiema półnagimi

dziewczynami. Nuda. Potrzebna nam akcja. Może jakiś buziaczek? Może któraś złapie drugą za cycka albo coś takiego?

Wtedy coś we mnie pękło. Skoczyłam i rzuciłam się na ciuchy, które Zadie trzymała pod pachą. Wypuściła je natychmiast. Odskoczyła, by razem z telefonem znaleźć się poza moim zasięgiem. Filmowała, kiedy zbierałam T-shirt i džinsy z podłogi. Włożyłam je, odwróciłam się, podeszłam i przysunęłam twarz do jej twarzy.

– Wypierdalaj z mojego domu albo wzywam policję.

– Jakie to romantyczne. – Pochyliła się ku mnie. – Ty bronisz jej honoru – pozwoliła sobie na ironię. Z rozczarowaniem pokręciła głową. – Ojoj, słodka paniusiu, podobno miałaś być superbystra. Myślisz, że Dylan w ogóle na tobie zależy? Myślisz, że coś dla niej znaczysz? Ty nawet jej nie znasz. Jesteś nikim. Do jutra o tobie zapomni, ty durna, śmierdząca dziuro.

– Jeśli nie wyjdiesz – zaciskałam pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w skórę – wyprowadzę cię stąd.

– No proszę, jaka silna lesba. – Zadie gwizdnęła i pochyliła się, przysuwając aparat do mojej twarzy. – To twoje? Ty nosisz te majtki? Podobają mi się. Są sexy.

– Ty pieprzona suko...

– Przestań! – krzyknęła nagle Dylan z drugiego końca pokoju. Była całkiem ubrana i właśnie wsuwała stopy w buty. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. – Proszę, przestań.

– Co ty robisz, Dylan? – Mój głos załamał się jak u spanikowanego dziecka. – Dokąd idziesz? Nie musisz iść. Zadie właśnie wychodzi.

– O tak, słoneczko – oświadczyła Zadie ze złośliwym uśmiechem. Dylan ospale wlokła się w stronę drzwi. – Wychodzę. A twoja dziewczyna idzie ze mną.

Jakoś udało mi się wrócić do szkoły. Chciałam odnaleźć Dylan, zanim zapomni, co do siebie czułyśmy. Nie pamiętałam, jak wyszłam z domu. Następną rzeczą, z której zdałam sobie sprawę, było to, że siedzę na zajęciach z angielskiego. Liv stała na przodzie klasy i coś mówiła. Widziałam, że jej usta się poruszają. Słowa docierały do mnie stłumione.

Zorientowałam się, że mówi do mnie, dopiero gdy zobaczyłam, że wszyscy się na mnie gapią.

– Amelio? Wiem, że znasz odpowiedź na to pytanie. Oświeć, proszę, resztę klasy.

Popatrzyłam w stronę, z której dobiegał jej głos. Czułam się tak, jakby moją głowę wypełniał mokry piasek, jakby moja głowa w każdej chwili mogła oderwać się od ciała i głucho uderzyć o podłogę.

– Amelio? Wszystko w porządku? – W głosie Liv brzmiała troska. – Nie wyglądasz za dobrze.

W końcu udało mi się skupić na niej wzrok. Wtedy do oczu napłynęły mi łzy. Liv wciąż się we mnie wpatrywała, gdy zadzwonił dzwonek i wszyscy oprócz mnie rzucili się do wyjścia – strumień postaci, kolorów i dźwięków. Nie byłam w stanie się poruszyć.

Siedziałam i rozpamiętywałam to raz za razem: Dylan powłócząca nogami jak jakieś zombi, gdy

wychodziła z mojego domu. Nie odwróciła się nawet, by się pożegnać. I jeszcze Zadie z tą swoją miną, kurewsko zadowolona z siebie. Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała.

– Nie powinnaś pójść do higienistki, Amelio? – W klasie było pusto, Liv stała teraz przy mojej ławce. Wyglądała na spanikowaną. – Jesteś blada jak ściana. Mogę cię zaprowadzić.

Spróbowałam pokręcić głową, ale nawet nie drgnęła.

– No dobrze – stwierdziła Liv bez przekonania. – Ale coś się stało. Widzę to. Chcesz o tym porozmawiać?

Czy chciałam o tym porozmawiać? Czy chciałam powiedzieć mojej miłej nauczycielce angielskiego, że pierwsza dziewczyna, którą pokochałam, właśnie rozplatała mi pierś i wydarła serce?

– Dostałam okres – mruknęłam. – Mam skurcze.

– Och – westchnęła Liv zakłopotana, że tak naciskała, by wydobyć ze mnie szczegóły. – Dasz radę zajrzeć do gabinetu pana Woodhouse’a? Prosił mnie, żebym poszła cię do niego po zajęciach. Ale jeśli nie czujesz się dobrze...

– Nie, w porządku – odparłam, bo to było coś, co mogłam zrobić, miejsce, dokąd mogłam pójść. Kierunek, w którym mogłam podążyć. Chyba jakaś maleńka cząstka mnie miała nadzieję, że Woodhouse zrobi coś, by Zadie zniknęła. – Mogę iść.

Siedziałam w gabinecie Woodhouse’a, czekając, aż skończy rozmawiać przez telefon. Widziałam swoje uda na siedzisku krzesła, ręce na podłokietnikach. Żadnej z tych części ciała nie czułam. W ogóle nic nie czułam.

– Przepraszam – powiedział dyrektor, gdy się rozłączył. Pokręcił głową. – Absolwentki potrafią być strasznie natrętne. Nie stań się taka za parę lat. To... cóż, nieważne. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek taka była.

Gapiałam się na niego. Nie byłam nawet w stanie udawać, że robię cokolwiek innego.

– Nic ci nie jest, Amelio?

Załatw to, krzyczałam w duchu. Wyrzuć ją ze szkoły. Każ ją aresztować.

– Boli mnie głowa. Mam migrenę.

– Och, w takim razie nie będę cię zatrzymywał.

Sięgnął po kopertę leżącą na jego biurku i podał mi ją. Wpatrywałam się w nią.

– To twoje – zapewnił szybko. – Otwórz ją.

Wpatrywałam się w nią jeszcze przez chwilę, nim wreszcie wyciągnęłam rękę. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Czułam wagę koperty w ręce, widziałam Woodhouse’a patrzącego na mnie, jakby właśnie dał mi prezent. Byłam pewna, że w środku znajdę wielkie lśniące zdjęcie: ja i Dylan leżymy przytulone.

– No dalej, już wiem, co jest w środku. Dzwonili do mnie – powiedział Woodhouse. Mówił to lekko rozbawionym tonem. – Otwórz.

Moje palce poruszały się niezdarnie. Rozerwałam kopertę zaadresowaną do mnie na adres szkoły. W środku był zwykły papier, żadnych lśniących zdjęć. Wciągnęłam powietrze i wyjęłam list. Mój wzrok padł na drugi akapit. *Niniejsza grupa pokryje koszt udziału w konferencji. Fragment Pani utworu Dziś, jestem zostanie opublikowany w okolicznościowej antologii.*

– Liv ma wyrzuty sumienia, bo wysłała twoją pracę mimo twoich obiekcji – wyjaśnił Woodhouse. – Nie chciała wywierać na ciebie presji, żebyś to przyjęła, więc postanowiła, że sam ci to przekażę.

– Och! – wyrwało mi się. Wpatrywałam się w list, próbując przetworzyć informację, że dostałam właśnie jakieś stypendium, o które nawet się nie ubiegałam.

Reszta mojego życia stała się wielką górą gówna. Dlatego informacja o stypendium trochę mnie ucieszyła. Nie byłam bardzo szczęśliwa, za to chyba mniej martwa. To było jak przypomnienie, że istniałam, zanim usłyszałam o Srokach albo o Dylan.

– Powinnaś to uczcić. Jesteś pierwszą laureatką Mittlebranch w historii Grace Hall. To najlepsze świadectwo twojego talentu, Amelio. Naprawdę – ekscytował się Woodhouse. Potem westchnął, jakby był bardzo zmęczony. – Amelio, przyznanie stypendium zależy od tego, czy napiszę dla ciebie rekomendację. Aby móc to zrobić z czystym sumieniem, muszę wiedzieć, że nie jesteś Sroką. Że odeszłaś z tego klubu. Będziesz mi też musiała podać nazwiska innych dziewczyn, które do niego należą. Na wiele rzeczy patrzyłem przez palce, Amelio. W ciągu ostatnich trzech tygodni co najmniej pięć razy bez pozwolenia opuściłaś teren szkoły. Nie mogę napisać tej rekomendacji, jeśli mi nie pomożesz. Teraz.

– Szantażuje mnie pan?

– Amelio, wiesz, że nie to miałem na myśli. – Woodhouse zmarszczył brwi. – Te dziewczyny zrobią komuś krzywdę. Wiem, że tak będzie. Może nie tobie, może jeszcze nie teraz, ale wiem, że to w końcu nastąpi. Prośba, żebyś zrobiła to, co słuszne, nie jest szantażem. Jeśli podasz mi ich nazwiska, być może będę w stanie ochronić je przed nimi samymi.

– Co się stanie, gdy się dowiedzą, że to ja je wydałam? Co wtedy?

Nie ma mowy, bym cokolwiek powiedziała Woodhouse'owi. Nie teraz, gdy Zadie ma film z Dylan i ze mną.

– To się nie stanie, Amelio. Obiecuję.

– No jasne. – Wstałam. – Mogę już iść?

– Tak, Amelio, możesz iść.

Wydawał się okropnie rozczarowany. Niemal smutny.

– Ale pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Te dziewczyny nie są warte twojej przyszłości.

17 PAŹDZIERNIKA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Hej, ludzie!

No więc Dylan Crosby naprawdę się zakochała. Tak głosi plotka. W kim się zakochała to inne pytanie. Wiem, wszyscy mieliśmy nadzieję, że wybrańcem okaże się pan Woodhouse. Też myślę, że on zasługuje na młody, seksowny, gorący towarek. Niestety...

Grupa z ostatniej klasy – członkowie Devonkill, jak mówią moje źródła – wczoraj w nocy została odebrana przez rodziców z Siedemdziesiątego Ósmego Posterunku. Wygląda na to, że przy niewłaściwej ulicy pomylili czyjś dom z nocnym klubem. Dajcie spokój, ludzie, każdy wie, że nie robi się melanżu przy Montgomery Place. To najporządniejsze miejsce w całej okolicy. John Turturro nie ścierpi jakichś ludzi przesiadujących na werandzie.

Na szczęście dla tych idiotów tatuś jednego z nich jest radnym. Więc szybciej, niż trwa wypowiedzenie „wydalony ze szkoły”, wszyscy zostali wypuszczeni. Jedna dziewczyna dostała szlaban i przeleciały koło nosa siedemnaste urodziny w Standard Hotel. Nie martw się, słoneczko, słyszałam, że tam nie można nosić diademu.

Wciąż dzieli nas kilka miesięcy od chwili, gdy uczelnie zaczną rozsyłać pierwsze decyzje, ale Zadie Goodwin wydaje się naprawdę przekonana, że przyjmą ją przed terminem. Dlaczego? Coś mi się wydaje, że jej ojczym poważnie komuś posmarował. Z drugiej strony... Może ona sama smaruje, i to na kolanach.

Kate

23 LIPCA 1997

Trzeci dzień z rzędu zadzwoniłam do pracy i powiedziałam, że jestem chora. Obiecałam sobie, że to ostatni raz. Jutro tam wrócę. Chyba byłoby głupio zniszczyć sobie całe życie tylko dlatego, że spieprzyłam jedną jego część.

Wczoraj wieczorem postanowiłam pójść do baru, by utopić smutki. Wypiłam dużo piwa. A ja przecież nie piję piwa. Ale to właśnie pił Rowan. Chcecie wiedzieć, kto to jest Rowan? Jest superprzystojnym facetem, z którym przegadałam całą noc o jego pasji – uczeniu. I mojej – pomaganiu ludziom jako prawniczka. Wtedy sobie przypomniałam, że po to przecież poszłam na prawo: żeby pomagać ludziom. Chciałam być obrońcą z urzędu albo pomagać bezdomnym. Zamiast tego wyłądownałam w Slone, Thayer, jaskini korporacyjnej pazerności.

Winię za to Gretchen. Najgorsze jest to, że świetnie się tam wpasowałam. Uwielbiają mnie. Za to też winię Gretchen.

Rowan nigdy by się tam nie wpasował. Jest zabawny, bystry i ma zasady. Do tego świetną krzaczastą brodę i najcieplejsze oczy na świecie. Czułam się tak, jakbym znała go przez całe życie, i to jeszcze przed trzecim piwem. Bo po trzecim byłam dość mocno pijana.

Zanim wyskoczył z tym, że wyjeżdża do Afryki budować szkoły, uczyć całe wioski czytać i pewnie w wolnym czasie uzdatniać im wodę, zdążyłam się w nim kompletnie zadurzyć.

Wymieniliśmy się adresami mailowymi. Ale dajcie spokój, trzy lata? Po jednej nocy? Daję nam jakieś dwa e-maile.

Jedynym dobrym wyborem, jakiego dokonałam, było to, że się z nim nie przespałam. Dzięki temu nie powiem, że zaliczyłam kolejny nieudany romans. Za to pocałunek był niesamowity. I potrzebowałam tego. Właściwie byłam przekonana, że nigdy nie będę w stanie nikogo pocałować. Albo że nigdy nie będę w stanie nikogo pocałować i nie czuć się jak dziwka.

Kate

SLONE, THAYER

24 LIPCA 1997

Jeremy: Wszystko w porządku?

Kate: Nic mi nie jest.

Jeremy: Jesteś pewna? Nie było cię przez trzy dni.

Kate: Mam grypę. Nic mi nie jest.

Jeremy: Mogę cię usprawiedliwić. Nie musisz być na spotkaniu. Mam twoją notatkę.

Kate: Nie, przyjdę. Nic mi nie jest. Naprawdę.

SLONE, THAYER

25 LIPCA 1997

Daniel: Przychodzisz dziś wieczorem?

Kate: Nie

Daniel: Czemu? Chyba wiesz, że jako letnia stażystka robisz nie to, co powinnaś. Masz non stop imprezować na ich koszt, a nie odwalać za nich robotę.

Kate: Wiesz, że te firmowe czaty są monitorowane, tak?

Daniel: Slone, Thayer wie o tym równie dobrze jak ja. Przyjdź. Będzie piknik z cateringiem dla filharmoników w parku. Darmowy szampan. Potem całą ekipą idziemy w miasto.

Kate: OK, przyjdę.

Daniel: Serio?

Kate: Serio.

Kate

15 SIERPNI 1997, 04.18

Do: Kate Baron

Od: rowan627@aol.com

Temat: Przepraszam!

Katie! Właśnie zobaczyłem Twój mail! Wiem, że go wysłałaś jakieś dwa tygodnie temu. I tak się cieszę, że to zrobiłaś. Jak Ci minęło lato? Tak wiele o Tobie myślę, odkąd tu jestem. Naprawdę poczułem z Tobą więź, Katie. Nie mówiłem tak tylko. I mam nadzieję, że Twój e-mail oznacza, że czujesz to samo.

Wiadomość od jakiegoś wariata? Pewnie tak. Taki jest problem z mailami. Nie ma niczego, co by powstrzymało moją gadaninę... W każdym razie Ghana jest fajna. Dziwna, przerażająca, piękna. I chyba lubią, jak gram na gitarze, a to duży plus. Żałuję, że nie ma Cię tu ze mną i że tego nie widzisz. Wiem, że nawet się nie znamy. Ale i tak upieram się przy swoim.

W każdym razie pisz mi, co słychać w Stanach, a przede wszystkim u Ciebie. Zastanawiałaś się jeszcze, czy nie rzucić w cholerę tego korporacyjnego życia?... Jeśli tak, to zawsze przyda nam się tutaj kolejna para rąk do pracy. Przez następnych parę tygodni będę miał dostęp do internetu, ale potem, przez sześć miesięcy, będę poza zasięgiem, z tego, co wiem. Sześć miesięcy. Sześć miesięcy, a znaliśmy się tylko przez jakieś sześć godzin.

A z drugiej strony, jeśli coś ma się udać, to zwykle się udaje.

Każdy ma jakieś światło przewodnie. Światło, które prowadzi go do domu.

Pokój z Tobą

Rowan

Kate

28 LISTOPADA

Dziewczyna. Amelia kochała dziewczynę. Gdy Lew podrzucił Kate do domu, usiadła w płaszczu na kanapie w dużym pokoju. Wciąż i wciąż powtarzała sobie te słowa. Moja córka kochała dziewczynę. Moja córka kochała dziewczynę. Jej brak zainteresowania chłopakami nie wynikał z późnego dojrzewania; zamarł w zarodku.

Kate nie zdenerwowało to, że Amelia jest lesbijką. Czowała się zraniona i wstrząśnięta, bo nie miała o tym absolutnie żadnego pojęcia. Żadnego. Na pewno gdzieś głęboko w sercu to przeczuwałaś, powiedziałyby jej przyjaciółki, gdyby się dowiedziały. Bo w jakiś magiczny sposób matki miały rzekomo wiedzieć każdą ważną rzecz o swoich dzieciach. Kate od początku się zamartwiała, że brak jej tej matczynej intuicji. I zawsze wierzyła, że autentyczna bliskość z Amelią przewycięży wszelkie braki. Bardzo się myliła. Teraz to było oczywiste.

Nagle wszystkie te karteczki z napisem „Nienawidzę cię” nabrały jeszcze bardziej złowieszczonego znaczenia. Czy to temu sprzeciwiła się grupa „Ciągnie swój do swego”? Że Amelia była lesbijką? Wydawało się dość naciągane, że bycie lesbijką będzie takim strasznym przestępstwem dla grupy nastolatek z tak postępowej okolicy jak Park Slope. Może jednak prawdziwym problemem był romans dwóch dziewczyn należących do klubu. Bo Dylan też była na tej liście. Po wyjściu z gabinetu Liv Lew pokazał Kate jej nazwisko. Kate potrzebowała całej siły woli, by zaraz po przyjściu do domu nie pobiec prosto do komputera i nie obejrzeć zdjęć Dylan z „Ciągnie swój do swego”. Jednak oglądanie dziewczyny jej córki, jak pozuje nago przed kamerą, to było więcej, niż byłaby w stanie znieść. Wiedziała o tym.

Zamiast tego wygrzebała telefon z torebki i napisała wiadomość do Setha.

KATE

Amelia była lesbijką.

Oddzwonił, nim minęła minuta. Kate wiedziała, że to zrobi.

- Jak to była lesbijką? – to były pierwsze słowa, które padły z jego ust.
- Właśnie się dowiedziałam, że miała dziewczynę.
- Hmm. – Nastąpiła długa chwila milczenia. Kate czekała, aż Seth powie coś jeszcze.
- Hmm? I to wszystko? – warknęła. – Nic więcej nie powiesz? Wiedziałeś o tym?
- Skąd miałbym wiedzieć? – spytał Seth defensywnym tonem. – Przecież nie emitujemy wszyscy na jakiejś tajnej częstotliwości, którą słyszą tylko inni geje.

– Nie wydajesz się jakoś bardzo zaskoczony.

Seth głośno wciągnął powietrze.

– Myślałem, że może Amelia próbuje przepracować parę rzeczy. Była przepiękna, była nastolatką...

Żadnego chłopaka na horyzoncie? Od tego zapaliło mi się parę lampek. Ale na pewno nic z tych rzeczy ci nie umknęło.

Tyle tylko, że jej umknęło, kompletnie i całkowicie.

– Dlaczego mi nie powiedziała? – spytała Kate. Jej głos był piskliwy, ochrypły. – Byłyśmy ze sobą blisko. Dlaczego nie pomyślała, że może przyjść z tym do mnie?

– Posłuchaj, moi rodzice to wspaniali ludzie. Kochają mnie bezwarunkowo i też zawsze byliśmy blisko. Wiedziałem, że to, co czuję do innych chłopaków, nigdy tego nie zmieni. Wiesz, ile to trwało, nim się przyznałem, nawet przed samym sobą. To ja nie byłem gotowy. Do tego to się sprowadzało. To nie miało nic wspólnego z moimi rodzicami.

– Dlaczego czuję się tak okropnie?

– Zobacz, Lola ma dopiero pięć lat, ale nawet ja wiem, że przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu bycie rodzicem jest okropne. Widzę, że pozostałe pięć procent ratuje ludzkość przed wymarciem. Cztery części paraliżującej zgrozy, jedna część doskonałości. To jak szprycować się heroiną. Raz posmakujesz życia na krawędzi i jesteś uzależniona.

– No tak, świetnie. Od tego, co mówisz, nie czuję się lepiej.

– Byłaś dobrą matką, Kate. – Seth spoważniał. – Kochałaś Amelię, a ona kochała ciebie. Robiłaś, co mogłaś najlepszego. Ciągłe się starałaś i starałaś. Zakończenie tego wszystkiego jest wielką niewiadomą. Można jedynie być wdzięcznym za każdą chwilę, kiedy to wszystko nie zamienia się w gówno.

– A kiedy się zamienia?

– Znajdujesz sobie dobrego przyjaciela z wielkim ramieniem, na którym możesz się wypłakać. Zaraz przyjadę, jeśli chcesz. Raczej nie powinnaś być sama.

– Nie, nie – zaprotestowała Kate. Nie miała ochoty udawać, że poprawił jej samopoczucie. – Dzięki. Chyba wezmę kąpiel.

– Świetny pomysł – pochwalił Seth, choć nie minęło południe. – Tylko żadnej ckliwej muzyki, świec ani niczego w tym stylu, dobrze? Nie chcę, żebyś spaliła sobie dom.

– Żadnych świec, zwawa muzyczka. Tak zrobię.

Ruszyła na górę do łazienki. W tej samej chwili zadzwonił telefon stacjonarny. Zawróciła i zeszła na dół, by odebrać. Myślała, że to Lew. Musiał wrócić na posterunek, żeby sporządzić raport ze śledztwa. Chciał, by tym razem postawiono kropkę nad każdym i. Na wyświetlaczu zobaczyła nowojorski numer komórkowy, którego nie znała.

– Halo? – odebrała. Jej głos brzmiał ochryple, jakby spała, płakała albo jedno i drugie.

– Pani Baron? – spytał ostrożnie mężczyzna po drugiej stronie. – Dzwonię nie w porę?

– To zależy. Z kim rozmawiam?

– Ach, właśnie. Pomogłoby, gdybym się przedstawił. – Wydawał się zdenerwowany. – Tu Phillip Woodhouse, dyrektor Grace Hall. Przykro mi, że mnie pani nie zastała, jestem na konferencji prywatnych szkół w Bostonie.

– Tak, pani Pearl nam powiedziała. Dobrze się pan bawi?

Słyszała, że brzmi jak sarkastyczna suka. Ale po tych niestosownych mailach i roli, jaką odegrał w zatuszowaniu istnienia tego chorego klubu, do którego należała Amelia, Phillip Woodhouse nie zasługiwał na uprzejmość. Powinien uważać się za szczęściarza, że Kate na niego nie wrzeszczy.

– Mmm... no cóż... Nie, nieszczególnie. – Wydawał się zdezorientowany. – W każdym razie chciałem się upewnić, że dostała pani wszystko, czego pani potrzebowała.

– No cóż, zobaczymy. Moja córka należała w Grace Hall do jakiegoś klubu, który zmuszał ją do robienia sobie póżnagich zdjęć i publikowania ich w sieci. Ta sama grupa w końcu zwróciła się przeciwko niej i wysyłała jej wrogie SMS-y. Najwyraźniej Grace Hall o tym wszystkim wiedziało. Tylko nikt nie chce mi nic powiedzieć z powodu zasad wprowadzonych przez szkołę. Pańską szkołę, panie Woodhouse – mówiła drżącym, podniesionym głosem. – A więc nie, nie dostałam wszystkiego, czego potrzebowałam. Na pewno pan o tym wie. Całkiem zgrabnie pan to rozegrał, panie Woodhouse.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Potrafię sobie wyobrazić pani frustrację, pani Baron, ale...

– Moją frustrację?! – krzyknęła Kate. – Moja córka nie żyje, panie Woodhouse. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Proszę mi wierzyć, człowiek nie czuje frustracji, gdy jego jedyne dziecko zostanie zabite.

– Zabite?

– Tak, zabite – powtórzyła Kate. – Bo Amelia nie skoczyła. Wiemy, że nie skoczyła. Nawiasem mówiąc, mam na myśli siebie i policję. Teraz to tylko kwestia dowiedzenia się, który z pańskich uczniów albo pracowników ją pchnął.

– Cóż, to... Nie wiedziałem, że pojawiły się nowe informacje. – W jego głosie brzmiał autentyczny smutek. A może po prostu dobrze udawał. – Chciałbym, żeby zmieniało to zakres tego, o czym wolno mi z panią rozmawiać. Ale bez względu na to, co osobiście czuję, nie mogę pani powiedzieć nic o tym blogu ani o czymkolwiek, co się z tym wiąże. Zabrania mi tego umowa. Zapewniam panią: nikt nie jest tym bardziej wstrząśnięty niż ja.

– A ja?! – wrzasnęła Kate tak głośno, że aż zapiekło ją gardło. Musiała się uspokoić. Musiała wziąć się w garść choć na tyle, by uzyskać odpowiedzi przynajmniej na niektóre pytania. – Umowa nie zabrania chyba panu utrzymywania związku z uczennicą?

– Związku? Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi.

– Widziałam te maile, które wysyłał pan Amelii, panie Woodhouse. Wszystkie – dodała. – Nie wiem, co się panu wydawało, ale o wszystkim wiem. I jeśli nie powie pan mi tego, co chcę wiedzieć o tej grupie dziewczyn, upublicznję te maile, które wysyłał pan mojej córce, jako dowód, że molestował ją

pan seksualnie.

– Że ją molestowałem? – Woodhouse był oszołomiony. – O czym pani mówi? Nigdy nie molestowałem Amelii. Może pod koniec zbyt mocno na nią naciskałem i żałuję tego, ale próbowałem jej pomóc.

– Tak to się teraz nazywa? Te specjalne korepetycje po zajęciach, o których mówi się dziewczynom takim jak Amelia, że powinny to zachować w tajemnicy?

Kate nie była nawet pewna, czy wierzy w to, co mówi. Miała to gdzieś. Zamierzała użyć całej amunicji, jaką posiadała, by uzyskać odpowiedzi.

– Pani Baron, ma pani prawo, by się denerwować, ale nie czyniłem Amelii żadnych niestosownych awansów. – W jego głosie brzmiała teraz rozpacz. – Była obiecującą, wyjątkową uczennicą i próbowałem ją zatrzymać na dobrej drodze. Wolałbym, by nie wyjmowała pani moich maili z kontekstu. Z pewnością ma pani rację co do tego, jak będą postrzegane, jeśli je pani upubliczni. Przysięgam pani, że stoimy po tej samej stronie. Gdyby tylko okazała pani trochę cierpliwości. Pracuję nad przeprowadzeniem...

– Skończyła mi się cierpliwość, panie Woodhouse – odparła spokojnie Kate. – Ma pan dwadzieścia cztery godziny, by powiedzieć mi wszystko o tym klubie, do którego należała Amelia, albo prześlę pańskie maile każdemu rodzicowi z Grace Hall. Jeśli to nie zadziała, wytoczę panu sprawę cywilną. Może nawet karną. Jestem współniczką w dużej kancelarii adwokackiej, mam dość środków i mnóstwo czasu. Więc to nie jest groźba, panie Woodhouse, to obietnica.

Kate rozłączyła się, zanim Woodhouse zdążył cokolwiek powiedzieć. Bez tchu wpatrywała się w słuchawkę trzymaną w dłoni. Nigdy w życiu nie groziła nikomu w ten sposób. A już na pewno nie wykorzystwała tak swojej pozycji w Slone, Thayer. Tak naprawdę nie miała żadnych dowodów, że Woodhouse molestował Amelię. Maile były dość sugestywne, ale nikt nie doszukałby się w nich niczego niestosownego. Kate nie znalazła też żadnej wzmianki o Woodhousie w innych wiadomościach, które przeglądała. Nawet w rozmowach Amelii z Benem. Lew sprawdził przeszłość Woodhouse'a – była nieskazitelna.

Oczywiście to nie był dowód, że tym razem czegoś nie zrobił. Kate zostało do przejrzania jeszcze wiele SMS-ów. Nie skończyła nawet czytać tych wymienianych przez Amelię i Bena. Mimo wszystko miała wątpliwości. Pozostawało jej liczyć na to, że Woodhouse się zreflektuje, zanim będzie musiała zrealizować swoją groźbę.

Wciąż trzymała słuchawkę telefonu stacjonarnego, gdy zadzwoniła jej komórka. To musi być Lew, pomyślała, podbiegając. Dzwonił jednak Jeremy. Nigdy nie dzwonił do niej na komórkę, chyba że w pracy zdarzyła się sytuacja kryzysowa.

– Wszystko w porządku? – spytała, nie przywitawszy się.

– Tak, tak, absolutnie – odparł Jeremy, siląc się na swój zwykły pogodny ton. W jego głosie wychwyciła jakieś napięcie.

– Chodzi o Victora? – spytała Kate. – Nie musisz mnie oszczędzać. Poradzę sobie z tym.

Nie znaczyło to, że pobiegłaby z powrotem do pracy. Te dni, gdy przedkładała pracę nad Amelię, już się skończyły.

– Złości się, że jestem nieosiągalna? Trudno powiedzieć, żebym była zaskoczona. Może naprawdę powinieneś dać tę sprawę Danielowi. Szczerze mówiąc, myślę...

– Nie, nie powinienem – przerwał jej rzeczowo Jeremy. – I nie dzwonię w sprawie Associated. Coś się stało, coś osobistego.

– Osobistego dla kogo?

– Dla nas.

– Jak to dla... – Gdy Kate wypowiadała te słowa, jej brzuch zmienił się w ziejącą pustką dziurę. – Och.

Tak mocno wyparła to wspomnienie, że czasami w ogóle przestawało istnieć. Prawie. Ona i Jeremy nigdy potem o tym nie rozmawiali. Wieloletnie milczenie zatarło ślady tego, co się wydarzyło. Aż do teraz.

– Okropny moment, wiem – powiedział Jeremy z nietypową dla niego, więc niepokojącą troską w głosie. – Ale po prostu nie mogę... uważam, że musisz wiedzieć.

– O czym wiedzieć? – Kate poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy. Moglibyśmy spotkać się na drinka gdzieś blisko ciebie koło szóstej?

– Jeremy, wolałabym, żebyś powiedział mi od razu. Nie wiem, czy zniosę czekanie na kolejne złe wieści.

– Wiem, Kate. I przepraszam. – Jego głos był ponury, niemal nie do poznania. To właśnie ten ton bardziej niż cokolwiek innego sprawił, że Kate przestała protestować. – Naprawdę myślę, że tak będzie najlepiej.

– Dobrze. Spotkajmy się w Thostle Tavern o szóstej.

– W porządku. Do zobaczenia – powiedział. – I Kate... przepraszam.

– Za co?

– Za wszystko.

Nim Lew wrócił, minęła trzecia. Późnym popołudniem on i Kate wchodzili po schodach prowadzących do drzwi domu Dylan.

– Na pewno da pani radę? – zapytał Lew, zatrzymując się w połowie drogi. – Bo im bardziej zbliżamy się do ludzi, którzy naprawdę maczali palce w tym, co się stało Amelii, tym bardziej będą się przejmować chronieniem samych siebie. Pani uczucia ich nie obchodzą.

Kate usiłowała zapanować nad wyrazem twarzy.

– Wiem – odparła. – Dam radę. Obiecuję.

Oczywiście prawdziwa odpowiedź brzmiała „nie”. Nie, nic nie będzie w porządku. Nic nie jest w porządku. Przeczytała wszystkie SMS-y wymieniane między Dylan a Amelią. Wiedziała, że jej córka kochała tę dziewczynę i rozpaczliwie pragnęła zatrzymać ją przy sobie. Że Dylan złamała Amelii serce, choć te fragmenty, które Kate udało się zebrać, nie wyjaśniały dlaczego.

Lew patrzył na nią surowo, czekając, aż się załamie. Gdy to nie nastąpiło, sapnął z rozdrażnieniem i odwrócił się, by nacisnąć dzwonek.

Otworzyła im atrakcyjna kobieta o wysokich kościach policzkowych i długich kasztanowych włosach. Starsza od Kate, bo sporo po czterdziestce, lecz niesamowicie zadbana. Wydawała się też znajoma, choć Kate nie potrafiła z niczym jej skojarzyć.

– W czym mogę pomóc? – spytała z szerokim i sztywnym uśmiechem.

Lew machnął odznaką, co sprawiło, że usztywniła się jeszcze bardziej.

– Jestem porucznik Lewis Thompson, a to Kate Baron. Chcielibyśmy zadać pani córce kilka pytań o uczennicę, która kilka tygodni temu zginęła w Grace Hall. Amelia Baron. Kate to jej matka.

– O Boże – powiedziała kobieta z głębokim, dramatycznym westchnieniem, po czym wyciągnęła ręce, chwyciła Kate za ramiona i przyciągnęła ją do siebie. – Cóż za potworna tragedia. Brak mi słów, naprawdę. Proszę, wejdźcie państwo, wejdźcie. Jestem Celeste, matka Dylan.

W mieszkaniu dominowało ciemne polerowane drewno, bogato zdobione wiktoriańskie meble i ciężkie brokaty. Wszelkie oryginalne elementy domu pozostały nietknięte, między innymi drzwi chowane w ścianie, witraże, plafony. W oczy rzucało się mnóstwo bibelotów: kolekcja tabakier w gablotce, małe wazy, stare malowidła w ciężkich ramach pokrywające każdy kawałek ścian. Wszystko ładnie zaaranżowane, mimo to przytłaczające ilością.

Wciąż stali w holu, który wydawał się klaustrofobiczny z powodu masywnego wieszaka na płaszcze i niezwykle wysokiej szafy z lustrem. Celeste, która puściła ręce Kate równie nagle, jak je ujęła, wydawała się nie mieć najmniejszego zamiaru, by zaprosić ich dalej.

– Mówią państwo, że chcą porozmawiać z Dylan o Amelii? – Głos Celeste brzmiał dziwnie. Chodziło nie tyle o akcent, ile o przesadnie precyzyjną dykcję. – Cudowna dziewczyna. Że też można być tak bystrym i tak pięknym. I jeszcze te wyjątkowe oczy. Po prostu niezwykle. Naprawdę. Mówiłam jej, że powinna zostać aktorką. Była do tego stworzona. Wiem coś o tym, sama jestem aktorką – dodała z przesadną skromnością. – Może widzieliście mnie państwo w *Prawie i porządku*? Regularnie występuję w tym serialu. Gram prawniczkę.

– Rzadko oglądam telewizję – odparła Kate, próbując przełknąć to, że ta obca kobieta mówi o jej córce, jakby były bliskimi przyjaciółkami.

– Och, rozumiem. Jakie to niezwykle – stwierdziła Celeste, jakby Kate właśnie się przyznała, że należy do jakiejś dziwnej sekty. Znowu uśmiechnęła się szeroko. – No cóż, w takim razie pewnie mnie pani nie widziała.

– Znała pani dobrze Amelię? – spytała Kate.

Szykowała się na wiadomość, że Amelia podzieliła się szczegółami swojego seksualnego przebudzenia z matką swojej dziewczyny.

– Była przyjaciółką Dylan, naturalnie. To dlatego państwo tu są, prawda? Nie mogę powiedzieć, że ją znałam. – Celeste machnęła ręką. – Spotkałam ją tylko raz.

– Sądzymy, że pani córka może mieć pewne istotne informacje dotyczące śmierci Amelii – odezwał się Lew, próbując sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

Celeste dotknęła ręką karku.

– Myślałam... nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż trwa śledztwo.

– Zawsze można potwierdzić fakty – odparł wymijająco i ostrożnie Lewis. Może podejrzewał, że Dylan była bardziej zaangażowana w to, co się stało, niż przyznawał nawet przed Kate. – Czy pani córka jest w domu? Obiecuję się streszczać.

Celeste popatrzyła na Kate, potem na Lewisa, jakby kalkulowała linię najmniejszego oporu.

– Oczywiście – powiedziała w końcu z kolejnym sztucznym uśmiechem. – Pójdę po nią.

Minutę później zobaczyli ją schodzącą po schodach. Dylan szła za nią. Była piękną dziewczyną z grzywą dzikich włosów, kasztanowych jak u jej matki, i wspaniałymi, raczej dojrzałymi rysami twarzy. Była też wysoka i smukła, prezentowała się świetnie nawet w pociętych chłopięcych dżinsach i białym T-shircie. Oto ona: dziewczyna, która złamała Amelii serce. Kto ci dał takie prawo? – pomyślała Kate. Nie ma mowy, żebyś na nią zasługiwała. Kate cieszyła się, że obiecała milczeć. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co mogłaby powiedzieć.

– Witaj, Dylan. Jestem porucznik Lewis Thompson – zaczął, po czym zwrócił się do Celeste i wskazał w stronę zagraconego salonu. – Moglibyśmy usiąść?

– Ależ proszę – odparła Celeste z wytwornym gestem. – Czujcie się państwo jak u siebie.

Dylan powlokła się za nimi i usiadła sztywno obok matki na skraju kanapy z tuftowanym obiciem. Nie nawiązała z nikim kontaktu wzrokowego, mowa jej ciała dowodziła, że jest spięta i zamknięta w sobie. Może była zdenerwowana, ale Kate odniosła wrażenie, że kryje się w tym coś więcej.

– Dylan, pewne rzeczy, o które muszę cię zapytać, są dość delikatnej natury. – Lew mówił lekkim tonem, jakby zwracał się do dziewczynki o wiele młodszej od Dylan. – Potrzebujesz może chwili, by opowiedzieć mamie o grupie „Ciągnie swój do swego”?

Kate wypatrywała oznak troski na twarzy Celeste. Ta jednak uśmiechnęła się swobodnie.

– Och, proszę się nie martwić. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic – oświadczyła.

– Jako rodzice wszyscy chcielibyśmy tak myśleć – zaczął łagodnie Lew. – Ale w tej konkretnej sytuacji...

– Wiem o tych zdjęciach, jeśli o to chodzi – stwierdziła Celeste.

– Wie pani? – spytała Kate z niedowierzaniem.

Celeste powinna była powiedzieć coś dyrektorowi szkoły, innym rodzicom, komukolwiek. Jeśli nie ze

względu na własną córkę, to chociaż na inne dziewczyny. Co z niej za matka?

– Nie cieszy mnie to, że Dylan brała w tym udział, ale nie wierzę w nadopiekuńczość. Moja córka ma prawo dokonywać własnych wyborów, również tych nie najlepszych.

Wtedy Dylan oparła głowę o ramię matki, która od razu objęła ją ramieniem. Mógł to być słodki gest wyrażający miłość matki i dziecka, gdyby nie był taki żenująco dziecinny. Gdy Celeste głaskała włosy córki, wyglądało to, jakby pocieszała przytłoczone czymś małe dziecko.

– W takim razie przejdźmy od razu do sprawy. A więc należysz do tej grupy „Ciągnie swój do swego”, Dylan?

Dylan spojrzała na mamę, która kiwnęła głową na znak, by odpowiedziała na pytanie.

– Tak – odparła drętwą. – Sroki, tak się nazywają.

Sroki. Sroka #1, Sroka #2. Z pewnością były to ksywy dziewczyn z grupy „Ciągnie swój do swego”.

– To jakiś klub?

Dylan kiwnęła głową. Patrzyła na podłogę i raz za razem obciągała rękawy i z powrotem je podwijała.

– Tajny klub – powiedziała, nie podnosząc wzroku. Teraz na przemian splatała i rozplatała palce. – Z tajnymi zaproszeniami, tajnymi zasadami i tajnymi tajemnicami.

– Kluby mają długą historię w Grace Hall, sięgającą czasów na długo przed tym, gdy ja się tam uczyłam – wtrąciła gładko Celeste. – Też chodziłam do Grace Hall, tak jak Dylan. Właściwie pomysł tworzenia klubów jest dość uroczy. Wiecie państwo... koleżeństwo, siostrzana więź. Zakazano ich z powodu pewnego incydentu, który miał miejsce tuż przed tym, zanim zaczęłam chodzić do wyższych klas. Bez wątpienia tragedia, ale też odosobniony przypadek. Wszyscy uczniowie, którzy później chodzili do szkoły, w tym również i ja, ucierpieli na tym, że wydano obowiązujący wszystkich zakaz.

Kate widziała, że twarz Lewisa tężeje. Celeste działała mu na nerwy. Może chodziło o jej wymuskany styl albo o to, że zdawała się kompletnie nieświadoma, co ryzykowały dziewczyny. Trudno stwierdzić, co gryzło go bardziej.

– I Amelia też była w tym klubie Srok? – spytał Lew, zmuszając się, by skupić uwagę na Dylan.

– Przez jakiś czas.

– Dość długo, by jej zdjęcia znalazły się w internecie.

Dylan wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Czemu miały służyć te zdjęcia?

– To była gra – powiedziała Dylan. Jej głos brzmiał mechanicznie. – Wygrywa ta, która dostanie najwięcej lajków.

– Gra? – powtórzyła Kate z niedowierzaniem. Nie była już w stanie dłużej milczeć. – Co wy, dziewczyny, mogłyście...

Oburzanie się na pewno nie sprawi, że Dylan stanie się bardziej rozmowna. Obraziłoby to również

Celeste, która dała jasno do zrozumienia, że według niej to wszystko było dobrą zabawą.

– Kto wymyślił tę grę? – zapytał Lew.

Dylan najpierw zacisnęła rękę na brzegu kanapy, a potem zaczęła bębnić palcami w szybkim, niemal wesołym rytmie, który kompletnie nie pasował do tej poważnej rozmowy.

W końcu pokręciła głową, wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam.

Było oczywiste, że kłamie, bo kogoś kryje.

– Co by się stało, gdyby ktoś odmówił udziału w tej grze?

– Nie wiem – mruknęła Dylan, patrząc na swoje buty. Nagle jej palce zamarły. – Nikt nigdy nie odmówił.

– Nawet Amelia? – drążył Lew.

Dylan pokręciła głową, poruszyła się niespokojnie na sofie.

– Ty i Amelia byliście blisko, prawda? – spytała Kate.

Nie powinna pytać o ich związek. Ustalili, że to należy do Lewisa. Ale to było dla niej zbyt wiele.

Dylan siedziała tu na wyciągnięcie ręki i znała wszystkie odpowiedzi.

Dziewczyna spojrzała na matkę, jakby chciała jej coś przekazać wzrokiem. Celeste położyła rękę na dłoni córki i ucisnęła ją.

– Dylan i Amelia blisko się przyjaźniły, jeśli o to pytasz, Kate – powiedziała spokojnie Celeste.

– To było coś więcej niż przyjaźń – rzuciła Kate, usiłując też zachować spokój.

Celeste teatralnie machnęła ręką.

– To nastolatki. To, co je łączy, jest efemeryczne, a granice są o wiele bardziej płynne, niż były kiedyś, w naszych czasach. Nie zgodzisz się ze mną? – Celeste czekała, aż Kate jej przytaknie. Nie doczekała się.

– Uważam, że nastolatki zwykle same nie rozumieją swoich związków, a tym bardziej, dlaczego te związki się kończą.

W oczach Celeste zapłonęło ostrzeżenie. Nie podobał jej się kierunek rozmowy i była gotowa twardo się bronić, naprawdę twardo, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Czytałam SMS-y Amelii – powiedziała Kate, zmuszając się, by nie zerwać się z miejsca. Pragnęła tylko podbiec, złapać Dylan i potrząsać nią, dopóki nie przyzna, co te dziewczyny zrobiły Amelii i dlaczego. – Szczerze mówiąc, nie było w tym nic niejasnego. Amelia była zakochana w Dylan.

Celeste uśmiechnęła się sztywno i skrzyżowała ręce.

– Poczekajcie państwo chwilę – powiedziała. – Po co dokładnie tu jesteście? Teraz, tyle tygodni później? Powiedziano nam, że Amelia ściągała i to doprowadziło do jej samobójstwa. Samobójstwo pod wpływem impulsu. Udzielono nam nawet instrukcji, na co powinniśmy uważać u własnych dzieci.

– Kto wam to powiedział? – spytała Kate.

– To było na zebraniu rodziców – odparła Celeste.

– Na zebraniu?

– Tuż po tym, jak Amelia... Zaraz po. Rodzice mieli pytania. Chcieli zrozumieć. Była tam szkolna psycholog i chyba jakiś niezależny ekspert. – Celeste spojrzała na Dylan, która zapadła się głębiej w sofę, jej palce znów zaczęły bębnić, tym razem jeszcze szybciej. – Przepraszam, ale moja córka ma... Takie sytuacje mogą być dla niej stresujące. – Popatrzyła na Lewisa i na Kate jakby poirytowana, że to, co im dała, nie wystarczyło. – Skoro muszą państwo wiedzieć, Dylan ma czasem trudności z radzeniem sobie w kontaktach społecznych. – Ścisnęła dłoń córki. – To łagodne zaburzenie, wyjątkowo łagodne. Szczerze mówiąc, uważam, że taka rozmowa byłaby stresująca dla każdego. Muszą państwo skończyć z tymi pytaniami, natychmiast.

Zaburzenie? Te wszystkie tiki, brak kontaktu wzrokowego, nieobecny wyraz twarzy... Kate nie wiedziała, o jakim zaburzeniu mówi Celeste, ale trudności z radzeniem sobie w kontaktach społecznych mogły wyjaśniać, dlaczego zachowanie Dylan było takie niezrozumiałe dla Amelii.

– Czy Amelia wiedziała? – Kate zwróciła się do Dylan. – O twoim zaburzeniu?

– Nawet Grace Hall o tym nie wie – Celeste odpowiedziała za córkę. – Wie o tym tylko bardzo wąska grupa zaufanych przyjaciół i rodzina. Nie chcieliśmy, żeby ktoś Dylan niepotrzebnie przyczepił jakąś etykietkę.

– Zadie wie – powiedziała Dylan jak jakiś robot. – Zadie wie wszystko.

Powiedziała to w taki sposób, że Kate dostała gęsiej skórki.

– Tak jak mówiłam, uważamy dolegliwość Dylan za prywatną sprawę rodziny. – Celeste wstała gwałtownie. Było jasne, że przez prywatną sprawę rozumie tajemnicę. Widocznie pożałowała swojej szczerości. – Staraliśmy się pomóc najlepiej, jak mogliśmy. Proszę, żeby uszanowali państwo naszą prywatność i nie wspominali o dolegliwości Dylan nikomu w Grace Hall. Ma szansę dostać się do college’u. Nie chciałybyśmy, żeby to skomplikowało sprawę.

– Tak, oczywiście – powiedziała cicho Kate.

Wciąż gapiła się na Dylan. Nie umiała oderwać od niej oczu. Kate była przekonana, że to Dylan jest wszystkiemu winna. Teraz nic nie mogła poradzić na to, że żałowała tej dziewczyny. Nie miała pojęcia, w jaki sposób Dylan żyje ze swoimi ograniczeniami, a już tym bardziej, jak się musi czuć, udając na życzenie matki, że ich nie ma. Kate przytłaczał potworny ciężar sekretów własnej córki. I to wystarczało, by złamać jej serce.

– A teraz, jeśli zechcieliby państwo... – zasugerowała Celeste, wskazując na drzwi.

– Jeszcze jedno – rzucił Lew. – Dylan, Amelię poproszono, żeby odeszła z klubu, prawda? –

Wyciągnął z kieszeni jedną z karteczek z napisem „Nienawidzę cię” i położył ją na stole.

Dylan spojrzała na karteczkę i kiwnęła głową, ale nie sięgnęła po nią.

– Za co ją wyrzucono?

Zapadła cisza. Wypełniła pokój, niemal rozsadzając szyby w oknach.

– Bo mnie lubiła i ja też ją lubiłam – wyszeptała w końcu Dylan wciąż wpatrzona w karteczkę.

Spojrzała na Kate załzawionymi oczami. – Ale Zadie zaprosiła Amelię do klubu z twojego powodu.

Po opuszczeniu domu Dylan minęli w milczeniu kilka przecznic. Kate była w szoku. Nie pomagało też to, że teraz nasuwało się jej jeszcze więcej pytań. Celeste zabrała Dylan, zanim udało im się wyciągnąć z niej wyjaśnienie, jak Kate mogła być powodem, dla którego Amelia została zaproszona do Srok.

– Zanim sobie pójdę... – odezwał się Lew, gdy dotarli do domu Kate. Trzymał ręce głęboko w kieszeniach, patrzył w ziemię. – Będzie mi musiała pani powiedzieć.

– Co powiedzieć? – spytała Kate.

– Co miała na myśli Dylan, gdy powiedziała, że Zadie zaprosiła Amelię z pani powodu. – Jego głos był spokojny, ale poważny.

– Naprawdę nie mam pojęcia. – Kate czuła się winna, choć nie miała nic do ukrycia. Wiedziała jednak, jak to wyglądało. Gdyby była na miejscu Lewisa, też by się zastanawiała. – Nigdy w całym moim życiu nie spotkałam tej dziewczyny. Nie wiem nawet, jak ona wygląda.

– Poznała pani jej matkę – zauważył Lew. – Przyszła do pani do domu, prawda?

– Żeby zapytać o tę imprezę charytatywną, mającą zwiększyć świadomość na temat samobójstw, którą komitet rodzicielski chce zorganizować z powodu Amelii. Poprosiłam, żeby tego nie robili. Najwyraźniej zignorowali prośbę. Wspomniałam jej, że pojawiły się pewne nowe informacje, teraz nie wiem po co. – Przcisnęła rękę do brzucha. – Ale to nie może mieć z tym nic wspólnego. Amelię zaproszono do Srok na wiele miesięcy przed tym, zanim poznałam jej matkę.

– W takim razie chodzi o coś innego – stwierdził Lew. – Dylan sobie tego nie wymyśliła. To by było za bardzo naciągane. Nie wspomnę o tym, że zupełnie niepotrzebne.

Kate wpatrywała się w ziemię, gorączkowo szukając w głowie rozwiązania.

– Po prostu... Nie wiem, o co może chodzić.

Lew dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, wreszcie kiwnął głową, jakby podjął jakąś decyzję.

– W takim razie będziemy musieli zapytać Zadie – odparł, zbierając się do odejścia. – Ale to jutro. Potrzebuje pani trochę czasu.

– Nie potrzebuję. Mogę...

– Potrzebuje pani – uciął stanowczo Lew. – I proszę nie protestować. Mam pięcioro dzieci, pamięta pani? Umiem postawić na swoim.

Usiadła ciężko przy biurku i wyciągnęła rękę, by włączyć lampę. Wszystko ją bolało. Gdy zapaliło się światło, zauważyła zdjęcie Amelii na półce. Miała na nim siedem lat i stała na paluszkach, które podmywały fale. To było podczas jednej z ich licznych wycieczek na Coney Island. Z szeroko rozpostartymi ramionami Amelia całowała powietrze. To było ulubione zdjęcie Kate. Dowód, że miały razem szczęśliwe życie. Że były rodziną z własną historią i tradycjami. Malutką rodziną, ale dobrą. Kate popełniła w życiu wiele błędów, zbyt wiele. Na pewno nie była idealną matką. Mimo to stworzyła dla córki coś, co miało znaczenie.

– Dlaczego wybrałaś akurat tę dziewczynę, Amelio? – usłyszała, że wypowiada te słowa na głos.

Najgorsze, że wybór córki wydawał się znajomy, tak podobny do wielu, których sama dokonała. – Jest piękna, to rozumiem. Ale jest taka, no nie wiem... trudna. To nie jej wina, spójrz na jej matkę. Nie widziałas tego? Spodziewałabym się, że dostrzegasz takie rzeczy.

Od śmierci Amelii Kate nie pozwalała sobie na to, by mówić do niej na głos. Sama myśl o tym zawsze sprawiała, że czuła się tak, jakby miała nierówno pod sufitem. Z jakiegoś powodu teraz przynosiło jej to ulgę. Może dlatego, że i tak była roztrzęsiona.

– Bez względu na to, kto z kim zerwał i dlaczego, była szczęściarą, że ciebie miała. Każdy by był. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Urwała i znów zapatrzyła się na zdjęcia.

– Mogłaś mi o niej powiedzieć. Kochałaś ją, ale to nigdy by nie sprawiło, że ja kochałabym cię mniej.

Kate wciąż patrzyła na zdjęcie, gdy zadzwonił telefon. „Tata komórka” – odczytała z wyświetlacza. Ojciec do niej dzwoni? Gdyby chodziło o matkę, na pewno by poczekała, aż nagra się na pocztę głosową. Ale ojciec nigdy do niej nie dzwonił, zwłaszcza z telefonu komórkowego, którego prawie nie używał.

– Tato, co się stało? – spytała Kate. Jej rodzice byli dość zdrowi, jednak mieli swoje lata. Po drugiej stronie usłyszała jakieś szumy, ale nic poza tym. Zastanawiała się przez chwilę, czy tata nie wybrał jej numeru przez przypadek. – Tato, jesteś tam?

– O, tak – odezwał się w końcu, odchrząkując. – Na chwilę się rozkojarzyłem, przepraszam. Spaceruję nad jeziorem i gotów byłbym przysiąc, że właśnie widziałem elenię białoczubą. Oczywiście to niemożliwe, bo to ptak południowoamerykański, ale... – W jego głosie usłyszała dziecięcy zachwyty. Oddychał szybciej, jakby przyspieszył kroku. – Cofnę się tylko i sprawdzę jeszcze raz. Poczekaj chwilę.

– Tato? – spytała Kate, choć znów miała wrażenie, że odsunął telefon od ucha. – Tato?

– O, tak, przepraszam – powiedział wreszcie znów z komórką przy uchu. Zachwyty w jego głosie zniknął. – Musiało mi się przywidzieć. Obawiam się, że obserwowanie ptaków to zabawa dla młodych, chociaż trudno powiedzieć tak o ludziach, z którymi popłynąłem w ten rejs na Galapagos. – Odchrząknął. – W każdym razie twoja matka prosiła, żebym zadzwonił i sprawdził, co u ciebie.

– Mama prosiła, żebyś do mnie zadzwonił? – Kate podejrzewała, że tata to wymyślił, żeby zachować jakiś emocjonalny dystans. – Trudno mi w to uwierzyć.

– Z prawdą często tak bywa – odparł. – Prosiła mnie, żebym sprawdził, czy u ciebie wszystko dobrze. Jest zdenerwowana po waszej ostatniej rozmowie. Nie naciskałem, żeby podała mi szczegóły. Wiesz, że nie lubię się wtrącać. Obiecałem, że zadzwonię. Wszystko dobrze, Kate?

– Nie – odparła, opierając się pokusie, by powiedzieć mu to, co pragnął usłyszeć.

Tak naprawdę nie miała ochoty na zwierzenia. Wiedziała też, że on wcale by tego nie chciał.

– Nie jestem pewna – wycofała się szybko.

– No cóż – westchnął. – Myślę, że z niektórymi rzeczami tak już jest. Nigdy nie stają się lepsze.

Pierwszy raz dał jej spokój, gdy czuła się źle. Była pewna, że się przesłyszała.

– To prawda. – Jej głos drżał.

– Wiesz, twoja matka chce dobrze – powiedział ojciec sztywniejszym tonem. Wypływał na nieznane wody emocji i wyraźnie było słychać, że czuje się nieswojo. – Nie zawsze wie... Pamiętasz, jak pierwszy raz przyjechaliśmy do Nowego Jorku, by zobaczyć Amelię zaraz po narodzinach? Wiedziałaś, że twoja matka płakała przez całą drogę powrotną na lotnisko, bo tak się o ciebie martwiła?

– Nie sędzę, żeby to dlatego...

– Dlatego. Potem nie płakała. Ale tamtego dnia... – Wziął głęboki oddech. – Czyli będzie w porządku? Mogę to powiedzieć twojej matce?

Ojciec miał wiele wad, nie był jednak kłamcą. Kate nie miała pewności, czy wierzyć w tę historyjkę o Gretchen dręczonej matczyną troską. Zresztą po tylu latach to chyba było bez znaczenia.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy będzie w porządku, tato. – Kate czuła, że do oczu napływają jej łzy. Nagle tak bardzo przytłoczyły ją smutek i poczucie straty, napływające ze wszystkich stron. – Ale możesz... Powinieneś powiedzieć mamie, że będzie dobrze.

O szóstej wieczorem w zwykły dzień w Thistle Tavern panował o wiele większy ruch, niż Kate się spodziewała. Nigdy tu przecież nie była, co usprawiedliwiało pomyłkę. To jedno z tych wielu miejsc w okolicy, które chciała odwiedzić, lecz nigdy nie znalazła na to czasu.

Wnętrze lokalu jej nie rozczarowało. Pełno tu było ciemnego drewna, rozbrzmiewał stłumiony jazz, menu wypisano na wielkiej tablicy wiszącej na ścianie, a kelnerzy z artystycznymi tatuażami i kilkudniowym zarostem wyglądali, jakby właśnie zeszli z planu jakiejś niezależnej produkcji filmowej. Dostrzegła Jeremy'ego siedzącego plecami do drzwi przy krótkim zatłoczonym barze. Obracał w palcach kufel z piwem i gawędził z barmanem noszącym bokobrody, jakby byli starymi kumplami z college'u. Bez wysiłku wszedł w skórę człowieka, którym nie był. Nic nowego.

– Cześć – rzuciła Kate, przerywając im rozmowę.

Jeremy odwrócił się i uśmiechnął szeroko. Zeskoczył ze stołka i szarmancko zaoferował go Kate. Usiadła na nim tylko dlatego, że gdyby tego nie zrobiła, sytuacja stałaby się jeszcze bardziej niezręczna. Barman wydawał się zawiedziony, nie tyle tym, że im przerwano, ile tym, że zrobiła to Kate. Jakby miał większe oczekiwania wobec kogoś, na kogo czekał Jeremy. Kate spojrzała na swoje ubranie: stary sweter, dzinsy, praktyczne domowe drewniaki. Włosy upięła z tyłu i nie miała makijażu. Ktoś taki jak Jeremy zasługiwał na coś lepszego, ale przecież nie byli na randce. Kate w tej chwili nie była w stanie wyglądać lepiej.

– Co mogę pani podać? – spytał barman z lekką niechęcią.

– Kieliszek białego wina – odparła, choć nie miała najmniejszej ochoty na alkohol.

– Przyniosę pani menu.

– Nie, nie. Nie trzeba – zapewniła Kate. – Niech pan wybierze.

– No to niech będzie najdroższe. – Barman mrugnął do Jeremy'ego.

Stołek obok Kate się zwolnił i Jeremy usiadł na nim, gdy barman podawał wino. Siedzieli

w milczeniu, póki sobie nie poszedł.

– Nie byłeś dziś w pracy? – spytała Kate, wskazując na džinsy Jeremy’ego i sportową koszulę.

– Wyszedłem wcześniej. – Pokręcił głową i pociągnął długi łyk piwa. – Potrzebowałem trochę przestrzeni. Czasu, żeby pomyśleć.

– O czym?

– Och, o wielu rzeczach – odparł, patrząc w swoje piwo i zbierając się, żeby coś powiedzieć. – Słuchaj, wiem, że to trochę późno, ale chciałem cię przeprosić. Za to, co się stało między nami, no wiesz, wtedy. Tego typu relacje między nami były zupełnie nie na miejscu.

Kate ogarnęła wściekłość. Nie mogła uwierzyć, że Jeremy jej to teraz robi.

– Chyba nie mówisz poważnie?

Wydawał się zdezorientowany.

– Co masz na myśli?

– Wzywasz mnie tutaj w środku tego wszystkiego, przez co przechodzę, żeby mi powiedzieć, że żałujesz jednej nocy... nie, jednej godziny, którą spędziliśmy razem ponad dziesięć lat temu?

Jeremy wyglądał na zranionego. Naprawdę wierzył, że zawsze jest dla wszystkich na pierwszym miejscu.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała: ponoszę za to pełną odpowiedzialność – odparł. – Zwłaszcza teraz czuję się jak... To dla mnie ważne, żebyś wiedziała... To nie była twoja wina.

– Moja wina? – Kate zaśmiała się szaleńczo, ale to sytuacja była szalona. – Świetnie, teraz już wiem. Mogę iść?

Jeremy zmarszczył brwi i wyciągnął z kieszeni koszuli złożoną kartkę papieru. Podał ją Kate.

Nie przyjęła jej.

– Co to jest?

– Dziś rano to było na insidethelaw.com – wyjaśnił, gdy Kate niechętnie sięgnęła po karteczkę. – Ktoś próbuje dla mnie sprawdzić, kto za tym stoi, ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

Kate przeczytała: „Jeremy Firth ze Slone, Thayer najpierw je rżnie, a potem rozkręca im karierę”. Przymknęła oczy. Nie chciała czytać więcej.

– Nie jesteś wspomniana po nazwisku – ciągnął. – Na szczęście nikt oprócz mnie nie jest wspomniany po nazwisku. Wiele szczegółów jest nieprawdziwych. Mnóstwo bredni o seksie w salach konferencyjnych i w windach i że to się ciągnęło latami. Według mnie dość, by ludzie mogli się domyślić, że niektóre fragmenty są o tobie.

– O mój Boże. Co z Verą?

– Nie czytała tego. Jeszcze nie. Pewnie prędzej czy później ktoś jej powie, choć nie wiem, kto chciałby być posłańcem.

Przekręcił głowę i spojrzał na Kate, potem znów zapatrzył się w piwo.

– Czuję się tak... – Zasłoniła usta dłonią. – Biedna Vera. Znienawidzi mnie.

– To nie w jej stylu. Na pewno znieńawidzi mnie, ale nie ciebie – powiedział cicho i wciągnął głęboko powietrze. – Powinnaś też wiedzieć, że w tym poście wspomniane są inne kobiety. Mylili się co do szczegółów, nie co do tego, że były inne. Chciałbym móc powiedzieć, że było inaczej.

– Wiem, że były inne kobiety – rzuciła Kate. Czuła wstyd, przyznając to na głos, i złość na Jeremy'ego, który uważał ją za tak naiwną, by mogła myśleć, że była jedyna. – Nawet wtedy to wiedziałam.

Jeremy przespał się – sypiał – z innymi współniczkami w czasie, kiedy trafili do łóżka. Ta wiedza sprawiła, że Kate poczuła się lepiej. W jakiś sposób czyniło ją to mniej odpowiedzialną.

– Nie jestem dumny z tego, jakim byłem człowiekiem – stwierdził Jeremy. – Teraz jestem inny. Zmieniłem się dawno temu. Przez ostatnie dziesięć lat byłem całkowicie wierny Verze. Jestem dobrym mężem.

Kate wpatrywała się w niego. Kołysała się lekko, jakby w rytm bicia serca. Czego od niej chciał? Rozgrzeszenia? Nie mogła mu tego dać. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż zbłąkane sumienie Jeremy'ego. Musiała znaleźć się jak najdalej od niego, wydostać się z tego baru.

– Muszę iść – wydusiła z siebie w końcu, zsuwając się ze stołka.

– Poczekaj, dokąd idziesz? Jest coś jeszcze, o czym musimy porozmawiać.

– Nie, nie ma niczego takiego. I nie jestem zła, Jeremy, ani zdenerwowana, ani cokolwiek ci się wydaje. Po prostu nie chcę o tym nigdy więcej rozmawiać.

Oddalała się szybkim krokiem od Thistle Tavern, kierując w stronę domu. Próbowwała oddychać, lecz palenie w płucach sprawiało, że była coraz bliższa łez. Obejrzała się raz przez ramię, by się upewnić, że Jeremy nie poszedł za nią. Świat zaczął się jej zamazywać. Płakała. Zanosila się płaczem, idąc zatłoczoną Siódmą Aleją. Zasłoniła dłonią wykrzywioną twarz, łzy spływały jej po policzkach, gdy mijała gapiących się na nią ludzi. Wtedy zaczęła wibrować jej komórka. Jeremy, zamiast iść za nią, wysłał SMS. Oczywiście. „Przepraszam, wróć. Musisz zrozumieć”. Kate szykowała się na coś w tym stylu. Nie chodziło o to, czy te słowa mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie zamierzała z nim rozmawiać, przynajmniej nie teraz.

Wyjęła telefon z kieszeni i spojrzała na wiadomość:

Co ci da tym razem, zdroiro?

Amelia

21 PAŹDZIERNIKA, 20.56

BEN

odezwała się?

AMELIA

nie

BEN

daj jej trochę czasu; dojdzie do siebie

AMELIA

sam w to nie wierzysz

BEN

jeśli nie, to jest głupia

AMELIA

dzienks

BEN

serio

AMELIA

wiem; lecę, nie jestem w nastroju

BEN

ok, nara

21 PAŹDZIERNIKA, 21.18

SYLVIA

stara, co jest?

AMELIA

nic

SYLVIA

wyglądałaś naprawdę okropnie w szkole

AMELIA

mam okres

SYLVIA

o kurde; dziś śledziłam Susan Dolan

AMELIA

o rany

SYLVIA

wiesz, po szkole ona kupuje wielgachną TORBĘ żelków w rite aid i zżera je WSZYSTKIE w drodze do domu

AMELIA

obleśne

SYLVIA

pewnie potem to wszystko wyrzyga ta chuda sucz

AMELIA

muszę lecieć; źle się czuję

SYLVIA

ok; dozo; weź midol albo coś

22 PAŹDZIERNIKA, 02.01

NUMER ZASTRZEŻONY

suka

22 PAŹDZIERNIKA, 02.02

NUMER ZASTRZEŻONY

dziwka

22 PAŹDZIERNIKA, 02.03

NUMER ZASTRZEŻONY

kurwa

22 PAŹDZIERNIKA, 02.04

NUMER ZASTRZEŻONY

lesba

22 PAŹDZIERNIKA, 02.05

NUMER ZASTRZEŻONY

suka suka suka suka

22 PAŹDZIERNIKA, 02.10

NUMER ZASTRZEŻONY

zdychaj suko zdychaj

22 PAŹDZIERNIKA, 02.11

NUMER ZASTRZEŻONY

beznadziejna szmata

22 PAŹDZIERNIKA, 02.12

NUMER ZASTRZEŻONY

wstrętny kurwizjon

22 PAŹDZIERNIKA, 02.13

NUMER ZASTRZEŻONY

dziwka

22 PAŹDZIERNIKA, 02.14

NUMER ZASTRZEŻONY

ty pizdolizie

22 PAŹDZIERNIKA, 02.15

NUMER ZASTRZEŻONY

pizda, pizda, pizda

22 PAŹDZIERNIKA, 02.20

NUMER ZASTRZEŻONY

lesbija

22 PAŹDZIERNIKA, 02.21

NUMER ZASTRZEŻONY

lesbijska kurewska cipa

22 PAŹDZIERNIKA, 02.22

NUMER ZASTRZEŻONY

homo

22 PAŹDZIERNIKA, 02.23

NUMER ZASTRZEŻONY

zdychaj lesbo zdychaj

22 PAŹDZIERNIKA, 02.24

NUMER ZASTRZEŻONY

szmatława kurwa

22 PAŹDZIERNIKA, 02.25

NUMER ZASTRZEŻONY

brudna śmierdząca szmata

22 PAŹDZIERNIKA, 02.30

NUMER ZASTRZEŻONY

jebana suko obyś zdechła

22 PAŹDZIERNIKA, 02.31

NUMER ZASTRZEŻONY

pizdoliz

22 PAŹDZIERNIKA, 02.32

NUMER ZASTRZEŻONY

kłamiwa szmata

22 PAŹDZIERNIKA, 02.33

NUMER ZASTRZEŻONY

dobrze

22 PAŹDZIERNIKA, 02.34

NUMER ZASTRZEŻONY

wiemy

22 PAŹDZIERNIKA, 02.35

NUMER ZASTRZEŻONY

gdzie

22 PAŹDZIERNIKA, 02.36

NUMER ZASTRZEŻONY

mieszkasz

22 PAŹDZIERNIKA, 02.37

NUMER ZASTRZEŻONY

i

22 PAŹDZIERNIKA, 02.38

NUMER ZASTRZEŻONY

przyjdziemy

22 PAŹDZIERNIKA, 02.39

NUMER ZASTRZEŻONY

po

22 PAŹDZIERNIKA, 02.40

NUMER ZASTRZEŻONY

ciebie

Facebook

22 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

Cudze oczy to nasze więzienia, cudze myśli – nasze klatki [6](#).

Virginia Woolf, *Nie napisana powieść*

Carter Rose ale zdolowana laska.

Ainsley Brown myślę, że to piękne.

Carter Rose może to znaczy, że ty też masz doła?

Amelia

22 PAŹDZIERNIKA

SMS-y zaczęły przychodzić w środku nocy. Do każdego załączono moje zdjęcie w bieliźnie. Przeczytałam każdy z nich, obejrzałam każde zdjęcie. Pewnie nie powinnam tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać. To było tak, jakbym nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Po obejrzeniu od razu kasowałam każdą wiadomość. Mogłam się zmusić, by raz na nie spojrzeć, potem musiały zniknąć.

Ostatni SMS różnił się od reszty. Dotyczył Sylvii.

Jeśli powiesz Woodhouse'owi albo komukolwiek innemu, Sylvia zapłaci. Ta dzira nigdy nie przeżyje tego, co na nią mamy.

Sprytne. Nawet gdybym doszła do wniosku, że mogę żyć z tym, jak Sroki mnie poniżają, wiedziałam, że Sylvia nigdy by czegoś podobnego nie przetrwała. Zerwanie z Ianem nie skłoniło jej co prawda do ponownego sięgnięcia po jakieś ostre przedmioty. Dręczenie przez Sroki na pewno ją do tego skłoni. A w całej tej sytuacji była jedyną zupełnie niewinną osobą.

Rano w szkole na korytarzu zobaczyłam Dylan. Nie chciała nawet na mnie spojrzeć i gdy ruszyłam w jej stronę, odwróciła się szybko. Nie byłoby to takie straszne, gdybym nie liczyła minut do chwili, aż będę mogła jej przebaczyć. O wiele trudniej jest przebaczyć komuś, kto wcale nie zamierza cię przeprosić...

Nie chodziło tylko o to, że Dylan mnie ignoruje. Wszystkie Sroki szeptały i śmiały się w taki sposób, bym była pewna, że za każdym razem, gdy przechodzę obok, rozmawiają o mnie. Po lunchu ktoś na mojej szafce napisał słowo „lesba” czerwoną szminką. To znaczy myślałam, że szminką. Próbowałam zetrzeć napis, mając nadzieję, że inne dzieciaki na zatłoczonym korytarzu niczego nie zauważyły. Dopiero gdy wysmarowałam sobie dłoń i szafkę, dotarło do mnie, że to nie szminka, tylko lakier do paznokci.

Wróciłam do szafki po francuskim. Była pusta. Książki, zeszyty, rzeczy do hokeja na trawie, wszystko zniknęło. Pojawiły się natomiast dwadzieścia dwie karteczki, wszystkie z napisem „Nienawidzę cię”, po jednej od każdej ze Srok. I sześć żywych świerszczy. Zacisnęłam ręką usta, próbując nie krzyknąć, gdy jeden z nich na mnie skoczył. Znalazłam swoje książki i zeszyty w pobliskim koszu na śmieci. Rzeczy do hokeja na trawie znalazłam w połowie treningu. Leżały rozłożone na ławce w sali gimnastycznej. Wyrzucono na nie zawartość kosza na zużyte podpaski.

Kolejnej nocy znów przysły SMS-y, zaczęły się i skończyły tak jak wcześniej, ale tym razem między jednym a drugim mijało tyle czasu, że zaczynałam zasypiać. Każdy kolejny wyrywał mnie ze snu. Tak jak pierwszej nocy we wszystkich były obelgi i pogróżki oraz zdjęcia. Byłam pewna, że ostatni, który

przyszedł o trzeciej pięćdziesiąt trzy, był od Zadie. Załączyła do niego film, który nakręciła, gdy przyłapała mnie z Dylan. Byłam na nim taka wściekła, że to było aż przerażające, nawet dla mnie.

Zadie udało się tak to zrobić, że twarz Dylan nie pojawiła się na żadnym ujęciu. Chroniła swoją najlepszą przyjaciółkę. Na filmie było widać tylko nogi i ciało nagiej dziewczyny, czyje dokładnie – nie do ustalenia. Zadie czekała na właściwy moment, by nam przerwać – wreszcie dotarło to do mnie. Świetnie wiedziała, że Dylan wyjdzie, gdy tylko jej każe. Znajome klimaty. Mnie też łączyła z kimś takim o wiele zbyt bliska stara przyjaźń. Przez Sylwię robiłam rzeczy, których sama z siebie bym nie zrobiła. Niby drobnostki, ale dlatego rozumiałam, jak mogło do tego dojść. Ze sposobu, w jaki Dylan mówiła o Zadie, wynikało, że ich przyjaźń należy do zupełnie innej ligi. Od początku powinnam była wiedzieć, że nigdy z tym nie wygram.

Następnego dnia rano, gdy wreszcie zeszałam na dół, mama była całkowicie ubrana, z torbą przerzuconą przez ramię i BlackBerry w rękę.

– O, witaj – powiedziała, krzątając się po kuchni i zbierając swoje rzeczy. Wyglądała na zestresowaną. – Dzień dobry.

Przez chwilę obserwowałam ją bez słowa. Chciałam jej powiedzieć, co się dzieje. Potrzebowałam tego. Od czego zacząć? Od Srok? Od Dylan? Od tego, że Zadie nas przyłapała? To było zbyt wiele. Poza tym nikt nie ma ochoty zaczynać z mamą rozmowy o seksie. To było coś, czego się unikało. Więc stałam tam i próbowałam wymyślić, jak jej wyjawic tylko trochę. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. To było takie poplątane.

Patrzyłam, jak mama bierze banana z kuchennego blatu i wsuwa do torby jakieś akta, a potem klucze.

– Dzisiaj wrócę naprawdę późno. Przepraszam. Wiem, że to się robi absurdalne, ale niedługo koniec. Pomyślałam, że na długi weekend w Święto Dziękczynienia mogłybyśmy gdzieś wyjechać. Może na Bermudy? – powiedziała i podbiegła, by mnie pocałować, a potem mocno mnie uścisnęła.

– Co? – W moim głosie brzmiała złość. Byłam zła. Jak mogła nie zauważać, że coś jest kompletnie nie tak. – Mówisz serio?

W porządku, że mojej mamy ciągle nie ma w domu, bo kiedy będę jej naprawdę potrzebować, ona będzie o tym widzieć i będzie wtedy przy mnie – tak myślałam przez całe życie. Teraz naprawdę jej potrzebowałam, a ona niczego nie zauważyła.

– No cóż, może to niezupełnie było „wspaniale, mamo!”, na które liczyłam, ale możemy porozmawiać o tym w weekend.

W każdej chwili mogła wyjść, wyczuwałam to.

– Mamo, nie mogłabyś po prostu zostać i przez jedną minutę mnie posłuchać?

Mama wzięła głęboki wdech i zrobiła równie głęboki wydech.

– Tak, Amelio. Mogę cię wysłuchać. Przez minutę. Zawsze mam czas, żeby cię wysłuchać.

– Chcę spędzić następny semestr w Paryżu.

Paryż był pomysłem Bena. Nie rozpracowałam wszystkich szczegółów, ale zasadniczo plan polegał na tym, żeby na jeden semestr znaleźć się daleko od mojej szkoły. Kiedy wrócę jesienią, Zadie, Heather, Rachel i wiele innych Srok skończy szkołę. Ale nie Dylan. Jej zostanie jeszcze rok. Pomięłam tę informację, kiedy rozmawiałam z Benem. Miałby wrażenie, że wciąż o niej myślę. Tego nie chciałam, nawet jeśli się zbytnio nie mylił.

Jakaś część mnie naprawdę prosiła o wyjazd do Paryża, jakby to rzeczywiście mogło rozwiązać moje problemy. Część mnie liczyła na to, że jeśli zacznę mówić o wyjeździe z kraju na cały semestr, moja mama pojmie aluzję i domyśli się, że coś jest mocno nie tak.

Gdyby mama nie zgodziła się na semestr za granicą – a nie przypuszczałam, że się zgodzi – następnym posunięciem byłoby powiedzenie, że chcę zmienić szkołę. Wolałabym nie odchodzić z Grace Hall. Brakowałoby mi Liv, Sylvii i mojej drużyny hokeja na trawie. Ale odeszłabym, jeżelibym musiała.

– W Paryżu? – Mama patrzyła na mnie, jakby mi odbiło. Była zestresowana, zmartwiona, że spóźni się do pracy. Widziałam. To też wykorzystam, jeśli będę musiała. Zgadzała się na wiele rzeczy, kiedy była spóźniona do pracy. – Na cały semestr? Paryż jest strasznie daleko.

– Jakie to ma w ogóle znaczenie? – warknęłam. Zapytaj, co się stało. Zapytaj, co się stało. – I tak cię nigdy nie ma.

– Amelio, daj spokój. To nie fair – powiedziała mama, patrząc na mnie, jakbym ją zraniła. – A semestr za granicą spędza się w college’u, nie w szkole średniej.

– To będzie kształcące.

Pomięłam informację, że semestru nie organizuje Grace Hall. To by mi w niczym nie pomogło.

– Amelio, chciałabym móc odwołać spotkanie i zostać, żeby z tobą porozmawiać. Ale naprawdę nie mogę. Proszę, mogłybyśmy porozmawiać o tym dziś wieczorem, kiedy wrócę?

Próbowałam się nie rozplakać, choć czułam, jak ściska mi się gardło. Dlaczego mnie nie spyta, co jest nie tak?

– Po prostu powiedz „tak”, mammo! – wrzasnęłam na nią. Może to zadziała? – To naprawdę łatwe, posłuchaj: „tak!”. Po prostu.

Mrugnęła kilka razy z taką miną, jakbym ją zraniła. Sprawiała wrażenie zszokowanej.

– Amelio, daj spokój – poprosiła cicho. – To nie znaczy, że na pewno powiem „nie”. Wiesz, że cię wysłucham. Zawsze to robię – szła do drzwi – ale nie mogę tego zrobić teraz, w tej chwili. Kiedy dowiem się więcej o tym programie, może zmienię zdanie. To znaczy, że potrzebujemy czasu, by o tym porozmawiać.

– Muszą dostać odpowiedź dzisiaj, mammo.

Cofnęła się od drzwi.

– Jeśli musisz dostać odpowiedź dzisiaj, ta odpowiedź musi brzmieć „nie”.

– Świetnie, super – mruknęłam. – Strasznie mi pomogłaś.

Westchnęła i spojrzała w sufit.

– Wszystko w porządku, Amelio? – spytała z ręką na kłamce. – Bo jestem zestresowana pracą i byłoby dobrze, gdybym mogła tam pojechać. Mogę też zostać, jeśli mnie potrzebujesz. Wiesz o tym, prawda?

Nie byłam pewna, czy cokolwiek jeszcze wiem. Wściekłam się, bo mama nie zapytała mnie, co jest nie tak. Teraz, gdy to zrobiła, nie chciałam jej nic mówić. Bo co by mogła zrobić, żeby to naprawić? Nic. Wszystko, co by zrobiła, tylko pogorszyłoby sytuację. Na sto procent. Tak naprawdę chciałam się rozpłakać. Bez świadków.

– Tak, nieważne. W porządku. Ostatnio szkoła naprawdę działa mi na nerwy.

Mama przeszła przez kuchnię i mnie objęła. Przytuliła mnie tak mocno, jakby chciała mnie zmiażdżyć. A może to ja ją tak ścisakałam?

W końcu wypuściła mnie z objęć i ruszyła do drzwi. Na progu rzuciła przez ramię:

– Wszystko stanie się łatwiejsze, obiecuję. Zawsze tak jest.

Doktor Lipton siedziała na krześle w kącie swojego gabinetu. Na kolanach miała jakąś otwartą teczkę i czytała papiery, które w niej były. Przez okno za jej plecami wpadały słoneczne promienie, w których jej skóra zdawała się przezroczysta. Wzdrygnęła się, kiedy zapukałam. Ja też niemal podskoczyłam.

– Przepraszam – powiedziałam.

Miałam ochotę się z tego wycofać. Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z psychologiem. Nigdy. Ale musiałam z kimś porozmawiać. Z kimś, kto zachowa w sekrecie to, co mu powiem.

– Po prostu... mmm... Woli pani, żebym przyszła później?

– Nie, nie – odparła, tylko że patrzyła na mnie jak na jakąś obcą osobę, która właśnie spytała, czy może ugryźć kawałek jej kanapki. – Wejdz. Usiądź.

Zamknęła teczkę i położyła ją delikatnie na stole.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Zajrzała do terminarza. – Nie byliśmy umówione na sesję, prawda? – Przesunęła palcem po kartce. – Amy, tak?

– Amelia. Nie, nie byłam umówiona. Powinnam się umówić? – To był zdecydowanie błąd. – Mogę przyjść kiedyś indziej.

Doktor Lipton gapiła się na mnie przez długą chwilę, siedząc zupełnie bez ruchu jak jakiś jaszczur. Czekałam, aż jej język wystrzeli z ust i przylgnie mi do policzka.

– No cóż, jesteś już tutaj. I z pewnością wydajesz się pobudzona, widzę to.

– Czy to, o czym będziemy rozmawiać, traktowane jest jako poufne? – spytałam, wciąż stojąc w drzwiach.

– Tak – zapewniła. Teraz wydawała się zaciekawiona. – Wejdz i opowiedz mi, co cię do mnie sprowadza, Amelio.

Powłócząc nogami, weszłam. Gabinet był ładny i jasny, z kanapami, które wydawały się bardzo wygodne. Za wygodne. Jakby w chwili gdy tylko na nich usiądziesz, wsysały cię w jakiś psychiatryczny wir.

– Zamknij drzwi, zanim usiądziesz – poprosiła. Zrobiłam tak, choć strasznie nie podobała mi się myśl, że będę zamknięta tu, w środku. W końcu zmusiłam się, żeby usiąść. Splotłam zimne jak lód ręce na kolanach.

– No więc co się dzieje?

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, aż sytuacja stała się do tego stopnia niezręczna, że zrobiło mi się jakoś niedobrze.

– Ktoś chyba ze mną zerwał.

– Chyba?

– No cóż, poszła sobie, a teraz się do mnie nie odzywa.

– Odtrącenie jest zawsze trudne – powiedziała spokojnie doktor Lipton. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy powiedziałam „poszła”, nie – „poszedł”. To był rodzaj testu.

– Tak – przyznałam.

Gdy patrzyłam na nią, zaczęło mnie palić w gardle. Naprawdę nie chciałam się tu popłakać. Kto wie, co się stanie, jeśli się popłaczę?

– Wiesz, dlaczego zakończyła ten związek?

Znów pokręciłam głową, przełykając ogromną grudę, która uwięzła mi w gardle.

– Ma najlepszą przyjaciółkę, która mnie nienawidzi – wydusiłam w końcu. – Ale nawet nie wiem, czy to o to chodziło. To skomplikowane.

– Związki często takie są – powiedziała. – Niepewność nigdy nie pomaga. Przez nią człowiek za wiele... rozpamiętuje. Czy to ma sens?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak.

– Pytania bez odpowiedzi utrudniają proces dochodzenia do siebie.

„Proces dochodzenia do siebie”. Brzmiało to tak, jakby z Dylan naprawdę był koniec. Jakbym musiała po prostu pójść dalej.

– Teraz pewna grupa dziewczyn mi dokucza.

– Czy to ma coś wspólnego z tym związkiem?

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym pytaniem. Okropne, że Dylan nie stanęła w mojej obronie. Że wyszła z mojego domu, kiedy ją wołałam. Że od tego czasu nie próbowała się ze mną skontaktować. Ale Dylan nie przysłała mi żadnego z tych SMS-ów, przynajmniej byłam przekonana, że tego nie zrobiła. Nie bazgrała po mojej szafce ani nie wkładała do środka owadów. Nie było mowy, żeby zrobiła coś takiego. Za to wszystko odpowiedzialna była Zadie. Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek inny, że to nie fair obwiniać kogoś o rzeczy, które zrobiła jego najlepsza przyjaciółka.

– To odrębne sprawy i nieodrębne. Część dziewczyn, które mi dokuczają, to chyba jej przyjaciółki. Są razem w klubie.

– Ach, w klubie – powtórzyła doktor Lipton. – Pozwól, że zgadnę. Sroki?

– Tak, należałam do nich przez jakiś czas – odparłam. To była ulga wreszcie komuś o tym powiedzieć.

– W sumie o to chodzi w klubach. Sprawiać, żeby outsiderzy źle się czuli, i nieustannie grozić insiderom utratą ich szczególnej pozycji. Taka dynamika zawsze wiąże się z niebezpieczeństwem. Nie zaskakuje mnie, że to znów wymknęło się spod kontroli.

Pokręciłam głową, do oczu napłynęły mi łzy.

– Ale to, co one robią... to jest naprawdę o wiele gorsze, niż kiedykolwiek myślałam.

– Nękania zakazuje szkolny kodeks zachowań, wiesz o tym – powiedziała doktor Lipton. – Jeśli te dziewczyny robią coś takiego, i to na terenie szkoły, mogą zostać wydalone. Mam obowiązek zgłosić to dyrektorowi.

Pomyślałam o tych zdjęciach, SMS-ach i moim stroju do hokeja pokrytym zużytymi podpaskami. Pomyślałam o szeptach i o świerszczach. O słowie „lesba”, które wszędzie się pojawiało. Tylko czy chciałam, by wyrzucono je wszystkie ze szkoły, jeśli „one wszystkie” oznaczało również Dylan? I co z Sivią? Jak przetrwa to, co by jej wtedy zrobiły?

Spojrzałam na doktor Lipton z mocno bijącym sercem.

– Mówiła pani, że ta rozmowa jest poufna.

Zmrużyła oczy.

– Bo jest. – Uniosła palec. – Pod warunkiem, że nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

Spojrzała na mnie surowo. Niebezpieczeństwo. Martwiła się, że się zabiję albo coś takiego. Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

– Nie zabiję się, jeśli o to pani chodzi. Po prostu bym nie mogła... Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Jeśli zmienię zdanie, na pewno dam pani znać.

– Mówiłaś swoim rodzicom?

– Mam tylko mamę. Nie, nie mówiłam jej.

Nienawidziłam myśli, że zmieniłam się w taki nastoletni banał. Jeszcze sześć tygodni temu gotowa byłam przysiąc, że na pewno opowiedziałabym o wszystkim mamie. Że powiedziałabym jej na samym początku. Cóż, sześć tygodni temu moje życie było o wiele mniej skomplikowane.

– Powinnaś jej powiedzieć – stwierdziła stanowczo doktor Lipton. – Twoja mama cię kocha. Jest przy tobie, żeby ci pomóc.

– Tego się właśnie obawiam. Że moja mama będzie próbowała pomóc i zrobi z tego wszystkiego jeszcze większy bałagan.

– Powinnaś się komuś zwierzyć. To minimum – odparła doktor Lipton. – Dręczyciele wykorzystują poczucie wstydu i alienację. Musisz powiedzieć przynajmniej jednej przyjaciółce, wyjaśnić jej, co się dzieje. Potrzebujesz wsparcia. Możesz to zrobić?

Kiwnęłam głową, chociaż potwornie się tego bałam. Oczywiście tą przyjaciółką, do której się zwrócę, jest Sylvia. Będzie na mnie naprawdę wkurzona, kiedy dowie się o Srokach. A mnie będzie naprawdę głupio. Właśnie dlatego ona i ja kiedyś uważałyśmy, że kluby są do bani. Ich jedyny cel to

zmienić życie człowieka w piekło.

– Chcę, żebyś napisała do tej dziewczyny list, mail ze wszystkimi pytaniami, które pragniesz jej zadać. Ze wszystkimi pytaniami o to, co się stało. O to, czego boisz się dowiedzieć. Ale go nie wysyłaj. Chcę, żebyś wyobraziła sobie odpowiedzi.

– Wyobrazić sobie? – Brzmiało to kompletnie durnie.

– Tak, wyobraź je sobie. Nie wysyłaj go – powtórzyła stanowczo. – To ćwiczenie ma ci dać kontrolę nad sytuacją i nad twoimi uczuciami. Zdasz sobie sprawę, że znasz wszystkie odpowiedzi, których potrzebujesz. Tak myślę.

– Dobrze – zgodziłam się, chociaż to wszystko wciąż wydawało mi się głupie.

– Zgoda? – spytała doktor Lipton. Wpatrywała się we mnie, czekając na odpowiedź.

– O tak, zgoda. Jasne.

– Dobrze. – Podeszła i otworzyła drzwi. – Potem umów się ze mną na kolejną wizytę w przyszłym tygodniu. Chcę być na bieżąco. Porozmawiamy więcej o zwiernaniu się matce.

Znalazłam Sylvię podczas przerwy na lunch. Była na podwórzu z Ianem. Siedzieli przy stole, stykając się kolanami, i rozmawiali. Kilka dni wcześniej praktycznie ze sobą zerwali. Najwyraźniej tak nie było, choć sprawy między nimi wciąż nie wyglądały za dobrze. Ian ciągle się rozglądał i odsuwał, jakby mu brakowało powietrza albo jakby szukał miejsca, by się ukryć.

Biedna Sylvia. Znów za moment ktoś złamie jej serce. Jednak jakaś mała częśćka mnie cieszyła się, że Sylvia będzie potrzebowała mnie równie mocno, jak ja potrzebowałam jej. Sylvia ze złamanym sercem była o wiele bardziej wspaniałomyślna niż zakochana Sylvia. W tej chwili była tak pochłonięta Ianem, że nie zauważyła mnie, póki nie stanęłam tuż przy niej.

– O, cześć – powiedziała, w końcu podnosząc wzrok. Chyba wkurzało ją, że im przeszkadzam. – Co tam?

Ian wydawał się zachwycony, że się zjawiłam.

– Och, to ty! – powiedział, zrywając się. – Siądź sobie na moim miejscu. I tak muszę lecieć.

– Dokąd lecieć? – zdziwiła się Sylvia. – Nie porozmawialiśmy nawet o tym weekendzie. Co z koncertem?

– A, właśnie. Jest w Living Room. – Ian potarł ręką czoło. – No tak. Okazuje się, że nie będę mógł przyjść. Ale ty powinnaś iść, kochanie. Dobrze się bawić. Stykniemy się w weekend.

Ścisnął mi się żołądek na widok rzednącej miny Sylvii. Opowiadanie o moim szajsie będzie musiało poczekać. Musiałam jej pomóc uratować tę rozmowę. Powinna doprowadzić ją do końca, na dobre czy na złe. Właściwie jakbym liczyła na to złe. Ona mocniej przycisnie Iana, a wtedy on zerwie z nią raz na zawsze. Bo te półśrodki były jak patrzenie na przejechaną wiewiórkę, która próbuje zwlec się ze środka drogi.

– Nie, powinieneś zostać – zaprotestowałam, cofając się o krok. – Chciałam się tylko przywitać.

Zobaczymy się później, Sylvio.

Nim Ian zdołał mnie powstrzymać, ruszyłam szybkim krokiem przez podwórze. Gdy się odwróciłam, Ian i Sylvia wciąż tam razem byli, wciąż milczeli. Ian grzebał w ziemi swoją modną europejską tenisówką. Sylvia obserwowała go, czekała.

Przez resztę dnia nie stało się nic złego – nic nie zniknęło z mojej szafki, nikt nic na niej nie napisał. Ledwie mogłam w to uwierzyć. Nie dostałam nawet kolejnych SMS-ów. Gdy wróciłam do domu wieczorem i wysłałam Liv ostateczną wersję wypracowania o Virginii Woolf, poczułam się niemal zrelaksowana. Doszłam do wniosku, że Zadie znudziło się zmienianie mojego życia w piekło na ziemi.

Ledwo zasnęłam, gdy przyszedł pierwszy SMS. Mój telefon zapiszczał i przeczytałam wiadomość: „Dziwka”. Potwornie mnie to wystraszyło. Serce mi łomotało, gdy siadłam na łóżku, patrząc na komórkę. Wstrzymywanie się przez cały dzień było sprytne. Przekonanie, że już jest po wszystkim, sprawiło, że kolejny atak przyjąłam o wiele gorzej.

Po pierwszej wiadomości przyszły następne i następne, i jeszcze następne. Każda bardziej chora niż poprzednia, każda z tym samym zdjęciem, którego wcześniej nie widziałam. Całowałam na nim Dylan. Tyle tylko, że nie było widać Dylan. Jasne było jedynie, że to ja – na pewno ja, na pewno całująca się z jakąś dziewczyną.

– Możemy się urwać z pierwszych zajęć? – spytałam Sylvie, gdy spotkałyśmy się na rogu następnego ranka. Od szkoły wciąż dzieliły nas cztery przecznice. To było wystarczająco daleko, byśmy mogły się wymknąć ze strumienia ludzi tak, by nikt nie zadawał pytań. – Mogłybyśmy pójść na muffinki.

– Czyżby Amelia Baron właśnie zaproponowała, żebyśmy się urwały ze szkoły? – Sylvia zatrzepotała rękami, przycisnęła rękę do piersi i udała, że się krztusi. – Co będzie następne? Taniec na rurze?

– Mówię serio. Po prostu... – spojrzałam na szkołę – ...nie daję rady. Poza tym urwę się tylko z plastyki. To się nawet nie liczy jako wagary.

– Ja się urwę z hiszpańskiego. Ponieważ nie rozumiem ani jednego cholernego słowa, które do mnie mówią na tych durnych zajęciach, to chyba też nie liczy się jako wagary. – Wsunęła mi rękę pod ramię. – Słuchaj, czy to nie jest jakiś wybieg, żebyś mogła być ze mną sam na sam i zacząć się do mnie dobierać? – Przewróciła oczami. Zawróciłyśmy, kierując się w stronę Siódmej Alei. – Bo przecież jesteś l e s b i j a n k a i w ogóle.

– Naprawdę wciąż mi nie wierzysz? – spytałam, gdy odeszłyśmy kawałek.

Po tym, jak powiedziałam Sylvii, że jestem lesbijką, wysłała mi parę razy SMS: „WTF??”. Unikałam rozmawiania z nią o tych sprawach. To nie było trudne. Miała taką obsesję na punkcie Iana, że wciąż zapominała mnie o to zapytać, kiedy byliśmy razem.

– Wierzę, że ty w to wierzysz – powiedziała, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi.

Po okolicy kręciły się służby porządkowe wyłapujące wagarowiczów, ale z reguły miały trochę

rasistowskie podejście. Pewnie dadzą spokój dwóm białym dziewczynom, których rodzice mogliby być bardziej wkurzeni tym, że ktoś robi ich dzieciom kłopoty, niż tym, że dzieci urwały się ze szkoły.

– Samo to, że nie umiesz się normalnie zachowywać przy chłopakach, nie znaczy, że ich nie lubisz.

Może nie jesteś lesbijką, tylko po prostu jesteś pokręcona.

– Wow! Dzięki.

Nawet o tym nie rozmawiając, obie ruszyłyśmy w tę samą stronę do Connecticut Muffin naprzeciw szkoły podstawowej numer 321. Zawsze tam chodziłyśmy, gdy w szkołach publicznych trwały zajęcia, a my akurat miałyśmy wolne. Lubiłyśmy tam siedzieć i patrzeć, jak wszystkie te dzieciaki przechodzą obok w ogromnym morzu ludzi. Było coś miłego w rozmiarze i chaotyczności tego wszystkiego. W porównaniu z tym poranne szaleństwo w naszej szkole wydawało się niczym.

– No to co tam z Ianem? – spytałam, gdy dostałyśmy po muffince – ja wzięłam cytrynowo-makową, Sylvia jagodową – i siadłyśmy na wysokich stołkach przy oknie. Dojdę do Dylan i do Srok, ale potrzebowałam rozgrzewki.

– Nie wiem. – Sylvia wzruszyła ramionami. – Wreszcie dotarło do mnie, że Susan Dolan ma chłopaka. Widziałam, jak się z nim całuje, i wyglądało to tak, jakby naprawdę na niego leciała. Ian mówi, że z nami wszystko dobrze, tylko wciąż dziwnie się zachowuje. Jest ktoś jeszcze. Nie Susan, ale ktoś.

Teraz nie wątpiłam, że ma rację.

– Jakieś pomysły, kto to jest?

Sylvia wzruszyła ramionami.

– Zaczynam myśleć, że to nawet nie ma znaczenia. Ale co z tobą? To pewnie o wiele bardziej interesujące niż Ian.

Wstrzymałam oddech. Nadarza się dobra okazja. Musiałam się przyznać. Do wszystkiego. Potrzebowałam sojusznika, tak jak mówiła doktor Lipton. Sylvia była moją najlepszą opcją. W sumie – jedyną. Na pewno będzie wściekła o Sroki i o moje kłamstwa. Jedyne sposoby, by się dowiedzieć, jak bardzo wściekła, to powiedzieć jej.

– Zrobiłam coś głupiego – zaczęłam. – I będziesz na mnie wściekła.

– Nie dbam o to, jeśli naprawdę jesteś lesbą, wiesz. Dla mnie to po prostu mniejsza konkurencja.

Wybuchnęłam głośnym śmiechem. Szczerym i niepohamowanym. Tylko Sylvia potrafiła mnie rozśmieszyć w chwilach takich jak ta. Bo tylko jej przyszłoby do głowy, że moje preferencje oznaczają dla niej szansę na więcej chłopaków. Mnóstwo rzeczy można o niej powiedzieć, ale nie to, że oceniała ludzi. Będzie dobrze. Ze wszystkim. Wzięłam kolejny głęboki oddech i oparłam się o wąską ladę biegnącą wzdłuż witryny Connecticut Muffin. Jedyne sposoby to zacząć od najgorszego.

– Zaprosili mnie do klubu.

– Co? – Sylvia patrzyła na mnie, mrugając oczami.

– Zaprosili mnie.

– Co? – powtórzyła, tym razem głośniej. – Jej oczy się rozszerzyły. Do jakiego klubu?

– Do Srok.

– Rany... I mi nie powiedziałaś? – spytała z taką miną, jakby była bardziej zdołowana niż zła. –

Założę się, że jeszcze nikt im nie odmówił. Sroki? O cholera. Muszą być wkurzone. Opowiedz mi całą historię.

Wbiłam wzrok w niedojedzoną muffinkę.

– Nie odmówiłam im.

Na ułamek sekundy jej twarz zamarła, potem się wykrzywiła.

– Wstąpiłaś do Srok? Kiedy?

Westchnęłam.

– Na początku roku – powiedziałam cicho.

– Kłamiesz! – krzyknęła, zeskakując ze stołka. – Nie ma mowy, żebyś przez cały ten czas była w klubie i nic mi nie powiedziała! – Czułam, że chłopak za ladą zerka w naszą stronę i zastanawia się, czy nas nie wyrzucić. – Co z naszym paktem? Zapomniałaś?

Sylvia miała rację. Byłam kompletnym dupkiem.

– Nie wiem, co się stało. – To była koszmarnie nieprzekonująca wymówka, ale dla odmiany prawdziwa. – Zaprosiły mnie i chyba... Ty zawsze masz chłopaka, mojej mamy nigdy nie ma albo coś... Czasem czuję się tak, jakbym nie miała nikogo.

– Och, proszę! – Głos Sylvii był zimny. – Jeszcze mi się tu, kurwa, rozpłacz.

Wciąż miała zaciśnięte usta, ale do oczu napłynęły jej łzy.

– Przepraszam. Wiem, że „przepraszam” nie wystarczy, ale nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

Miała rację, postąpiłam samolubnie, nielojalnie i wrednie.

Sylvia poruszała szczęką. Z każdym takim ruchem złość zdawała się z niej uchodzić. W końcu przysunęła dłoń do twarzy i w połowie zakryła usta.

– Jestem taka kurewsko głupia – powiedziała stłumionym głosem. – Źle się czułam, bo spędzałam tyle czasu z Ianem, a ty przez cały ten czas zabawiałaś się ze swoimi nowymi potajemnymi przyjaciółkami! Muszę ci to przyznać, Baron, kurewsko dobrze kłamiesz.

Miała rację. Tyle razy ją okłamałam. Wszystkie te kłamstwa zwały się teraz na mnie.

– To się stało jakby samo. Później nie umiałam się z tego wyplątać – tłumaczyłam.

Sylvia wciąż piorunowała mnie wzrokiem. Ale przynajmniej nie wypadła stąd jak burza; to musiało coś oznaczać.

– A potem... No nie wiem, zakochałam się w dziewczynie z klubu i bałam się, że jeśli od nich odejdę, to ją stracę. Wiesz, jak to jest robić coś, bo kogoś lubisz. Czasem trudno to sobie dobrze przemyśleć.

– To jakaś pokręcona lesbijska próba obrony czy co? – warknęła. – Okłamujesz swoją najlepszą przyjaciółkę i jesteś skończonym ciulem, bo jesteś lesbijką?

Z takiego punktu widzenia naprawdę brzmiało to okropnie głupio. Zwiesiłam głowę i wzruszyłam

ramionami.

– Robię dużo chujowych rzeczy, Amelio. Czasem jestem skupiona tylko na sobie, trochę się puszczam i robię kiepskie rzeczy, bo podobają mi się różni faceci. Ale nigdy, przenigdy cię nie okłamałam.

Prawda. Sylvia zawsze była szczerą, nawet jeżeli nam obu jej kłamstwo coś by ułatwiło.

Skończyły mi się wymówki. Odwróciłam się i spojrzałam na nią. Patrzyła teraz przez okno. Wydawała się o wiele mniej zła, a o wiele bardziej zraniona. Patrzyłam na dziewczynę, która była moją najlepszą przyjaciółką przez prawie dziesięć lat. Trwała przy mnie, gdy dokuczali mi w trzeciej klasie, pomagała mi wytrzymać w domu, gdy mama wychodziła na całe dni. Była przy mnie, gdy złamałam nogę w kostce w środku lata. I wtedy, gdy miałam te beznadziejne fryzury i brzydkie swetry. Tę przyjaciółkę, która nigdy, przenigdy mnie nie oceniała ani nie prosiła, bym była kimś innym, niż jestem. Nienawidziłam siebie. Jak mogłam uznać, że jest coś ważniejszego niż to, by być z nią szczerą?

– Przepraszam, Sylvio. Naprawdę strasznie cię przepraszam.

Spodziewałam się, że każe mi iść do diabła, bo nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Ale ona dalej patrzyła przez okno. W końcu parsknęła cicho i wspięła się z powrotem na swój stołek.

– No dobra, wyrzuć to z siebie. Zdecydowanie jesteś mi winna każdy obleśny szczegół. Po pierwsze, kto to?

Tak mi ulżyło, że prawie się popłakałam.

– Dylan Crosby – odparłam, modląc się, żeby nic, co teraz powiem, znów nie wkurzyło Sylvii.

– Poważnie? – Sylvia natychmiast na mnie spojrzała. – Myślałam, że ona sypia z Woodhouse'em.

Pokręciłam głową.

– Jestem pewna, że sypiała tylko ze mną.

– Wow! Tego nie przewidziałam. – Pokiwała głową. – Jest seksowna, muszę ci to przyznać. Skoro musiałaś wybrać jakąś laskę zamiast mnie, cieszę się, że przynajmniej ładną. Ale Sroki? – Włożyła sobie palec do gardła i udała, że zaraz zwymiotuje. – Powaga, nie mogę być dłużej twoją przyjaciółką, jeśli zmienisz się w jeden z tych kurewskich lachociągów.

– Nie masz się czym martwić – odparłam. – Wykopały mnie. Dylan też mnie rzuciła.

– Łee, suki. – Sylvia wyglądała, jakby i ją to obrażało. – Co się stało?

– Nie wiem dokładnie – powiedziałam. – Zadie mnie nienawidzi i jest tak dziwnie zaborcza wobec Dylan.

– Och, Zadie. Fe! – skrzywiła się Sylvia. – Ona też jest lesbijką?

– Nie. I przez to to wszystko jest jeszcze bardziej porąbane.

Sylvia wypuściła powietrze z płuc.

– Ta laska jest naprawdę mocno rąbnięta. Powinnaś się trzymać od niej z daleka.

– Na to jest o wiele za późno. W każdym razie wczoraj w nocy doszłam do wniosku, że chcę wysłać Dylan mail. Miałam nadzieję, że mi pomożesz.

Słyszałam, comówiła doktor Lipton o tym, że mam go nie wysyłać. W tym punkcie nie mogłam się

z nią zgodzić. To, co było między mną a Dylan, nie było jakieś, no nie wiem, wymyślone. Musiała mi wyjaśnić, czemu po prostu odrzuciła to wszystko. Poza tym może czekała tylko na znak ode mnie, żeby zmienić zdanie.

– Mail? Mmm... jesteś pewna, że to dobry pomysł? Bo mnie się wydaje, że to kompletnie gówniany plan. Jeśli Dylan z tobą nie rozmawia, to dlatego, że nie chce. A przynajmniej nie za bardzo. Wierz mi. Dobrze jest wierzyć ludziom, kiedy mówią ci prawdę.

Zupełnie jakby Sylvia nie wysłała setek takich maili. I to w sytuacjach, gdy rzucono ją w o wiele gorszy sposób. Milczałam dłuższą chwilę, czekając, aż przyjdzie jej to do głowy. W końcu wzruszyła ramionami.

– Dobra, niech będzie – powiedziała, unosząc ręce. – Przyjdę do ciebie po szkole i możemy go razem napisać. Samo to, że wysłałam mnóstwo takich maili, wcale nie znaczy, że którykolwiek z nich kiedyś coś dał. A przynajmniej nie to, co chciałam.

– No cóż – odparłam z uśmiechem. – Zawsze może być ten pierwszy raz.

24 PAŹDZIERNIKA

Ponieważ jest 176 definicji słowa *loser* w urbandictionary.com, nie nabijaj statystyki.

Wreszcie mamy dowód, że Dylan Crosby nie jest w tajemnicy rąbniętą wielbicieleką Jezusa! Dowiedzieliśmy się tego od gościa, który twierdzi, że poszedł z nią na całość w Prospect Park. To był jej pomysł. On – no dobra, to był George McDonnell – prosił, żebym nie podawała jego nazwiska, ale ziomal powinien przecież dostać za to punkty. W każdym razie to mi nie wygląda na zachowanie prawdziwej dziewczyny. Gdziekolwiek wcześniej Dylan się obracała, może nawet nie w tych rejonach, jest jasne jak cholera, że musiała to robić.

No dobra, zmiana tematu. Czy ktoś mi może powiedzieć, dlaczego jeden z klubów załazi za skórę biednej małej lasce z drugiej klasy? To jest jak za dawnych czasów, naprawdę jak palenie na stosie. Po co? Dajcie spokój, moje panie, dziewczyna nie może być aż taka zła.

A jeśli chodzi o tę biedną laskę z drugiej klasy, która po prostu nie chce pogodzić się z faktami: samo to, że on ma słodziutki akcencik, nie sprawia, że kłamstwa płynące z jego ust są choć trochę bardziej prawdziwe. Odpuść, miej choć trochę szacunku do samej siebie. Aż przykro na to patrzeć.

Skoro już mowa o szacunku do samej siebie – albo jego braku... Bethany Kane zamierza dotrzymać obietnicy, że prześpi się z całą drużyną piłkarską. Zostało jej tylko trzech facetów! Dwaj z nich mogą być gejami. Potraktuj ich łagodnie, Beth.

Nara, ludziska.

Kate

SLONE, THYER
22 SIERPANIA 1997

Daniel: Dziś wieczór? To nasza ostatnia noc na letnim stażu...

Kate: Nie mogę

Daniel: Dlaczego?

Kate: Nie jestem w nastroju

Daniel: Trudno mi uwierzyć

Kate: Pierdol się

Daniel: Ostro, ostro

28 SIERPANIA 1997, 22.25

DO: rowan627@aol.com

OD: Kate Baron

RE: Przepraszam!

Czy przegapiłam okazję? Wyjechałeś już w dzicz bez dostępu do internetu? Mam nadzieję, że u Ciebie dalej wszystko dobrze. Chciałam powiedzieć, że sobie tego nie wyobraziłeś. Ja też to czułam. Może łatwo dostrzegać w rzeczach więcej, kiedy się skończą? A może nie.

W każdym razie podoba mi się Twój ideał światła przewodniego. Naprawdę by mi się teraz jakieś przydało.

Xp

Katie

2 WRZEŚNIA 1997, 02.19

DO: Kate Baron

OD: rowan627@aol.com

RE: Przepraszam!

Niczego nie przegapiłaś! Świetnie, że się odezwałaś. Dziś wieczorem nie mogę pisać, trwa tu Kobine – wielkie miejscowe święto... Napiszę więcej rano.

Pokój z Tobą

Rowan

Amelia

23 PAŹDZIERNIKA, 18.32

AMELIA

jutro przyjeżdżasz, tak?

BEN

chyba tak

AMELIA

Muszę cię zobaczyć. Jest źle; potrzebuję przyjaciela

BEN

wciąż jest źle?

AMELIA

tak, ale będzie lepiej; Sylvia mi pomaga napisać do Dylan

BEN

co napisać?

AMELIA

mail z pytaniami

BEN

na przykład: dlaczego jest taką suką?

AMELIA

daj spokój, nie bądź wredny

BEN

wredny? to ona traktuje cię jak gówno! istnieje cienka granica między oddaniem a zezwoleniem na bycie upokarzonym

AMELIA

dobra, dobra, wielki bracie, gdzie się jutro spotkamy?

BEN

zależy tylko od ciebie; jak mówiłem, jutro muszę potwierdzić

AMELIA

przyjdiesz do Grace Hall? może pokażę ci paru tych ludzi, gdy będą wychodzić ze szkoły. Obiecay że przyjedziesz. i nie olewaj mnie jak wszyscy inni.

BEN

zrobię co tylko będę mógł

23 PAŹDZIERNIKA, 18.42

SYLVIA

sorry za spóźnienie. już lecę pisać lesbijski list miłosny

AMELIA

ty po prostu lubisz słowo lesbijka

SYLVIA

lubię; I jest takie świetne do seksownej aliteracji: lubieżnie lizać laseczkę

AMELIA

jesteś obleśna

SYLVIA

no to misja wykonana; zaraz będę

Kate

29 LISTOPADA

Wciąż było ciemno, dopiero tuż po piątej, gdy Kate zeszła na dół i odnalazła komórkę. W nocy przyszedł nowy SMS, tym razem od Duncana:

Wreszcie namierzyłem gRaCeFULLY; niemal zabili mi klina; rozumiem, dlaczego szkole się nie udało; adres to Hoyt 891 na Brooklynie. Dom laski, która się nazywa Liv Britton. Jeśli będziesz z nią gadać, powiedz jej, że jest na Manhattanie komputerowiec, który przekazuje jej wielki szacun. A jeśli jest ładna, zrób mi przysługę i daj jej mój numer.

Liv? Ta oddana nauczycielka, która rzekomo tak się troszczyła o Amelię, wspierała ją w pisaniu i uważała, że to nieprawdopodobne, by odebrała sobie życie. To ona pisała te wszystkie straszne rzeczy o uczniach? Pisała też o Amelii. Co z nią było nie tak? Podobno była jedną z tych, którym można ufać.

W rzeczywistości była kłamcą. Kłamcą, który oskarżył Amelię o ściąganie.

Kate zamierzała zadbać, by Liv wyleciała z pracy, może nawet by ją pozwano – o szkalowanie, nadużywanie władzy. To nie miało znaczenia. W ten czy inny sposób wszyscy musieli się dowiedzieć, co robiła. Kate zamierzała do tego doprowadzić.

Lew obiecał odebrać ją przed ósmą, ale jeśli miałyby dłużej czekać, by wreszcie skonfrontować się z Woodhouse'em i Liv, wygryzłaby dziurę w podłodze salonu. Jej serce podskoczyło, gdy tuż przed wpół do ósmej rozległo się pukanie do drzwi. Modliła się, żeby to Lew przyjechał wcześniej.

– Cześć – odezwała się Kelsey, gdy Kate otworzyła drzwi.

W workowatych spodniach od dresu wydawała się zmęczona i zaniedbana. Jej krótkie blond włosy były trochę rozczochrane z tyłu, jakby właśnie wygramoliła się z łóżka. Uniosła księgę, którą dała jej Kate.

– Znalazłam go.

– Znalazłaś? – Kate prosiła Kelsey, żeby poszukała na zdjęciach chłopaka, którego widziała, jak wchodził z Amelią do domu. W głębi duszy nie liczyła, że Kelsey się uda.

– Przepraszam, że tyle to trwało – powiedziała Kelsey, pokazując miejsce, które założyła palcem. – Nie ma go w księdze pamiątkowej klasy, a ja przeoczyłam te strony z nowymi uczniami na końcu księgi spotkań. Dziś rano wertowałam ją jeszcze raz i dopiero wtedy je zauważyłam.

Kelsey wskazała na jedno ze zdjęć. Kate spojrzała na nazwisko pod nim.

– Ian Greene – powiedziała cicho.

Znała to nazwisko z SMS-ów Amelii. Z tym chłopakiem Sylvia raz była, a raz nie.

– To on – stwierdziła Kelsey. – Na pewno on.

Dobra, ale NIECH PANI NIE ROZMAWIA z NIKIM, póki tam nie dotrę – odpisał Lew w odpowiedzi na SMS Kate, że nie usiedzi dłużej w domu i zamierza pójść do Grace Hall, by tam się z nim spotkać. Kate nie odpisała. Nie zamierzała składać żadnych obietnic, których nie będzie w stanie dotrzymać.

Uznała, że pójście do szkoły powolnym spacerem stanowi przyzwoity kompromis. Wreszcie znalazła się na Prospect Park West. Płynął tamtędy strumień uczniów. Krzyczeli, przeklinali, przepychali się i śmiali. Tłok był okropny – klaustrofobiczny i niemal przerażający. Kate nie mogła uwierzyć, że Amelia nigdy na to nie narzekała. Maszerując w tej masie ludzi, przez cały czas miała wrażenie, że zaraz wybuchną tu jakieś krwawe zamieszki. Nie mogła normalnie oddychać, póki nie wydostała się z tłoku przy frontowych schodach szkoły.

Stała na skraju chodnika, napełniając płuca świeżym powietrzem, i wtedy go dostrzegła. Iana Greene'a. Rozpoznała go natychmiast. Przystojny i pewny siebie, szedł niespiesznie w stronę szkoły, obejmując ramieniem jakąś ładną blondynkę. Kate widziała jego swobodny uśmiech i pewny krok; szedł tak, jakby nie miał żadnych trosk.

Na jego widok Kate nagle ogarnęła wściekłość – niekontrolowana, paralizująca, ślepa. Ktoś musi zapłacić za to, co się stało Amelii – Liv, Woodhouse, Dylan, Sroki. Ian Greene.

Zanurkowała z powrotem w tłum. Amelia była lesbijką, Ian Greene spotykał się z jej najlepszą przyjaciółką. Jaki mogli mieć powód, by być razem w pustym domu w środku dnia? Chyba że on nie wiedział... Może kiedy się dowiedział, był wściekły na Amelię? Może nie chciał zrozumieć, co znaczy „nie”?

Może, może... myślała Kate, lawirując między grupkami uczniów, aż znalazła się tuż za plecami Iana. Czowała, że dzieciaki się na nią gapią. Słyszała zdziwione pytania: Co ona wyprawia? Dlaczego się tu wpycha? Kim ona jest? Nim ktoś z pracowników szkoły zdążył zadać jej podobne pytanie, Kate wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Iana.

– Przepraszam. To ty jesteś Ian Greene?

Odwrócił się z taką swobodą, jakby był jakąś sławą, przyzwyczajoną do tego, że zaczepiają ją obcy ludzie.

– Tak, jestem Ian – odparł z nienagannym brytyjskim akcentem. Zmrużył oczy, jakby próbował skojarzyć Kate. – Przepraszam, czy ja panią znam?

– Jestem matką Amelii Baron – rzuciła, licząc na to, że chłopak się wzdrygnie. Nie zrobił tego. – Mogę z tobą przez chwilę porozmawiać?

– Och – westchnął Ian, wreszcie trochę podenerwowany, choć jak na gust Kate o wiele za mało. – Niestety, nie mogę się spóźnić do szkoły.

– Tak, mamy test z chemii – włączyła się dziewczyna, bezczelnie wymachując palcem pod samym nosem Kate. – Więc może innym razem.

Kate zacisnęła zęby, by nie chwycić tego palca.

– Proszę – powiedziała łagodniej, zmieniając taktykę z nadzieją, że wzbudzi w nim współczucie. – To

potrwa tylko chwilę, obiecuję.

– Tak, tylko że chwila to za długo i... – Dziewczyna umilkła, gdy Ian spojrzał na nią ze zdziwieniem, zbulwersowany jej zachowaniem. – Przepraszam – bąknęła.

– Spotkamy się w klasie, Susan – rzucił Ian. – Powiedz panu Hale’owi, że coś mnie na chwilę zatrzymało.

Gdy Susan poszła, zwrócił się do Kate:

– Co mogę dla pani zrobić, pani Baron?

Wepchnął ręce głęboko do kieszeni. To był chłopięcy gest, niepasujący do kogoś, kto poza tym wydawał się taki dojrzały. Jakby Ian celowo usiłował wyglądać na bezbronnego.

– Co ty i Amelia robiliście u nas w domu w środku zajęć?

– W środku zajęć? W domu Amelii?

Ian próbował udawać głupiego, nie był jednak ani trochę przekonujący.

– Moja sąsiadka cię widziała. Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzyło. Dlaczego byliście razem?

– Co się wydarzyło? – Ian szeroko otworzył oczy. – Chyba nie myśli pani, że...

– Nie, nie myślę, że ze sobą spaliście. Tylko nie rozumiem, co robiliście we dwoje w naszym domu w środku dnia – powtórzyła.

Oczywiście przez głowę przemknęła jej myśl o narkotykach. Teraz niemal wszystko wydawało się możliwe. Ian zdecydowanie wyglądał na obytego typa, który mógł robić Bóg wie co.

– Cokolwiek to było, nikomu nie powiem. Chcę tylko... muszę wiedzieć, co się stało mojej córce. Muszę wiedzieć, co robiła.

Ian na chwilę przymknął oczy, potem spojrzał ponad ramieniem Kate, jakby się zastanawiał. W końcu spuścił wzrok i zaczął ryć w ziemi tenisówką.

– Musiałem to zrobić dla swojego klubu, a Amelia dla swojego. Szczerze mówiąc, nie chciałem tego robić. Uparła się.

– Czego nie chciałeś robić? – spytała Kate. Jej serce biło teraz mocniej.

– Tych zdjęć – odparł swobodniejszym tonem.

– Tych opublikowanych na blogu?

Kate usiłowała się powstrzymać, ale przed oczami miała tylko obraz swojej słodkiej dziewczynki zdejmującej ubranie i wypinającej tyłek przed tym przystojnym, zadowolonym z siebie obiektem szkolnych westchnień. Jakie to miało znaczenie, że jej córka była lesbijką, skoro on nie był gejem?

– To ty zrobiłaś Amelii te zdjęcia?

Patrząc na Iana Greene’a, na ten niedbały, swobodny sposób, w jaki stał, Kate pomyślała o wszystkich chłopakach, którzy potraktowali ją tak, jakby tylko oni decydowali o tym, ile jest warta. O każdym mężczyźnie, któremu pozwoliła wierzyć, że to prawda. Dla Amelii pragnęła lepszego życia.

– To nie były żadne brudy – uśmiechnął się Ian.

Zupełnie nie dostrzegł furii, która musiała pojawić się na twarzy Kate. Bo teraz to czuła: wściekłość

bijącą ze wszystkich porów jej skóry.

– Właściwie myślę, że te zdjęcia są całkiem ładne. Jak mogłoby być inaczej? Amelia była taka wysportowana. Z pewnością nie tylko dziewczyny umiały to docenić.

Upłynęła chwila, nim Kate zdała sobie sprawę, że uderzyła go w twarz. Mocno i więcej niż raz. Wyraz oszołomienia na twarzy Iana Greene'a, czerwony ślad na jego policzku i pulsujący ból w jej ręce. Gdy tylko zdołała ocenić sytuację, zapragnęła uderzyć go jeszcze raz. Chciała go bić i bić, aż coś w niej poczuje się lepiej. I może by to zrobiła, gdyby zwalisty ochroniarz nie nadbiegł i nie złapał jej za ramię.

– Hola, proszę pani! – krzyknął ze zszokowaną miną. – Co pani, u diabła, wyprawia?!

– Uderzyła ucznia w twarz. – Pani Pearl zwróciła się do Lewisa. – Niesprowokowana i na oczach kilkudziesięciu świadków.

W gabinecie dyrektora pani Pearl zza gigantycznego mahoniowego biurka spoglądała na Lewisa i Kate siedzących na krzesłach dla gości. Skulona Kate czuła się jak nadąsana uczennica szkoły średniej, Lew odgrywał rolę zawiedzionego, ale opiekuńczego ojca. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu.

– Tak, rozumiem to – powiedział cicho. – I z pewnością byłoby lepiej, gdyby do tego nie doszło. Jestem pewien, że pani Baron przeprosi Iana i...

– Przeprosi? – syknęła pani Pearl. – Żartuje pan, poruczniku. Ona napadła Iana Greene'a. Na nieletniego. O ile się nie mylę, to przestępstwo, a pan jest policjantem. Zastanawiam się, dlaczego jeszcze jej pan nie aresztował.

Lew przez dłuższą chwilę kiwał głową, patrząc w podłogę.

– Niech będzie – powiedział w końcu, jakby nie miał nic przeciwko temu. – Aresztowanie oznacza sprawę w sądzie. I podczas tej rozprawy pani Baron przedstawiałaby linię obrony opierającą się na zmniejszonej poczytalności w chwili popełnienia czynu. – Kręcił głową, zastanawiając się nad konsekwencjami. – Wie pani, co by to oznaczało.

Pani Pearl przewróciła oczami.

– Nie, poruczniku Thompson, nie wiem. – Popukała ołówkiem w biurko. – Proszę, z łaski swojej, mnie oświecić.

– Pani Baron musiałaby wyjawić wszystko, co wie o tych tajnych klubach, a co za tym idzie, również o tych półnagich zdjęciach. – Przerwał i zakręcił palcami, pokazując coś w rodzaju obracających się kółek. – Wtedy jej obrońca musiałby wdać się w szczegóły tego, jak Amelia i Ian Greene urwali się ze szkoły na małą sesję zdjęciową. Trudno mi sobie wyobrazić, że rodzice chłopaka chcą, by cokolwiek z tego ujrzało światło dzienne. Może pomyśleliby nawet, że ich syn zasłużył sobie na solidny policzek. Jestem natomiast w stu procentach przekonany, że rodzice z Grace Hall nie mają ochoty, by szkoła, za którą zapłacili tyle pieniędzy i dająca złoty bilet wstępu do Ligi Bluszczowej, stała się znana z pornografii. – Lew przerwał i spojrzał pani Pearl prosto w oczy. – Och, i będą jeszcze reporterzy. Taka szkoła i taki seksowny skandal? Prasa oszaleje.

Kate najchętniej mocno wyściskałaby Lewisa, gdyby nie to, że był tak wyraźnie nią rozczarowany.

– Więc dobrze. – Pani Pearl znów postukała w biurko, po czym wstała. – Ale pani Baron musi natychmiast opuścić teren szkoły. Zanim narobi więcej szkód. I niech tu nie wraca, nigdy.

– Muszę się najpierw zobaczyć z panem Woodhouse’em – rzuciła Kate z paniką w głosie.

Wiedziała, że przegina. Mimo to nie mogła przecież opuścić Grace Hall, najpierw się z nim nie spotkawszy. Musiała spojrzeć mu prosto w oczy, by wiedzieć, czy mówił prawdę. I musiała usłyszeć odpowiedzi od Liv, natychmiast.

– Gdy rozmawiałam z nim przez telefon, mówił, że mogę przyjść bez zapowiedzi. Jest coś jeszcze, o czym muszę porozmawiać z Liv Britton.

Pani Pearl zaśmiała się, zde gustowana.

– Żartuje pani, tak?

– Nie, nie żartuję – powiedziała cicho Kate. – Rozumiem, że to, co zrobiłam, było złe, ale to nie sprawia, by wszystkie pytania dotyczące Amelii po prostu zniknęły.

– Chyba jednak to pani powinna stąd zniknąć, pani Baron – odparła Pearl. – Jestem skłonna założyć, że pani oburzające zachowanie jest wynikiem tego, przez co pani przeszła, ale wyczerpała pani zasoby mojej dobrej woli.

Kate rozejrzała się dookoła.

– Czy pan Woodhouse w ogóle tu jest? Gdyby był, siedziałby tutaj, w swoim gabinecie. Nie ma go, prawda? Czy on w ogóle tu kiedyś bywa?

Pani Pearl spojrzała na Lewisa.

– Poruczniku Thompson, mówię po raz ostatni. Ona musi natychmiast opuścić teren szkoły.

Lew chwycił Kate za łokieć i niemal podniósł ją z krzesła.

– Chodź – powiedział. – Powinnaś zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Nie! – krzyknęła Kate, wyszarpując rękę. – Nigdzie się nie ruszę, dopóki nie usłyszę odpowiedzi!

– Popatrz na mnie – powiedział Lew, pochylając się nad nią i patrząc jej prosto w oczy. Jego głos przeszedł nagle w złowrogi pomruk. – Wstawaj i wyjdź przez te drzwi. Już!

Kate zbiegła po frontowych schodach przed Lewisem i przemaszerowała spory odcinek, nim odwróciła się na pięcie.

– Więc to tak! – krzyknęła. – Pozwalasz, żeby im to uszło na sucho! Tak po prostu!

Lew zatrzymał się przed Kate ze zmęczoną miną i wziął głęboki oddech. Założył ręce na piersi, jego twarz wyrażała coś pomiędzy poirytowaniem a litością.

– Nie miałam nawet okazji ci powiedzieć, że to Liv Britton jest autorką gRaCeFULLY – ciągnęła Kate. – Duncan w końcu ją namierzył. Pisała wszystkie te straszne rzeczy o dzieciach, które uczy. Pisała o Amelii. Ona kłamie. Okłamała nas w żywe oczy. Może kłamała też w sprawie tego wypracowania.

– To z pewnością coś, za co będzie musiała odpowiedzieć.

– Świetnie. Możemy zatem wrócić i z nią porozmawiać? – Kate zrobiła krok w stronę szkoły.

Lew położył jej rękę na ramieniu.

– Nie, nie ty. Dość już zaszkodziłaś. Jeśli będziemy mieli szczęście, rodzice tego chłopaka nie wezwą policji. Jeśli to zrobią, nie będę w stanie ich powstrzymać, by cię nie aresztowano.

– Ale...

– Nie – powiedział stanowczo Lew. – Ja wrócę tam i porozmawiam z tą nauczycielką. Przycisnę ją o blog i o wypracowanie Amelii. Ty wracasz do domu. Odpocznij. Poukładaj sobie wszystko w głowie. Kiedy skończę, zajrzę do ciebie i powiem ci, czego się dowiedziałem. – Ruszył w stronę szkoły, ale przystanął. Wyciągnął z kieszeni jakąś karteczkę i podał ją Kate. – Prawie zapomniałem. Będziemy musieli poczekać na odpowiedź z firmy telekomunikacyjnej w sprawie anonimowych wiadomości do ciebie i Amelii. Informatycy namierzyli adres Bena. Nie mieszka w Albany.

Kate spojrzała na adres wypisany na karteczce: Piąta Aleja 968, 6 C.

– Dzieciak jest miejscowy i zadał sobie trud, żeby nakłamać o tym, gdzie mieszka. To znów stawia go na samym szczycie mojej listy.

Kate nie była w stanie oderwać oczu od adresu. Dlaczego jakiś chłopak z Manhattanu miałby kłamać, że mieszka w Albany? Nie przychodziły jej do głowy żadne dobre powody.

– Twojej listy? – spytała cicho.

– Ludzi, których będziemy brać pod uwagę, póki sami się nie wykluczą. Dylan, Zadie, reszta Srok, może nawet Woodhouse i ta nauczycielka angielskiego. Wszyscy są wciąż na liście. Ale dzieciak, który kłamał, gdzie mieszka i kim jest? Który powiedział, że jedzie się spotkać z Amelią tuż przed jej śmiercią? On musi wiele wyjaśnić. Dostałem adres dopiero dziś rano. Niedługo powinienem wiedzieć, kto tam mieszka. Czy ten adres z czymś ci się kojarzy?

– Nie – odparła Kate, żałując, że nie jest inaczej. – Pójdziemy z nim porozmawiać?

– Ja pójdę. Tym razem nie wpadaj na żadne absurdalne pomysły. Dobranie się do jakiegoś dzieciaka z Grace Hall to jedna rzecz, a to, kim jest ten cały Ben czy co może próbować ukryć, druga. Gdy ktoś jest winny, może być niebezpieczny.

Kate dotarła do domu i zobaczyła kuriera taszczącego na jej schody jakieś wielkie pudło. Podpisała odbiór i wzięła je od niego ostrożnie, jakby w środku mogła być bomba. Wiedziała, że nie znieśli kolejnych wydruków od Duncana. I tak miała ich mnóstwo, a wciąż pozostały jej do przejrzenia sterty SMS-ów i część maili. Spojrzała na notatkę przyklejoną na górze:

Do: Kate Baron

Od: Phillip Woodhouse

Prywatne i poufne

Zataszczyła ciężkie pudło na kuchenny stół i gapiła się na nie przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie je otworzyła, zobaczyła sterty skserowanych dokumentów; niektóre były pisane odręcznie, inne na

komputerze. Była tam też karteczka od Woodhouse'a.

Załączam protokoły z zebrań zarządu szkoły i notatki z wizyty Amelii u szkolnego psychologa w Grace Hall. Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej. Czuję, że mam związane ręce. Teraz wiem, że to była głupia wymówka. Przyjąłem tę pracę, bo Grace Hall miało mi pomóc otworzyć szkołę społeczną na Bronksie. Teraz zdaję sobie sprawę, że to również mogło być kłamstwem. Przepraszam, że nie mogłem... nie zrobiłem więcej, by pomóc Amelii. Świat bez niej jest smutniejszym miejscem.

Godzinę później Kate wiedziała więcej, niż sobie życzyła, na temat klubów w Grace Hall i środków, jakie podjęto – lub jakich nie podjęto – by powstrzymać ich działalność. Wiedziała o Srokach, które pojawiały się w SMS-ach Amelii i okazały się tym, czego Kate się po nich spodziewała. Wkrótce po tym, jak półtora roku wcześniej Sroki i pozostałe kluby pojawiły się na nowo, zarząd szkoły – w porozumieniu z prawnikiem wynajętym przez Adele Goodwin – wydał administracji instrukcje, by przymknęła na to oko. Według tego prawnika, który, jak się wygodnie składało, nie był nawet fizycznie obecny (Kate szybko zaczęła podejrzewać, że była nim Adele), niewiedza miała być najlepszą obroną szkoły w przypadku przyszłych komplikacji. Według teorii przedstawionej przez Adele, ponieważ Grace Hall nie byłoby w stanie skutecznie powstrzymać działań klubu poza terenem szkoły, realną alternatywą było jedynie całkowite zdystansowanie się od tej działalności.

Z protokołów wynikało, że niektórzy członkowie zarządu szkoły stanowczo się temu sprzeciwili, najdobitniej Woodhouse. Posunął się on nawet do stwierdzenia, że jest gotów zaryzykować sprawę sądową wytoczoną przeciwko niemu osobiście, jeśli to by oznaczało, że będzie mógł powstrzymać kluby. W jednym miejscu nazywał Sroki „potencjalnie bardziej szkodliwymi niż jakikolwiek narkotyki, a z pewnością bardziej destrukcyjnymi”. Mówił o zagrożeniach związanych z próbami przed przyjęciem do klubu oraz o ryzyku nękania. Zagroził nawet odejściem.

W trakcie serii zebrań, które ciągnęły się przez całą ubiegłą wiosnę, Adele złamała opór pozostałych członków zarządu. Jej wyjątkowo skuteczne podejście polegało na wykorzystaniu słów Woodhouse'a przeciwko niemu samemu. Jeśli kluby są potencjalnie tak niebezpieczne, argumentowała, Grace Hall mogło zostać pociągnięte do odpowiedzialności za wszelkie wyrządzone przez nie krzywdy. Jednak szkoła oraz jej administracja mogły być za to odpowiedzialne jedynie w przypadku, gdyby były świadome istnienia klubów. Intensywne wysiłki, by usunąć kluby ze szkoły – straszenie zawieszeniem za udział w nich, wprowadzenie do kodeksu zachowań ucznia zapisu o jego naruszeniu w przypadku uczniów sprzeciwiających się podaniu nazwisk innych członków klubu, czego Woodhouse nadal był zwolennikiem – byłyby w rzeczywistości, jak ostrzegała Adele, domniemanym przyznaniem się szkoły do odpowiedzialności, również w prawnym tego słowa znaczeniu.

Podczas gdy zarząd szkoły niechętnie się podporządkował, Woodhouse znów zagroził odejściem, jeśli nie będzie mu wolno podjąć działań przeciwko klubom. Jediną zaprotokołowaną odpowiedzią była odpowiedź Adele. I ktokolwiek sporządzał ten protokół, zapisał ją dokładnie co do słowa.

Może powinieneś zajrzeć do swojej umowy, Phillipie. Według mnie przekonasz się, że wcale nie musisz odchodzić. Możemy cię zwolnić za podjęcie jakichkolwiek działań niezgodnych z życzeniami zarządu szkoły. Stracisz pracę i świadczenia. Będziesz musiał zwrócić pieniądze, jakie dostałeś na przeprowadzkę. Że nie wspomnę o odszkodowaniu za poniesione przez nas szkody, do którego mamy prawo. Umieściliśmy tę kwotę w twoim kontrakcie. Lepiej sprawdź, ale wydaje mi się, że jest sześciocyfrowa. To spora cena za to, by udowodnić swoją rację, zwłaszcza że gdy zostaniesz zwolniony, nie będziesz w stanie jej udowodnić.

W protokole nie znalazła się oczywiście żadna wzmianka o minie, jaką miała wtedy Adele. Kate poznała ją jednak i potrafiła sobie wyobrazić: piękna i jadowita. W dokumentach nie umieszczono również żadnej wzmianki o Zadie ani żadnym innym uczniu. Nie było takiej potrzeby. Było oczywiste, że Adele nie działała w najlepszym interesie szkoły. Działała w najlepszym interesie dziecka, którego nie była w stanie kontrolować.

Ostatnim protokołem, jaki Kate wzięła do ręki, był ten z zebrania tuż po śmierci Amelii, kiedy zarząd postanowił wcielić w życie nowe środki bezpieczeństwa. „Woodhouse uważa, że jest zbyt wcześnie, by potwierdzić samobójstwo” – brzmiało pierwsze zdanie. Potem Adele złożyła wniosek, by dalsza część zebrania nie była protokołowana. W punkcie, w którym znów podjęto protokołowanie, dyskusja dotyczyła czegoś innego. Woodhouse nie wziął w niej udziału.

Kate wciąż wpatrywała się w dokumenty, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Na ganku stał Lew.

– Rozmawiałeś z Liv? – spytała, z impetem otwierając drzwi.

Ponuro pokiwał głową.

– Wydawało jej się, że to może ją zbliżyć do dzieciaków, tak twierdzi. Że nie chciała nikomu zrobić krzywdy.

– Tylko tyle? To całe wyjaśnienie?

– Nie patrz tak na mnie. To nie moja wymówka.

– Skoro o wszystkim wiedziała, musiała też wiedzieć, co robiły Sroki – powiedziała Kate. – Mogła je powstrzymać. Jak mogła tego nie zrobić? Ona jest za to wszystko odpowiedzialna.

– Masz rację. Ona o tym wie. Choć to niewspółmiernie mało, musi z tym żyć aż do śmierci.

Facebook

23 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

Czuła się bardzo młoda i jednocześnie niewypowiedzianie stara [7](#).

Virginia Woolf, *Pani Dalloway*

Amelia

24 PAŹDZIERNIKA

– Na razie, mamó! – zawołałam, biegnąc przez kuchnię w stronę drzwi.

– Hola! – podniosła wzrok znad „New York Timesa” leżącego przed nią na kuchennym blacie. Miała na sobie kostium, włosy upięła w kok. Ważne spotkanie, sąd – to były jedyne powody, dla których tak się odstawiała. – Gdzie ci się tak spieszy?

– Nigdzie – wysapałam, wracając po jabłko. – Spotykam się z Sylwią, to wszystko.

Objęłam ją ramieniem i przytuliłam.

– Chwileczkę, Amelio, poczekaj. – Miała podejrzliwą minę. – Myślałam, że chcesz porozmawiać o tym semestrze w Paryżu. Zarezerwowałam na to czas, porozmawiajmy o tym teraz. Póki tu jestem.

Minęła chwila, nim sobie przypomniałam, o czym mówi. Potem to do mnie dotarło: szurnięty plan Bena, żeby opuścić szkołę i zaszyć się w Europie. Prawie o tym zapomniałam.

– Nie ma potrzeby – odparłam, ruszając do drzwi. – To już nieważne.

– Amelio, nie zachowuj się tak. Naprawdę możemy o tym porozmawiać. – Teraz wydawała się zmartwiona. – Nie cieszy mnie myśl o tym, że tak długo mogłoby cię nie być, ale naprawdę jestem gotowa cię wysłuchać z otwartym umysłem. Wczoraj mi się spieszyło, ale słyszałam, jakie to dla ciebie ważne. Proszę, nie traktuj mnie w ten sposób.

Widziałam po jej twarzy, że jest przejęta, jakby nie spała przez większą część nocy i zastanawiała się nad tym. Zrobiło mi się głupio. Mama zawsze się zamartwiała o niewłaściwe rzeczy. I to nie była nawet jej wina. Mogłam jej o wszystkim powiedzieć. Pewnie powinnam była to zrobić, tak jak sugerowała mi doktor Lipton. Ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Miałam dobre przeczucie. Wszystko jeszcze się jakoś ułoży.

– To już nieważne, mamó. Naprawdę – powiedziałam, patrząc jej w oczy. – Nie zależy mi, żeby jechać. Nawet wolę zostać.

– Jesteś pewna?

– Tak, mamó. Całkowicie. Na sto procent.

– Dobrze – powiedziała, przytulając mnie mocno. Wciąż wyglądała, jakby mi nie wierzyła. – O ile jesteś pewna.

Gdy szłam na spotkanie z Sylwią, która miała czekać na mnie za rogiem, czułam się dobrze. Moje relacje z mamą wreszcie wyszły na prostą i nawet zdecydowałam odłożyć na półkę zastanawianie się, kto był moim tatą. Po tym, jak postanowiłam, że nie chcę dalej czytać pamiętników mamy, doszłam do wniosku,

że po prostu nie będę się przejmować, kim naprawdę był mój tata. Przez całe życie go nie znałam. Jakie miałyby znaczenie, gdybym poznała go teraz? Pomagało to, że przestały przychodzić te SMS-y o mnie. Opowiedziałam nawet Sylvii o Dylan i Srokach, a ona mi wybaczyła. Żadnych więcej sekretów, żadnych wyrzutów sumienia. Było słonecznie i prawie ciepło, jakby nadchodziła wiosna, a nie kończyła się jesień. To wszystko wydawało się jakimś znakiem. Może jednak wszystko się ułoży? Może nawet mój mail do Dylan zmieni wszystko i będzie wspaniale jak dawniej?

Może faktycznie mogłam sama wymyślić odpowiedzi, tak jak mi kazała doktor Lipton. Ale o wiele lepiej było zwrócić się z tym prosto do źródła. Nie próbowałam odzyskać Dylan ani nic takiego. To znaczy gdybym ją odzyskała, byłoby świetnie, cudownie i w ogóle. Chociaż najpierw Dylan musiałaby się poważnie wytłumaczyć.

O tym akurat nie wspominałam ani Sylvii, ani Benowi. Powiedziałam im, że nie wróciłabym do Dylan, bez względu na rozwój wydarzeń. Bo to właśnie chcieli ode mnie usłyszeć. Sylvia kazała mi nawet potwierdzić, że w ogóle o tym nie myślę, zanim pomogła mi napisać ten mail. Oświadczyła, że nie zamierza siedzieć i pozwalać, bym robiła z siebie idiotkę dla jakiejś dziewczyny, która zdecydowanie na mnie nie zasługuje. Wciąż i wciąż powtarzała jak jakieś zaklęcie, że Dylan nie jest dla mnie dość dobra, gdy pracowałyśmy nad tym mailem. Wiedziała, że próbuje mi pomóc, ale to było trochę irytujące. Właściwie strasznie irytujące, zwłaszcza z jej ust. Bądź co bądź na przestrzeni lat pozwoliła przecież, żeby jakiś mniej więcej milion facetów potraktował ją jak gówno.

Nie żałowałam, że wytrzymałam opieprzanie przez Sylvię, bo napisała do Dylan niesamowity – i nawet niezbyt miły – mail. Naprawdę wiedziała, jak trafić w sedno i nie sprawiać wrażenia totalnie zrozpaczonej. Niektóre zdania wydały mi się nawet trochę ostre, co sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy Sylvia potrafiłaby być tak twarda dla któregośkolwiek ze swoich chłopaków. Przekonała mnie jednak, że najlepiej działa metoda kija i marchewki. Jeśli dajesz komuś do zrozumienia, że nie pozwolisz się traktować bez szacunku, to ten ktoś jeszcze bardziej cię pragnie. Tak przynajmniej według Sylvii jest z facetami. Może u dziewczyn jest inaczej, ale ona szczerze w to wątpi.

Po wyjściu Sylvii przemyślałam do maila łagodniejsze rzeczy. O tym, że Dylan była pierwszą osobą, w której się zakochałam, i że zawsze tą osobą pozostanie. Na końcu dodałam jeszcze dwa zdania: „Myślę, że mogę zapomnieć o wszystkich tych złych rzeczach, które się stały. Pragnę tylko, żebyśmy znów były razem”.

Sylvii by się to nie spodobało. Benowi zresztą też. Powiedzieliby, że przez to wyglądam jak jakieś zdesperowane biedactwo. Może tym właśnie byłam. Kiedyś Dylan powiedziała, że według niej to słodkie. Prawda była taka, że tęskniłam za nią. Ten mail był pewnie moją ostatnią szansą, by wszystko zmienić, nie mogłam zaryzykować i nie powiedzieć absolutnie wszystkiego, co czułam. Uniosłam palce i kliknęłam „wyślij”.

– Przyszło już coś? – spytała Sylvia, gdy spotkałyśmy się na rogu.

– Nie wiem – odparłam. – Kiedy wychodziłam, nic nie było.

– No dalej, sprawdź jeszcze raz – naciskała. Wydawała się prawie równie nakręcona jak ja.

Weszłyśmy na Prospect Park West. Wyciągnęłam iPhone'a. Wtopiłyśmy się w strumień uczniów idących do szkoły. Rozejrzałam się, zanim sprawdziłam maile. Nie chciałam, by Dylan zobaczyła, że mam taką obsesję. Nawet ja miałam odrobinę dumy. W skrzynce znalazłam nową wiadomość od Bena.

– Nic.

Nie przypuszczałam, że Dylan mi odpisze o tej porze, gdy wszyscy pędzą do szkoły. Ale pragnęłam tego. Szłyśmy dalej z Sylwią, nie odzywając się do siebie, ja zapatrzona w swój telefon, ona w swoje spiczaste kozaczki. Nagle obok nas przebiegł George McDonnell i mocno klepnął Sylwię w tyłek.

– Dupek! – krzyknęła za nim, lecz gdy spojrzała na mnie, uśmiechała się. Może i z Ianem jeszcze się nie skończyło, ale już przymierzała się do innych opcji. – Może go jeszcze nie dostała? – spróbowała mnie pocieszyć. Nie zabrzmiało to tak, jakby w to wierzyła. – A jeśli nie odpisze, to znaczy, że jest skończoną suką, i pogódźmy się z tym. To by nie było jakieś wielkie zaskoczenie. W końcu przyjaźni się przecież z Zadie, no wiesz.

Uniosła znacząco brwi. Próbowwała mi poprawić humor.

– Pewnie – odparłam, gdy wchodziliśmy po szkolnych schodach. Bo nie było sensu jej mówić, że to kompletnie nie działa. – Absolutnie.

Przechodziłyśmy przez frontowe drzwi, kiedy zauważyłam, że Carter i George oglądają się za nami. Potem zauważyłam, że inni z naszej klasy – Kylin, Matt S., Raoul – też na nas patrzą. Miałam wrażenie, że dosłownie wszyscy się na nas gapią. Albo na mnie. Właściwie gapili się na mnie. Szeptali i kiwali głowami, tak jak wcześniej Sroki. Ale Sroki robiły to, bym wiedziała, że mówią o mnie coś złośliwego; ci ludzie wyglądali tak, jakby robili to mimowolnie. Im dłużej się rozglądałam, tym bardziej to zauważałam – gapienie się, szept.

– Dlaczego wszyscy na mnie patrzą? – spytałam Sylwię, opierając się plecami o ścianę rotundy obok tego okropnego zdjęcia striptizerki. Kiepsko wybrałam miejsce, by się zatrzymać.

– Co masz na myśli? – spytała Sylvia. Patrzyłam na nią, gdy się rozglądała. Widziała to samo co ja, ale usiłowała nie pokazać tego po sobie. – Nikt na ciebie nie patrzy.

Oczywiście gapili się i ona to dostrzegła. Poczułam, że ścisza mi się gardło. Patrzyłam w oczy kolejnym ludziom: chichotali, złośliwie się uśmiechali. Niektórych znałam. Innych nie. Ci, których znałam, jakby próbowali to ukryć, ale i tak dostrzegałam w ich oczach śmiech.

– Dziewczyny z Grace! – krzyknął ktoś z tłumu. – Uwolnijcie swoją szaloną miłość!

Parę osób zaczęło gwizdać. Ktoś krzyknął:

– O jeeee! O jeee!

– Ziomal, wrzuć to na YouTube'a!

– Szszszszsz! – syknęła pani Pearl, pojawiając się w rotundzie jak jakiś duch. Unosiła długi, szary palec do swojej długiej, szarej twarzy. – Uciszcie się! Jesteście w szkole. Okażcie trochę szacunku.

Natychmiast wyłączcie i schowajcie telefony albo zaraz staną się moją własnością!

– Pearly – wychrypiał ktoś – chce kraść telefony!

Krzyki i chichoty rozlały się jak fala. Oczy Sylvii stały się wielkie i okrągłe. Zero wątpliwości – ona też to widziała. Stałyśmy tak przyciśnięte do ściany, a ludzie ignorowali komunikat pani Pearl na temat komórek, przekazywali je sobie z rąk do rąk, czytali, przesuując palcami po ekranach. Co chwilę ktoś podnosił wzrok i spoglądał prosto na mnie.

Nagle Sylvia chwyciła mnie za ramię.

– Spadajmy stąd – szepnęła i pociągnęła mnie przez tłum, rozpychając ludzi. – Spierdalać mi z drogi, durni zasrańcy!

Moje stopy wydawały się ciężkie i ogromne. Potykałam się, gdy Sylvia ciągnęła mnie korytarzem w stronę gabinetów. W połowie drogi zatrzymała się i zaczęła dobijać się do higienistki. Pani Appleman otworzyła od razu. Najwyraźniej zerwała się zza biurka, przy którym przeglądała ulotki z Macy's. Przycisnęła rękę do kościstego tułowia.

– Co się stało? – Wydawała się przerażona, że będzie miała zaraz do czynienia z prawdziwym wypadkiem.

– Kręci jej się w głowie i ma okres – wyjaśniła Sylvia. – Musi tu parę minut posiedzieć. – Potem zwróciła się do mnie: – Zostań tu. Zaraz wrócę.

Zniknęła za drzwiami. Pani Appleman odchyliła się, chwytając krawędź biurka, jakby się bała, że mogą mieć ebolę.

– Jesteś pewna, że to tylko menstruacja?

Wrzaski dzieciaków na korytarzu przycichły. Zaczynały się pierwsze zajęcia. Wiedziałam, dlaczego Sylvia wyszła. Chciała zobaczyć, co wszyscy oglądali. Dodała dwa do dwóch, tak samo jak ja: ktoś rozesłał jakieś SMS-y. Coś o mnie. Sroki wreszcie zrobiły to, czym od początku mi groziły: rozesłały moje półnagie zdjęcia. Najgorsze było to, że nie wspomniałam nawet Sylvii o tych zdjęciach; byłam za bardzo zażenowana. Teraz dowiedzą się wszyscy.

Nagle zrobiło mi się naprawdę niedobrze. Byłam zamroczona, poczułam, że mi gorąco. Moje dłonie się pociły, mrowiła mnie twarz. Opadłam ciężko na sztywną skórzaną kozetkę, gniotąc pokrywające ją papierowe prześcieradło.

– Będiesz wymiotować? – zapiszczała pani Appleman. – Jeśli chce ci się wymiotować, proszę, spróbuj dobiec do toalety.

Pokręciłam głową i wbiłam wzrok w drzwi. Sylvia naprawdę długo nie wracała. Musiało być naprawdę źle. Tak źle, że nie chciała wrócić, by mi powiedzieć. Mogłam sprawdzić sama. Moja komórka była w torbie. Na pewno też dostałam ten SMS. Ale chciałam, by Sylvia podała mi okrojoną wersję. Siedziałam tak, gapiłam się w drzwi, czekałam.

Wreszcie Sylvia weszła powoli do środka. Nawet na mnie nie patrzyła.

– I co tam jest napisane? – spytałam.

– Jeśli czujesz się lepiej – odezwała się Applemanowa, nagle przybierając sarkastyczny ton – możecie przeprowadzić tę rozmowę na korytarzu. Ten gabinet jest przeznaczony dla uczniów, którzy są naprawdę chorzy.

Zignorowałyśmy ją, patrzyłyśmy sobie w oczy. W końcu Sylvia odwróciła się i opadła na twardą kozetkę obok mnie. Wzięła głęboki oddech, podparła ręce na kolanach i powiedziała, patrząc w podłogę:

– To twój mail do Dylan. Ktoś go rozesłał – powiedziała cicho. – Cały.

Applemanowa w końcu nas wyrzuciła. Sylvia rozejrzała się nerwowo po pustym korytarzu.

– Pieprzyć ich wszystkich. I tak o tym zapomną, nim wyjdzie następne gRaCeFULLY.

Jeszcze nigdy nie widziałam Sylvii tak zdenerwowanej. Wiedziała równie dobrze jak ja, że ludzie nieprędko zapomną taki mail.

Gdyby to dotyczyło faceta albo gdyby wszyscy już wiedzieli, że jestem lesbijką, i tak byłoby żenujące. Ale żeby się zdradzić własnym błagalnym mailem? Dzieciaki w Grace Hall będą się tym nakręcać całymi latami. Chciałam umrzeć. Chciałam, żeby moje serce przestało bić. Zamknęłam oczy i próbowałam zmusić je do tego siłą woli.

– Nic mi nie będzie – powiedziałam po chwili. Oczywiście to było kłamstwo, ale chciałam, żeby sobie poszła. – Powinnaś iść na zajęcia. Zawieszają cię, jeśli znów się spóźnisz.

– Hej! Co to ma być?! Jakieś pogaduszki?! – wrzasnął do nas Will z drugiego końca korytarza. – Zmiatajcie do klasy albo marsz do gabinetu pani Pearl. Wybierajcie.

Następną rzeczą, z jakiej zdałam sobie sprawę, było to, że siedzę na zajęciach Liv, która opowiada o książce *Wściekłość i wrzask*. Nie pamiętałam nawet, kiedy opuściłam korytarz, ale byłam tu, a Liv mówiła o kolejnej lekturze do przeczytania, coś o strukturze narracyjnej. Przejmowała się tym tak, jakby to naprawdę miało jakieś znaczenie.

Heather i Bettany siedziały po drugiej stronie klasy pod oknem. Czułam, jak się na mnie gapią przez cały wykład Liv. A ja przez ten cały czas modliłam się, by się rozpląnąć w powietrzu.

Napisałam Dylan, że ją kocham. Że pragnę, by też mnie kochała. Nie kochała mnie; to było oczywiste. Teraz wiedział o tym cały świat.

Musiałam się wydostać z Grace Hall. Musiałam stąd uciec i nigdy nie wracać.

Ben. Może on mógłby pomóc. Zrobić coś, sama nie wiedziałam co. Miał przecież przyjechać. Obiecał, że przynajmniej spróbuje. Gdybym go namówiła, żeby teraz przyjechał, pomógłby mi zapomnieć o wszystkich w Grace Hall. Ben potrafił sprawić, że wszystko nie wydawało się takie straszne. Wciąż było smutne – ale smutne zabawnie, a nie tragicznie.

Zauważyłam, że ludzie wstają i zbierają się do wyjścia. Zajęcia widocznie się skończyły. Nawet nie zauważyłam, że Liv przestała mówić. Zostałam na miejscu, by szybko napisać Benowi SMS i sprawdzić, czy wybierze się na Brooklyn.

Heather i Bethany przechodziły akurat obok mojej ławki. Szły ramię w ramię, kołysząc biodrami. Ich

usta powiedziały bezgłośnie „lesba”. Mogłam tylko siedzieć i na nie patrzeć.

Czułam się tak, jakbym opuściła swoje ciało. Jakbym stała obok siebie i kręciła głową. Jak mogłam stać się tą osobą? Osobą w samym centrum głównianej plotkarskiej burzy? Bo była jeszcze ta druga Amelia. Ona nigdy nie wstąpiłaby do klubu ani nie uganiałaby się za dziewczyną, która tego nie chce. Nigdy nie zrobiłaby z siebie takiej idiotki.

AMELIA

Jesteś w NY?

Siedziałam, wstrzymując oddech, i czekałam, aż on – moja ostatnia deska ratunku – mi odpisze. Upłynęła wieczność, zanim przysłała odpowiedź.

BEN

Jestem na Times Square!! Ale zarabicie!! KOCHAM NY!!!

AMELIA

kiedy możesz dotrzeć na Brooklyn?

BEN

Nie wiem. Może nie będę mógł. Wiesz, że chcę ale...

AMELIA

PROSZĘ. Musisz.

Wstukałam adres Grace Hall. Dodałam, że zrozumiem, jeśli nie przyjedzie. Choć strasznie chciałam, by przy mnie był, nie zamierzałam mu psuć zabawy z tatą. To nie jego wina ani problem. Ani Sylvii, choć tak bardzo liczyłam, że może mnie uratuje.

To ja byłam tak głupia, żeby wstąpić do Srok. To ja napisałam w mailu te dodatkowe rzeczy, choć Sylvia powiedziała, że to kiepski, bardzo kiepski pomysł. W głębi duszy wiedziałam, że miała rację. A jednak, też w głębi duszy, wciąż się modliłam, by istniało jakieś magiczne wyjaśnienie, że ten mail nie wydostał się na światło dzienne z winy Dylana.

– Amelio? – spytała Liv.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam na nią. Byłam tak nieobecna duchem, że siedziałam na zajęciach z telefonem w dłoni, nie starając się go ukryć. Liv mogła zignorować wysłanie jednego szybkiego SMS-a, nic więcej. Nie chciałam, by pomyślała, że wykorzystuję naszą... no nie wiem... przyjacielską relację albo coś takiego.

– Przepraszam – powiedziałam, chowając telefon do torby. – To SMS od mamy. Prosiła, żebym od razu odpisała.

Liv pokręciła głową.

– Nie chodzi o twoją komórkę.

Gdy usiadła na krześle naprzeciw mnie, miała taką minę, jakby było jej niedobrze. Przez chwilę tak strasznie pragnęłam powiedzieć jej o wszystkim.

– Obawiam się, że chodzi o twoje wypracowanie z *Do latarni morskiej*.

– Wiem, że nie napisałam dokładnie o tym, co omawialiśmy – odparłam.

Poczułam się trochę lepiej, rozmawiając o wypracowaniu. Dzięki temu Dylan, SMS, wszystko inne zdawało się jakimś dziwnym, pokręconym snem.

– Myślałam, że to będzie w porządku, jeżeli napiszę dobrze.

Liv zmarszczyła czoło.

– To nie temat twojego wypracowania stanowi problem.

– Nie było dobre? – Nieprawdopodobne, by mogła powiedzieć coś takiego.

– Było w porządku, Amelio. O to też nie chodzi. – Wciągnęła ze świstem powietrze. – To nie było twoje wypracowanie. Na tym polega problem.

– O czym pani mówi?

– Wrzuciłam twoje wypracowanie do programu wychytującego plagiaty. Wszyscy nauczyciele z Grace Hall to robią. Od tego roku mamy taki obowiązek. W każdym razie twoje wypracowanie zostało oznaczone w wielu miejscach. To wypracowanie, które oddałaś, Amelio, jest plagiatem.

– Nie, nie jest. – Moje serce waliło jak szalone. – Napisałam to wypracowanie sama.

Liv zmarszczyła brwi, jakby było jej smutno. Z mojego powodu.

– To do ciebie niepodobne, Amelio. Wiem to – powiedziała, patrząc na mnie tak, jakby chciała zmusić mnie siłą woli do przyznania się. – Jeśli mi powiesz, co się stało, na pewno jakoś dojdziemy z tym do ładu.

Przez chwilę myślałam, że może popadam w obłąd. Że może ściągnęłam fragmenty czyjegós wypracowania i o tym zapomniałam. Wtedy do mnie dotarło: Sroki. Oczywiście, że to one. Bethany była asystentką Liv. Musiała jakoś podmienić moje wypracowanie.

Jak powiedzieć o tym Liv? One, Zadie, mówiły, że jeśli to zrobię, będą dręczyć Sylvię, zniszczą jej życie. Poznałam na własnej skórze, jak okropne jest dręczenie przez Sroki. Sylvia by tego nie przetrwała. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła – zwłaszcza po tym, jak była przy mnie, choć byłam taką beznadziejną przyjaciółką – nie mogłam jej popchnąć pod pędzącą ciężarówkę. Przyjmę ten cios. Niech świat myśli, że ściągałam.

– Chcę je zobaczyć. Te ściągnięte fragmenty.

– Dobrze, Amelio.

Liv podała mi kilka zszytych stron. Moje było tam tylko nazwisko. Wypracowanie z pewnością nie. Nawet tytuł się nie zgadzał. Przerzucałam automatycznie strony. Niektóre fragmenty były zakreślone – jakby przez program komputerowy. Na marginesie przy każdym widniało źródło.

Rozsyłanie moich prywatnych listów miłosnych do całej szkoły im nie wystarczyło? Zadie musiała zrobić jeszcze to? Czułam się tak, jakby ktoś wydrążył w moim ciele wielką dziurę. Jakby w środku mnie była pustka. A jednak wciąż się jakoś trzymałam.

– Amelio, proszę, powiedz mi, co się dzieje. Jeśli nie podasz mi wyjaśnienia, będę musiała to zgłosić

panu Woodhouse'owi jako naruszenie kodeksu, w przeciwnym razie dostanę wypowiedzenie. Powiedz! Może będę mogła znaleźć jakieś rozwiązanie dla nas obu. To do ciebie niepodobne, wiem. Amelio, spójrz na mnie.

Kręciłam głową, nie podnosząc wzroku. To było to. Sroki w końcu zwyciężyły. Zadie chciała zniszczyć mi życie i zniszczyła. Pozostawało tylko pogodzić się z klęską. Położyć się w klasie na podłodze i poczekać, aż wyniosą moje martwe ciało.

Amelia

24 PAŹDZIERNIKA, 12.02

AMELIA

proszę, potwierdź, że już jedziesz

BEN

kiepsko to wygląda ale wciąż próbuję

AMELIA

proszę proszę, potrzebuję cię

BEN

staram się...

AMELIA

tylko tyle? starasz się? potrzebuję cię tutaj, a ty co? WTF? teraz też kłamiesz?

BEN

jak to kłamię? mówiłem że się postaram; nic więcej. Nie mogę powiedzieć tacie żeby spierdalał.

AMELIA

sorry, masz rację; wpadłam w straszne gównno

BEN

jakie?

AMELIA

sroki namieszały z moim wypracowaniem z angielskiego; mówią, że ściągałam

BEN

jak to, namieszały?

AMELIA

nie wiem

BEN

pieprzyć te suki; chciałbym tam być i ci pomóc

AMELIA

nie chcę żebyś się pokłócił z tatą

BEN

jesteś ważniejsza niż to, że tata trochę się wkurzy; jesteś ważniejsza niż większość rzeczy na świecie

AMELIA

dzięki :). Tego mi było trzeba

Facebook

24 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

[...] samotny, skazany, opuszczony, samotny samotnością tych, co mają niebawem umrzeć, odnajduje w tym wszystkim cudowny smak zbytku, wspaniałe uczucie izolacji, swobody nie znanej ludziom skrepowanym więzami [8](#).

Virginia Woolf, *Pani Dalloway*

George McDonnell jednym słowem – prozac?

Kate

19 PAŹDZIERNIKA 1997, 03.56

Do: Kate Baron

Od: rowan637@aol.com

Temat: Ostatnia próba...

Cześć, Katie,

pomyślałem, że zawołam do Ciebie jeszcze raz, zanim wyruszę w głąb lądu...

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Nie martw się, nie zamierzam Cię prześladować ani zachowywać się dziwnie, jeśli mi nie odpiszesz. Zrozumiem to, naprawdę. Po prostu się nie przejmuj i dbaj o siebie. A jeśli kiedyś znajdziesz się w tych stronach, odszukaj mnie.

Będę Cię wypatrywał i nie pogaszę świateł.

Pokój z Tobą

Rowan

20 PAŹDZIERNIKA 1997, 09.15

DO: rowan627@aol.com

OD: Kate Baron

RE: Ostatnia próba...

Rowan,

przepraszam, że się nie odzywałam. Dziękuję, że do mnie piszesz. Uwielbiałam z Tobą rozmawiać i cieszę się, że się poznaliśmy. Ale coś się wydarzyło w moim życiu. Coś niespodziewanego. W każdym razie to zmieniło wszystko. Potrzebuję trochę czasu, żeby skupić się na sobie.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego. Jesteś wspaniałym człowiekiem. Uważam się za szczęściarę, że miałam szansę Cię poznać.

Xo

Katie

Kate

29 LISTOPADA

Kate usiadła na wilgotnej parkowej ławce naprzeciw domu na Piątej Alei numer 968. Było po ósmej wieczorem, ciemno. Siedzenie samej nocą na skraju parku trudno uznać za rozsądne, ale tutaj nie rzucała się w oczy i miała dobry widok na wejście do budynku. Kate wciąż nie była pewna, co zamierza zrobić. Jednak kiedy Lew wyszedł, nakazawszy jej nigdzie się nie ruszać, wiedziała, że znów sprawi mu zawód.

Kilka minut później przeszła na drugą stronę ulicy. Wysoki, elegancki portier pokazał jej gestem, by weszła do holu. Przez sekundę myślała, że może ruszy prosto na górę i nie będzie musiała się tłumaczyć. Nadzieja okazała się płonna.

– Które mieszkanie? – zapytał portier, sprawnie zastępując Kate drogę, gdy zmierzała w stronę domofonów.

– Och! – Czują, że nie zachowuje się normalnie. – Sześć C?

Portier spojrział na nią zmrużonymi oczami, wziął słuchawkę domofonu i wstukał jakieś cyfry.

– Nazwisko?

– Przepraszam?

– Pani nazwisko. – Ostatnie słowo wycedził. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy nie wyrzucić jej z powrotem na ulicę.

Może i tak byłoby najlepiej? Bo co dokładnie zamierzała zrobić po dotarciu na górę? Zażądać widzenia z tym całym Benem? Jak zareaguje, jeżeli jej powiedzą, że nie mieszka tu żaden Ben? To zresztą nie miało znaczenia. Osoba mieszkająca pod sześć C powie, że nie ma pojęcia, kim ona jest, i portier wyprowadzi ją na ulicę...

– Kate Baron. – Zmusiła się do uśmiechu. – Tak się nazywam. Kate Baron.

Portier nie wydawał się przekonany jej nagle okazaną pewnością siebie. Nie spuszczał Kate z oczu, gdy zapowiadał ją komuś, kto odebrał domofon.

– Dobrze – powiedział, spuszczając wzrok. – Tak, tak. Rozumiem.

Kate wstrzymała oddech, by znieść upokorzenie i to, że portier zaraz ją wyprosi. W pewien sposób przyniosłoby jej to ulgę. Ot, zrządzenie losu, by ocalić ją przed nią samą. Portier wskazał jednak w głąb holu.

– Proszę wsiąść do ostatniej windy.

Serce Kate biło jak szalone, gdy drzwi windy się rozsunęły i zobaczyła luksusowy korytarz. Stał tu wypolerowany kredens, nad nim wisiało ogromne, oprawione w złotą ramę lustro. Kątem oka

dostrzegła w nim swoje odbicie: twarz szara i ściągnięta, włosy bez koloru. Od jak dawna była w tak oczywistym stanie rozkładu? Od śmierci Amelii? Dłużej?

Może żałoba przeżarła jej nie tylko duszę, lecz także mózg, bo to, co robiła, było złe. Nie powinna się tak pojawiać u tego Bena. Kiedyś była racjonalną kobietą i w głębi siebie nią pozostała. W tak ładnym wnętrzu mógł mieszkać psychopata, nie miała co do tego wątpliwości. Potrzebowała Lewisa. Nie miała tu czego szukać. Zupełnie. Z góry uznała swoje poczynania za destrukcyjne i bezcelowe.

Odwróciła się i dotknęła przycisku, by przywołać windę. Na szczęście drzwi natychmiast się rozsunęły. Zanim zrobiła krok, usłyszała, że otwierają się drzwi mieszkania.

– Kate?! – zawołał kobiecy głos z drugiego końca korytarza. – Dokąd idziesz?!

Na drugim końcu długiego korytarza stała Vera, wysportowana i muskularna, w bluzce bez rękawów i spodniach do jogi. Długie czarne włosy związała luźno w kucyk. Ruszyła bosą korytarzem w stronę Kate. Przechyliła na bok głowę. Jej twarz z silnie zarysowaną żuchwą była piękna, a w wielkich piwnych oczach malowała się troska.

Vera. Jeremy. Ich nowe mieszkanie. To, w którym nigdy nie była.

SMS-y musiał wysyłać jeden z synów Jeremy'ego. Amelia bez problemu mogła go gdzieś spotkać. Świat Manhattanu i brooklyńskich prywatnych szkół nie był aż tak wielki. Mogli nawet na siebie wpaść na firmowym pikniku w zeszłym roku. Ale dlaczego jeden z synów Jeremy'ego miałby kłamać, kim jest?

– Nic ci nie jest, kochana? – zapytała łagodnie Vera. Stała tuż przy Kate i dotknęła ręką jej ramienia.

Kate potrząsała głową, zbyt mocno i zbyt długo. Nie mogła sobie przypomnieć, by Jeremy kiedykolwiek wspominał, że któryś z jego synów jest gejem, ale może nie zrobiłby czegoś takiego. Albo, podobnie jak Kate, nie wiedział.

– Muszę być szczerą: nie wyglądasz za dobrze – zawyrokowała Vera, prowadząc Kate w stronę mieszkania. – Wejdz, usiądź. Przyniosę ci szklankę wody.

Weszły do wielkiego salonu. Ogromna ściana okien wychodzących na ciemność w parku i światła Upper West Side w oddali. Po jednej stronie kominek wytyczający granicę przestronnej jadalni, po drugiej – fortepian. Pomiędzy nimi dość miejsca na rozegranie meczu koszykówki. Wydawało się, że mebli jest o wiele za mało jak na taką przestrzeń.

– Chodź do kuchni – poprosiła Vera. – Tam jest przytulniej. Tutaj dopiero się urządzamy.

– Zapomniałam, że się przeprowadziliście – powiedziała Kate, usadowiwszy się na jednym ze stołków przy ogromnej granitowej wyspie w przestronnej kuchni.

Nie wiedziała, czy wolno jej rozmawiać z Verą. Czy Vera czytała insidethelaw? A jeśli tak, to czy skojarzyła to z Kate?

– Wiesz, czasami też chciałabym zapomnieć, że się przeprowadziliśmy – odparła Vera. – Nie chcę, żeby to brzmiało niewdziecznie, ale wielkie bywa po prostu za wielkie. Jeremy! – krzyknęła, unosząc podbródek, po czym uśmiechnęła się do Kate. – Poszedł się przebrać. Zaraz będzie.

– Och, tak mi przykro, że wam przeszkadzam. – Głos Kate był niewiele głośniejszy od szeptu, z trudem wydobywał się ze ściśniętego gardła. – Wiem, że robi się późno.

– Proszę cię – machnęła ręką Vera. – Jeremy każe wam wszystkim pracować do późna. Dobrze, że od czasu do czasu i jemu ktoś przeszkadza.

– Dziękuję za wodę. Trochę kręciło mi się w głowie.

Kate miała nadzieję, że przestaną rozmawiać o Jeremym. Chciała natychmiast wyjść. Jaką podać wymówkę? Nie wytłumaczyła się nawet, dlaczego przyszła.

– Nic dziwnego – zauważyła Vera. – Gdy Jeremy mi powiedział, że już wróciłaś do pracy... – Zacisnęła usta. – Poczekaj, nie. Przepraszam. Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Chłopcy mi powtarzają, że jestem jak kwoka, mogłabym zagdakać kogoś na śmierć. Spróbuję trzymać buzię na kłódkę. Pamiętaj tylko, żeby nie przesadzić. Mówi ci to kobieta, która przebiegła półmaraton sześć tygodni po porodzie, a następnego dnia była na rozprawie w Sądzie Apelacyjnym Drugiego Okręgu. Zajęcie się czymś jest najlepszym lekarstwem. Rozumiem to podejście, ale niektórych spraw nie dogonisz bez względu na to, jak szybko poruszasz nogami.

W drzwiach pojawił się Jeremy. Był blady. Przestań, miała ochotę wrzasnąć na niego Kate. Wyglądasz jak ktoś, kto jest winny.

– Mam zajęcia z jogi – wyjaśniła Vera. – Poradzicie tu sobie we dwoje?

Kate zeszywniała, lecz Jeremy natychmiast zareagował.

– Idź, idź – powiedział, całując Verę. – Kate potrzebuje mojego podpisu na jakimś papierze.

Vera wydawała się akceptować takie wyjaśnienie, choć Kate nie miała ze sobą żadnej teczki. Poklepała Kate po dłoni, zanim skierowała się do drzwi.

– Dbaj o siebie – poprosiła. – Praca ci nie ucieknie. I spróbuj się nie spieszyć.

Po wyjściu Very Jeremy przeszedł z powrotem do salonu. Z barku pod ścianą wyjął butelkę. Nalał sobie małego drinka. Whiskey albo szkocka, coś bursztynowego. Zapropował drinka Kate. Machnęła ręką. Opadł ciężko na sofę. Kilka razy głośno westchnął.

– Ona jeszcze nie wie? – spytała Kate.

– Aż do tej chwili nie byłem całkiem pewny. – Pokręcił głową. – Zachowywała się trochę dziwnie, przynajmniej tak myślałem. Musiało mi się wydawać. Chyba że planuje tu wrócić z bronią.

Kate wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Żartuję – rzucił Jeremy.

– Bardzo śmieszne – powiedziała kwaśno Kate.

Wzruszył ramionami.

– Proszę, czy mogłabyś usiąść? To mnie denerwuje.

Przysiadła na skraju olbrzymiej okrągłej sofy połączonej ze stolikiem. Nie była nawet pewna, czy ten mebel służy do siedzenia.

– Nie wiedziałam, że tu mieszkasz.

– Co masz na myśli? – Dopił drinka i odstawił szklanę na stolik. – Przypadkiem zapukałaś do naszego mieszkania?

– Przyszłam do tego mieszkania w pewnym celu – wyjaśniła. – Naprawdę nie wiedziałam, kto tu mieszka.

Wciąż próbowała się w tym wszystkim połapać. Jeśli jeden z synów Jeremy'ego udawał Bena, oznaczało to, że mógł – przynajmniej teoretycznie – mieć coś wspólnego z tym, co stało się z Amelią. Zamierzała powiedzieć Jeremy'emu, że jeden z jego synów był Benem. Jak ma to zrobić i nie wywołać wrażenia, że oskarża jego dziecko o krzywdzenie, a może nawet zabicie swojej córki? Nie oskarżała go. Obarczała odpowiedzialnością Sroki. A jednak Ben kłamał bez względu na to, kim naprawdę był. Kate musiała się dowiedzieć dlaczego.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, Kate. – Głos i postawa Jeremy'ego wskazywały, że jest wyczerpany. – Możesz mi bez zawilości powiedzieć, co się dzieje?

– Był pewien chłopak, z którym Amelia się przyjaźniła – zaczęła ostrożnie. – Rzekomo też się ubiegał o udział w letnim programie w Princeton. Ich przyjaźń polegała głównie na wymianie SMS-ów i maili. Zbliżyli się do siebie. Próbowaliśmy go namierzyć. Nie dlatego, że mógł zrobić coś złego. Liczyliśmy na informacje. Napisał Amelii, że mieszka w Albany i ma na imię Ben. Policja namierzyła te SMS-y. – Umilkła, wciągnęła powietrze. – Jeremy, on mieszka tu, w tym mieszkaniu. Jeden z twoich synów musiał wysłać Amelii SMS-y.

Jeremy przymknął oczy i schował twarz w dłoniach. Przez chwilę siedział bez ruchu. W końcu zaczął kręcić głową. Naprawdę chciał się z nią spierać? Twierdzić, że to nie mógł być żaden z jego synów? Może źle ją zrozumiał? Mimo zapewnień Kate mógł pomyśleć, że oskarżała jednego z jego synów o coś strasznego.

– Jeremy, nie twierdzą, że on zrobił coś złego. Ben był dla Amelii dobrym przyjacielem. Naprawdę dobrym.

– To nie był żaden z chłopców – ledwo dosłyszalnie powiedział Jeremy. Opuścił dłonie i Kate zobaczyła łzy w jego oczach. – To byłem ja.

– Co?! – krzyknęła, zrywając się na równe nogi. – O czym ty mówisz?

– To ja pisałem do Amelii. Ja byłem Benem, Kate.

– Nie. – Kate pokręciła głową. To nie mogło się dziać naprawdę. Dla wielu rzeczy istniały różne wyjaśnienia, ale tylko jedno dla sytuacji, w której dorosły mężczyzna koresponduje w internecie z młodą dziewczyną i kłamie na temat tego, kim jest. – Nie.

Przypomniało się jej, jak ona i Amelia pewnej soboty nie tak dawno temu wpadły na Jeremy'ego w firmie. Wydawał się dziwnie zainteresowany Amelią, przyglądał jej się uważnie, zachwycał się tym, jak urosła. Wtedy Kate doszła do wniosku, że Jeremy próbuje okazać zainteresowanie, tak ogólnie. Na to wspomnienie zrobiło jej się niedobrze.

– Nie powinienem był jej okłamywać – ciągnął Jeremy. Spoglądał gdzieś w przestrzeń. – To było złe. Po prostu... Pisałem tę rekomendację do Princeton i przez cały ten czas myślałem o Amelii oraz o tym, jaką cudowną stała się osobą. Chciałem mieć szansę ją poznać, przynajmniej trochę. Wpadłem na pomysł, jak to zrobić. Tak, by nikomu nie stała się krzywda. Miałem jej adres mailowy po tym, jak pisałem tę rekomendację. Musiałem tylko założyć konto mailowe, niby jakiegoś dzieciaka, zdobyć telefon z numerem z Albany i wymyślić jakąś historyjkę. Wszystko. Może to było egoistyczne, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

– Nie potrafiłeś się powstrzymać?! – Głos Kate drżał, jej twarz płonęła. Próbowwała się pohamować, by nie wyciągnąć tego potwornego, nieuniknionego wniosku. Jej umysł szybko to zrobił. – Ona była moją córką, Jeremy! Była dzieckiem.

– Poczekaj, Kate. – Twarz Jeremy’ego była szara jak popiół, w oczach pojawiła się panika. – Nie myślisz chyba... Mogę ci wyja...

– Nie. Nie wywiniesz się z tego. Twój urok ci nie pomoże. Nie pozwolę ci. To takim dobrym mężem ostatnio jesteś?! – krzyczała, wskazując na niego palcem. – Piszesz SMS-y do nastolatków, zamiast spać z dojrzałymi kobietami? Może SMS-y to początek? Naprawdę chciałeś się spotkać z Amelią?

– Daj spokój. To absurd.

– Co jej zrobiłeś, sukinyńcu?! – wrzasnęła Kate, nacierając na niego.

– Co jej zrobiłem? Odbiło ci?! Próbowiałem jej pomóc! – Jeremy osłaniał się rękoma. – W każdym razie nigdy się z nią nie spotkałem. Zastanawiałem się, czy się z nią nie spotkać, czy nie powiedzieć jej prawdy. Wiedziałem, że decyzja w tej sprawie nie należy do mnie, więc zamiast tego zostałem jej przyjacielem. Jak myślisz, dlaczego napisałem, że jestem gejem? Chciałem mieć pewność, że z tych kontaktów nie wyniknie nic dziwnego. Cieszyłem się, że mogę być przy niej, kiedy trwały te bzdury ze Srokami.

– O mój Boże! Wiedziałeś. – Kate poczuła, że robi jej się niedobrze. – Ty pierdolony... Powiedziała ci, co robią jej te dziewczyny, a ty tego nie powstrzymałeś? Mogłeś komuś powiedzieć. Mogłeś coś zrobić.

– Zachowujesz się, jakby to było takie proste. Wtedy wszystko by wyszło na jaw. Przecież ty też tego nie chciałeś, to oczywiste. Inaczej nie zadałabyś sobie tyle trudu, żeby ukryć prawdę.

Teraz i Jeremy wydawał się zły. Prawda. Po raz drugi użył tego słowa. Kate nie była pewna, czy chce wiedzieć, co to znaczy.

– Zastanawiałem się, czy ci nie powiedzieć, gdy sprawy z tymi dziewczynami zaczęły wymykać się spod kontroli. Zanim to zrobiłem, odniosłem wrażenie, że Amelia sama się z tym jakoś uporała. Napisała mi, że nic jej nie jest, że wszystko w porządku. Potem nagle, tego ostatniego dnia... – Przymknął oczy. – Teraz, po tym wszystkim, co się stało... Kate, nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję, że nic nie zrobiłem.

– Widziałeś się z Amelią tamtego dnia? – spytała, gotowa na to, co nastąpi. Jeremy skłamał w tak wielu sprawach. Mógł kłamać także w innych. Mogło być coś o wiele gorszego, niż była w stanie sobie

wyobrazić. – W SMS-ach pisałeś, że jedziesz.

– Nie, Kate. Powtarzam ci to po raz drugi. – W jego głosie nie było złości, jedynie rezygnacja. Dokładnie wiedział, o co go oskarża, i wydawał się kompletnie tym załamany. – Przez cały ten dzień byłem w firmie z trzema współpracownikami. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. W każdym razie myślałem, że przeczytałaś jej SMS-y. W końcu napisałem, że nie przyjadę.

– Jeszcze nie przebrnęłam przez wszystkie.

– Tato? – dobiegł głos od strony drzwi.

Stał w nich jeden z synów Jeremy’ego, chłopięcy, przystojny i przestraszony.

– Wszystko w porządku?

Jeremy natychmiast wstał. Przybrał pogodny wyraz twarzy tak szybko i przekonująco, że przyprawiło to Kate o gęsią skórę.

– Tak, tak – zapewnił. – Wszystko dobrze, Andrew. Mamy tylko problem ze sprawą, nic, czym warto się przejmować. Wracaj odrabiać lekcje. Postaramy się nie hałasować.

– W porządku – rzucił sceptycznie chłopak i zerknął na Kate. – Na razie.

– Fajnie, Drew. Pogadamy później.

Kiedy poszedł, oboje przez dłuższą chwilę siedzieli bez ruchu, milcząc. Kate nie zdawała sobie sprawy, że synowie Jeremy’ego są w domu. I choć miała ogromną ochotę jeszcze na niego nawrzeszczyć, nie mogła tego zrobić jego dzieciom. I tak czekało je wiele bolesnych przeżyć. Vera w końcu usłyszy o wpisach na insidethelaw.com, prędzej czy później to się stanie. Nie będzie nawet mowy o tym, by została z Jeremym. Nie należała do kobiet, które lekko traktowały zdradę. W każdym razie były inne sposoby, by się dowiedzieć, czy Jeremy mówił prawdę. Zadzwonić do współpracowników, sprawdzić u sekretarki. Jeszcze lepiej robi to Lew. Ona musiała zadać jedno pytanie. Nie dawało jej spokoju, co miał na myśli Jeremy.

– Ukryć prawdę o czym?

– Co? – nie dosłyszał. Wydawał się udręczony i dezorientowany.

– Mówiłaś, że zadałam sobie tyle trudu, żeby „ukryć prawdę”. Prawdę o czym?

– Daj spokój, Kate. Wiedziałem. Wiem od lat.

– Co wiesz? – warknęła, choć próbowała panować nad złością. – Że była ufną dziewczyną, że...

– Że była moja – wydusił z siebie, patrząc jej prosto w oczy. – Wiedziałem, że Amelia jest moją córką.

– Twoją? – wydusiła Kate. – Amelia nie była twoją córką, Jeremy.

– Czas się dokładnie zgadza – dodał.

Jak on śmie rościć sobie prawo do Amelii, jakby była kolejną rzeczą, na którą zasługiwał?

– Żartujesz, tak? – Nie chciała prowadzić z nim tej rozmowy. Wiedziała swoje bez względu na złudzenia Jeremy’ego. – Przespaliśmy się raz, Jeremy. Jeden raz. Nie byłeś jedynym, który sypiał z więcej niż jedną osobą. Możesz mi wierzyć, Amelia nie była twoją córką. Wiem, kim był jej ojciec, i to

nie byłeś ty.

Jeremy kręcił głową. Wyglądał, jakby nie słuchał tego, co mówiła Kate.

– Usłyszałem, że jesteś w ciąży, i od razu zacząłem się zastanawiać. Gdy oczy niemowlęcia zmieniły kolor, wtedy byłem pewien.

– Przestań, Jeremy. – Głos Kate był piskliwy i ochrypliwy. Wiedziała swoje, więc dlaczego zaczynała panikować? – Mówię poważnie.

– Daj spokój. – Jego spojrzenie było szczere, bez poczucia winy, głos spokojny. Może się mylił, ale miał niepodważalne przekonanie, że Amelia była jego córką. Przeczesał dłonią srebrzyste włosy, przekrzywiając głowę w stronę Kate, jakby chciał dać jej coś do zrozumienia. – Spójrz na mnie. Nie powiesz mi, że nie dodałaś dwu do dwóch. Moje włosy, jej oczy.

Jego włosy? Jeremy zawsze był siwy. Poznała go, kiedy nie skończył jeszcze czterdziestu lat. Młody jak na całkowitą siwiznę, ale nie absurdalnie młody.

– Nie wiem, co ci się wydaje, Jeremy – westchnęła Kate. Powinna stąd wyjść natychmiast, zanim powie jej coś jeszcze. – Ale się mylisz.

– Nie wiedziałem, że mam zespół Waardenburga, póki moje włosy nie posiwiały na pierwszym roku college’u. O Amelii musiałaś wiedzieć, gdy tylko jej oczy zmieniły kolor.

Miał rację. U dziesięciomiesięcznej Amelii zdiagnozowano zespół Waardenburga. Po narodzinach jej oczy były niebieskoszare. Później jedno stało się niebieskie, drugie piwne. Była to wada genetyczna. Kate nie była nosicielką – przebadano ją. Zawsze zakładała, że nosicielem musiał być Daniel i że jego choroba manifestowała się niezbyt wyraźnie. Nigdy o tym nie rozmawiali. To by się wiązało z rozmową o Amelii.

Dłonie Kate były spocone, ręce jej się trzęsły. Co z tego, że Jeremy miał zespół Waardenburga? To mógł być zbieg okoliczności. Musiał być. Spała z Danielem kilkanaście razy, z Jeremym tylko raz.

Nie, Jeremy nie miał prawa pisać tej historii na nowo. Nie bez wysiłku pogodziła się z tym, że Daniel był ojcem Amelii. To jedna z rzeczy, które definiowały jej życie. Amelia została poczęta z mężczyzną, którego Kate nigdy za bardzo nie szanowała jako człowieka, więc chroniła ją przed poznaniem go. Seks z nim był wulgarny i ostry. Stanowił przeciwieństwo miłości, którą Kate obdarzyła Amelię. Postąpiła szlachetnie, chroniąc córkę przed poznaniem ojca niebędącego nawet częścią tej osoby, na jaką miała wyrosnąć.

Kate przespała się z Danielem głównie dlatego, by stłumić poczucie winy po jednej nocy z Jeremym, z którym przespała się... no właśnie... Dlaczego? Po wszystkich tych latach wciąż nie wiedziała tego do końca. By dojść do siebie po rozstaniu z Sethem? Bo była samotna? Bo ujął ją urok Jeremy’ego? Bo Jeremy na kilka godzin sprawił, że poczuła się kimś szczególnym? Zdecydowanie nie myślała wtedy jasno, czego najlepszym dowodem było to, że niezbyt precyzyjnie założyła krążek dopochwowy. Zresztą jeśli chodzi o stosowane przez nią metody antykoncepcji, to każda uczennica siódmej klasy powiedziała by, że nie dają całkowitej pewności.

– Popęniłem wiele błędów, Kate. Ale przysięgam, próbowałem pomóc Amelii. Musisz mi uwierzyć. Myślałem, że mogę być jej przyjacielem, nawet jeśli nigdy by się nie dowiedziała, że byłem jej ojcem. Teraz żałuję, że jej nie powiedziałem.

– Nie – zaprzeczyła Kate, odsuwając się od niego. Cofała się, aż wpadła na ścianę za plecami. – Przestań. Nie chcę. Musisz... – Pokręciła głową. – Muszę iść.

Spojrzała w prawo, potem w lewo. Gdzie się podziały drzwi? Zupełnie jakby zgubiła się w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Przez wszystkie te lata wiedziała, kto jest ojcem Amelii i dlaczego kłamie na jego temat. Chroniła Amelię. Teraz czuła się tak, jakby jedyną osobą, którą ochroniły jej kłamstwa, był Jeremy. I, oczywiście, ona sama.

– Kate, musimy o tym porozmawiać.

– Nie, nie musimy. Nigdy. Muszę... Nie mogę tu zostać.

– Daniel o nas wie, Kate. Dzwonił z lotniska, żeby mi powiedzieć, że wybiera się do Szkocji. Pochwalił się, że to on dał cynk insidethelaw. Był tak pijany, że ledwie mogłem zrozumieć, co mówi. Dotarło do mnie, że ktoś przysłał mu e-mail na nasz temat. To było chyba kilka miesięcy temu. Możesz, tak samo jak ja, zgadywać, kto był nadawcą. Najwyraźniej to, że dałem ci sprawę Associated Mutual Bank, która oczywiście i tak była twoja, sprawiło, że Daniel pozbył się hamulców. Sądzę, że zostanie współnikiem w Meyer, Jenkins też się do tego przyczyniło. Daniel powiedział mi też o was, Kate. Nie miałem pojęcia. I muszę przyznać, że poczułem się jak jakiś dupek.

Jeremy naprawdę miał czelność, by wyglądać na zranionego.

– Cieszy mnie to – podsumowała Kate. – Najwyższa pora, żebyś z jakiegoś powodu poczuł się jak dupek!

Niemal pobiegła w stronę wyjścia.

– Kate, poczekaj! – wołał za nią Jeremy. – Musimy się zastanowić, co zrobić. I muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Chodzi o Amelię.

– Nie chcę wiedzieć nic więcej. – Kate przyspieszyła kroku w korytarzu. Jej serce tłukło się jak szalone, z oczu płynęły łzy. – Po prostu zostaw mnie w spokoju.

– Kate! – zawołał Jeremy po raz ostatni. – Musimy porozmawiać! Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. To ważne. Chodzi o inną dziewczynę z Grace Hall!

Amelia

24 PAŹDZIERNIKA, 13.47

AMELIA

gdzie jesteś? proszę nie mów mi że olałeś sprawę

BEN

sorry. jestem do dupy. ale nie uda mi się

AMELIA

serio?

BEN

mój tata się zjeżył. zabije mnie jeśli pójdę. ale nie znienawidź mnie za to, ok? bo cię Kocham

AMELIA

w porządku. rozumiem. to nie twój problem. też cię Kocham.

BEN

czuję się jak jakiś palant. obiecuj mi że nic ci nie będzie

AMELIA

obiecuję. będzie dobrze

BEN

nie pozwól żeby te wariatki wbiły cię w ziemię. jesteś na to zbyt wspaniała. poza tym zawsze masz mnie

AMELIA

xoxo

24 PAŹDZIERNIKA, 13.49

SYLVIA

gdzie jesteś?

AMELIA

w gabinecie Woodhouse'a

SYLVIA

dlaczego?

AMELIA

za ściąganie

SYLVIA

kto ściągał

AMELIA

podobno ja

SYLVIA

WTF?! Dobra dość mam tego gówna. Czekał. Idę po ciebie.

Amelia

24 PAŹDZIERNIKA

Gdy Woodhouse otworzył drzwi gabinetu, podskoczyłam i wepchnęłam telefon do torby.

– Udam, że tego nie widziałem – oświadczył, obchodząc biurko. Trzymał w ręku teczkę. Uderzał jej krawędzią o otwartą dłoń, jakby to była linijka, którą chciał dać mi po łapach. Wreszcie rzucił teczkę na środek pustego biurka. Usiadł. Wydawał się naprawdę czymś wkurzony. Nigdy go takiego nie widziałam.

– No więc, Amelio?

– No więc? – powtórzyłam.

– Liv i ja sądzimy, że musi istnieć jakiś logiczny, może nawet wybaczalny powód skopiowania przez ciebie fragmentów wypracowania – powiedział to tonem w stylu „między nami przyjaciółmi”, koszmarne irytującym. Gdybyśmy naprawdę byli przyjaciółmi, w ogóle bym tu nie siedziała. – I myślę, że ten powód ma coś wspólnego ze Srokami. Musisz mi tylko powiedzieć prawdę, Amelio. Wtedy razem jakoś z tym sobie poradzimy.

– Jasne – rzuciłam. – Bardzo łatwo.

Zrobił zatroskaną minę, przysunął palec do ust i wpatrywał się we mnie dłuższą chwilę.

– Amelio, nie mówię, że łatwo. Postawić się nigdy nie jest łatwo. Ale mogę ci zapewnić ochronę. Masz moje słowo. Ale to musi wyjść od ciebie. Musisz mi powiedzieć, co się stało.

– Nie ściągnęłam wypracowania – powiedziałam. – Tylko tyle wiem.

– Oddałaś wypracowanie drogą mailową. – Twarz pana Woodhouse’a cała się zmarszczyła, gdy potarł czoło. – Liv osobiście wrzuciła wypracowanie do programu wychwytyjącego plagiaty.

W takim obrazie sytuacji pomijano Bethany i fakt, że to ona otwierała maile i robiła z nimi, co jej się żywnie podobało. Nawet podmieniała wypracowania z załączników. Nie mogłam przecież powiedzieć o tym Woodhouse’owi. To by zostało potraktowane jako doniesienie na Sroki. Zapłaciłaby za to Sylvia.

Wzruszyłam ramionami.

– W takim razie nie wiem, co panu powiedzieć – odparłam. Zabrzmiało to nonszalancko, ale nic nie mogłam na to poradzić. Wszystko było nie fair i kompletnie absurdalne. – Nie ściągałam i to nie jest moje wypracowanie. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Mogę iść?

– Nie, Amelio. Nie możesz iść. To nie wazelina na klamce. Plagiat nie jest czymś, na co możemy patrzeć przez palce, bez względu na to, jak wielkim jesteś atutem dla społeczności Grace Hall. To naruszenie szkolnego kodeksu zachowania. Możemy stracić akredytację, jeśli wyjdzie na jaw, że nie podjęliśmy odpowiednich działań. Że nie wspomnę o reakcji innych uczniów. W tym roku pojawiły się liczne skargi na pobłażliwość dyscyplinarną wobec najbardziej uzdolnionych uczniów.

– Najbardziej uzdolnionych? – powtórzyłam. – To brzmi jak nazwa jakiejś choroby.

– To nie są żarty, Amelio! – Woodhouse wrzasnął tak, że aż podskoczyłam. Jego twarz była czerwona.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. – Może będziemy cię musieli wydalić, jeśli nie wyjaśnisz, co się stało. To aż tak poważne. No dalej, pozwól mi sobie pomóc!

Wciągnęłam powietrze i przymknęłam oczy. I nie otwierałam ich, jakby tajemnica wydostania się stąd była wypisana na wewnętrznej stronie moich powiek.

– Nie mogę.

Woodhouse głośno i przeciągle westchnął.

– Mogę dać ci kilka dni na zastanowienie. Na razie nie mam wyboru, muszę cię zawiesić ze skutkiem natychmiastowym. To nie podlega dyskusji. Matka już po ciebie jedzie.

– Poważnie? Dzwoniliście do mamy do pracy, żeby przyjechała tutaj? Teraz?

Myślałam tylko o tym, w jakim będzie kostiumie. Na pewno zapomni czegoś ważnego, jeśli będzie musiała po mnie przyjechać. Poczułam się źle. Byłam naprawdę wściekła.

– Nie może mnie pan zawiesić na koniec dnia?

– Nie, Amelio. Nie mogę. I gdy będziesz się zastanawiać, co chcesz zrobić, nie zapominaj o tym, że zawieszenie nie jest czymś, na co uczelnie z Ligi Bluszczowej będą skłonne patrzeć przez palce. Nawet jeśli miało miejsce w drugiej klasie. – Wydawał się tym zdenerwowany jeszcze bardziej niż ja. – Może nawet odwołają twoje stypendium. Nie wiem.

– No to świetnie – powiedziałam, czując nagle, że zaraz się rozpłaczę. Najpierw Zadie zabrała mi Dylan; teraz zabierze mi też przyszłość.

– Amelio, dam ci ostatnią szansę. Czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

– To nie moje wypracowanie! – wrzasnęłam najgłośniej, jak potrafiłam, a mój durny głos się załamał.

Woodhouse nawet nie drgnął. Zapatrzył się tylko teatralnie na moje nazwisko na pierwszej stronie.

– Jest na nim twoje nazwisko. Jeśli nie powiesz mi nic więcej, będę miał tylko tyle.

Nienawidziłam tego, jak na mnie patrzył – jakbym była jednym wielkim rozczarowaniem. Oszustką. Kłamczynią. Jakby było coś, czego to ja powinnam się wstydzić. Nie zamierzałam się wstydzić. Nie zrobiłam nic złego i nie zamierzałam mieć wyrzutów sumienia z tego powodu, że nie chcę być szkolnym kapusiem. Prawdziwym powodem, dla którego nie mogłam nic powiedzieć, była Sylvia. Wydanie Srok byłoby naprawdę super, gdyby nie zamierzały się dobrać do Sylvi. Miałyby dość amunicji, by ją publicznie poniżyć. I choć Sylvia lubiła zgrywać twardzielkę, nigdy by tego nie przetrwała. Po tym, co się z nią stało w zeszłym roku, martwiłam się czasem, czy w ogóle przetrwa. Koniec, kropka.

Nie wydam Srok i nie zaryzykuję, że jej to zrobią. Nie mogłam tak postąpić. Poza tym to i tak nie było moje zadanie. Gdyby szkoła chciała pozbyć się Srok, mogła to zrobić. Woodhouse znał większość z nich. Na co mnie potrzebował? Wpatrywałam się w niego twardo, jakbym chciała wbić się wzrokiem w jego twarz. Płakałam.

Okropne uczucie narastające w żołądku też mi nie pomagało. Choć próbowałam je stłumić, wciąż tam

było, wciąż mnie gryzło. Prawda, oto czym było. Bo nie tylko Sylwię próbowałam chronić. Chodziło i o Dylan. W głębi serca może nawet wiedziałam, że gdybym wydała Sroki, Woodhouse zadbałby, by Sylvii nic się nie stało. Nie mogłam być pewna, jak będzie z Dylan.

Czy naprawdę byłam gotowa, by wydalili mnie z jej powodu? Sylvia ciągle mi przypominała, że Dylan nie zachowywała się jak ktoś, komu na mnie zależy. Jak mogłam udawać, że to nieprawda? Bo była dziewczyną? Bo ją kochałam?

Miłość. Nagle to słowo zabrzmiało dziwnie. Jakbym źle je wymawiała.

Nie, nie zamierzałam tego zrobić. Nie zamierzałam być aż tak żałosna. Byłam dobrą uczennicą. Przez całe życie się starałam. Nie zamierzałam rezygnować z tego wszystkiego dla szansy, by znów być z Dylan.

– Chyba wiem, co się stało – powiedziała piskliwym głosem, wpatrując się w swoje ręce.

Mogłam to zrobić. Mogłam.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołał Woodhouse. Było słychać, że jest podenerwowany. Wiedział, jak bliska jestem tego, by zacząć mówić.

Pani Pearl wsunęła głowę do środka.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam – powiedziała, tak bardzo całując go w dupę, że aż mnie zabolowało. – Mamy problem w kafeterii. Niestety, musi się pan tym zająć.

– Pani nie może tego zrobić?

Obawiał się, że zmienię zdanie, i miał ku temu słuszne powody. Byłam na pokładzie, ale ledwie ledwie.

– Nie widzi pani, że rozmawiam z uczennicą?

– Nie przeszkadzałabym panu, gdyby to nie było absolutnie konieczne – stwierdziła cierpko pani Pearl. – Jedna z uczennic widziała szczura. Ogromnego. Schował się gdzieś.

– I co mam zrobić? Zapolować na niego? Delio, prowadzę naprawdę bardzo ważną rozmowę.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś się tak zwracał do pani Pearl. Jakby była jakimś szkodnikiem. To było naprawdę świetne.

– Dlaczego nie wezwiecie odpowiednich pracowników?

– Uczennica nie chce się ruszyć z miejsca, póki osobiście z panem nie porozmawia – wyjaśniła pani Pearl jeszcze kwaśniejszym tonem. – Zapewniam, próbowaliśmy wszystkiego. Szczerze mówiąc, z jakiegoś powodu histerycznie się domaga, żeby porozmawiać właśnie z panem.

Woodhouse przymknął oczy.

– Dobrze – zdecydował w końcu. – Amelio, zaraz do ciebie wracam. Postępujesz słusznie. Tylko się stąd nie ruszaj.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, mój telefon zaczął wibrować. Miałam nadzieję, że to Ben. Że uda mi się dotrzeć na Brooklyn. Wciąż fantazjowałam, że się wymknę i z nim spotkam. Wyciągając komórkę, rozglądałam się w poszukiwaniu drogi ucieczki. SMS był od Sylvii.

Uciekaj. Będę cię kryła.

Kate

30 LISTOPADA

– Przepraszam – powtórzyła Kate. Ona i Lew stali na Ósmej Ulicy na zadbanym chodniku przed domem Carmona. – Po prostu musiałam tam pójść. Wiem, że to kiepska wymówka, ale musiałam się przekonać, kim jest ten Ben.

– Hmm – mruknął Lew. Nie patrzył na nią. Nawet na nią nie spojrzął, odkąd mu powiedziała, że poszła pod adres Bena i odkryła, że to Jeremy. – Tak twierdzisz.

– W sumie dobrze zrobiłam, prawda? – spróbowała Kate. Trudno jednak było się skupić na usprawiedliwieniach, a tym bardziej na byciu przekonującą, gdy wciąż czuła się wstrząśnięta i winna z tak wielu powodów. – Przynajmniej wiemy, że Ben nie miał z tym nic wspólnego.

– Hmm – znów mruknął Lew z kompletnie niewzruszoną miną. Kate cieszyła się, że tak bardzo podkreślała, jak mocno wstrząsnęła ją wiadomość o ojcostwie Jeremy’ego. Podejrzewała, że był to jedyny powód, dla którego Lew nie potraktował jej ostrzej. – Firma telekomunikacyjna wysłała nam odpowiedź. – Zerknął do swojego notesu. – SMS-y do ciebie na temat ojca Amelii wysłano z telefonu zarejestrowanego na Daniela Moore’a.

– O mój Boże – jęknęła.

Jeśli Daniel byłby tak wściekły, by dać cynk insidethelaw – czyn, który łatwo z nim powiązać – to wysyłanie anonimowych SMS-ów do Kate byłoby przy tym niczym. Zmroziła ją jednak myśl, że wypisywał takie podłe rzeczy. To było o wiele gorsze niż próba publicznego poniżenia Jeremy’ego. To były groźby.

– Dlaczego miałby napisać, że Amelia nie skoczyła?

– Nie napisał. Dwa pierwsze SMS-y o Amelii wysłano z innego numeru. Wciąż czekam na odpowiedź w tej sprawie. Wszystkie SMS-y do Amelii na temat jej ojca wysłano stąd. – Lew wskazał głową na dom.

– Zadie Goodwin?

– Tak podejrzewam. Ale jesteśmy pewni jedynie tego, że były routowane przez komputer w tym domu. Mieszka tu więcej niż jedna osoba. Jest coś jeszcze, o czym powinnaś wiedzieć – dodał i po raz pierwszy spojrzął na Kate. – Informatycy odkryli kolejne SMS-y w komórce Amelii. Zostały skasowane. Przy nich te karteczki wydają się... no cóż... dziecinną zabawą.

– Co w nich było? – Kate odwróciła się na pięcie. – Chcę je zobaczyć.

Lew pokręcił głową.

– Takich rzeczy nie powinien oglądać żaden rodzic.

Nacisnęli dzwonek i czekali. Kate spojrzała na lśniącą stalowo-szklaną fasadę budynku, który kiedyś był fabryką. Słońce stało teraz wysoko na niebie, odbijając się w olbrzymich oknach.

– To na pewno jeden dom? – spytał Lew.

– Tak sędzę – odparła Kate. Budynek był imponująco duży nawet w porównaniu z największymi kamienicami w Park Slope. – Jest tylko jeden dzwonek.

Lew musiał zadzwonić jeszcze trzy razy, nim ktoś uchylił drzwi. Przez szparę Kate wypatrzyła drobną, pochyloną kobietę, która nieufnie im się przyglądała.

Lew schylił głowę, by nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Przyszliśmy porozmawiać z Zadie Goodwin i jej rodzicami.

– Chwileczkę. Sprawdzę to – powiedziała kobieta z silnym europejskim akcentem. Zmrużyła oczy, po czym zatrzasnęła drzwi.

Chwilę później stanął w nich wysoki mężczyzna w szpanerskim szarym garniturze i różowej koszuli. Srebrne lśniące spinki w mankietach miały kształt kości do gry. Na prawej dłoni nosił pierścień z jakimś jarmarcznym czerwonym kamieniem. Był przystojny, ale przesadnie wyfryzowany i zbyt mocno opalony. Wszystko to aż krzyczało: pieniądze! Nie towarzyszyła im klasa. Nawet jego zęby były zbyt idealne i zbyt białe, jak u kogoś, kto próbuje nadrobić lata zaniedbań w tej dziedzinie.

– Witajcie państwo – powiedział z uśmiechem, który na przemian był przyjazny i mówił „pierdol się”.

– Jestem Frank Carmon. Z kim mam przyjemność?

– Porucznik Lewis Thompson, Kate Baron – zaczął Lew. – Chcielibyśmy zadać pańskiej córce kilka pytań o Amelię Baron. Spadła z dachu w Grace Hall i zabiła się. Była córką pani Baron.

Carmon zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Co za straszna historia. Moje kondolencje, proszę pani – zwrócił się do Kate.

– O czym musicie porozmawiać z moją Zadie? – Adresatem tego pytania był Lew.

„Z moją Zadie”. Jakby była dzieckiem albo porcelanową laleczką. To było niepokojące.

– Dziewczyny należały do czegoś w rodzaju klubu – rzucił swobodnie Lew. – Próbujemy po prostu z każdego możliwego źródła zebrać informacje na temat stanu psychicznego Amelii.

Carmon zapatrzył się w punkt ponad ich głowami i przesunął językiem po zębach. W końcu powiedział przez ramię do kobiety, która otworzyła drzwi, a teraz kryła się w jego cieniu.

– Idź przyprowadź Zadie. Powiedz jej, że to ważne.

Następnie zaprosił ich do gigantycznego otwartego salonu połączonego z jadalnią i kuchnią. Pomieszczenie zalewało światło płynące z okien sięgających od podłogi do sufitu. Carmon sięgnął po niską szklanę stojącą na granitowym blacie.

– Napiją się państwo czego?

– Nie, dziękuję – odparł Lew. – Pracowałeś kiedyś na Siedemdziesiątym Ósmym, prawda? Tu w okolicy?

Carmon się roześmiał i strząsnął ze spodni niewidoczny pyłek.

– Tak, milion lat temu przez pięć minut. Zanim doszedłem do wniosku, że są łatwiejsze sposoby, by zdobywać pieniądze na życie, niż robienie za ruchomy cel.

– Miałeś rację. Nie wiem, czy to, co robisz, jest łatwiejsze, ale na pewno lepiej płatne.

– Na razie nie narzekam.

– Zatrudniasz dużo ludzi z Siedemdziesiątego Ósmego?

Carmon przez chwilę wpatrywał się twardo w policjanta, potem się uśmiechnął.

– Jest ich trochę.

– Wśród nich detektywa Molinę?

– Dawno nie zajmuję się angażowaniem konkretnych ludzi – odparł gładko Carmon. – Teraz mam takich, którzy robią to za mnie.

– Detektyw Molina był przydzielony do sprawy Amelii Baron. Poszedł co najmniej na skróty i uznano to za samobójstwo. Kilka dni później odszedł i zaczął pracować u ciebie – powiedział Lew, który zdecydował się na działanie wprost. – Wygląda to na dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Zwłaszcza że twoja pasierbica i Amelia brały się za czuby w tym swoim klubie.

Carmon kiwał głową, jakby zastanawiał się nad tą informacją.

– Nie potrafię się do tego ustosunkować. Nie mieszam się w szczegóły szkolnych dramatów swojej pasierbicy. Ale jeśli chce pan porozmawiać z Moliną, poruczniku, na pewno złapię go pod telefonem. W tej chwili, jeśli pan chce. Jeżeli rzeczywiście dla mnie pracuje.

W tym momencie do salonu weszła Zadie. Nie rozglądając się, podeszła do stołka przy kuchennej wyspie i opadła na niego ciężko.

– Odrabiałam pracę domową, wiesz? – warknęła.

Spódniczka w szkocką kratę niewiele szersza niż skórzany pasek, kolczyki, kółko w nosie... To wszystko całkiem nieźle pasowało do mocnego czarnego makijażu oczu i kędzierzawych czarnych włosów z szerokim białym pasmem po jednej stronie.

Kate nie mogła oderwać oczu od tego pasma.

– Twój przyjaciel sądzi, że mnie przyjmą, co nie znaczy, że Columbia na pewno to zrobi. Zanim się tam nie dostanę, nic nie wiadomo.

– Columbia – powtórzył Lew. – Imponujące. Pewnie nie chciałabyś ryzykować utraty takiej szansy.

– Co pan powie? – Carmon pokręcił głową z przesadnym niedowierzaniem. – Na szczęście dla niej nie ma moich genów. No chodź, Zadie – przywołał ją gestem i poklepał miejsce na kanapie obok siebie. – Mili państwo chcą ci tylko zadać kilka pytań o tę dziewczynę z twojej szkoły. Tę, która zginęła.

Zadie przewróciła oczami, po czym podeszła ciężkim krokiem do kanapy i z głośnym westchnieniem opadła na miejsce obok Carmona.

– Tylko jedna rzecz, zanim moja Zadie odpowie na państwa pytania – dodał Carmon, siląc się na nonszalancję. – Niepotrzebny jej prawnik, prawda? Chodzi tylko o informacje?

– Nie jest aresztowana, jeśli o to pan pyta – odparł Lew, w oczywisty sposób unikając jednoznacznej odpowiedzi.

Niczego nie obiecywał i Carmonowi to nie umknęło. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się twardo w policjanta.

– Ona nie ma nic wspólnego z tym, co się stało tej dziewczynie. Więc pytajcie ją, o co tylko chcecie. Ale jeśli zbliżymy się do czegokolwiek, przez co mogłaby się nie załapać do Columbii, kończymy to. Zbyt ciężko pracowała, a ja wydałem za dużo cholernego szmalu...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Z korytarza dobiegły głosy – jeden ostry i szybki jak karabin maszynowy, drugi stłumiony i przeprasający, pewnie gosposi. Potem usłyszeli głośnie stukanie wysokich obcasów o betonową podłogę.

– Och... – zaczęła Adele. Mina jej zrzędła, gdy wyszła zza rogu. Z wdziękiem odzyskała rezon, uśmiechnęła się swobodnie i ruszyła prosto do Kate. Nosiała modną czarną sukienkę i wielkie kolczyki, włosy upięła w luźny, lecz nienaganny kok. Pochyliła się, mocno przyciskając policzek do policzka Kate, i pocałowała powietrze tuż przy jej uchu. – Jaka miła niespodzianka, Kate. Nie musiałaś przychodzić aż tutaj, by omówić sprawy komitetu rodzicielskiego. Wiem, jaka jesteś zajęta.

– Nie jesteśmy tu w tej sprawie – odparła Kate, szykując się na to, że Lew zaraz zamknie jej usta. Nie zrobił tego. – Jesteśmy tu w sprawie tego, co się stało między Amelią a Srokami.

– Srokami? – Adele wydeła czerwone usta i zerknęła na Carmona, który wzruszył ramionami i pociągnął ze szklaneczki. – Nie jestem pewna, czy...

– Czytałam protokoły z zebrań zarządu szkoły – odezwała się Kate z nadzieją, że być może wszystko potoczy się lepiej, jeśli Adele nie będzie się pograżać, kłamiąc im w żywe oczy. – Wiem, że Woodhouse próbował się pozbyć klubów i że zarząd szkoły go powstrzymał.

Adele rzuciła torebkę na stołek kuchenny i skrzyżowała ręce na piersi, oparłszy je o blat.

– W takim razie musisz też wiedzieć, że zarząd działał wyłącznie w najlepszym interesie szkoły – wyjaśniła spokojnie.

Kate próbowała nie wpaść w złość, co nie bardzo jej wychodziło.

– Szkoła miała obowiązek...

– Szkoła nie jest w stanie kontrolować tego, co robią uczniowie poza jej terenem – wycedziła Adele. Jeśli czuła, że musi się bronić, po mistrzowsku to ukrywała. – Tego rodzaju monitoring jest praktyczną i prawną niemożliwością, zwłaszcza w erze smartfonów. Odpowiedzialność za zachowanie poza terenem szkoły i w internecie spoczywa na rodzinach.

To były dobrze wyćwiczone słowa, jakby Adele czekała, aż Lew i Kate przyjdą ją o to zapytać. I pewnie robiła to od tego pierwszego wieczoru, gdy zjawiła się pod drzwiami Kate. W rzeczywistości to mógł być prawdziwy powód, dla którego Adele przyszła tamtego wieczoru.

Teraz Kate zwróciła się do Zadie, licząc na to, że może ona będzie gorzej przygotowana.

– To dlatego, że była lesbijką? Dlatego to zrobiłaś?

– Zadie, nie odpowiadaj na to – warknęła Adele.

– Dlaczego? Chcę odpowiedzieć – zachnęła się Zadie i zwróciła się do Kate. – Nie zamierzałam pozwolić, by Amelia zmieniła Dylan w lesbę tylko dlatego, że miała na to ochotę. – Starła się sprawiać wrażenie twardej, ale na jej policzkach wykwitły rumieńce, a głos drżał. – Amelii się wydawało, że jeśli zacznie sypiać z Dylan, to będzie dla niej ważniejsza niż ja. Ale seks niezbyt się liczy. Dla Dylan to właściwie nic. Możesz mi wierzyć, ona prześpi się właściwie z każdym spoza tej szkoły. Wiem to wszystko, bo jestem jej najlepszą przyjaciółką od pieprzonych dwunastu lat. To coś, co się liczy. Nie to... nieważne... to, co miała z Amelią przez dwa tygodnie.

Oczy Zadie mówiły, że to nie jest jednak aż takie proste. Usiłowała to ukryć – odrzucała do tyłu głowę, wydymała usta – ale było w tym coś rozpaczliwego, jakby wszystko, co kiedykolwiek miała, to Dylan.

– Zadie, musimy się dowiedzieć, co się stało na dachu – powiedział spokojnie Lew. – Przyszła pora, żebyś powiedziała całą prawdę.

– Nie zamierzam pozwolić Zadie wdawać się w jakieś dyskusje, które mogą ją obciążyć – wtrąciła Adele, unosząc rękę i stając pomiędzy policjantem a córką. – Jeśli chce ją pan dalej przesłuchiwać, to tylko na posterunku w obecności naszego adwokata. Zapewniam pana, cokolwiek się stało na tym dachu, to był wypadek.

– Wypadek? – Zadie spojrzała ze złością na matkę. – Zachowujesz się, jakbym tam była. Jakbym to ja coś zrobiła.

– Wiemy na pewno, że ktoś z tego domu zrobił coś Amelii. – Lew wyciągnął z kieszeni dwa wydruki i położył je na stoliku. – Dostawała nękające ją wiadomości dotyczące jej związku z Dylan oraz tożsamości swojego ojca. Wysyłano je z tego domu.

Zadie podeszła i wzięła do ręki kartki.

– Co mnie, u diabła, obchodzi jej ojciec?

Jeśli udawała, że nigdy wcześniej nie widziała tych wiadomości, robiła to naprawdę świetnie.

– Mieliśmy nadzieję, że ty nam powiesz – rzucił Lew. – Bo wiemy na pewno, że te SMS-y pochodziły stąd.

– Nie wysyłałam... O cholera, mamó, o co ci chodzi z tą dziewczyną? – Oczy Zadie stały się okrągłe, gdy zwróciła się do matki. – Mówiłaś mi, że miałaś jakiś bajzel z jej mamą w college'u, że chcesz jej za to odpłacić. – Pokazała palcem Kate. – Dlatego chciałaś, żebym zaprosiła Amelię. Ale ty nawet nie chodziłaś z nią do college'u, prawda, mamó?

– Zadie! – Adele wyrwała kartki z rąk córki. Złożyła je na pół, wyraźnie próbując odzyskać panowanie nad sobą. Tym razem jej się nie udało. – Bądź cicho, kochanie, proszę.

Kate dostrzegła drzenie na twarzy Zadie i wściekłość w jej oczach. Po co Adele miałyby namawiać Zadie, by zaprosiła Amelię do Srok? Spojrzenie Kate przesunęło się z twarzy Zadie na białe pasmo w jej włosach. Pasma, które mogło oznaczać wiele różnych rzeczy, w tym również zespół Waardenburga.

„I miała też niesamowite, niezwykle oczy”. Kate przypomniła sobie słowa Adele, gdy ta była u niej w domu. „To rodzinne? Oczy o różnym kolorze?”. Cemu Adele nie zapytała o zespół Waardenburga? Cemu nie wspomniała, że jej córka też go ma? „Właściwie wciąż znam kilku prawników ze Slone, Thayer”. Dla Kate to było zbyt wiele informacji naraz, nie umiała ich powiązać.

– A więc to, co zaszło na dachu między tobą a Amelią, to był wypadek, tak jak mówi twoja mama? Zgadza się, Zadie? – Lew zdawał się świadomie dolewać oliwy do ognia. – Pokłóciłyście się, może o Dylan, i to się wymknęło spod kontroli?

– Niech pan przestanie! Proszę przestać do niej mówić! – wrzasnęła Adele. – Wiem, że nie ma pan nakazu aresztowania. Gdyby pan miał, pokazałby go pan.

– Nie, proszę pani, nie mamy nakazu – odparł Lew. – Chcieliśmy tylko usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań. Ma pani prawo odmówić współpracy. Oczywiście niewinni ludzie zwykle nie muszą się chować za adwokatem.

– Niewinni? – prychnęła Adele. – Oboje wiemy, że to pojęcie względne, poruczniku. Myślę, że mojej córce wyszłoby na dobre, gdyby zaryzykowała i dostała adwokata.

– Zaryzykowała? – warknęła Zadie. – Kurwa, mam, co jest? Dlaczego mówisz o mnie, jakbym była jakimś przestępcą? Nic nie zro...

– Zadie! – syknęła Adele.

Ze starannie upiętych włosów wysunęło się kilka kosmyków. Wyglądało na to, że nie tylko jej fryzura, lecz także ona sama zaraz się rozsypie. Machnęła palcem przed nosem córki.

– Mówię poważnie. Czy choć raz w życiu mogłabyś absolutnie wszystkiego nie pogarszać?

Zadie cofnęła się, mrugając. Jej usta drgnęły raz, potem znowu, jakby miała się rozpłakać, lecz twarz szybko stała się nieruchoma, niemal kamienna.

– Daj spokój, Adele, wyluzuj – odezwał się Frank Carmon.

Wreszcie wstał z kanapy. Najwyraźniej niechętnie mieszał się w całą tę sprawę.

– Nie ma potrzeby tak szaleć.

– Szaleć?! – wrzasnęła Adele, wymachując teraz palcem przed nosem Franka. – To według ciebie szaleństwo, że matka chce chronić dziecko przed nim samym?

– Jasne, próbujesz mnie ratować – roześmiała się Zadie, ale czarny tusz rozmazał się już od łez. – Ty w ogóle o mnie nie dbasz. Dbasz tylko o siebie.

– Zadie, to nie zabawa – rzuciła Adele ciszej. – Powiesz nie to co trzeba i możesz trafić do więzienia na resztę życia.

– Chyba że nic, kurwa, nie zrobiłam!

Zadie gapiła się na matkę i wtem na jej twarzy pojawił się przeblýsk zrozumienia. Zaśmiała się jak szaleniec.

– Na Boga, mam, Ty naprawdę myślisz, że ja ją pchnęłam?

– Nie – zaprzeczyła Adele, choć było oczywiste, że tak uważa. – Nie to miałam...

– O cholera, myślisz tak. Naprawdę myślisz, że zabiłam Amelię. Że kogoś zamordowałam.

Zadie zwróciła się do Kate:

– To ona nie mogła się zamknąć na jej temat. Miała jakąś obsesję. „To córka mojej dawnej przyjaciółki, bla, bla, kurwa, bla”. Kazała mi się nawet dowiedzieć, gdzie pracujesz, żeby mogła się z tobą skontaktować. Wszystko to oczywiście ściema. Ona cię nawet nie zna. Jesteś taka, kurwa, zakłamana, mamó. Kto wie, może to ty pchnęłaś Amelię?

– No dobra – odezwał się Frank, odstawiając szklanę. – Myślę, że powinny panie wziąć głęboki oddech.

– Na twoim miejscu nie trzymałabym jej strony, Frank. Wiesz, że jedynym facetem, na którym jej kiedykolwiek zależało, było on – rzuciła Zadie, wskazując fotografie w ramach stojące na półce. – Gdy wypije trzeci kieliszek merlota, a ciebie nie ma w domu, mówi, że nie powinna tu tkwić z jakimś niedoszłym mafiosem z Bay Ridge. Kocha twoje pieniądze. Ale ciebie, Frank? Nie jestem co do tego przekonana. Zgadza się, mamusiu?

Kate wpatrywała się w zdjęcia wskazane przez Zadie. Powoli zmierzała ku nim przez pokój.

Adele zwróciła się do Franka, wypijającego akurat kolejny łyk drinka.

– Frank – zapewniała błagalnie – wiesz, że to nieprawda.

Frank zacisnął usta i kiwnął głową.

– Jasne, Adele. – Sięgnął po butelkę whiskey i napełnił szklanę. – Cokolwiek powiesz.

Na jednym ze zdjęć Kate zobaczyła znajomy baner i mniej więcej dwa tuziny dorosłych ludzi ustawionych przed obiektywem jak uczniowie jednej klasy. Nawet z tej odległości mogła się zorientować, że gdzieś widziała to zdjęcie.

– Frank, mówię poważnie – zapewniała gorączkowo Adele. – Nie słuchaj Zadie. Ona ciągle kłamie, przecież wiesz.

Kate stała już przy półce. Spodziewała się, że ktoś ją powstrzyma, nim weźmie zdjęcie do rąk. Nikt tego nie zrobił. Wszyscy byli za bardzo zajęci sobą.

– Nie wiem, co się stało z Amelią na tym dachu – mówiła Zadie do Lewisa. Jej głos był teraz cichy i spokojny, niemal nie do poznania. – Mogę udowodnić, że mnie tam nie było.

Kate przesunęła dłonią po szybce, przeciągnęła palcem wzdłuż ciężkiej srebrnej ramki. Grupę sfotografowano podczas ceremonii rozdania nagród za pracę na rzecz społeczeństwa, zorganizowanej przez izbę adwokacką siedemnaście lat temu. Pośrodku stał Jeremy i ściskając dłoń Adele, przyjmował od niej pamiątkowy medal.

Kate widziała to zdjęcie podczas każdego spotkania w gabinecie Jeremy’ego, wyeksponowane na półce nad jego głową. Cóż, nigdy nie zwróciła uwagi na kobietę wręczającą mu nagrodę. Aż do tej chwili.

– Gdy Amelia umarła, byłam tutaj – powiedziała w końcu Zadie.

– W połowie zajęć? – spytał Lew.

Kate odwróciła się, wciąż trzymając w rękach zdjęcie. Spojrzała na Adele gapiącą się na Zadie. Adele zasłaniała usta dłonią i po raz pierwszy wydawała się zdenerwowana, nie wściekła.

– Nie byłam sama. – Zadie wzruszyła ramionami. – Zapytajcie go, jeśli chcecie. W sumie palant z niego.

– Jak się nazywa? – chciał wiedzieć Lew.

– Ian Greene – odparła Zadie.

– Sprawdźcie to na taśmach z monitoringu. Wszystkie są datowane i mają oznaczony czas – powiedział Carmon do Lewisa.

Zadie mówiła prawdę, Kate to czuła. – Jeżeli chodzi o Molinę, ją powinniście zapytać. – Przekreślił głowę w stronę Adele. – Ostatnio sprawdzałem billingi. Codziennie miała powód, by z nim rozmawiać.

– Jej włosy – wreszcie wydusiła z siebie Kate i wskazała na białe pasmo we włosach Zadie. – To zespół Waardenburga, prawda?

Adele najpierw spojrzała na zdjęcie w dłoniach Kate, potem na nią. W oczach miała łzy.

– Muszę ci przyznać, że świetnie kłamiesz – odezwała się Adele drżącym głosem. – Przyszłam do ciebie do domu, bo Molina powiedział mi o tym SMS-ie o Amelii, który dostałaś. Chciałam się dowiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić. Niemal ci uwierzyłam, gdy powiedziałaś, że w rodzinie nie było przypadków zespołu Waardenburga, choć obie wiemy, że to niemożliwe. Jeremy musi być zachwycony, że tak go chronisz. To było bardzo przekonujące.

– Powiedziałam tak, bo to prawda – mówiła stanowczo Kate. – Jestem jedyną rodziną Amelii i nie mam zespołu Waardenburga.

Adele pokręciła głową, jakby była pewna, że Kate wciąż kryje Jeremy'ego. Otarła łzy.

– Pewnie dlatego trzymał cię przy sobie przez te wszystkie lata. Ze mną nie chciał mieć do czynienia. Martwił się, że mu zaszkodzi. Zabawne. Ja też nie zdradziłabym jego sekretu, gdyby zrobił coś, by trzymać swoje drugie nieślubne dziecko z dala od mojej córki. Wiesz, mówił, że dla mnie odejdzie od Very. I odszedłby, gdybyś się nie pojawiła. Teraz to wiem. Wtedy mówił mi, że postanowił przestać zdradzać Verę. Tak naprawdę chodziło o ciebie. Nie miałam pojęcia, że jest inne dziecko. Aż zobaczyłam Amelię w Grace Hall tej jesieni, gdy zgłosiła się na ochotnika do pracy podczas Święta Plonów. Zwróciłam uwagę na jej oczy, ale nie skojarzyłam ich koloru z Jeremym. Na trop naprowadziła mnie Julia Golde. Wspomniała, że Amelia jest taką wspaniałą dziewczyną, chociaż ma w życiu trochę pod górkę: wychowuje ją samotna matka prawniczka, której prawie nie ma w domu.

Adele wpatrywała się w swoje zaciśnięte pięści. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Wystarczyła jedna rozmowa, by się dowiedzieć o tobie i Jeremym. Nie był to najlepiej skrywany sekret. Nie zamierzałam pozwolić, żeby Jeremy'emu uszło na sucho okłamywanie mnie przez te wszystkie lata. Dał mi do zrozumienia, że jestem jedyna. Że to, co nas łączyło, naprawdę coś znaczy. Powinien mieć choć tyle przyzwoitości, by trzymać Amelię z dala od Grace Hall i ode mnie.

Kate próbowała oddychać. Czuła się tak, jakby ktoś usiadł jej na piersi. Była o wiele bardziej

odpowiedzialna za wszystko, co się stało Amelii, niż umiała sobie wyobrazić.

– To ty wysłałaś mail do Daniela Moore’a?

– Oboje jesteśmy w komisji etyki przy izbie adwokackiej. Daniel od lat narzekał na Jeremy’ego – odparła. – Szukał sposobu, by się do niego dobrać. Oczywiście czekał wiele miesięcy, nim w końcu coś zrobił. Nie sądziłam, że kiedykolwiek się zdecyduje.

– Wciągnęłaś do tego Amelię?

– Nadeszła pora, by ktoś pociągnął Jeremy’ego do odpowiedzialności – stwierdziła Adele. – On dawno temu dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli otworzę usta, zapłacę za to. Grywa w golfa z moim szefem. Mógł zniszczyć moją karierę przed zaliczeniem pierwszego dołka. – Wzruszyła ramionami. – Nigdy by nie skrzywdził Amelii. Oczywiście nie mogłam wiedzieć – wskazała na Zadie znów wpatrującą się w nią ze złością – że sprawy z Amelią, tym klubem i z Dylan tak bardzo wymkną się spod kontroli. Jak mogłabym coś takiego przewidzieć?

Siedzieli w milczeniu w samochodzie Lewisa. Kate wyszła z domu Carmona z fotografią w dłoniach. Teraz siedziała na miejscu pasażera i wpatrywała się w nią.

– Nic ci nie będzie? – spytał Lew, gdy siedzieli tak od co najmniej pięciu minut.

– Myślę, że beznadziejniej być nie może, a po jakimś czasie robi się jeszcze bardziej beznadziejnie. – Kate pokręciła głową. – Gdybym zdobyła się na szczerość i wyjawiała Amelii imię oraz nazwisko jej ojca albo tego, kogo uważałam za jej ojca, zapewne sprawy przybrałyby inny obrót. Może ona wciąż by żyła.

Lew potrząsnął głową.

– To by niczego nie zmieniło.

– Nie wiesz tego.

– Może i nie – zgodził się i twardo spojrzał w oczy Kate. – Lecz ty musisz to wiedzieć.

Zadzwoiła jego komórka. Odebrał i po kilku szorstkich „tak” rozłączył się. Przez chwilę milczał i wpatrywał się w kierownicę, przesuując po niej palcem.

– Kto to był?

– Mamy adres, z którego wysłano do ciebie pierwsze SMS-y o Amelii – poinformował i uruchomił silnik.

Julia nie była zachwycona ich widokiem. Otworzyła drzwi i przywołała na twarz grymas, który nawet nie przypominał uśmiechu.

– Sylvia źle się czuje – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy ma ochotę kogoś widzieć.

– Obawiam się, proszę pani, że nie ma żadnego wyboru – odparł Lew. – Przykro mi.

Julia wpatrywała się najpierw w niego, potem jeszcze dłużej w Kate.

– W takim razie wejdźcie państwo. – Julia niechętnie ich przepuściła. – Sprawdźę, czy Sylvia nie śpi.

Niemal natychmiast zobaczyli Sylvię stojącą niczym szara zjawa na progu kuchni.

– Och, tu jesteś – powiedziała nerwowo Julia. Podeszła, objęła Sylvię i pocałowała ją w głowę. –

Kate i ten detektyw chcą ci zadać jeszcze kilka pytań. Jeśli nie masz na to siły, kochanie, nie przejmuj się. – Potem zwróciła się do Lewisa, bo najwyraźniej nagle coś do niej dotarło. – Właściwie co pan miał na myśli, mówiąc, że nie ma żadnego wyboru?

– Pani córka zataiła niektóre fakty związane ze śmiercią Amelii. Musi nam je teraz podać. Kate Baron czeka od wielu dni. Chce wiedzieć, co się stało z jej córką. Już pora, Sylvio, by się dowiedziała.

Julia przeniosła wzrok z Lewisa na Kate, potem na Sylvię. W końcu skinęła głową.

– Sylvia nie ma nic do ukrycia. Kochaliśmy Amelię, jakby należała do naszej rodziny. Też chcemy się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Wiedziałaś, że Amelia należała do Srok, prawda, Sylvio? – zapytał Lew.

Jego ton nie był agresywny, Kate jednak wcześniej nie słyszała, by mówił tak dobitnie.

Sylvia przez chwilę wpatrywała się w swoje ręce, zanim spojrzała na nich oczami pełnymi łez.

– Wiecie, co one jej robiły? – powiedziała piskliwie. – Bałam się... myślałam, że zrobią mi to samo, jeśli powiem wam o niej. Te rzeczy... Nawet nie ma znaczenia, czy to była prawda. Ludzie tego nie zapomną.

– Myślisz, że to jedna ze Srok zepchnęła ją z dachu? – zapytała Kate.

Jej serce biło mocno. Tak, powiedz, że tak. Powiedz, że to widziałaś.

Sylvia pokręciła głową.

– Mówiłam wam już. Myślę, że zrobił to Ben. Znaleźliście go? Miał się spotkać z Amelią tego dnia.

– Znaleźliśmy Bena – odpowiedział cicho Lew. – To nie on.

– Och! – Sylvia objęła się chudymi ramionami. – Mniejsza z tym.

– Te kluby... – wtrąciła Julia, kręcąc głową – Dziś zadzwonię w tej sprawie do dyrektora. Płacimy dziesiątki tysięcy dolarów, by posyłać dzieci do Grace Hall, i co dostajemy? *Władcę much?*

– Zgadza się, proszę pani. Powinna pani skontaktować się ze szkołą. Wszyscy rodzice powinni to zrobić. – Lew odetchnął głęboko, jakby sądził, że najtrudniejsze mają za sobą.

Kate zastanawiała się, czy to było szczere, czy tylko próbował sprawić, by Sylvia się rozluźniła.

– A co z Dylan? Dlaczego nie wspomniałaś nam o niej wcześniej? – dopytywał się Lew.

Kate wpatrywała się w Sylvię, oczekując, że będzie zdezorientowana, zmartwiona, okaże jakąkolwiek reakcję. Dziewczyna wydawała się tylko zmęczona.

– Nie powiedziała mi nawet o Dylan, póki nie było po wszystkim – odezwała się wreszcie Sylvia. – Mówiłam jej, że Dylan na nią nie zasługuje. Amelia była tym strasznie zdenerwowana i obsesyjnie chciała odzyskać Dylan. Nie słuchała mnie.

– Była „strasznie zdenerwowana”? – spytała Kate.

– Jakby jej odbiło. – Sylvia pokręciła głową.

– I nie uznałaś, że może powinnaś komuś o tym powiedzieć? Na przykład komuś dorosłemu? – warknęła Kate.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Nie potrafiła się powstrzymać. A jeżeli Amelia naprawdę odebrała

sobie życie? Po raz pierwszy to się wydawało możliwe.

– Może ona potrzebowała pomocy?

– Kate, to nie fair – zaprotestowała Julia. – Nie pozwolę, byś winiła moje dziecko za twoje niedopatrzenia. To nie ona była matką Amelii. To było twoje zadanie.

Kate zamknęła oczy i próbowała się nie rozplakać. Oczywiście Julia miała rację. To ona, matka, naprawdę zawiodła Amelię.

– Myślę, że Amelia wstąpiła do tego klubu, bo była samotna. – Głos Sylvii się załamał, do jej oczu ponownie napływały łzy.

Julia położyła jej ręce na ramiona, próbując ją uspokoić. Sylvia je strząsnęła.

– Potrzebowała rodziny. Może gdybyś częściej była w domu, zamiast spędzać tyle czasu w tej swojej głupiej pracy, ona wciąż by żyła.

– Dobrze – przerwał jej Lew. – Spróbujmy się trochę cofnąć. Staramy się wypełnić kilka luk. Myślę, że wiesz więcej o tym, co się stało Amelii, niż nam mówisz. Myślę, że przy tym byłaś.

– Co? – Oczy Julii się rozszerzyły. – Sylvio, o czym oni mówią?

– Nie. Pomogłam jej się wydostać z gabinetu Woodhouse'a, ale potem, gdy wyszłam z łazienki, już jej nie było. Nie wiem, dokąd poszła.

Lew pokiwał głową. Wpatrywał się w swój notes i nic nie pisał. W końcu milczenie stało się nie do zniesienia.

– Nie wiem nic więcej, naprawdę – dodała Sylvia, uginając się pod presją ciszy. Głos miała ochrypły. – Przysięgam.

– Myślę, że jednak wiesz. – Lew wyciągnął kartkę z tylnej kieszeni spodni i podał ją Julii. – Myślę, że wiesz o wiele więcej, niż nam mówisz.

Julia, zdezorientowana, wpatrywała się w kartkę.

– Nie rozumiem. Co to jest?

– To raport o namierzeniu anonimowych SMS-ów, które Sylvia wysłała do Kate – wyjaśnił Lew. – Było w nich napisane, że Amelia nie skoczyła. Czy to prawda, Sylvio?

Łzy spływały teraz po policzkach dziewczyny. Próbowała coś powiedzieć, ale tylko łykała powietrze. Potem opadła na kuchenne krzesło, ukryła twarz w dłoniach i zanosła się szlochem. Julia podeszła i uklękła przy córce.

– Cokolwiek to jest, znajdziemy jakieś rozwiązanie – powiedziała, głaszcząc Sylvię po rękach. – Ale musisz im powiedzieć, kochanie. Musisz im powiedzieć, dlaczego to napisałaś.

Wreszcie Sylvia mocno pociągnęła nosem i odsłoniła twarz. Jej piwne oczy były zaczerwienione, policzki mokre.

– Po śmierci Amelii czasem po południu chodziłam pod wasz dom. Zawsze po drugiej stronie ulicy, żebyś mnie nie zobaczyła – powiedziała Sylvia do Kate. – Jednego dnia stałaś w drzwiach w szlafroku. Po prostu tam stałaś i patrzyłaś. W pustkę. Może wyszłaś po gazetę albo coś takiego, ale o tym

zapomniałaś. Zamarłaś. I to było takie... – Sylvia wpatrywała się w jakiś punkt na podłodze, jakby znów widziała to przed oczyma – ...potworne. O wiele, wiele gorsze niż twój płacz na pogrzebie. – Wciągnęła powietrze. – Pomyślałam, że może gdybyś uznała, że ona nie skoczyła... gdybyś myślała, że to nie twoja wina... może wtedy byłoby ci lepiej.

– Czyli udałoś, że wiesz – odezwała się Julia z ulgą w głosie – żeby Kate lepiej się poczuła.

– Nie – zaprzeczyła Sylvia. Wilgotnymi od łez oczami wciąż wpatrywała się w Kate. – Amelia nie skoczyła. Wiem, że nie.

Facebook

24 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

[...] *widmowy werbel bębnów, bezlitośnie odmierzających życie [...] ostrzegał ją, której dni toczyły się szybko jedno za drugim, wypełnione różnymi zajęciami, że wszystko jest tak złudne jak tęcza* [9](#).

Virginia Woolf, *Do latarni morskiej*

Carter Rose stara, przeginasz.

Sylvia Golde Carter, zamknij się, ty debilu.

Amelia

24 PAŹDZIERNIKA

Wychyliłam głowę z gabinetu Woodhouse'a i zobaczyłam Sylwię stojącą przed drzwiami pokoju pani Pearl. Zasłaniała jej widok na korytarz, co umożliwiło mi ucieczkę.

– Chcę powiedzieć, że czuję niedosyt, bo Grace Hall nie pokazuje żadnej alternatywy dla teorii ewolucji. – Sylvia mówiła głośno tym swoim tonem prawdziwej wyższości. – Gdzie tu miejsce na intelektualny dialog, jeśli przedstawicie tylko jeden punkt widzenia?

– Dlatego musiała się pani zwolnić z zajęć biologii i natychmiast tu przyjść? – spytała pani Pearl.

– Tak się składa, że bardzo poważnie traktuję swoją wiarę – odparła Sylvia z oburzeniem w głosie.

Trzymała jedną rękę za plecami i pokazywała mi gestem, żebym wyszła z gabinetu. Schyliłam się i ruszyłam do drzwi.

– Przykro mi, panno Golde, ale musiała mi umknąć notatka z informacją, że odrodziła się pani na nowo – oświadczyła sarkastycznie pani Pearl. – I pomyśleć tylko: przez cały czas myślałam, że jest pani Żydówką.

– Bo jestem Żydówką, ale też odrodziłam się na nowo – zapewniła Sylvia, gdy wyszłam na korytarz i na palcach minęłam pokój pani Pearl. – Ma pani coś przeciwko małżeństwom międzywyznaniowym?

Przylgnęłam do ściany, modląc się, by Sylvia się pospieszyła, nim ktoś zauważy mnie na korytarzu w połowie trzecich zajęć.

– Naprawdę kończmy tę rozmowę, panno Golde. Proszę wrócić na zajęcia i...

– Świetnie. Właśnie zamierzałam sobie pójść – oświadczyła Sylvia. – Wrócę niedługo do tego tematu.

Nie pozwolę się tak marginalizować z powodu swojej religii.

Sylvia ruszyła korytarzem w moją stronę. Uśmiechała się szeroko. To sprawiło, że też się uśmiechnęłam. Niedawno byłam gotowa przysiąc, że nigdy więcej się nie uśmiechnę.

– Chodź – powiedziała, chwytając mnie za rękę i ciągnąc korytarzem.

– Nie mogę wyjść – szepnęłam. – Woodhouse jeszcze wróci. Jeśli mnie tam nie będzie, naprawdę się wkurzy.

Sylvia spojrzała na mnie.

– Co z tego? – spytała. – Niech się wkurza. Nie zrobiłaś nic złego.

– Mogą mnie wyrzucić ze szkoły.

– Halo! To ty jesteś ofiarą. Woodhouse da ci spokój, gdy tylko mu powiesz, że Zadie i jej przyjaciółki znęcały się nad tobą za to, że jesteś lesbijką. W końcu to przecież prawda.

W pewnym sensie miała rację. Niestety, pomijała to, że wtedy Sroki dobiorą się do niej.

– No chodź – ponagliła, znów ciągnąc mnie za rękę. – Obie musimy poprawić sobie humor. Mam pewien plan.

Pierwszym przystankiem była aula Grace Hall, przepiękna i ogromna, wspólna dla młodszych i starszych klas. Wygodne fotele z nową tapicerką, scena z wypolerowanego mahoni... Była ładniejsza niż wiele teatrów na Broadwayu.

– Gdybym wiedziała, że jest cały czas otwarta – stwierdziła Sylvia, uderzając ręką w oparcia kolejnych foteli przy głównym przejściu – uprawiałabym seks na tej scenie.

– Uch, Sylvio, to obleśne.

– Proszę cię. Nawet nie próbuj się przede mną zgrywać na pruderyjną pindę. Obie świetnie wiemy, że to ściema.

Szłam za nią. Grzecznej dziewczynce we mnie wciąż się nie podobało, że jestem gdzieś, gdzie nie powinnam być. A zdecydowanie zabroniono nam wchodzić do auli bez nadzoru. Pewnie dlatego to miejsce wciąż wyglądało tak ładnie. Sylvia wbiegła na ciemną scenę i stanęła pośrodku. W blasku nielicznych świateł przypominała widmo, ale było jej z tym do twarzy.

– Co my tu robimy?! – zawołałam z pierwszego rzędu.

Starłam się, żeby mój głos nie brzmiał nerwowo. Sylvia zmusiłaby mnie tylko, żebyśmy zostały tu dłużej. Ale i tak mi nie wyszło.

– Zrobimy sobie wycieczkę po naszych najpiękniejszych chwilach, luba panno – odparła ze środka sceny, robiąc teatralny gest i kiepsko naśladowując brytyjski akcent. – Powiedziałabym, że przyda się nam obu przypomnienie, jak absolutnie bajeczne jesteśmy. To, piękna damo, jest nasz pierwszy przystanek.

Uśmiechałam się i kręciłam głową. Sylvia była wariatką, ale czasami naprawdę cudowną wariatką. I była też wspaniałą przyjaciółką. Mimo wszystkiego, co robiłam, mimo wszystkich moich kłamstw wciąż była przy mnie. Dokładnie w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowałam.

– To ma być jeden z moich przystanków? Co ta aula ma ze mną wspólnego?

– Pani wejdzie na środek sceny! – zawołała do mnie jak konferansjer w cyrku. – Zaraz pokażę.

Weszłam po schodach na scenę. Czułam tremę, choć na widowni nie było żywej duszy. Stanęłam obok niej w tym upiornym świetle. Spojrzałam na puste fotele.

– No dobra, jestem. Chyba musiałaś mnie z kimś pomylić, bo to naprawdę mi się z niczym nie kojarzy.

– Poczekaj chwilę – powiedziała, kładąc ręce na moich ramionach i wpatrując się ponad moją głowę w wyimaginowany tłum. – To tutaj postanowiłam, że na zawsze musisz zostać moją najlepszą przyjaciółką. Druga klasa, zajęcia pani Ritter, akademie z okazji Dnia Prezydentów. Niemal zesrałaś się ze strachu przed wyjściem na scenę, chociaż miałaś być z całą klasą, a twoje zadanie polegało tylko na tym, żeby trzymać literę G. Mniejsza z tym. Chodzi o to, że przedtem naprawdę musiałaś pójść z wymiotować. Na pewno to pamiętasz.

– O tak!

Na samo wspomnienie zrobiło mi się niedobrze. Prawie to wyparłam. W sekundę powrócił jak żywy obraz pani Ritter podającej mi chusteczki i pytającej, czy zawsze wymiotuję, kiedy jestem zdenerwowana.

– Teraz sobie przypominam. Tak, dzięki. Wspaniałe chwile.

– Naprawdę był to dla mnie przełomowy moment.

– Wymiotowałam i to był twój wielki moment? Żalotne.

Patrzyłam na rzędy pustych foteli i poczułam w sobie pustkę. Podniecenie po ucieczce z gabinetu Woodhouse'a zaczynało mijać. Gdziekolwiek się skończy ta wycieczka z Sylvia, wciąż będą na mnie czekać oskarżenia o ściąganie, Sroki, Dylan i mój żenujący mail.

– Nawiasem mówiąc, bycie na scenie wciąż totalnie mnie przeraża. Jestem zdenerwowana, chociaż na widowni pustki.

– Nie chodziło o rzyganie, głupia – powiedziała Sylvia. Wyprostowała rękę i przewróciła oczami. – Chodzi o to, co zrobiłaś potem.

– Co zrobiłam?

– Wróciłaś z łazienki z garścią chusteczek i zawziętą miną i weszłaś prosto na scenę razem z całą resztą. Bez marudzenia, bez trzęsienia się, nic – wyjaśniła Sylvia. – Byłaś moją absolutną bohaterką!

– Dzięki – odparłam. – Wciąż uważam, że byłam beznadziejna, ale dzięki.

Przypominałam sobie coś jeszcze o tym dniu. Po wyjściu na scenę znów zaczęłam się trząść. Obejrzałam się na panią Ritter, a gdy mnie zignorowała, zaczęłam szukać jakiejś drogi ucieczki po drugiej stronie sceny. Wtedy zobaczyłam swoją mamę, jak wbiega do środka standardowo spóźniona piętnaście minut i z tą spanikowaną miną. W końcu mnie wypatrzyła – w tylnym rzędzie po lewej, z wielkim G przyciśniętym do piersi. Wtedy jej twarz przybrała taki wyraz, jakbym była czymś najcudowniejszym, co kiedykolwiek widziała. To dzięki temu, że tak na mnie patrzyła, udało mi się wytrzymać do końca uroczystości.

Trwałam zatopiona w tym wspomnieniu, gdy na tyłach auli dały się słyszeć jakieś odgłosy. Ktoś otwierał drzwi.

– Cholera, chodź – rzuciła Sylvia, chwytając mnie za rękę i ściągając ze sceny. – Spadamy do kafeterii.

W kafeterii było pusto. Dwóch woźnych myło mopami podłogę.

– Nie wolno wam tu być – warknął jeden z nich.

– Zbieramy materiały do recenzji książki – zbyła go Sylvia. – Tu powiedziałaś Whitmanowi Price'owi, żeby się pierdolił. Pamiętasz, prawda?

Minęła chwila... Tak, to też pamiętałam. W szóstej klasie Whitman był kimś w rodzaju przywódcy paczki chłopaków, którzy dokuczali wszystkim dziewczynom. Czepiał się zbyt dużych stóp jednej dziewczyny i brzydkiego pieprzyka na szyi innej. Mówił, że jesteśmy za grube albo za chude, albo

niewydarzone. Oczywiście sam był gruby i miał na twarzy ślady po trądziku, ale wszyscy za bardzo się bali, żeby zwrócić na to uwagę. Na szczęście w ósmej klasie, po rozwodzie rodziców, przeprowadził się gdzieś i zniknął. Od lat o nim nie myślałam.

Teraz przypominałam sobie tamten dzień. Siedziałam przy stoliku z Sylwią i paroma niezbyt popularnymi dziewczynami. Whitman podszedł i zaczął mówić każdej z nas, czy jest ładna, czy brzydka. Według niego byłyśmy raczej brzydkie. Potem wyjaśnił, co dokładnie w naszym wyglądzie zaniża ocenę. Twierdził, że próbuje nam pomóc. Nim obszedł stół i dotarł do mnie, kilka dziewczyn płakało. Z pół tuzina chłopaków zeszło się, żeby popatrzeć na ten cyrk.

– A ty – zawyrokował, wskazując na mnie – masz końską gębę. Jest długa, płaska i trzy razy większa niż u innych ludzi.

Nigdy nie byłam kimś, kto umie się postawić. Tamtego dnia, gdy Whitman pomiatał nami bez skrępowań, coś we mnie pękło.

– A ty jesteś strasznie gruby, Whitman – stwierdziłam. – I pierdol się.

Nigdy przedtem nie przeklinałam na głos. A już tym bardziej tak nie przeklinałam. Poczułam się, jakby z ust miały mi buchnąć płomienie.

– Ale heca! – gwizdnął jeden z chłopaków.

– Cholera, Whitman, nieźle ci się odgryzła – zauważył inny.

Whitman wydawał się strasznie wkurzony i przez chwilę myślałam, że może mi przyłożyć. Tymczasem on się odwrócił i zniknął w tłumie. Parę dni później znów zaczął nam dokuczać. Ale nie następnego dnia. Wtedy siedział sam daleko, po drugiej stronie kafeterii.

– Chodź. – Sylvia skierowała się ku wyjściu. – Musimy stąd spadać. Chyba woźny poszedł kogoś zawiadomić.

Szłyśmy tak przez szkołę, zwodząc nauczycieli i pozostały personel. Sylvia zaciągnęła mnie do sali, w której kiedyś wygrałam konkurs naukowy dzięki prezentacji dotyczącej oddziaływania pola magnetycznego na rośliny, i do miejsca, w którym w ósmej klasie Chris Mellon powiedział mi, że mnie lubi. Przystanęłyśmy na drugim piętrze: tu w siódmej klasie powiedziałam Sylvii, że pewnego dnia zostanę pisarką bez względu na to, jakie to trudne.

Żaden z tych przystanków nie mógł niczego zmienić. Nie mógł sprawić, by Dylan mnie pokochała, ani sprawić, że moje świetne wypracowanie wróciłoby na miejsce tego podmienionego. Żadne z tych wspomnień nie mogło cofnąć okropnych rzeczy, jakie zrobiła Zadie, ani zażenowania, które czułam, gdy wszyscy czytali mój mail.

Ta wycieczka przypomniła mi, że moje życie to nie tylko ten moment. Nie tylko ta jedna dziewczyna. Jeden ciąg słów na papierze. Że przedtem przeżywałam różne rzeczy, dobre i złe, zabawne i okropne, i jakoś przetrwałam.

Zadzwoił dzwonek, kiedy byliśmy na korytarzu. Zanurkowałyśmy do pomieszczenia gospodarczego, by tam poczekać na koniec przerwy. Przywarłyśmy do ściany obok mopa. Staraliśmy się jak najdłużej wstrzymać oddech, by nie zakrztusić się zapachem środków dezynfekujących.

– Dziękuję – szepnęłam do Sylvii, gdy mogłyśmy wyjść z kryjówki. – Tego mi było trzeba.

– To jeszcze nie koniec – odparła Sylvia. – Teraz moja kolej.

O cholera. Powinnam się zastanowić, dokąd zabrać Sylvię. Zupełnie nic nie przychodziło mi do głowy. Jakie były jej wielkie chwile?

– Nie przejmuj się – powiedziała Sylvia, jakby czytała mi w myślach. – Upiecze ci się. Zaplanowałam trasę.

Z pomieszczenia gospodarczego poszłyśmy do pustej klasy w północnym skrzydle, potem do biblioteki i na podwórze. Odwiedzałyśmy miejsca najważniejsze według Sylvii, które w większości – właściwie wszystkie – miały coś wspólnego z chłopakami. Chichocząc, chowałyśmy się przed nauczycielami i pracownikami szkoły. Czułam się tak, jakbyśmy znów były małe, szczelnie otulone swoim własnym światem.

Jednak mniej więcej na czwartym przystanku Sylvii sprawy zaczęły przybierać gorszy obrót. Każdy przystanek nie był ot tak związany z jakimś facetem. To były miejsca, w których jakiś facet zerwał z Sylvią. Z początku nie wydawała się zdenerwowana, ale potem nagle jakby osiągnęła jakiś punkt krytyczny. Stała się smutna i przygnębiona.

– Żaden z nich na ciebie nie zasługiwał – powiedziałam, gdy zmierzałyśmy w stronę drzwi pożarowych. – Lepiej ci bez nich.

– Wiem – odparła. – To dlatego sobie o nich przypominam.

Nie uwierzyłam. Wyglądała tak, jakby ktoś zdmuchnął cudowne światło, które w niej płonęło.

– Dokąd teraz idziemy? – spytałam, gdy wchodziłyśmy po schodach. Miałam nadzieję, że wkrótce zakończymy ten niewesoły marsz.

– Na dach – odparła ze smutnym uśmiechem. – I rozchmurz się. To ostatni przystanek na szlaku łez Sylvii Golde.

Przystanąłam. Dokładnie tego się obawiałam. Naprawdę była zdenerwowana, choć próbowała zachowywać się, jakby wcale tak nie było.

– Sylvio, daj spokój – powiedziałam. – Co te głupie chłopaki w ogóle wiedzą?

Zastanawiałam się gorączkowo, usiłując wymyślić choć jedno miejsce, do którego mogłabym ją zabrać. Miejsce, w którym zrobiła coś niezwykłego. Miałam kompletną pustkę w głowie, choć Sylvia musiała przecież zrobić jakieś fajne rzeczy. Musiała mieć jakieś wielkie chwile. Tyle że naprawdę niczego takiego nie mogłam sobie przypomnieć.

– Jesteś cudownie kreatywna i superutalentowana. Jesteś szaloną ikoną stylu. Kiedyś będziesz niesamowitą projektantką mody, wiem. Podczas tygodnia mody będziecie tylko ty i Steve McQueen.

– Alexander McQueen. – Sylvia przewróciła oczami. – Poza tym on nie żyje. Steve McQueen zresztą

też.

– No to Donna Karen.

– Donna Karen? Serio? Ona też równie dobrze mogłaby nie żyć.

– Daj spokój.

– Wiem, wiem. Próbujesz poprawić mi humor. Wiesz, brzmi to jakoś desperacko – odparła, idąc po schodach i nie oglądając się na mnie. Wzruszyła ramionami. – Ale w porządku. Wiem, kim jestem. Akceptuję to. Nie musisz podnosić mnie na duchu. A teraz chodź już.

Wreszcie znalazłyśmy się na górze. Sylvia pchnęła drzwi prowadzące na dach po południowej stronie budynku. Wyszłyśmy.

– Nie złapali tu kiedyś grupki dzieciaków palących trawę?

Spojrzałam na szczyty drzew, na niebo nad nami błękitne i bezchmurne. Było trochę chłodno, ale wciąż miło w blasku popołudniowego słońca. W oddali na północy widziałam Empire State wznoszący się ponad inne budynki.

– Myślałam, że potem zamknęli to wyjście.

– Bo zamknęli. Otworzyli je robotnicy pracujący przy sali muzycznej, żeby móc jeść tu lunch.

Rozejrzała się i uśmiechnęła jakoś tak słodko-gorzko.

– Wiesz, Ian i ja kiedyś uprawialiśmy seks tu na górze.

– Serio?

Szalone rzeczy, które robiła Sylvia, nigdy nie przestawały mnie zdumiewać.

Kiwnęła głową, spojrzała w dół i zagryzła wargę, jakby próbowała się nie rozplakać. Coś się stało. Coś złego.

– Sylvio, co jest...

Wtedy usłyszałyśmy kroki na schodach i podzwanianie kluczy, odbijające się echem na klatce schodowej.

– Cholera – szepnęła Sylvia, machając na mnie, żebym poszła za nią. – Chodź.

Dopadłyśmy do małej wnęki po drugiej stronie nadbudówki i ukryłyśmy się w niej. Kucnęłyśmy. Chwilę później zza rogu wyszła Liv. Wyjęła telefon i zadzwoniła do kogoś.

– Witam, tak, tu Liv Britton – powiedziała. – Och, dziękuję. Bardzo się cieszę. To wielki komplement z pana ust. Niestety, chyba będę musiała wycofać rękopis. W mojej szkole sprawy się skomplikowały i...

Przez chwilę milczała, pewnie czekając, aż jej rozmówca skończy mówić. Obgryzała paznokcie.

– Tak, oczywiście zakładałam, że zmienię wszystkie nazwiska. Nawet w takim wypadku myślę... – Znow przez chwilę milczała, kiwając głową. – Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Dobrze, tak. Zastanowię się nad tym. Dziękuję za poświęcony mi czas. Będę w kontakcie.

Liv się rozłączyła i przez minutę gapiała na swoją komórkę. Wzięła głęboki oddech, głośno westchnęła i ruszyła z powrotem w stronę schodów. Nie wychylałyśmy się, póki nie usłyszałyśmy, jak zamykają się

za nią drzwi. Na szczęście już jej nie było, gdy zapiszczał mój telefon. Dostałam SMS.

BEN

nie jesteś zła. wiem, jestem do dupy...

AMELIA

jest ok, naprawdę

BEN

na pewno?

AMELIA

na sto procent

BEN

nic ci nie będzie?

AMELIA

nie. na pewno. Baw się dobrze. Xoxox; i tak niedługo się spotkamy! Zadbam o to ;)

– Kto to był? – spytała Sylvia.

– Ben. Jest w mieście – odparłam, z góry wiedząc, jak zareaguje.

– Chyba nie zamierzasz z nim się naprawdę spotkać, co? Bo tylko po moim trupie pójdziesz na spotkanie z tym psycholem.

Podeszła na skraj dachu odwrócona do mnie plecami. Wzdłuż krawędzi biegł dość niski murek. Sam jej widok na skraju tej okropnej przepaści przyprawiał mnie o zawroty głowy.

– Możesz się trochę cofnąć? Boję się o ciebie. Co będzie, jeśli się potkniesz?

Sylvia cofnęła się troszeczkę, o jakieś pół kroku. Nie poczułam się od tego ani trochę lepiej.

– Ian ze mną zerwał – powiedziała. – Godzinę temu mnie tu po to przyprowadził. Może myślał, że ten widok złagodzi cios.

Cholera. Prędzej czy później to się musiało tak skończyć, ale to nie czyniło sprawy ani trochę łatwiejszą.

– Wszystko w porządku? Znaczący... Wiem, że to jest do dupy. Co z niego za palant!

Wtedy Sylvia odrobinę przekrzywiła głowę, kierując twarz do słońca. W jego blasku wydawała się jeszcze smutniejsza. Biedna Sylvia. Jeśli nawet ja potrafiłam to przewidzieć, ona też musiała. Mimo wszystko było mi jej okropnie żal. I tak bardzo pragnęłam powiedzieć coś więcej, coś naprawdę świetnego, coś takiego, co Sylvia mówiła mi o Dylan. Ale wszystko, co przychodziło mi do głowy, brzmiało pusto i sztywno, nawet dla mnie.

– Chcesz wiedzieć, co mi powiedział?

– A co to za różnica, co ten ciul sobie myśli?

Dla Sylvii to było ważne. Chciała mi powiedzieć.

– Powiedział, że go seksualnie nie pociągałam. A gdy odparłam mu na to: „Co ty gadasz, przecież ciągle mamy seks”, on powiedział „No tak, mamy, ale w sumie robiłem to tylko dlatego, że było mi ciebie

żał”.

Odwróciła się w moją stronę. Strasznie płakała. Podeszłam do niej i mocno ją przytuliłam.

– Tylko tak mówił – zapewniłam, wtulając twarz w jej szyję. – Wiesz o tym, prawda? Jesteś piękna.

Pokręciła głową i pociągnęła nosem.

– Nie jestem tak ładna jak kiedyś. Wiem o tym.

– Odbiło ci. O czym ty mówisz?

Najgorsze było to, że trochę miała rację. Sylvia była niesamowicie śliczną małą dziewczynką, tak piękną, że nie mieściła się na skali. Jednym z tych dzieci, na których widok ludzie zatrzymują się na ulicy i w restauracjach zapominają o tym, co jedzą. Nie chodziło o to, że teraz była brzydka. Stała się o wiele bardziej przeciętna.

– Nie jestem taka jak ty – szepnęła, gdy przytuliłam ją jeszcze mocniej. – Mam tylko urodę.

Odsunęłam się, by spojrzeć jej w oczy.

– Nieprawda – zaprotestowałam. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam wszystko, co było w niej wspaniałe. – Jesteś zabawna, lojalna, oddana i szczerą i chciałabym mieć choć jedną czwartą tej pasji, którą masz. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie wiem, co bym zrobiła...

Wtedy zapiszczała jej komórka. Modliłam się, żeby to nie był SMS od Iana. Bo choć było źle, to gdyby do niej wrócił tylko po to, by rzucić ją po tygodniu, byłoby jeszcze gorzej. Prędzej czy później na pewno by to zrobił. Sądząc po tym, jak gorączkowo Sylvia szukała telefonu, byłam pewna, że SMS od Iana jest dokładnie tym, na co liczyła.

– Kto to? – spytała Sylvia, gdy wreszcie spojrzała na wyświetlacz. – Numer zarezerwowany... – Urwała i otworzyła wiadomość.

– Co to jest? – spytałam.

– Nie wiem... jakieś zdjęcie. I podpis „Spójrz w lustro” – przesunęła palcem po ekranie. Spojrzała na mnie, zdezorientowana. – To ty. Dlaczego jesteś w bieliźnie? To jakieś perwersje, które wyprawiałaś z Dylan? – Wydawała się bardzo rozbawiona. – Wiesz, Baron, zaimponowałaś mi. Masz większe jaja, niż mogłam przypuszczać.

Pokazała mi ekran telefonu. Faktycznie, robiłam akurat seksowną minkę. Na tym zdjęciu posunęłam się najdalej, rozsunęłam nogi i pochyliłam w stronę kamery. Nienawidziłam tego, że znów muszę patrzeć na to zdjęcie. To było poniżające. Oddałam komórkę Sylvii.

– Uch, obleśne. To długa historia. Możesz mi wierzyć, nie było w tym nic seksownego.

– „Spójrz w lustro” – mruzczała Sylvia. – To jak jakaś wskazówka. O cholera – wyszeptwała, kiedy powiększyła zdjęcie. Widziałam, jak cała krew odpływa jej z twarzy. Spojrzała na mnie szalonymi oczami. – Ożeż kurwa!

– Co? – spytałam, pochylając się, by popatrzeć na wyświetlacz, ale wymachiwała komórką jak jakaś wariatka. – Uspokój się! Co jest?!

– Ty jebana szmato! – wrzasnęła nagle, nacierając na mnie z tym szaleństwem w oczach.

– Kto jest szmatą? O czym ty mówisz, Sylvia?!

– Ty! – wrzasnęła jak jakieś zwierzę. Nigdy nie słyszałam, by człowiek wydobywał z siebie taki dźwięk. – Ty jesteś pierdoloną szmatą!

W końcu podsunęła mi telefon pod nos. Na powiększonym zdjęciu widać było, że w lustrze wiszącym za moimi plecami odbija się Ian Greene.

– Sylvio, nie – wydusiłam z siebie. Moje serce biło jak oszalałe. Cofnęłam się o krok, jakby to mogło cofnąć czas do chwili, gdy nie widziałam tego zdjęcia. – To nie to, co ci się wydaje.

– Ach nie?! – krzyknęła znowu.

Miała czerwone policzki. Cofnęła trochę telefon, jakby chciała wziąć zamach i walnąć mnie nim w twarz.

– Wygląda na to, że to ty byłaś tą Sroką, która bzykała się po kątach z moim chłopakiem!

– Ządzie to wszystko ukartowała. Daj spokój, Sylvio, zastanów się.

– Rżnęłaś się z nim, bo Sroki ci kazały!

– Nie, Sylvio, nie – wydyszałam. Cofnęłam się niemal aż do murku. – Nie spałam z Ianem. Nic między nami nie było.

– Oprócz, kurwa, tego!

Mocniej zamachnęła się na mnie telefonem, więc odruchowo się odchyliłam.

– Jebane nagie zdjęcia! Wolisz dziewczyny? A może to sobie wymyśliłaś, żeby ukraść mi chłopaka?

Rąbnęła mnie komórką w obojczyk. Skrzywiłam się i odchyliłam bardziej. Czułam pulsujący ból w klatce piersiowej. Tego było za wiele. Po prostu za wiele. One nigdy nie przestaną. Nigdy nie zostawią mnie w spokoju. Spróbowałam jeszcze trochę odsunąć się od Sylvii, by nie uderzyła mnie ponownie.

Nagle poczułam, jakby coś pode mną ustąpiło. Wysunęłam ręce, by chwycić się murku, spodziewałam się poczuć ból, kiedy dotknę szorstkich cegieł. Ale nie poczułam nic, żadnego bólu. Tylko siłę grawitacji. Spadałam.

Wtedy zobaczyłam twarz Sylvii, a w jej oczach tę straszną rzecz, która już się stała. Której nie byłymy w stanie powstrzymać.

– Nie! – krzyknęła Sylvia, próbując mnie złapać. – O Boże, Amelio!

Ja też próbowałam. Próbowałam złapać jej rękę. Tak bardzo próbowałam.

Facebook

24 PAŹDZIERNIKA

Amelia Baron

Jestem uczepiona dna, lecz płynę [10](#).

Virginia Woolf, *Fale*

Epilog

7 MARCA

– Robi się cieplej – zauważyła Kate, opadając na skrawek wypielegnowanej trawy.

Jak na początek marca było niezwykle ładnie, ale pogoda wciąż zmuszała do noszenia płaszcza. Ledwie Kate wypowiedziała te słowa, wiatr przybrał na sile i przeniknął ją chłód.

– No dobrze, może tylko troszeczkę cieplej, ale gdybyś tu była, pewnie uznałabyś, że zbliża się lato. Zawsze taka byłaś, chciałaś nosić krótkie rękawki, gdy tylko stopniał śnieg. – „Nie zmarznę, mamusiu” – uśmiechnęła się na myśl o okrągłej twarzązce Amelii, o tym, jak składała te wszystkie dziecinne obietnice. Taka pełna zapału i pewna siebie. – Najzabawniejsze było to, że zawsze brałam dla ciebie płaszczyk, bo liczyłam, że zmienisz zdanie, kiedy zrobi ci się zimno. Nigdy tego nie zrobiłaś. Ani razu. Taka cudownie uparta. Taka doskonale doskonała.

Słowa Kate przebrzmiały, do oczu napłynęły jej łzy. Czasem obiecywała sobie, że nie będzie płakać, gdy odwiedza Amelię na cmentarzu. Czasem po prostu to akceptowała. Tak czy inaczej – płakała zawsze. Jednak powoli, centymetr po centymetrze, najmroczniejszy smutek zaczął ją opuszczać, a może się zmieniał, pozostawiając po sobie tylko tęsknotę za Amelią. Kate zaczynała się nawet godzić z tym, że szczegóły związane z córką stopniowo się zacierały bez względu na to, jak bardzo usiłowała zachować w pamięci każdy z nich. Nie potrafiła temu zapobiec. Mogła jedynie opłakiwać ich stratę.

W ciągu tych kilku miesięcy od śmierci Amelii Kate zapomniała niektóre rzeczy. Nie pamiętała zapachu Amelii, choć wciąż jeszcze szukała jego śladów w jej pościeli. Nie potrafiła sobie też przypomnieć, co robiła Amelia, gdy chciała zakończyć rozmowę: czy najpierw dwa razy pstrykała palcami, a potem pokazywała kciukiem w dół, czy też pstrykała trzy razy i wskazywała na nią palcem. Wyblakły również obrazy z czasów, gdy Amelia wreszcie nauczyła się jeździć na rowerze. Poza tym Kate nie pamiętała, który ząb córeczka straciła jako pierwszy ani ile pieniędzy znalazła wtedy pod poduszką.

Pamiętała jednak tę krystalicznie czystą doskonałość. Wciąż czuła ciężar główki nowo narodzonej Amelii spoczywającej w swoich ramionach, gdy spały na bujanym fotelu. Pamiętała, że gdy Amelia wypowiedziała swoje pierwsze słowo – pies – ona krzyknęła z zachwytem tak głośno, że córeczka wybuchnęła płaczem. Pamiętała, jak po raz pierwszy wysłała Amelię do przedszkola bez pieluchy. I to przerażone spojrzenie ośmiolatki, której pewnego ranka w drodze do szkoły usiłowała wyjaśnić, co to jest seks. Pamiętała tę słodką, choć nieczęstą rozkosz, gdy Amelia, już nastolatka, przytulała się do niej. I to, jak płakała niemal dorosłymi łzami.

W końcu Kate przypomniawsza sobie wszystko, czego potrzebowała. Wszystko, co kiedykolwiek było ważne. Zwłaszcza to, jak mocno kochała swoją córkę. I jak bardzo się starała. Jeśli chodzi o resztę –

niedociągnięcia, błędy, rzeczy, które zrobiłaby inaczej – starała się o tym zapomnieć. Bo Seth miał rację. Tak wiele z tego, jak sprawy się potoczyły, wydawało się zależeć od szczęścia lub od pecha.

– Dziś widziałam się z Julią. Sylvia chce tu do ciebie przyjść, powiedzieć, jak bardzo jej przykro. Powiedziałam, że się zgadzam. Mam nadzieję, że robię słusznie, wierząc w to, co opowiedziała Sylvia o wydarzeniach na dachu. Że to był wypadek. Wciąż nie jestem pewna, co z tym robi policja. Nawet jeśli teraz mówi prawdę, kłamała w tylu sprawach i przez tak długi czas. – Kate wciągnęła powietrze, przesunęła dłonią po trawie. – Zadie wyjechała, jest w szkole z internatem dla trudnych dziewcząt gdzieś w północnym Connecticut. Jej mama nie zasiada już w zarządzie szkoły. Kluby zlikwidowano, przynajmniej o ile mi wiadomo. To nie wystarczy, ale to chyba dobry początek.

Pragnęła powiedzieć, że Dylan się odezwała. Napisała, by wyznać, że naprawdę kochała Amelię. Ale Dylan się nie odezwała, ani słowem. Kate szczerzej otuliła się płaszczem i spojrzała ze szczytu pagórka, na którym pochowana była Amelia, na łagodne wzgórza Greenwood Cemetery i dalej, za brzydki pas magazynów oraz wielki Home Depot, aż na Zatokę Nowojorską na horyzoncie.

– Czuję, że jestem ci winna przeprosiny, że powinnam cię przeprosić dawno temu. Od początku powinnam ci była powiedzieć o twoim tacie. – Kate powoli wypowiadała słowa. Sporo czasu planowała tę mowę, mimo to trudno jej było mówić. – Miałaś prawo wiedzieć to co ja, chociaż się myliłam. Okazało się, że twoim ojcem jest Jeremy Firth. Tak, ten Jeremy. Przespaliśmy się ze sobą tylko raz. Miał żonę, więc nie powinnam... Byłam zdezorientowana, samotna i to się po prostu stało. Chociaż złe, doprowadziło do czegoś wspaniałego: pojawiłaś się ty.

Pokręciła głową, przeczesując palcami żółtą trawę. Potem pomyślała o Phillipie. Na razie to była tylko filiżanka kawy i kilka maili. Z krótkimi szpakowatymi włosami, delikatnymi zmarszczkami wokół oczu i gładko ogoloną twarzą w niczym nie przypominał Rowana. Tak bardzo kojarzył się jej z tym pełnym pasji chłopakiem, jakiego znała krótko wiele lat temu. Zastanawiała się, co by na to powiedziała Amelia. Wierzyła, że córka by temu przyklasnęła. Przynajmniej co do tego Gretchen miała rację: Amelia pragnęła, żeby Kate była szczęśliwa.

– Był ten chłopak w barze... Nie okłamałam cię w tej sprawie – powiedziała Kate. – Może o tym wiesz. Może przeczytałaś wszystkie moje pamiętniki. Nigdy się tego nie dowiem. Wydaje mi się, że przez cały czas pragnęłam, żeby to on był twoim ojcem. Tak naprawdę nawet nie on – ledwie go znałam – ale to, co mi przekazał. Właśnie to stało się najwspanialszą częścią ciebie. Wierzę Phillipowi, kiedy mówi mi, że byłaś jedyna w swoim rodzaju. Widział w tobie to, co ja widziałam w tobie zawsze i czego teraz potrzebuję. Być z ludźmi, którzy rozumieją, że świat bez ciebie jest smutniejszy.

Wciągnęła powietrze i usiłowała powstrzymać się od płaczu.

– I chcę też, żebyś wiedziała, że choć Jeremy był moją pomyłką – ciągnęła łamiącym się głosem, który unosił wiatr – ty nigdy nie byłaś pomyłką, Amelio. Byłaś najlepszym, co przytrafiło mi się w życiu. Zawsze będziesz.

Za późno, by cokolwiek zmienić. Za późno, by dokonać innych wyborów. Być lepszą matką. Kate

mogła być jedynie tą matką, którą kiedyś była, matką Amelii – strażniczką pamięci o niej, powierniczką jej sekretów i opiekunką tego, co nosiła w sercu. Tym będzie zawsze.

Podziękowania

Najgłębsze podziękowania składam swojej agentce i osobistej superbohaterce Marly Rusoff, najbardziej oddanej orędownicze, o jakiej marzy pisarz. Nie potrafię wyrazić wdzięczności za to, że była przy mnie na różnych etapach powstawania tej książki. Dziękuję Michaelowi Radulescu za okazaną mi pomoc i bardzo docenianą przeze mnie lekkość; dziękuję też Julie Mosow, krytycznej redaktorce, wspaniałej partnerce i cudownej przyjaciółce.

Mojej niesamowitej redaktorce Claire Wachtel pragnę powiedzieć, że jej niezrównana wnikliwość przyczyniła się do tego, że lepsza jest nie tylko ta książka, lecz także ja stałam się lepszą pisarką. Pracować z tobą było dla mnie zaszczytem.

Dziękuję Jonathanowi Burnhamowi za to, że umożliwił mi wydanie tej książki. Dziękuję też Elizabeth Perrelli oraz wszystkim z działu marketingu i sprzedaży HarperCollins za entuzjazm i ciężką pracę.

Megan Crane dziękuję za dawanie mi przykładu, za to, że zawsze była gotowa przeczytać kolejny szkic, mówiła mi prawdę, kiedy to było ważne, a okłamywała mnie, gdy tego potrzebowałam. I co najważniejsze – za wyjątkową przyjaźń. Gdybym nie miała ciebie, by rozmawiać o życiu i pisaniu przez kolejne lata, ta niekiedy męcząca podróż skończyłaby się dawno temu.

Dziękuję Victorii Cook za skuteczne dopingowanie mnie i za ratowanie sytuacji wiele razy. Elenie Evangelo – za ciepło i bezgraniczny optymizm. Carze Cragan – za wiarę we mnie.

Dziękuję oddanym czytelniczkom i drogim przyjaciółkom: Cindy Buzzeo, Heather Fratton, Nicole Kear, Tarze Pometti, których uwagi i słowa zachęty były nieocenione.

Wyrazy wdzięczności przekazuję tym, którzy tak wspaniałomyślnie wspierali mnie przez ostatnie dziesięć lat. Są to: Catherine i David Bohigian, rodzina Craganów, rodzina Crane'ów, Jeremy Creelan, Joe i Naomi Daniels, Larry i Suzy Daniels, Charmaine De Grate, Dave i Joannie Fischer, David Kear, Merrie Koehlert, Hallie Levin, Brian i Laura Mayerowie, Diane Mehta, Brian McCreight, rodzina Metzgerów, Jason Miller, Sarah Moore, Frank Pometti, Jon Reinish, rodzina Thomatos, członkowie mojej utalentowanej grupy pisarskiej z Park Slope. Przekazuję je również tym wszystkim, o których zapomniałam – dziękuję za to, że we mnie wierzyliście zwłaszcza w tych chwilach, gdy nie wierzyłam już sama w siebie.

Pragnę również podziękować swoim rodzicom, przybranym rodzicom i rodzinie oraz rodzinie Prentice'ów: Martinowi, Clare, Becky, Mike'owi i Steve'owi, których mam wielkie szczęście teraz również nazywać rodziną.

Swojemu mężowi Tony'emu chcę powiedzieć, że ta książka jest naprawdę w równym stopniu jego i moja. Bez ciebie nigdy nie miałabym odwagi, by napisać choć jedno słowo, a tym bardziej nadziei, by

doprowadzić pracę do końca. Dziękuję za twoją wspaniałomyślność i szczerść, za cierpliwość i wiarę we mnie. Dzięki, że potrafiłaś mnie rozśmieszyć, rzucałaś mi intelektualne wyzwania i sprawiałaś, że czułam się rozumiana. Nie mogłabym życzyć sobie wspanialszego męża i lepszego przyjaciela.

Dziękuję swoim doskonale doskonałym dziewczynom. Dziękuję ci, Harper, za niesamowitą empatię, wyjątkowe uściski i zapewnienia, że jesteś ze mnie dumna, w te dni, gdy moim zdaniem nikt inny nie był ze mnie dumny. Dziękuję ci, Emerson, za to, że stałaś przy drukarce, liczyłaś strony i mówiłaś mi, że chcesz zostać artystką. Twój niezwykły uśmiech rozjaśni nawet najbardziej ponury dzień. Pamiętajcie, że bez względu na to, jak duże urośniecie, dokąd się udacie i z kim będziecie wieść życie, zawsze będę was kochać takimi, jakie jesteście, bez zastrzeżeń. A wszystkie wasze sekrety zawsze będą u mnie bezpieczne.

O autorce

Kimberly McCreight studiowała na Vassar College i ukończyła z wyróżnieniem University of Pennsylvania Law School. Pracowała jako prawniczka procesowa w największych kancelariach prawnych Nowego Jorku, po czym zarzuciła zawód prawnika, by całkowicie poświęcić się pisaniu. Jej utwory pojawiały się w „Antietam Review”, „Oxford Magazine” i „Babble”. Mieszka w Park Slope na Brooklynie z mężem i dwoma córkami.

Przypisy końcowe

1. Virginia Woolf, *Fale*, tłum. Lech Czyżewski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007. [↵](#)
2. Virginia Woolf, *Do latarni morskiej*, tłum. Krzysztof Klinger, Czytelnik, Warszawa 1962. [↵](#)
3. Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, tłum. S. Wyrzykowski, Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2010. [↵](#)
4. Virginia Woolf, *Do latarni morskiej*, tłum. Krzysztof Klinger, Czytelnik, Warszawa 1962. [↵](#)
5. Virginia Woolf, *Własny pokój*, tłum. Agnieszka Graff, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1997. [↵](#)
6. Virginia Woolf, *Nawiedzony dom. Opowiadania zebrane*, tłum. Magdalena Heydel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012. [↵](#)
7. Virginia Woolf, *Pani Dalloway*, tłum. Krystyna Tarnowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008. [↵](#)
8. Virginia Woolf, *Pani Dalloway*, tłum. Krystyna Tarnowska, Znak, Kraków 2008. [↵](#)
9. Virginia Woolf, *Do latarni morskiej*, tłum. Krzysztof Klinger, Czytelnik, Warszawa 1962. [↵](#)
10. Virginia Woolf, *Fale*, tłum. Lech Czyżewski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007. [↵](#)